

Anna  
Herbich

DZIEWCZYNINY  
Z SOLIDARNOŚCI

PRAWDZIWE  
HISTORIE

HORYZONT.  
**znak**

Anna Herbich

DZIEWCZYNY  
Z SOLIDARNOŚCI

Znak Horyzont  
Kraków 2016

Projekt okładki  
Adam Pietrzyk

Fotografia na pierwszej i czwartej stronie okładki  
Agnieszka Rzymek, [www.agarzymbek.com](http://www.agarzymbek.com)

Sesja zdjęciowa  
Modelka: Magdalena Kilarska  
Stylizacja: Agnieszka Rzymek  
Stylizacja włosów: Bogusława Chmiest

Opieka redakcyjna  
Natalia Gawron  
Krzysztof Chaba

Wybór ilustracji  
Natalia Gawron

Indeks  
Tomasz Babnis

Opracowanie redakcyjne  
Bogusława Wójcikowska

Korekta  
Irena Gubernat

Łamanie  
Edycja

Copyright © by Anna Zychowicz  
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2016

ISBN 978-83-240-3465-9  
Znak Horyzont

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

lesiojot

## Prolog

Ewa była w Solidarności. Po ogłoszeniu stanu wojennego, mimo zagrożonej ciąży, razem z mężem przez pół roku ukrywała u siebie ściganego przez SB opozycjonistę. Ich mieszkanie było punktem kontaktowym dla kurierów. W piwnicy mieli chałupniczy powielacz. Kolportowali antykomunistyczne ulotki.

W czasie stanu wojennego do ich drzwi zapukali „smutni panowie”. Całe szczęście, że młode małżeństwo z córeczką było na wakacjach daleko od Warszawy. Mieszkanie pod ich nieobecność zostało poddane szczegółowej rewizji, a następnie stałej obserwacji. Po powrocie do domu Ewa wraz z mężem miała wpaść w pułapkę. Groziło im aresztowanie.

To były czasy bez telefonów komórkowych, ich bliscy przez kilka dni wychodzili więc na każdy pociąg z Zakopanego. Jedna osoba stała na początku, a druga na końcu peronu. W ten sposób udało się ostrzec Ewę.

Nie mogła wrócić do domu, przez parę miesięcy musiała ukrywać się w obcych mieszkaniach. Miała ze sobą małą córeczkę. Była przerażona - obawiała się, że w momencie aresztowania bezpieka odbierze jej dziecko i umieści je w domu dziecka.

Ewa za działalność w Solidarności zapłaciła najwyższą cenę. Na skutek stresu spowodowanego aresztowaniami przyjaciół, stanem wojennym i groźbą aresztowania, urodziła przedwcześnie dziecko, które zmarło.

Ewa to moja mama. Była jedną z kilku milionów polskich kobiet, które w 1980 roku przystąpiły do Solidarności. Kobiet, które odważyły się rzucić wyzwanie komunizmowi. Wszechobecnemu kłamstwu i przemocy, codziennemu szarganiu ludzkiej godności. Te dzielne Polki nie mogły już dłużej żyć w szarej, beznadziejnej rzeczywistości. Chciały, żeby

ich dzieci dorastały w lepszym świecie.

Kobiety z Solidarności organizowały strajki, kolportowały bibułę, urządały głodówki. Chodziły na wiece i demonstracje. Redagowały podziemne pisma, udzielały pomocy ofiarom systemu. Bez nich Solidarność nie mogłaby istnieć.

Wszystko to robiły bezinteresownie, narażając się na brutalne szykany ze strony władz. Były więzione, bite, upokarzane. Odbierano im dzieci. Rozpadały się ich związki, rodziny. Wyrzucano je z pracy. Mimo to nigdy się nie poddały. Wierzyły, że walka, którą prowadzą, jest słuszna. Warta poświęceń.

Historia przyznała im rację. W 1989 roku epopeja Solidarności zakończyła się wielkim triumfem. Komunizm rozsypał się w gruzy, a narody Europy Środkowej odzyskały wolność. To było również ich zasługą. Zasługą dziewczyn z Solidarności. Często pomijanych podczas rocznicowych akademii, pozostających w cieniu mężczyzn.

To one są bohaterkami tej książki. Posłuchajmy ich opowieści.

**JOANNA**  
**ŚWIADEK MASAKRY**



Mężczyzna zakręcił się wokół własnej osi i runął na chodnik jak rażony piorunem. Do licha, pomyślałam, przecież uderzenie kamieniem nie powinno wywołać takiej reakcji. Po chwili w podobny sposób na ziemię przewróciło się jeszcze parę osób.

Upłynęło dobrych kilka chwil, zanim uświadomiłam sobie, co się dzieje. Zanim dotarło do mnie, że słyszę huk wystrzałów... Wtedy zrozumiałam, że ci ludzie nie padają od kamieni, lecz od kul. ZOMO otworzyło do tłumu ogień z ostrej amunicji!

Te obrazy prześladują mnie do dzisiaj, nie mogę ich wymazać z pamięci. Na moich oczach ginęli ludzie. Ogarnęło mnie poczucie grozy. I wściekłości. Co za bydlaki! Obserwowałam wszystko z czwartego piętra budynku, w którym mieściła się Miejska Pracownia Urbanistyczna w Gdańsku. Nasz gmach stał pomiędzy Komitetem Wojewódzkim PZPR a komendą milicji. Wszystko widziałam jak na dłoni.

Szary, śmiertelnie poważny tłum robotników przemaszerował tu spod bram stoczni.

- Chce-my chleba, chce-my chleba! - skandowali zdesperowani ludzie.

Był to jeden wielki pomruk, połączony z monotonnym stukotem butów o bruk. Szły ich tysiące. Z góry wyglądało to jak falujące morze kasków i czapek uszatek. Zawyły syreny, ZOMO przystąpiło do szturm. W ruch poszły pałki i gaz łzawiący. Coraz częściej słyhać było odgłosy strzałów.

Kwadrans później w naszym budynku rozległ się donośny głos, jakby dochodzący z jakiejś tuby czy mikrofonu. Wyobrażałam sobie, że takim samym tonem musiało do tłumów przemawiać NKWD.

- Proszę natychmiast opuścić budynek! - nakazał głos nieznośną sprzeciwu.

Wcześniej milicja nawoływała nas, żebyśmy odsunęli się od okien. Nie chciała, żebyśmy byli świadkami masakry robotników.

Dużo nas w pracowni nie było. Najwyżej dziesięć osób. Kiedy

wychodziliśmy na zewnątrz, musieliśmy przejść przez korytarze usłane rannymi. Byli na każdym piętrze. Leżeli na gołej podłodze, twarze mieli blade i powykrzywiane od cierpienia. Strasznie jęczeli. Wokół plamy krwi.

Wrzaski milicjantów, syreny, smród prochu. Koszmar.

Biegłam przed siebie, byłam w szoku. Znajdowaliśmy na parkingu, kiedy do jednego z kolegów, zastępcy przewodniczącego pracowni, ktoś zawołał:

- Panie inżynierze, proszę się zatrzymać! Jest pan potrzebny do noszenia rannych!



*W grudniu 1970 r. na oczach Joanny ginęli niewinni ludzie. Podczas pacyfikacji demonstracji ZOMO użyło ostrej amunicji. Te obrazy prześladują ją do dziś.*

Część mężczyzn już wcześniej poszła pomagać. On się jednak wykręcił. Powiedział, że zostawił dziecko w domu. Bzdura! Po prostu stchórzył. Nie chciał się mieszać.

Wydarzyło się to we wtorek, 15 grudnia 1970 roku. Kilka dni wcześniej Gomułka drastycznie podniósł ceny większości



produktów spożywczych, co wywołało falę protestów na Wybrzeżu. Wybuchły strajki, doszło do zaciętych walk ulicznych.

14 grudnia po południu zadzwoniła do mnie koleżanka.

- Słuchaj, Joaska, oni się w Gdańsku tłuką z komuną - powiedziała. - Musimy pojechać i zobaczyć, co się dzieje.

Mieszkałyśmy we Wrzeszczu, więc musiałyśmy wsiąść do SKM-ki, czyli kolejki, która przejeżdża przez całe Trójmiasto. Chciałyśmy dojechać do centrum miasta, ale na przystanku Gdańsk Stocznia pociąg zakończył jazdę. Konduktorzy powiedzieli, że jest strajk i kolejka dalej nie pojedzie.

Dalej musiałyśmy iść pieszo. Już na peronie zobaczyłam kilku zomowców. Pałki, mundury, tarcze. To byli młodzi chłopcy, bladzi, przerażeni.

- Zobacz, jak oni się boją - powiedziałam do koleżanki.

- I dobrze im tak - odpowiedziała. - Sama chętnie bym w nich rzuciła kamieniem.

Wtedy była bardziej zdecydowana i radykalna niż ja. Gdy weszłyśmy na ulicę prowadzącą do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, znalazłyśmy się w strefie wojny. Chodniki były usiane kamieniami i potłuczonym szkłem. Ludzie biegali po ulicach, milicyjne samochody pędziły na sygnałach. W powietrzu furkotały kamienie. Nigdy wcześniej nie widziałam podobnych zamieszek.

Ludzie mieli dość. Postanowili postawić się władzy. Podeszłyśmy prawie pod urząd, ale musiałyśmy zawrócić. Zobaczyłam tylko ogniki papierosów żarzące się w ciemnych oknach na samej górze komitetu. Przerażeni partyjniacy obserwowali to, co się dzieje. Bali się, że robotnicy ich zlinczują. Następnego dnia rzeczywiście tłum podpalił siedzibę komitetu.

Wróciłam do domu rozemocjonowana. Czulałam, że dzieje się coś wielkiego. Od progu zaczęłam wszystko opowiadać mężowi. Ale jego w gruncie rzeczy to niespecjalnie obchodziło. Leżał na tapczanie i czytał gazetę.

Następnego dnia, 15 grudnia, poszłam do pracy trochę wcześniej. Byłam bardzo ciekawa, co się będzie działo. W najgorszych snach nie mogłam jednak przewidzieć, że będę

świadkiem masakry. Mordowania ludzi.

Mój mąż pracował wówczas w hotelu „Monopol”, naprzeciwko dworca kolejowego. Tam też się działo. Tego dnia pojechał do pracy na popołudnie. Zadzwoił do mnie.

- Wiesz co, ale to fajnie wygląda! - relacjonował na bieżąco. - Ludzie biegają wokół jak na filmach! Rzucają w nich kamieniami. Trwa bitwa. Milicja ich pałuje.

Potem zadzwonił jeszcze raz. Wieczorem. Tym razem był już poważny.

- Aśka, słuchaj. Jakiś facet wyszedł z dworca. I wiesz co? Leży. Zastrzelili go!

Okazało się potem, że ten mężczyzna przyjechał pociągiem z Wrocławia czy z Poznania. A rozkład jazdy nie był jeszcze przystosowany do właśnie wprowadzonej godziny policyjnej. W efekcie wyszedł, jak gdyby nigdy nic, na ulicę. Został zastrzelony z zimną krwią.

W środę rano pojechałam do pracy. Przy wejściu do Urzędu Miejskiego - gdzie mieściła się pracownia - stały straszne typy. Normalny człowiek nawet nie miał pojęcia, że tacy ludzie w ogóle istnieją. Grube karki, świńskie oczka, wstrętne, nalane mordy. To byli panowie z „organów”.

Wpuszczali nas do środka z pogardą i nienawiścią wypisaną na twarzach. Około godziny jedenastej nasz architekt miejski, Zbigniew Czernichowski, powiedział, że mamy się wszyscy zebrać na korytarzu.

- Przed chwilą pod stoczną zastrzelono czterech robotników - poinformował. - I bardzo dobrze. Najwyższy czas, żeby zrobić porządek.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Do końca mojej pracy w pracowni nie wybaczyłam temu człowiekowi tych słów. Naprawdę nie wiem, jak coś takiego mogło mu przejść przez gardło. Co ten człowiek miał wtedy w głowie?

Nasz budynek był wypełniony zomowcami. Na dole był bar, w którym chlali wódkę i odurzali się narkotykami. Dlatego potem na ulicach wpadali w taki zwierzęcy amok, tak bestialsko katowali ludzi. Ich popisowym numerem były „ścieżki zdrowia”. Wyglądało to tak: zomowcy tworzyli dwa

szpalery, między którymi przepędzali ludzi. Nieszczęśnicy ci byli przez cały ten czas bez litości okładani pałami przez kilkudziesięciu milicjantów.

Widziałam, jak zrobili ścieżkę zdrowia młodemu chłopakowi. Nie miał nawet czternastu lat. A to wszystko były potężne, wyrosnięte chłopy. Bili tego dzieciaka pałami z całej siły. Potem długo płakał, ocierając krew i smarki z twarzy. Opierał się o latarnię, bo nie był w stanie iść o własnych siłach. Tak go skatowali.

Po tym, co widziałam, trudno mi było znaleźć sobie miejsce. Wrócić do normalnego życia. Iść na zakupy, zrobić obiad. Moje życie po prostu nie mogło wrócić na swoje dawne tory. Komuniści w moim rodzinnym mieście zamordowali czterdziestu siedmiu niewinnych ludzi! Tego nie można było im tak po prostu wybaczyć.

Poprzysięgam sobie wtedy, że będę walczyć z tym systemem. Uznałam, że ten system musi zostać obalony. Do dziś ogarnia mnie groza, gdy wracam myślami do Grudnia '70. Sceny, których wówczas byłam świadkiem, będą mnie prześladować do końca życia.

## **Ze Wschodu na Zachód**

Urodziłam się w Ostrowcu Świętokrzyskim. Mój ojciec, Zbigniew Kaliszczak, był malarzem. Studiował w Wilnie, potem w Lipsku. Miał innowacyjne podejście do sztuki. Robił przepiękne grafiki. Niedawno w Wilnie, którego ulice często malował, odbyła się wystawa jego obrazów.

W czasie wojny ojciec przewodził grupie konspiracyjnej. Kierował też podziemną drukarnią. Mama zaś prowadziła komplety. Co ciekawe, wszystko było tak tajne, że rodzice nawzajem ukrywali przed sobą swoją działalność w podziemiu. A żeby było jeszcze ciekawiej, rodzice mieszkali wówczas w małym dworku w Ostrowcu, w którym często stacjonowali niemieccy żołnierze. Ryzyko więc było ogromne.

Mam troje starszego rodzeństwa i o wojennych perypetiach

mojej rodziny dowiedziałam się od nich. Po wojnie rodzice musieli zabrać wszystkie rzeczy i wyjechać do Gdańska. Dworek został bowiem zarekwirowany przez władze komunistyczne. Do dziś w rodzinie przechowywane jest zdjęcie, na którym wlecjemy się z całym dobytkiem pociągiem towarowym na zachód. Mama jechała z półrocznym dzieckiem na rękę. To byłam ja.

Dzieciństwo, jak zresztą całe życie, spędziłam w Gdańsku. Do snu usypiał mnie dźwięk Radia Wolna Europa, którego wieczorami słuchał ojciec. Czytał mi też *Pana Tadeusza*. Muszę przyznać, że nie znosiłam tego. Byłam jeszcze chyba zbyt mała na Mickiewicza.



*W czasie wojny rodzice działali w konspiracji. Robili to tak skutecznie, że sami nie wiedzieli, czym się nawzajem zajmują. Na zdjęciu: ojciec Zbigniew Kaliszczak.*

Z dzieciństwa mam niewiele wesołych wspomnień. Wszystko było raczej smutne, szare. Tak jak cały PRL. Dodatkowo między rodzicami nie bardzo się układało, a rodzeństwo dokuczało mi. Dla braci byłam trochę zabawką, maskotką. Najstarszy brat skończył szkołę morską. Ale władze nie pozwoliły mu pływać. W Szczecinie wziął udział w wiecu z udziałem Stanisława Mikołajczyka, a komuniści byli pamiętliwi.

Wcześniej wyszłam za męża. Byłam zaledwie rok po maturze. Mój wybranek, Rafał, nikomu z rodziny się nie podobał. Rzeczywiście był dla mnie nieodpowiednim facetem, zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Chciałam jednak wydostać się z domu, małżeństwo wydawało się jedynym sposobem.

Miałam raptem dwadzieścia lat, kiedy urodziłam syna, Michała. Byłam już wtedy na studiach. Poszłam na Politechnikę Gdańską, na Wydział Architektury. Mój mąż pracował w „Społem”. Niestety, miał skłonność do alkoholu, który - nawiasem mówiąc - źle znosił. W efekcie moje życie małżeńskie było dosyć nieprzyjemne. A raczej koszmarne.

Skończyłam studia, zostałam architektem. Do pracy w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej poszłam w 1970 roku. Już wtedy byłam zdecydowaną przeciwniczką komunizmu. To był przygnębiający, niesprawiedliwy system. System pomiatający człowiekiem, szargający jego godność. System powszechnych niedoborów i biedy. Do tego pełen absurdów.

Weźmy taki przykład. W mieście nie było jedzenia, a na wsi papieru toaletowego. Brało się więc sześćdziesiąt rolek i jechało na wieś robić transakcje wymienne. A kolega, który pracował w stoczni, mówił, że robotnicy masowo wynosili z niej gwoździe. Na czarnym rynku były bowiem na wagę złota. W sklepach nigdzie nie można było ich dostać. Tak ludzie sobie dorabiali, każdy musiał jakoś kombinować.

Ja trzy razy w roku wyjeżdżałam w rejsy. Ale na niby. Dostawałam tylko zaświadczenie, że jestem oficerem zaopatrzeniowym na takim a takim jachcie. Z tym zaświadczeniem jechałam do Baltony, przedsiębiorstwa zaopatrywania statków. A tam w cudownym aromacie

wędlin - niedostępnych w normalnych sklepach - robiłam zakupy. Potem przywoziłam je do pracy, żeby podzielić między siebie i kolegów.

Raz wezwał mnie do siebie dyrektor Baltony.

- Pani przychodzi tu jako oficer zaopatrzeniowy - zaczął. - Proszę mi więc powiedzieć: ile liczy załoga, ile dni trwa rejs i ile ci pani marynarze mogą zjeść!?

Jakoś z tego wybrnęłam. Ale już więcej nie „popłynęłam” w żaden rejs. W Baltonie przejrżeli nasz fortel.



*Joanna wcześniej wyszła za mąż. Mimo że jej małżeństwo nie było udane, z tego związku urodził się jej ukochany syn Michał.*

Jeździłam za to na wieś po wieprzowinę. Wymieniałam się też kartkami żywnościowymi ze znajomymi.

Po masakrze w grudniu 1970 roku nastroje w społeczeństwie były fatalne. Ludzie byli przygnębieni, rozbici. O tym, co się wydarzyło, mówiliśmy w pracy przyciszonymi głosami.

Wszędzie czaili się szpicle.

Z mężem wkrótce się rozwiódłam. Nie potrafiłam już z nim dłużej żyć. Syn został ze mną.

W 1976 roku wyjechałam na trzy miesiące do Stanów Zjednoczonych. Tam w jakimś polskim dzienniku przeczytałam, że w kraju powstał Komitet Obrony Robotników. Że znowu coś się zaczęło dziać. Poczulałam, że muszę wracać do domu.

Po powrocie szukałam dojścia do opozycji. Rozpytywałam ludzi, do których miałam zaufanie. Tak trafiłam do małżeństwa Mariusza i Teresy Muskatów, znanych trójmiejskich opozycjonistów. Szybko wsiąkałam w konspirację. W moim mieszkaniu odbywały się spotkania, przepisywałam na maszynie różne „antypaństwowe” materiały. Zaangażowałam się w działalność Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

Tereska Muskat była wspaniała. Kiedy na pierwszym zebraniu Wolnych Związków Zawodowych zapytałam ją, czy nie boi się milicji, odpowiedziała bez wahania.

- Właśnie po to mieszkamy na parterze, żeby w momencie najścia bezpieki uciekać. Jedyne szkopuły w tym, że zawsze wtedy zabierają nam powielacze.

Takie podejście mi się szalenie podobało. Zaimponowała mi. To była twarda babka.

W Urzędzie Miejskim nie układało mi się, na początku 1980 roku zwolniłam się z pracy. Wtedy za radą znajomych otworzyłam pracownię ceramiczną. Stała się ona miejscem, w którym ludzie mający problem z przyjęciem do pracy znaleźli zatrudnienie. I mogli dostawać kartki żywnościowe. Zatrudniło się u mnie kilku znanych opozycjonistów.

W piwnicy wyrabialiśmy glinę, a na górze - w mieszkaniu przyjaciół - lepiliśmy z niej różne rzeczy. Wazoniki, świnki-skarbonki, słoniki. Bawiliśmy się przy tym świetnie. Śpiewaliśmy opozycyjne piosenki, gadaliśmy.

Jednocześnie w działalność opozycyjną zaangażował się mój syn Michał. Kiedy miał trzynaście lat, wstąpił do Młodej Polski. Otrzymał tam nawet pseudonim - Pistolet.

Sprawa Grudnia, tego, co wtedy zobaczyłam, nie dawała mi

spokoju. Uważałam, że moim obowiązkiem - jako świadka - jest przypominać o tej tragedii i jej ofiarach. W dziesiątą rocznicę masakry, w grudniu 1980 roku, zorganizowałam wystawę fotograficzną przedstawiającą tę tragedię. Napisałam ulotkę, która krążyła po mieście: „Ktokolwiek ma jakieś zdjęcia albo filmy z Grudnia '70, jest uprzejmie proszony o zgłoszenie się do Joanny Wojciechowicz w pokoju 43 na drugim piętrze budynku Solidarności”.

Zgłosił się między innymi rybak pochodzący z Gdyni. Miał film, który wywołał za granicą. W kraju się bał. Na zdjęciach było widać, jak ludzie niosą na rękach martwą dziewczynkę z białym szalikiem. Niósł ją między innymi jej kuzyn, który później również zginął.



*Joanna działała w administracji Solidarności. Jako kierownik Działu Rozpowszechniania Informacji miała pod swoją opieką dystrybucję prasy i Radiową Agencję Solidarność.*



Udało się w końcu zgromadzić sporo zdjęć. Ludzie przynosili fotografie, nawet już po otwarciu wystawy. Edmund Pepliński przyniósł zdjęcie Zbyszka Godlewskiego, czyli bohatera słynnej *Ballady o Janku Wiśniewskim*. Widać na nim, jak ciało nieszczęsnego osiemnastoletniego chłopaka jest niesione na drzwiach przez robotników. Komuniści zastrzelili go, gdy szedł do pracy.

Ojciec Zbyszka przyjechał na wystawę. Nigdy wcześniej nie widział tej fotografii...

Andrzej Wajda wykorzystał później to zdjęcie w filmie *Człowiek z żelaza*. Moja wystawa nosiła tytuł „Od Grudnia do Sierpnia”. Otwarcie zaplanowaliśmy na 16 grudnia 1980 roku w Dworze Artusa w Gdańsku. Teraz mieści się tam muzeum. Mimo że wystawa nie była nagłaśniana, na otwarciu pojawiły się tłumy - ponad trzysta osób. Ludzie byli poruszeni, wstrząśnięci.

Na krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego postanowiłam zrobić kopie zdjęć i negatywów z wystawy. Obawiałam się bowiem, że bezpieka może próbować przejąć te materiały i je zniszczyć. Zrobiłam więc pięć kopii i zdeponowałam je u pięciu zaufanych osób. Ludzie ci mieli przechować zdjęcia do lepszych czasów. Zachowała się tylko jedna kopia.

## **Strajk '80**

Nie było mnie w Trójmieście pierwszego i drugiego dnia strajku. To był sierpień, wakacje. Tak jak wcześniej wspominałam, rozstałam się z mężem i urlop w górach spędzałam z nowym partnerem. Nadawaliśmy na tych samych falach - godzinami rozmawialiśmy o polityce.

14 sierpnia przyjechaliśmy do Warszawy. Zadzwoiłam do mojej przyjaciółki, Jadwigi Staniszkis. Poznałyśmy się, gdy chodziła z jednym z moich starszych braci. Ale u niej było cały czas zajęte. Zajęte i zajęte. Wróciliśmy więc do Gdańska nocnym pociągiem, nic nie wiedząc o tym, co się dzieje

w stoczni.

Na dworcu nie było ani jednej taksówki, ulicami nie jeździł żaden tramwaj. Co się dzieje? Spotkaliśmy jednego pana przy dworcu autobusowym. Powiedział nam, że nic nie jeździ, bo w stoczni trwa wielki strajk. Jak to usłyszałam, aż podskoczyłam. Natychmiast popędziłam do domu.

W mieszkaniu zastałam pełno młodych chłopaków, kolegów syna. Byli gotowi do działania, powiedzieli, że jadą po chleb dla stoczniovców. Po pięciu minutach już ich nie było. Położyłam się do łóżka, ale nie byłam w stanie zasnąć. Chciałam działać.

Niestety, nie wiedziałam, jak dostać się stoczni. Następnego dnia zadzwonił telefon... Zdziwiłam się, dlaczego mój telefon działa. Wiele telefonów zostało wtedy odciętych na cały czas trwania strajku. Potem zorientowałam się, że mój bezpieczeństwa została w spokoju, żeby można mnie było podsłuchiwać.

Po drugiej stronie odezwał się Jurek Strzelecki, chłopak Jadwigi Staniszkis.

- Joanna? - powiedział. - Będziemy u ciebie za chwilę.

Bardzo się ucieszyłam, bo spodziewałam się, że przyjdzie z Jadwigą. Tymczasem Jurek przyprowadził Bernarda Guetta, francuskiego dziennikarza z „Le Monde”. Bernard chciał dostać się do stoczni.

Zadzwoniłam do Aleksandra Halla i poprosiłam o pomoc. Zgodził się bez wahania. Razem wkroczyliśmy na teren zakładu. Wpuścili nas pracownicy strajkowej służby porządkowej, którzy śmiertelnie poważnie traktowali swoje obowiązki.

Zaraz po przekroczeniu bramy poczuliśmy moc. Ci sami robotnicy, do których dziesięć lat wcześniej komuna strzelała, postanowili znowu się zbuntować. Wiedzieli doskonale, czym to się może skończyć. Ryzykowali życiem. A mimo to znowu stanęli do walki. Od razu rzuciło mi się w oczy, że wielu z nich się modliło. To byli bardzo wierzący, porządni ludzie.

Weszliśmy na salę BHP. Stał tam bardzo długi stół, przy którym siedziała niewielka grupka ludzi: Leszek Wałęsa, Alinka Pieńkowska, Alojzy Szablewski. Potem przyszli Bogdan Borsewicz i Andrzej Gwiazda.

Nagle otworzyły się drzwi i na salę wkroczyła Henia Krzywonos z dwoma elektrykami po bokach. Powiedziała, że jest tramwajarką i że chciałyby wiedzieć, co się dzieje. Czy tramwaje mają jeździć, czy nie. Bo ona zatrzymała swój tramwaj i nie wie, czy to dobrze, czy źle.

Bogdan zachował się fajnie, bo powiedział:

- To prosimy panią do naszego stołu.

Później dowiedzieliśmy się, że to nie było do końca prawdą. Po pierwsze, tramwajarze strajkowali już od dawna. A po drugie, odłączono prąd i Henia i tak nie mogłaby dalej pojechać. Mieliśmy z nią potem w stoczni sporo bardzo nieprzyjemnych, żenujących problemów.

Wysłałam ze strajku późnym wieczorem z myślą, żeby kolejnego dnia przynieść robotnikom coś do picia i jedzenia. Strajk trwał już trzeci dzień, ludzie byli wykończeni. Następnego dnia o świcie zmobilizowałam koleżanki do robienia kanapek. Zaniiosłam je do stoczni, a także grzałkę, żeby na miejscu robić herbatę.

Pod bramą stoczni kłębił się dziki tłum. Trudno było się tam dostać nawet z przepustką. Po drodze zobaczyłam samochód z napisem na boku: „Służba spirytualna”. To był ksiądz Jankowski.

Do stoczni przychodziłam codziennie i codziennie zostawałam do nocy. Tak jak wspominałam, nie wyłączono mi telefonu. W efekcie mój telefon został uznany za dyżurną linię dla strajkujących zakładów. Nieustannie ktoś przy nim czuwał. Moje mieszkanie stało się szybko mieszkaniem otwartym, różni ludzie mieli do niego klucze.

Pewnego dnia odebrałam telefon i usłyszałam po drugiej stronie zrezygnowany męski głos:

- Proszę pani, mamy cały samochód prowiantu dla robotników. Próbuje się dostać na stocznnię, ale nie ma o tym mowy. Milicja cały czas zatrzymuje nasz samochód i nas odsyła.

- To przepakujcie wszystko do plecaków i spróbujcie na rowerach - odpowiedziałam.

Tak też zrobili. To była jedna wielka improwizacja, ale dzięki

zapałowi, odwadze i pomysłowości tysięcy ludzi dobrej woli wszystko świetnie działało. Do stoczni napływały produkty żywnościowe, poprosiłam Andrzeja Gwiazdę, żeby ogłosił, że kobiety ze stołówki proszone są o powrót do pracy. Wróciły i zakładowa stołówka zaczęła normalnie obsługiwać strajkujących.

Udało się rozwiązać problem jedzenia, ale został problem z ubraniami! Oni wyglądali jak siedem nieszczęść. Wałęsa i Gwiazda mieli buty całe popękane od potu. W najgorszym stanie były jednak koszule - wręcz sztywne od brudu. Postanowiłam im kupić nowe.

Podeszłam więc do obu - Leszka i Andrzeja - i zapytałam o numer kołnierzyka. Wałęsa pamiętał, natomiast Andrzej nie miał pojęcia. Urwałam więc długą trawę i za jej pomocą zmierzyłam mu kark. Następnie zwróciłam się do Ani Walentynowicz - była skarbniczką - o pieniądze.

Ania się zbulwersowała.

- Też coś! A dlaczego Danusia mężowi koszuli nie przyniesie?

- Bo ma na głowie siedmioro dzieci - odpowiedziałam. - Gdzie jej tutaj jechać na tę stocznnię i przepychać się przez te tłumy z koszulami. Nie żałuj tak pieniędzy.

Ania uznała moje argumenty. Pieniądze na koszule się znalazły. Leszek tylko rzucił mi na odchodnym:

- Tylko wiesz, nic specjalnego. Takie zwykłe.

Z Pawłem Mikłaszem jeździliśmy do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Mieliśmy tamtejszym robotnikom zawieźć ulotki. Niedawno dowiedziałam się, że Paweł był współpracownikiem SB. Bardzo smutna historia...

To nie jedyny podobny przypadek. Pewnego dnia znany działacz opozycji, Janusz Molka, poprosił mnie, żebym zrobiła makietę opozycyjnej gazety dla chłopaków z politechniki. A potem dziwnym trafem zapukała do mnie do domu bezpieka i mi ją zabrała. Dostałam za tę sprawę pięćdziesiąt tysięcy złotych kolegium. Powiedziałam, że za nic w świecie nie zapłacę tych pieniędzy, że wolę iść siedzieć. Ostatecznie wykupiła mnie Komisja Charytatywna Solidarności. A cała sprawa okazała się prowokacją. Molka był na liście płac SB.

Wróćmy jednak do naszych wypraw do Gdyni. Załadowaliśmy z Pawłem samochód po dach bibułą i kluczyliśmy małymi uliczkami, aby zmylić milicję. Ludzie dosłownie rozchwytywali niezależną prasę. W poniedziałek pisaliśmy: „Jest już nas dziesięć tysięcy”. A we wtorek: „Jest już nas trzysta tysięcy”. Chodziło o zakłady pracy. Tyle zakładów strajkowało. To było coś niesamowitego - cała Polska stanęła. Cały naród powstał przeciwko komunie.

## **Brudnej mnie nie wezmą**

Pewnego dnia - już nie pamiętam, gdzie wtedy jechaliśmy - wsiadła nam na ogon esbecja. Zatrzymali nasz samochód na moście i wszystkich wylegitymowali. Mnie, mojego syna Michała i jeszcze dwóch działaczy Solidarności. Potem kazali nam wsiąść do samochodu i jechać za nimi. Paweł, kolega z Solidarności, kategorycznie odmówił. Powiedział, że nigdzie nie pojedzie, że muszą przywieźć dźwig, jeżeli chcą nas stąd ruszyć.

Niestety, nie przejęli się tym i wezwali służbę drogową. Trafiliśmy na komendę. Każdy osobno był brany na przesłuchanie. Mnie pytali o to, co robię w stoczni. Odpowiedziałam, że kanapki. Nawiasem mówiąc, była to święta prawda. Nie było to jednak jakieś bardzo surowe przesłuchanie, czasami przybierało nawet zabawny obrót. Otóż esbek w pewnym momencie zapytał, czy naprawdę uważam, że taki sposób „walki klasowej” jest właściwy. Odparłam, że to nie żadna „walka klasowa”, tylko walka o godny byt.

Po dwóch godzinach mnie wypuścili. Do domu musiałam iść na piechotę. Potem wypuścili chłopaków.

31 sierpnia Solidarność podpisała z władzami PRL porozumienia sierpniowe. Jadwiga Staniszkis, która przyjechała do Gdańska, oceniła to bardzo negatywnie. Jak można podpisywać dokument, w którym mowa jest o „kierowniczej roli partii”! Nawet komuniści nie spodziewali się, że strajkujący to podpiszą. Ale podpisali. No i rzeczywiście

źle się to wszystko skończyło...

Po podpisaniu porozumień sierpniowych Solidarność otrzymała Hotel Morski w Gdyni. Tam się rozlokowaliśmy. Pod moją opieką znalazła się dystrybucja prasy i Radiowa Agencja Solidarność. To radio polegało na tym, że codziennie przez tubę, z balkonu, nadawaliśmy wiadomości. Na ulicy stali ludzie i słuchali. A potem podawali te informacje dalej.

Pod moją opieką była również tak zwana Parszywa Dwunastka, czyli nasza grupa szybkiego reagowania. Tworzyli ją młodzi chłopcy, którzy w specjalnych kombinezonach malarskich jeździli po mieście i malowali na ścianach duże antykomunistyczne napisy: „Telewizja kłamie”, „Życzymy sądowi niezawisłości” i tym podobne. Kombinezony były potrzebne do tego, żeby się nie ubrudzić farbą. Ślady farby na ubraniu mogłyby poważnie zaszkodzić w przypadku aresztowania.



*Chłopcy z Parszywej Dwunastki malowali na murach duże, antykomunistyczne napisy. W tej grupie działał „Pistolet” (drugi od prawej).*

Pewnego dnia zadzwonił do mnie pewien działacz Solidarności.

- Pani Joanno - mówi - złapaliśmy pijanego faceta, który zerwał zdjęcie papieża. Co mamy z nim zrobić?

- Wylegitymujcie go, spiszcie dane i puście do domu.

Tak zrobili. Na parterze naszej siedziby znajdowała się kwaciarnia. Następnego dnia rano powiesiliśmy zdjęcie papieża z napisem: „To zdjęcie papieża zerwane w nocy z ... przez pana ..., zamieszkałego...”.

Ujawniliśmy wszystkie jego dane! Postanowiliśmy go skompromitować. Dzień później ten mężczyzna przykleił obok karteczkę: „Przepraszam bardzo wszystkich za swoją głupotę. Zerwałem zdjęcie papieża dlatego, że chciałem je sobie wziąć”.

Jesienią 1981 roku pojechałam do Paryża. Współpracowałam z Francuzami z organizacji Solidarité avec Solidarność. Zaprosili oni trzech piosenkarzy z Polski na konwencję partii socjaldemokratycznej. Zależało im na tym, żeby to byli fajni ludzie, którzy będą reprezentować ducha Solidarności.

Wybrałam grupę Jacka Kaczmarskiego, czyli słynne trio: Kaczmarski - Gintrowski - Łapiński. Warunek był taki, że muszę z nimi jechać. Spotkaliśmy się tam z kapitalnym przyjęciem. Okazało się, że cały świat z zapartym tchem śledzi to, co się u nas dzieje.

Do kraju wróciłam dwa tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego. Miałam zostać dłużej, ale skróciłam pobyt. Czulałam w kościach, że coś się święci. Do Polski przywiozłam pieniądze dla Solidarności. I wspaniałe zachodnie kosmetyki, które dostałam od pań z francuskiej socjaldemokracji. Między innymi czerwoną szminkę. Obiekt marzeń każdej kobiety z PRL-u. Wkrótce miałam jej użyć w sposób dość niestandardowy...

Na kilka dni przed 13 grudnia dostałam informację, że wyższym urzędnikom w Trójmieście, zaufanym partii, wydano broń i ostrą amunicję. Podobnych sygnałów było więcej.

W przeddzień wprowadzenia stanu wojennego zadzwonił do mnie kolega, który właśnie wrócił z Warszawy z książkami z drugiego obiegu.

- Słuchaj, Joanna, dziwne rzeczy dzieją się na szosie - powiedział. - W kierunku Gdańska jadą długie kolumny czołgów.

Gdy powiedziałam o tym na zebraniu Solidarności - wyśmiano mnie. Powiedzieli, że to pewnie wojsko koce wiezie. Leszek Wałęsa zapewniał, że nie ma czego się bać. Machnęłam na nich ręką i pojechałam do domu.

Spodziewałam się aresztowania i pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, była dość osobliwa. Otóż postanowiłam, że brudnej mnie nie wezmą. Porządnie się wykapałam, umyłam głowę i położyłam się do łóżka. Zaledwie zdążyłam przeczytać kilka stron kryminału, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzałam na zegarek: wpół do pierwszej w nocy.

Było ich ośmiu. Pokazali mi nakaz internowania, na którym było napisane, że należy mnie rewencyjnie zatrzymać, gdyż mogę... anarchizować społeczeństwo. Napisałam na nakazie, że przyjąłam pismo do wiadomości, ale nie zgadzam się z decyzją o internowaniu.

Mogłam wziąć ze sobą, co chciałam, ale byłam na tyle głupia, że wzięłam tylko dwie czekolady i paczkę papierosów. Dwa tygodnie wcześniej byłam we Francji i przywiozłam niesamowitą ilość jedzenia. Przede wszystkim pyszne salami. Do dziś żałuję, że to wszystko zostawiłam.

Na komendę przywieźli mnie jako pierwszą. Krótco jednak byłam sama. Zaraz dołączyła do mnie Alinka Pieńkowska. A potem kolejne dziewczyny. Siedziałyśmy dwa dni, a bezpieka i milicja zwoziły z miasta coraz to nowe kobiety.

Na ścianie celi wydrapałyśmy razem z Alinką następujący napis: „Kobiety, wywieźli nas do innego, aby zrobić dla was miejsce. Trzymajcie się!! Do tej pory w tym zakł. jest ok. 150 Solidarności cała krajowa komisja, KZ Gdańsk”. Pod spodem nasze podpisy.

Napis został uwieczniony na fotografii przez jakiegoś Kanadyjczyka. Zdjęcie to, w dużym powiększeniu, wisi teraz w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

Przeniesiono nas do aresztu na Kurkowej. Po drodze Alinka nagle poczuła straszną potrzebę... Powiedziałam jej, żeby



poprosiła konwojentów o postój, ale ona za nic w świecie nie chciała się na to zgodzić. Bała się, że jak się zatrzymamy, zomowcy zaczną do nas strzelać. Byli groźni, uzbrojeni po zęby. Nie wiedziałyśmy, czego się po nich spodziewać.

Wreszcie długo nie zagrzałyśmy miejsca - trafiliśmy do bydgoskiego Fordonu, najcięższego więzienia dla kobiet w całym PRL-u. Tam... powiesili nam w celi zasłonki w kwiatki. Strasznie się przeciwko temu buntowałyśmy, bo przecież to było więzienie, a nie sanatorium. Po co te pozory?

KOBIE TY

WYWIEZLI NAS DO INNEGO, ABY  
ZROBIĆ DLA WAS MIEJSCE  
TRZYMAJCIE SIĘ!!  
DO TEJ PORY W TYM ZAKŁ. JEST OK. 150 „SOLIDARNOŚCI”  
CAŁA KRAJOWA KOMISJA, KZ GDAŃSKA,  
JOHANNA DO ZOBACZENIA  
PIENKOWSKA

*Na ścianie celi Joanna Wojciechowicz i Alina Pieńkowska wydrapały napis. Jego powiększone zdjęcie znajduje się obecnie w Europejskim Centrum Solidarności.*

Przez cały ten czas bałam się o syna. Co się z nim dzieje? Czy jest bezpieczny? Domyślałam się, że jest w stoczni, a przecież przez więzienną „szczekaczkę” poinformowano nas, że 16 grudnia strajk został spacyfikowany. Od razu stanęły mi przed oczami przerażające sceny z Grudnia '70. Co oni z nim zrobili? Aresztowali? Pobili? Zabili? To był piekielny stres.

Denerwowałam się tym bardziej, że do wszystkich przyjeżdżały na widzenia rodziny, a do mnie nie. Jak przywieźli

Anię Walentynowicz do Fordonu, przez podwórko krzyczała do mnie:

- Joanna, nic się nie martw! Widziałam „Pistoleta”! Jest na stoczni!

Ładne mi pocieszenie, zaczęłam się martwić jeszcze bardziej!

W końcu Michał przyjechał do mnie na widzenie. Cóż za ulga! Był bezpieczny, na wolności. Niestety, przyjechał ze swoim ojcem, moim byłym mężem. On na mnie działał wręcz fatalnie. Byłam blada, opuchnięta, wyglądałam koszmarnie. Mój były to zauważył, widziałam, jak na mnie patrzył...

W efekcie widzenie nie przebiegło tak, jak to sobie wyobrażałam. Zachowałam się jak ostatnia idiotka - prawdopodobnie dlatego, że nie chciałam się rozkleić. Otóż przywieźli mi w paczce jedzenie, a ja od razu zapytałam, gdzie jest salami. Byliśmy wszyscy bardzo spięci, wyszło niezręcznie.

Następnego dnia wywieziono nas do Gołdapi. Ta podróż to był koszmar! W mojej „budzie” - czyli milicyjnej ciężarówce więziennej - jechała pani Grażyna Wende. 13 grudnia miała lecieć do Szwecji zbierać pieniądze na Solidarność. Aresztowano ją z bagażami i teraz wszystkie te kłopoty wiozła ze sobą. Stłoczono nas, było nam okropnie niewygodnie.

Jechałyśmy dwadzieścia dwie godziny. Strażnicy straszili, że wywożą nas do Związku Sowieckiego na „białe niedźwiedzie”. Pani Wende zaczęła wtedy rozdawać innym kobietom ciepłe ciuchy. Część z nich została bowiem aresztowana w środku nocy i zabrana z domów w piżamach.

Gdy przybyłyśmy na miejsce - ulżyło nam. Gołdap to było jednak lepsze miejsce niż Syberia. Tym bardziej że ośrodek internowania był bardzo przyzwoity. Po wyjściu z „budy” stanęłyśmy na malowniczej polance. Świerki, śnieg, piękna przyroda.

Przed nami stał budynek jak marzenie. Dwupiętrowy, z balkonami. Czysty. Jasny. Alinka, która była świetną obserwatorką, wskazała na naszych strażników i rzuciła do mnie:

- Zobacz! Oni mają brązowe, a nie czarne buty. To nie ZOMO, to wojsko. Nie jest tak źle.

Byli jednak i esbecy. Pewnego dnia jeden z funkcjonariuszy

wezwał mnie do pokoju przesłuchań. Zaczął mnie szantażować. Że albo pójdę na współpracę i zostanę szpiclem, albo... mój syn zostanie oskarżony o terroryzm i wtrącony do więzienia.

- A terrorystów - tłumaczył mi - traktuje się u nas jak największych zbrodniarzy. Będzie siedział w celi z recydywą. Najgorszymi, zwyrodniałymi kryminalistami. Będą go tam bić, gwałcić, upokarzać. Taki siedemnastoletni chłopiec może tego nie przeżyć...

Ten łobuz długo się nade mną pastwił, znęcał. To był zwyrodnialec. W 2003 roku złożyłam do IPN-u doniesienie o tym zdarzeniu. Łatwo doszli, kim był ten człowiek. Nazywał się Waldemar Misiewicz. Wytoczono mu sprawę, uznano go winnym, ale oczywiście włos mu z głowy nie spadł. Nawet mina mu nie zrzęda, kiedy mnie zobaczył na korytarzu w sądzie...

Protest matek

W końcu kwietnia trafiłam do szpitala w Giżycku. Już od dłuższego czasu się o to starałam, wreszcie mi się udało. Panował tam łagodniejszy reżim. Niestety, w szpitalu przeżyłam straszne chwile. Dowiedziałam się bowiem, że mój syn rzeczywiście został aresztowany. SB spełniło swoją strasliwą groźbę...

Zgarnęli ich z prywatnego mieszkania. W sumie dziewięciu chłopaków. Przygotowywali jakąś antykomunistyczną akcję. Michał, mimo że był najmłodszy, jeszcze niepełnoletni, kierował Ruchem Oporu Młodych.

Zaczęło się dla mnie piekło. Boże, co ja wtedy przeżyłam! Mój niepełnoletni syn w więzieniu! Wszyscy w Giżycku mi bardzo współczuli, łącznie z lekarzami. Siedziałam trzy tygodnie w szpitalu, straszliwie się męcząc. Nie mogłam zmrużyć oka.

Na szczęście przyjeżdżali do mnie w odwiedzin przyjaciele: Jadwiga Staniszkis, moja siostra.

Wróciłam do Gołdapi w końcu maja 1982 roku. Alinka powitała mnie z okrzykiem na ustach:

- Słuchaj, że też ciebie tu nie było! ZOMO rzuciło się na nas 3 maja. Co tu się działo!



*Joanna (trzecia od lewej) w gdańskim Biurze Zarządu Regionu Solidarności. Swoją działalność przyplaciła aresztowaniem. Kiedy odmówiła współpracy z władzą, w więzieniu zamknięto także jej 17-letniego syna.*

10 czerwca wieczorem w reżimowej telewizji wyemitowano program Kulisy Hotelu Morskiego. Chodziło o budynek, w którym mieściła się siedziba Solidarności. To była dzika, ordynarna propaganda. Kłamstwo od pierwszej do ostatniej minuty.

Jedna wstrętna baba powiedziała na wizji:

- Chwaliła mi się kiedyś Joanna Wojciechowicz, że Kuroń pożyczka od niej złotówki. Bo sam ma w kieszeni tylko dolary.

Chodziło oczywiście o skompromitowanie Kuronia jako agenta amerykańskiego, który prowadzi swoją działalność dla pieniędzy. Afera trafiła jednak we mnie rykoszetem.

Następnego dnia wezwał mnie naczelnik aresztu i powiedział, że zostaję przeniesiona do Darłówka. Tam również był ośrodek internowania. Na miejscu, gdy przyjechałam, na moje powitanie wyległ cały męski barak. Nie mieli jednak dobrych intencji. Stojący na przedzie Stefan Niesiołowski krzyknął:

- To ta, co zdradziła Kuronia!

To była całkowita nieprawda. W efekcie doczepiono mi jednak łatkę zdrajczynie. Niby przyjaciele o wszystkim wiedzieli, ale łatka została na długo.

Jak było w rzeczywistości? Otóż ta kobieta z telewizji pracowała w solidarnościowym zespole do spraw interwencji. Razem siedziałyśmy w pokoju, kiedy do biura wszedł Jacek Kuroń. I rzucił żartem:

- Joasiczku, pożycz mi jakieś pieniądze, bo mam same dolary.

Wygłupiał się. To był zwykły żart. To dla wszystkich było oczywiste. Ale ta kobieta - która potem przeszła na stronę komuny i wystąpiła w dzienniku - miała pretekst, żeby go oszkalować. A przy okazji mnie.

Pewnego dnia do Darłówka przyjechał Misiewicz, ten straszliwy esbek, który mnie szantażował. Zobaczyłam go, jak szedł przez podwórko w eskorcie innych funkcjonariuszy. Tak się zdenerwowałam, że aż ręce mi dygotały. Powiedziałam koleżankom, że to na pewno do mnie. Nie pomyliłam się. Wezwano mnie do kierownictwa, a tam już czekał Misiewicz.

- Pani Joanno - powiedział z fałszywym uśmiechem - zwolnienie pani przywiozłem.

Powiedziałam, że skoro zostałam zwolniona, to otrzymam urzędową decyzję. I z nim rozmawiać nie będę. Odwróciłam się i biegiem - mijając zdziwionych zomowców - wróciłam do baraku. I postanowiłam, że się stamtąd nie ruszę. O dziewiątej wieczorem przyszedł do mnie inny esbek.

- Misiewicz pojechał, może pani wyjść.

Więc wyszłam. Z baraku i z Darłówka. O trzeciej rano byłam u mojej siostry w Gdańsku.

Rozpoczęłam szalone starania o wyciągnięcie syna z więzienia. Najpierw musiałam dowiedzieć się, za co siedzi. Myślałam, że za druk bibuły. A tymczasem okazało się, że chłopcy rzeczywiście szykowali jakiś zamach bombowy. To były jeszcze nastolatki, gorące głowy. Władze potraktowały to jednak bardzo poważnie.

Przeprowadziłam prywatne śledztwo, doszłam od nitki do kłębka. Okazało się, że w związku z tą sprawą w więzieniu przebywa dwudziestu trzech chłopaków. Ustaliłam ich personalia, zaczęłam chodzić po rodzicach. Mobilizować ich do wspólnej akcji. Niestety, wsparło mnie zaledwie sześcioro rodziców.

W końcu w grupie czterech matek zaczęłyśmy jeździć i prosić o interwencję. Do kogo? Do kogo tylko się dało. Do władz wojskowych, do Czerwonego Krzyża. Pojechałyśmy nawet do kardynała Józefa Glempa. Najpierw nie chciano mnie do niego wpuścić, ale jak zagroziłam, że zaraz zemdleję w poczekalni, zmienili zdanie. Kiedy do nas wyszedł, zagroziłyśmy mu głodówką matek na schodach pałacu kardynalskiego przy Miodowej, jeśli nic nie zrobi dla naszych chłopców, żeby ich uwolnić.

Po długich i ciężkich bojach osiągnęłyśmy swój cel - 19 września 1982 roku nasze dzieci wyszły na wolność.

Niestety, Misiewicz dotrzymał słowa. Mój syn i jego koledzy siedzieli z najgorszymi kryminalistami. Przeszli przez straszne rzeczy. Kilku kolegów Michała odebrało sobie życie... To dla mojego syna była wielka trauma. Po tym, co przeszedł, nie był w stanie znaleźć sobie miejsca.

Nasze życie powoli wracało do normy, jakoś się układało. Znowu zamieszkaliśmy razem - ja i mój syn. Odnalazł się nawet nasz pies Kliper, z którym mieszkaliśmy. Kiedy oboje siedzieliśmy w więzieniu, przygarnął go fajny młody chłopak. Ten chłopak grał na gitarze, miał swój zespół. Niestety, dwa lata później został zabity przez ZOMO. Po jego śmierci zespół przyjął nazwę „Bez Jacka”.

Po powrocie z więzienia szybko znowu wsiąkałam w podziemie. Ponownie miałam pełne ręce roboty. Szykowałam informacje

dla zagranicznych korespondentów akredytowanych w Warszawie. Założyliśmy Gdańską Agencję Informacyjną Solidarności.

Pracowali u mnie między innymi bracia Jarek i Jacek Kurscy oraz Piotr Semka. Siedziba Gdańskiej Agencji Informacyjnej była dość skromna... agencja mieściła się u mnie w mieszkaniu. Mieliśmy kilka telefonów, które cały czas dzwoniły. To już nie był dom, lecz biuro. W dodatku pracujące dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzień i noc.

Wiele osób u nas nocowało. Do późnych godzin nocnych dyskutowaliśmy i omawialiśmy wszystkie solidarnościowe zebrania. Oczywiście przy nieodłącznej herbacie. Czasami nie było nic do jedzenia, ale herbata musiała być zawsze.

Moja kuchnia była słynna na całe Trójmiasto. Mówiono o niej nawet żartem „kuchnia Solidarności”. Kto się u mnie nie stołował! Mam gdzieś nawet wycięty reportaż jakiegoś holenderskiego dziennikarza, który opisał moją kuchnię. A mnie nazwał „matką Solidarności”.

Michał przeciwko temu wszystkiemu się buntował. Biedny chłopak, nie miał zupełnie prywatności. W 1987 roku postanowił wyjechać. Miał już dość. Ciągłe mieliśmy w domu rewizje. Zatrzymywali go na ulicy. Udało mu się dostać paszport i wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Odwiedziłam go tam dopiero w 1989 roku. W Polsce trwały już rozmowy Okrągłego Stołu, komuna się waliła. Dopiero wtedy uznałam, że mogę odpuścić. Wziąć trochę wolnego. To „trochę” się nieco przedłużyło. Do Polski wróciłam dopiero po ćwierć wieku.

Muszę przyznać, że byłam trochę rozczarowana tym, w jaki sposób skończyła się nasza walka. Nie tego oczekiwałam po wyborach 1989 roku, które były przecież kompromisem z władzą komunistyczną. Czułam się trochę tak, jak pod koniec strajku w 1980 roku. Mieliśmy szansę na coś wielkiego, na wielką zmianę, a skończyło się jakoś tak niewyraźnie. Byłam rozgoryczona.



*W 1989 r. Joanna wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Tam próbowała na nowo ułożyć swoje życie. Ostatecznie postanowiła wrócić do ojczyzny. Na zdjęciu: Joanna trzymająca konstytucję pod pomnikiem papieża Jana Pawła II i prezydenta Ronalda Reagana w Gdańsku.*



Przez cztery lata mieszkałam w Seattle. Potem przeprowadziłam się do Mukilteo w stanie Washington. Wyszłam tam za męża Guya Kramera. Amerykanina polskiego pochodzenia - Polką była jego babcia. Niestety, znowu nie trafiłam zbyt dobrze. Nie układało nam się, po czterech latach się rozwiedliśmy.

Potem pracowałam na ranchu. Opiekowałam się jego właścicielem, starszym panem o nazwisku Piotr Zenczak. To też był Polak, który w 1947 roku uciekł do Ameryki. Był chemikiem, miał na koncie dużo ciekawych wynalazków.

Rano przynosiłam mu śniadanie do łóżka i robiłam mu prasówkę. Potem szedł spać i budził się na wiadomości o piątej. Raz w tygodniu jeździliśmy do pięknego domu nad morzem. Dziadek patrzył na fale, a mnie wysyłał na dwór, żebym szukała agatów. Po jego śmierci miałam pieczę nad ranchem. Założyłam tam winnicę, ogród warzywny. Karmiłam ryby w stawach...

Do Polski wróciłam w 2014 roku. Znowu mieszkam w Gdańsku. Sprawuję teraz funkcję babci, gdyż mam troje wnuków. Kamilka jest w szkole plastycznej, jest bardzo dobrą malarką. Ma to po moim ojcu. Franek studiuje filozofię, a Józia jest w piątej klasie szkoły podstawowej.

Aha, nie wyjaśniłam, dlaczego wspomniałam wcześniej o tej czerwonej szmince, którą przywiozłam z Paryża na krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego. Otóż, jak bezpieka w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku zabrała mnie z domu, miałam tę szminkę przy sobie.

W areszcie wzięłam biały ręcznik i napisałam na nim tą czerwoną szminką słowo „Solidarność”. Dużymi literami. Następnie razem z koleżankami wywiesiliśmy ten ręcznik na zewnątrz przez kraty. Tak aby ludzie mogli zobaczyć, że my - kobiety z Solidarności - nie straciłyśmy ducha. Mimo przemocy i represji władzy nie zrezygnowaliśmy z naszej walki. Nie poddałyśmy się.

*Joanna Wojciechowicz*

**BEATA**  
**MATURZYSTKA W WIĘZIENIU**



**P**rzyszli po mnie parę minut po szóstej. Rozległ się dzwonek do drzwi. Rodzice, jeszcze zaspani, otworzyli. Do środka wparowała trójka esbeków. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, porucznik Jadwiga Kmicińska. Powiedziała, że jestem podejrzana o nielegalną działalność. I że przeprowadzą rewizję, chociaż nie mieli nakazu.

Rodzice byli zdenerwowani. Za dwa tygodnie miałam przecież zdawać maturę. W dniu aresztowania - 24 kwietnia 1986 roku - miałam osiemnaście lat.

Wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu, żeby ukryć bibułę, jak nazywaliśmy podziemną, nielegalną prasę. Miałam przygotowany na taką okazję schowek pod dnem szafki. Niestety, nie przydał się.

Przydały się natomiast inne rady. Radek, kolega ze starszej klasy - nawiasem mówiąc, mój przyszły mąż - pożyczył mi *Małego konspiratora*. To był taki solidarnościowy „poradnik bhp”: jak knuć przeciwko władzy i jak zachować się na wypadek wpadki.

Autorzy *Małego konspiratora* radzili, żeby na komendzie odmawiać składania zeznań, do niczego się nie przyznawać. Najlepiej „udawać głupiego” i mówić, że bibuła nie należy do osoby zatrzymanej. Że została znaleziona przypadkiem i właśnie zamierzało się zanieść ją na milicję.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę, kiedy usłyszałam głos wchodzących do przedpokoju esbeków. Czym prędzej wyskoczyłam z łóżka i w try miga znalazłam się przy drzwiach. Byłam rozczochrana i w piżamie.

Rodzice, chcąc mieć świadków rewizji, poszli po sąsiadów. Nikt jednak nie zgodził się przyjść. Ludzie się bali, nie chcieli się mieszać do takich spraw. Esbecy zaczęli przeszukiwać mieszkanie. Grzebali w każdym pomieszczeniu, w szafach, na półkach, zajrzeli nawet na balkon. Nie zauważyli tam skrytki z ulotkami. Skupiali się na moim pokoju.

Kręcili się po mieszkaniu, co chwila potykając się o psa. Mówi się, że psy wyczuwają czarne charaktery. Figa tymczasem radośnie merdała do nich ogonkiem i zapraszała do zabawy, a jednocześnie, piszcząc, domagała się spaceru. W końcu pozwolili tacie wyjść z nią na dwór.

Nie spuszczałam ich z oczu, oczywiście będąc cały czas w piżamie. Po ponad godzinie przeszukiwania domu znaleźli parę broszurek na biurku, kilka pojedynczych egzemplarzy pism i ksero książki o zbrodni katyńskiej.

Formalnie rzecz biorąc, według ówczesnego prawa posiadanie pojedynczych egzemplarzy bibuły nie powinno być traktowane jako dowód na uczestnictwo w kolportażu. Nie musiało prowadzić do oskarżenia. Wyglądało więc na to, że nie będzie tak źle. Była nadzieja, że na tym się skończy.

Esbeków coś jednak tknęło i w ostatniej chwili zajrzeli jeszcze do mojej szkolnej torby. Nogi się pode mną ugięły, choć starałam się do końca zachować kamienną twarz. Porucznik Kmicieńska sięgnęła tam i znalazła... podzielone na równe pliki dla kilku klas egzemplarze bibuły, które miałam rozkolportować w mojej szkole, gdańskiej „Topolówce”.

To był koniec. Wpadłam. Nie było sensu próbować żadnych kombinacji. Po prostu odmówiłam wszelkich odpowiedzi. Powiedziałem, że mam przygotować się do wyjścia.

Wtedy do akcji wkroczyła mama. Powiedziała, że bez śniadania mnie nie puści. Szybko usmażyła jajecznicę, która z trudem przeszła mi przez gardło. Do łazienki poszłam już w towarzystwie Kmicieńskiej. Było to dla mnie pierwsze takie doświadczenie. Wtedy było to szokujące, potem musiałam przywyknąć do braku intymności.

Ubecy ironicznie podziwiali mój spokój. Nie wiem, jaką miałam minę, ale mówili, że muszę mieć mocne nerwy. Rzeczywiście starałam się trzymać fason.

W progu, kiedy ubecy byli już przy windzie, powiedziałam mamie, żeby zwróciła się do mecenasa Jacka Taylora, który bronił więźniów politycznych (później moim adwokatem została też mecenas Roma Orlikowska-Wrońska).

Przypomniałam im jeszcze, że oni również powinni odmawiać

zeznań. Rzeczywiście, rodzice byli później wzywani na przesłuchania.

Do więzienia wzięłam ze sobą Biblię i autobiografię Gandhiego. Niestety, od razu zabrali mi je do depozytu. Na szczęście pozwolili rodzicom przekazać mi do celi podręczniki. Mogłam więc w więzieniu powtarzać sobie materiał, początkowo miałam bowiem nadzieję, że wypuszczą mnie na maturę i egzaminy na studia.

## **Rodem z Wołynia**

Przyszłam na świat w marcu 1968 roku. Często żartuję sobie, że pewnie to ta data urodzin zdecydowała o moim dalszym życiu. Antykomunistyczne nastawienie wynikało w dużej mierze z historii mojej rodziny.

Tata urodził się na Wołyniu, pod wschodnią granicą II Rzeczypospolitej. Jego ojciec, a mój dziadek, Franciszek Gorczyński, po udziale w wojnie 1920 roku i powrocie z niewoli został polskim policjantem. Ożenił się z Ukrainką. Żyli w spokoju i zgodzie aż do wybuchu wojny 17 września 1939 roku żołnierz sowiecki zastrzelił dziadka na posterunku. A niecały rok później babcia Anna z dwoma synami została deportowana do Kazachstanu. Pracowali tam przy budowie kolei, głodowali.

Babcia była prostą kobietą - umiała tylko pisać i czytać. Była jednak bardzo dzielna. Mimo ciężkiej choroby udało jej się ocalić synów. Po wojnie wrócili na Wołyń, ale tam nie czuli się już bezpiecznie - w terenie działała UPA. A tata i jego młodszy brat mogli w każdej chwili zostać powołani do Armii Czerwonej. Babcia zdecydowała się więc na tak zwaną repatriację.

Wyjechali do nowej, komunistycznej Polski. Początkowo zamieszkali w Białymstoku, ale tata od zawsze marzył o morzu. Poszedł do liceum w Gdańsku. Potem studiował na Politechnice Gdańskiej i pozostał w Trójmieście.

Z kolei dziadek ze strony mamy, Tadeusz Lasocki - siwy, wysoki, starszy pan z patriarchalnym wąsem — pochodził z

Lubelszczyzny. Uczestniczył w strajkach szkolnych, był legionistą, bił się z bolszewikami. Babcia Maria zawsze używała tego określenia: bolszewicy. Brał udział w kampanii 1939 roku. Potem działał w Armii Krajowej. W wyniku kontuzji wojennych chodził o kulach. Nawet po wojnie nie opowiadał jednak swoim dzieciom o tym, przez, co przeszedł. Babcia prowadziła tradycyjny, katolicki dom. Rodzina osiedliła się w Sopocie w 1946 roku.



*Tadeusz Lasocki był legionistą, walczył z bolszewikami, a później w AK, ale o swojej przeszłości mówił niewiele. Na zdjęciu: dziadek Tadeusz Lasocki z wnuczkami Krystyną, Barbarą i najmłodszą Beatą Gorczyńskimi.*

Można więc chyba powiedzieć, że pochodzę z patriotycznej rodziny. Choć nikt tego słowa w domu nie używał. „Rozmów umoralniających” rodzice ze mną nie przeprowadzali. Pewne rzeczy były dla nas oczywiste i naturalne. Mama starała się zaszczyć w nas zasady wyniesione ze swojego domu.

To, że moi dziadkowie z Wołynia tworzyli mieszane

małżeństwo, uodporniło mnie z kolei na wszelkie nacjonalizmy. A opowieści taty i babci o wywózce na Wschód ukształtowały mój pogląd na temat naszego wschodniego „sojusznika”. Oczywiście inny niż wtedy oficjalnie obowiązujący.

Prawdziwe życie w kraju komunistycznym, życie w kolejkach do sklepów, wyglądało zupełnie odmiennie od propagandowego obrazu serwowanego przez władze. Nawet dzieci w rozmowach między sobą wyrażały się krytycznie o panujących porządkach i o Związku Sowieckim.

Niezwykłym i radosnym wydarzeniem był dla nas wybór papieża Polaka i jego pielgrzymka do kraju.

Kiedy w 1980 roku wybuchł w Gdańsku strajk, chodziłam z mamą pod bramę stoczni. Było tam zawsze mnóstwo ludzi, nie ustawał gwar rozmów. Przez głośnik na bramie można było usłyszeć aktualne informacje, podawane przez strajkowego „konferansjera”. Ktoś rozrzucał ulotki drukowane przez strajkujących, chwytano je zachłannie jeszcze w locie. Było to dla mnie coś zupełnie nowego i fascynującego. Robiło na mnie wielkie wrażenie.

Miałam wtedy dwanaście lat i oczywiście nie pamiętałam masakry robotników z grudnia 1970 roku. Kiedy poznałam tę historię, upamiętnioną przez strajkujących drewnianym krzyżem, zrozumiałam, jak wielką odwagą wykazali się ludzie, decydując się na strajk. Na opór. Jak wiele ryzykowali, walcząc o swą godność.

Siedziba Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i Komisji Krajowej Solidarności mieściła się w centrum Wrzeszcza, niedaleko mojego domu przy Grunwaldzkiej. Biegałam tam codziennie po ulotki, które czytałam od deski do deski. Słuchałam też komunikatów nadawanych przez radiowęzeł, czyli Radiową Agencję Solidarność. Każdy komunikat rozpoczynał się od fragmentu *Murów* Kaczmarek.

To było fantastyczne, nigdy nie zapomnę tamtych dni. Tego entuzjazmu, nadziei, że uda się coś zmienić. Im jednak było bliżej grudnia 1981 roku, tym robiło się bardziej nerwowo. Ludzie zastanawiali się: „Wejść czy nie wejść?”. Coś wisiało w powietrzu.



*Beata była dzieckiem, gdy doszło do masakry robotników w grudniu 1970 r. Jako nastolatka weźmie aktywny udział w konspiracji. Na zdjęciu: Beata z mamą Haliną, lata siedemdziesiąte.*



Byłam wtedy chora i w ogóle nie wychodziłam z domu. 13 grudnia wypadł w niedzielę. Radio i telewizor miały „awarię”. Dopiero kiedy mama wróciła z kościoła ze łzami w oczach i powiedziała, co się dzieje, wyjrzałam przez okno.

Byliśmy wstrząśnięci. Wszędzie patrole zomowców: dziesięcioosobowe oddziały w kaskach, z tarczami i pałami. Legitymowali przechodniów. Zaczęły się przejazdy długich kolumn transporterów opancerzonych. Huk silników był ogłuszający. Totalna demonstracja siły ze strony władzy.

Mama pobiegła do siedziby Solidarności. Jacyś ludzie się tam jeszcze kręcili. W nocy wtargnęła do nich SB, zrobiła kipisz, zabrała dużo materiałów. Dowiedzieliśmy się, że wielu opozycjonistów zostało internowanych.

Sąsiad z ósmego piętra, sympatyczny starszy pan, pożyczył nam w pierwszych dniach ulotkę Solidarności. Aż dygotałam z przejęcia, kiedy przepisywałam ją na maszynie. Od tamtego czasu miałam zwyczaj zbierania bibuły. Zdawałam sobie sprawę, że to jest coś ważnego, coś, co warto ocalić.

## **Przerwy milczenia**

„Topolówka”, zwana też „Trójką”, czyli III Liceum Ogólnokształcące przy ulicy Topolowej 7, była jedną z lepszych szkół w Trójmieście. Chodząca do niej młodzież przeciwstawiała się komunie jeszcze przed 1980 rokiem. Szkoła stała się bazą młodego pokolenia opozycji. Z tego powodu groziło jej nawet zamknięcie.

Do pierwszej klasy poszłam jeszcze w stanie wojennym. Był wrzesień 1982 roku. I zaczęło się niemal od razu. 17 września, w rocznicę sowieckiej agresji na Polskę, uczniowie ze starszych klas przyszli do szkoły cali ubrani na czarno.

Wyszłam na długą przerwę i zorientowałam się, że coś jest nie tak. Na korytarzach, na których zawsze huczało, panowała głucha cisza. Tylko przez chwilę słychać było kroki wychodzących z klas. Uczniowie w milczeniu siedzieli pod ścianami albo stali wyprostowani.



*Ze słynnej gdańskiej „Topolówki” wyszło wielu opozycjonistów. Na zdjęciu: widok na współczesną fasadę III LO im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku.*

Kiedy przerwa się skończyła, rozeszliśmy się w milczeniu do klas. To był protest przeciwko komunie.

W tych młodych ludziach była niesamowita siła. Większość nauczycieli się do tego nie mieszała, w czasie protestów siedziała w pokoju nauczycielskim. Byli jednak i „nauczyciele reżimowi”. Ci miotali się po korytarzach i histerycznie krzyczeli. Byli jednak zupełnie bezsilni. Nie mogli przecież nic zrobić uczniowi za to, że ten stoi i nic nie mówi - byłoby to niedorzeczne.

Pod koniec takiej przerwy śpiewaliśmy zwykle hymn albo *Boże, coś Polskę* czy *Rotę*. Radek, który w „Topolówce” był o dwie klasy wyżej ode mnie, zapamiętał, jak taki nauczyciel

dopadł Jarosława Kurskiego (obecnego zastępcę redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”) i wrzeszczał na niego. Lecz ten, nieporuszony, śpiewał dalej. Napięcie było ogromne.

Podczas mojej pierwszej „przerwy ciszy” w pewnej chwili rozległ się szelest papieru i spadł na nas deszcz ulotek. Tak odbyła się premiera pierwszego numeru „Biuletynu Informacyjnego Topolówki”. W skrócie zwanego „BIT-em”. Była to nasza podziemna gazetka szkolna, która wychodziła potem aż do 1989 roku. Stanowiła kontynuację gazetki ściennej, założonej w 1980 roku przez ucznia pierwszej klasy Piotra Semkę, obecnie znanego publicystę.

Marzyłam o dostaniu się w szeregi szkolnej konspiracji. Udało mi się to dopiero w drugiej klasie. Jakiś chłopak z czwartej d podszedł do mnie i zapytał wprost, czy nie chciałabym dostać trochę bibuły. Oczywiście bardzo się ucieszyłam i bez wahania odpowiedziałam: „Jasne!” Wciągnęli mnie do kolportażu.

Dostałam kontakt do chłopaków z „BIT-u”, Piotra Semki i Jacka Kurskiego, a potem do kolejnej ekipy, Maćka Grabskiego i Sławka Apollo. Otrzymaną bibułę przekazywałam uczniom, którym ufałam. Istniała też wymiana z innymi szkołami i środowiskami.

Oprócz „BIT-u” w naszej szkole rozprowadzanych było jeszcze sporo tytułów z całego kraju. Kiedyś próbowałam je policzyć - bo przecież chomikowałam egzemplarze bibuły - wyszło mi kilkadziesiąt. W tym kilkanaście regularnie, plus książki. Mieliśmy też bibliotekę.

Co na to rodzice? W końcu ich córka narażała się na poważne konsekwencje. No cóż, na początku nic nie wiedzieli. Dowiedzieli się, niestety, nie ode mnie. Pewnego dnia kolega, który przekazywał mi „Homka” - opozycyjne anarchizujące pisemko - nie zastał ni nie w domu. Oświadczył więc rodzicom, że coś dla mnie zostawi.

I położył na biurku pokaźny plik bibuły.. A mnie, kiedy wróciłam do domu, czekała poważna rozmowa z rodzicami.

Oczywiście powiedzieli o niebezpieczeństwie, jakie na siebie ściągają. Nie zakazali mi jednak działalności w opozycji.

Przekonywali, że najpierw powinnam skończyć szkołę i

studia, a dopiero potem angażować się w walkę z reżimem. Lecz nigdy nie postawili sprawy kategorycznie. Zresztą tata sam często przynosił bibułę z pracy.

Dzisiaj myślę, że musieli mieć mieszane uczucia. Z jednej strony byli całym sercem z Solidarnością, ale z drugiej strony bali się o swoje dziecko. To były dylematy rodziców wszystkich młodych konspiratorów. Do tego dochodziło jeszcze jedno - ryzyko ponosiłam nie tylko ja. W razie najścia SB, to oni mogli zostać głównymi podejrzanymi o przechowywanie bibuły. Jednak nigdy nie użyli tego argumentu.

„Przerwy milczenia” organizowane były 17 września, 11 listopada, 13 grudnia i 3 maja. A także w kwietniu, w rocznicę zbrodni katyńskiej, oraz 16 grudnia w rocznicę masakry robotników na Wybrzeżu w 1970 roku. Na jedną z tych ostatnich rocznic przygotowałam na prośbę Maćka plakat o Katyniu, który on zawiesił rano przy wejściu do szkoły i postawił znicze.

Oprócz „przerw ciszy” były również „przerwy tupane”. Chodziliśmy wkoło i miarowo tłukliśmy obcasami o podłogę. Była też przerwa, podczas której darliśmy na strzepy reżimowe gazety. We wszystkich tego typu akcjach w stanie wojennym uczestniczyła przeważająca większość uczniów.

W miarę upływu czasu ta liczba się zmniejszała. Nastroje w społeczeństwie były coraz bardziej depresyjne. Ten marazm, beznadzieja dały się odczuć i w naszej szkole. Ludzie się wykruszali. Nie dało się utrzymać długo ludzi w stanie permanentnego buntu.

Najbardziej szalonym wyczynem było radio. Na ten pomysł wpadł Marek Kowalik z klasy Radka. Oprócz nich w pierwszej ekipie byli Wiesiek Wiśniewski i Krzysiek Lubianiec. Chłopaki zrobili nadajnik, ustalili częstotliwość fal. Wciągnęli do tego Jacka Kurskiego, który „zorganizował” lektorę spoza szkoły, żeby nikt nie rozpoznał jej głosu.

Po wielu próbach i przygotowaniach drogą szeptaną została rozpuszczona wieść, że na przerwie w toaletach odbędzie się premiera radia. Ścisk w toalecie panował straszny, stłoczyliśmy się w tej większej części, gdzie są umywalki. Ktoś trzymał radio

i szukał odpowiedniej fali. W końcu rozległ się, trochę niewyraźnie, dźwięk: „Wyrwij murom zęby krat! Tu Radiostacja Topolówka...”. Była ona potem znana jako Radio BIT.

Słuchaliśmy tej pierwszej audycji z zapartym tchem. Zupełnie nam nie przeszkadzało to, że jesteśmy w łazience. To był moment triumfu. Znowu zagraliśmy na nosie komunie, znowu złapaliśmy wiatr w żagle. Brakowało nam tylko telewizji.

Nauczyciele musieli coś podejrzewać. Na korytarzach pustawo, a w pewnej chwili z hukiem otworzyły się drzwi od toalet i na korytarze wysypał się tłum uczniów obojga płci. Już podczas którejś z kolejnych audycji dobijali się do przytrzymywanych przez nas drzwi.

Audycje były poświęcone między innymi represjonowanym kolegom i koleżankom ze szkoły. Jedna z nich dotyczyła Winicjusza Załęckiego. Zatrzymano go w marcu 1984 roku. Sytuacja była o tyle kiepska, że Winicjusz chorował na cukrzycę. Pobyt w więziennych warunkach, bez odpowiedniej diety, fatalnie odbił się na jego zdrowiu.

Na szkolnej auli zorganizowano wiec, na którym uczniowie z klasy Winicjusza przekazali zastępcy dyrektora petycję w jego obronie. Niestety, rezultat był inny. Robert Tomaszewski i Paula Junka, którzy odczytali petycję, jeszcze tego samego dnia zostali zatrzymani. Przesłuchiwane były też inne osoby.

Paulę wypuścili po czterdziestu ośmiu godzinach, ale Robert trafił do aresztu. Co ciekawe, siedział dłużej niż Winicjusz, którego w końcu rzeczywiście wypuścili ze względu na zły stan zdrowia. Robert po zwolnieniu został z kolei wyrzucony ze szkoły.

Zdarzały się również, nie tylko w naszej szkole, aresztowania uczniów. Chłopaków i dziewczyn, nawet siedemnastolatków. Los ten spotkał między innymi: Grażynę Stankiewicz z „Topolówki”, Annę Stawicką z VI LO w Gdańsku, Beatę Szrejder z Gorzowa czy Andrzeja Miszka, ciężko pobitego w areszcie śledczym na Kurkowej. Dziesiątki młodych ludzi miały „tylko” rewizje i przesłuchania. Niektórzy lądowali na milicyjnych izbach dziecka.

Opisuję te sprawy, aby pokazać, że to nie była zabawa. Władze komunistyczne nie stosowały taryfy ulgowej wobec uczniów. Opozycjoniści dla komunistów byli wrogami niezależnie od wieku. Ludziom poniżej osiemnastego roku życia nie wolno było sprzedawać papierosów i alkoholu, można ich było jednak pakować za kraty.



*Beata poznała w liceum współtwórców Radiostacji Topolówka: jej pomysłodawcę Marka Kowalika i Radka Szmytkowskiego. Na zdjęciu: Marek i Radek (po prawej) oraz Beata w kurtce rycersko użyczonej przez przyszłego męża. Kwiecień 1986 r.*

## **Agent jest wśród nas**

Służba Bezpieczeństwa walczyła z nami nie tylko za pomocą tępych represji. Jej metody były znacznie bardziej perfidne. Używała przeciwko nam prowokacji, starała się infiltrować nasze środowisko. Sama poznałam te metody na własnej skórze za sprawą Janusza Molki.

Molka był znanym w Gdańsku opozycjonistą, bibliofilem,

historykiem. Prowadził kursy przygotowawcze do matury u dominikanów, ale oprócz tego stworzył tajne kółko samokształceniowe dla opozycyjnie nastawionej młodzieży. Znalazłam się w tym gronie.

Spotykaliśmy się w kilka-kilkanaście osób w różnych miejscach, między innymi w sali katechetycznej - pomoc księży była bezcenna też w wielu innych sytuacjach — i w mieszkaniu moich rodziców. Mama piekła wtedy pyszny placek, kursanci i Molka siadali wokół nakrytego stołu. Mogliśmy udawać, że bierzemy udział w przyjęciu.

W rzeczywistości słuchaliśmy z przejęciem wykładów na tematy historyczne zakazane przez władze. Na spotkaniach Molka pokazywał nam bibułę ze swoich zbiorów. Był dla nas autorytetem. Czuliśmy się trochę jak na okupacyjnym tajnym nauczaniu.

Nie wiedzieliśmy oczywiście, że Janusz Molka był początkowo współpracownikiem, a potem etatowym funkcjonariuszem SB. Przez lata rozpracowywał gdańskie środowiska opozycyjne. Oczywiście wsypał również nas. Przyczynił się do tego, że zostałam uwięziona.

W 1994 roku dowiedziałam się o jego prawdziwej roli, którą sam przedstawił między innymi w książce *Ubek*, napisanej kilka lat temu przez Bogdana Rymanowskiego. Było to dla mnie bardzo smutne odkrycie, chociaż zawsze miałam świadomość, że wśród ludzi, których znałam, mogli być donosiciele.

Zanim książka powstała, Molka skontaktował się ze mną i przeprosił za to, co zrobił. Czy mu wybaczyłam? Tak. On przynajmniej miał odwagę cywilną, żeby zmierzyć się ze swoją przeszłością. Prawie żaden z jego „kolegów” nigdy się na to nie zdobył.

Jak doszło do wpadki? Było to związane ze sprawą Zenona Czerskiego, polonisty przysłanego do naszej szkoły przez władze. Cel: spacyfikować niepokorną „Topolówkę”.

Próbował reanimować komórkę partyjną i założył gazetkę „Nowy Kaduceusz”. W drugim numerze znalazła się rubryka pod tytułem *Biuletyn Informacyjny Topolówka*, co było

ewidentną prowokacją, odpowiedzią na naszą działalność. Zemsta była słodka.

Ekipa „BIT-u” wypuściła podrobiony numer „Kaduceusza”. Oczywiście z bardzo „wywrotowymi” treściami. Artykuł na pierwszej stronie dotyczył Orwella. W czasie lekcji podróbka została porozkładana na parapetach. Wszyscy ją brali i czytali.

Tego dnia Czerski przyszedł później. Kiedy dowiedział się o tym, jaki numer mu wycięli, dosłownie dostał piany na ustach. Miotał się po korytarzach, wchodził do klas i żądał zwrotu wszystkich egzemplarzy. Ta akcja przeszła do legendy.

Czerski odegrał paskudną rolę. Potrafił ściągnąć SB do szkoły, gdy nakrył ucznia z ulotkami. Byliśmy w szoku, że nauczyciel może być do czegoś takiego zdolny.

Opowiedziałam tę historię Molce. Nie krył oburzenia. Powiedział, że trzeba być prawdziwą świnią, żeby zadenuncjować własnego ucznia. Wtedy ktoś rzucił pomysł, żeby dać Czerskiemu nauczkę. Obrzucać go wydmuszkami z farbą albo wstrzyknąć mu coś śmierdzącego do mieszkania przez dziurkę od klucza. Nawiasem mówiąc, ten pomysł nigdy nie został zrealizowany.

Molka wszystkiego spokojnie wysłuchał, a potem poleciał z donosem do swoich prawdziwych szefów. Bezpieka potraktowała sprawę bardzo poważnie. Uznała, że ma do czynienia z przygotowaniem do użycia siły przeciwko władzy. Sprawa była więc o wiele grubszego kalibru niż zwykły kolportaż bibuły.

Jedną z osób przygotowujących się do „użycia siły” miałam być ja. Dowiedziałam się o tym po latach ze zdziwieniem i rozbawieniem. Jestem bowiem osobą wyznającą chrześcijańskie idee miłowania nieprzyjaciół i *non violence*.

## **W więzieniu**

Po wyprowadzeniu z domu wpakowali mnie do nieoznakowanego poloneza. Jechałam z tyłu, wciśnięta pomiędzy dwóch rozpartych ubeków. Tak dotarliśmy do



Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych przy ulicy Okopowej.

Tam odbyło się moje pierwsze przesłuchanie. Prowadziła je głównie Kmicieńska. Namawiała mnie, żebym wykazała chęć współdziałania i „czynną skruchę”. Zapytałam, czy to oznacza, że mam zacząć płakać. Nie przyznałam się do winy i odmówiłam zeznań. Próbowali więc przekonać mnie do współpracy w inny sposób. Dawali do zrozumienia, że jak „pęknę”, wypuszczą mnie do domu i będę mogła zdawać maturę. Inaczej - dwa lata w więzieniu.

Pojawiło się jeszcze jedno *novum*. Po raz pierwszy ktoś zwrócił się do mnie per pani. Miesiąc wcześniej skończyłam osiemnaście lat, ale oczywiście całe otoczenie — rodzina, nauczyciele, koledzy — mówiło mi po imieniu. A tutaj nagle ubecy wyskakują z tym „pani Be-ato”. Gdyby nie okoliczności, byłoby to nawet zabawne.

Ponieważ nic nie wskórali, po rewizji osobistej wsadzili mnie „na dołek”. Czyli do celi dla zatrzymanych na czterdzieści osiem godzin. Ciemnej, bez bieżącej wody, z kubłem w kącie. W celi oprócz mnie siedziała kobieta z zarzutem kryminalnym. Odnosiła się do mnie z sympatią. Nie wiem, o co była oskarżona, nie dopytywałam się, bo to w więzieniu jest w złym tonie. Zwyczaj jest taki, że gdy przychodzi ktoś nowy do celi, informuje tylko współwięźniów, z jakiego artykułu jest skazany.

Niebezpiecznie było się za bardzo otwierać. Ściany mogły mieć uszy. Bezpieka mogła również podstawić więźnia konfidenta. Wiedziałam o tym wszystkim z *Małego konspiratora* i byłam ostrożna.

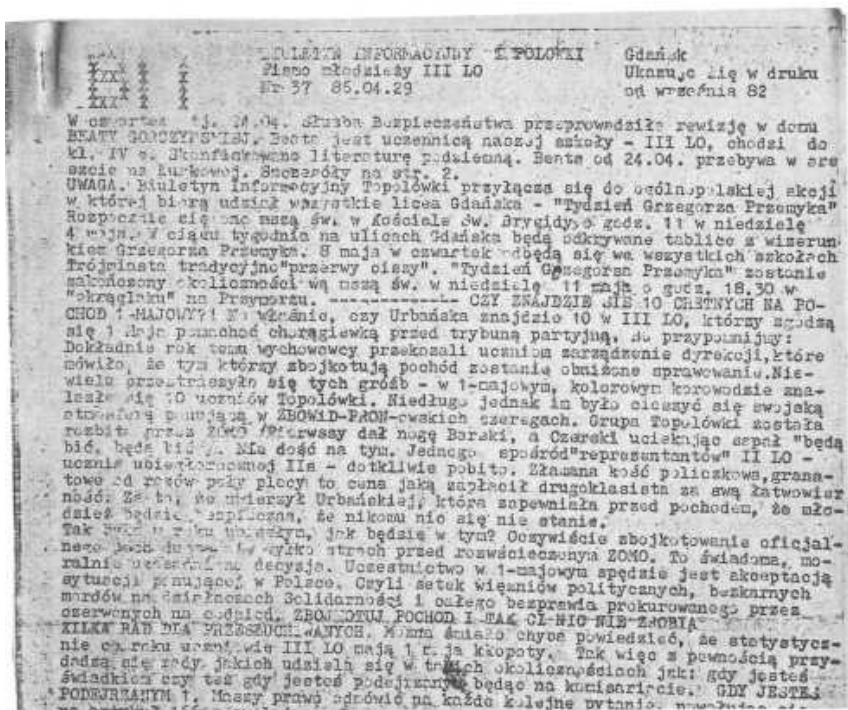
Gdy potem trafiłam do celi w areszcie śledczym na Kurkowej, jedna z kobiet zabrała się za robienie skręta z niedopalków. Przyglądałam się temu egzotycznemu dla mnie zajęciu. Na karteczce dyskretnie napisała ostrzeżenie, że w celi jest „kapusta”. Widząc, że przeczytałam, skręciła sobie z niej papierosa i zapaliła.

Pewnego dnia inne więźniarki zarzuciły jednej z kobiet donosicielstwo. Zaczęły na nią krzyżeć, musiała interweniować klawiszka. Na oddziale żeńskim personel był

głównie kobiety.

Od tamtej pory „kapusta” zaczęła się zachowywać wobec nas agresywnie, groziła nam. Pewnie ze strachu. Bała się, że możemy jej coś zrobić. Wkrótce wychowawczynie (w aresztach zawsze pracują wychowawcy) spowodowała rozdzielenie nas.

Jak wyglądała cela? Jej powierzchnia miała osiem metrów kwadratowych. Można było w niej zrobić cztery niewielkie kroki. Miałam to dobrze wyliczone, bo starałam się trochę w niej poruszać. W celi razem ze mną były cztery dziewczyny. Spałyśmy na dwóch piętrowych łóżkach.



*Aresztowanie pokrzyżowało naturalne plany Beaty. Zamiast na salę egzaminacyjną trafiła do wspólnej celi z kryminalistkami. Na zdjęciu: fragment „Biuletynu Informacyjnego Topolówki”. W pierwszym akapicie informacja o aresztowaniu Beaty.*

W pewnym momencie dokooptowali nam piątą. Spała na materacu, który w ciągu dnia chowała pod jedno z piętrowych łóżek. Okno, tuż pod sufitem, było zakryte od zewnątrz siatką z drutu i dodatkowo blindą, czyli płytą z matowego, zbrojonego szkła. Czułyśmy się jak w studni.

Ta blinda zabierała dużo światła, którego i tak było tyle, co kot napłakał. Przez cały dzień, nawet latem, trzeba było mieć zapalone światło. Zimą było zimno, a latem bardzo duszno i gorąco mimo otwartego okna. W drzwiach znajdował się wizjer.

Rano klawiszki otwierały cele, a wtedy oddelegowana „starsza celi” meldowała stan celi i więźniarek. W ten sposób sprawdzali, czy nie uciekłyśmy.

Dopiero po tych oględzinach mogłyśmy wziąć ubranie, które przed snem wystawiałyśmy złożone w kostkę na stołki przed celą. Spałyśmy w króciutkich koszulkach, spod których widać było majtki.

Jak już się ubrałyśmy, było wydawane śniadanie: zwykle kawa zbożowa na wodzie, kilka kromek chleba i najczęściej kawałek czegoś w rodzaju salcesonu, w którym było sporo szczeciny i chrząstek.

Ilość jedzenia była wystarczająca, ale brakowało w nim witamin, co szybko odczułam. Odmówiono mi jednak przydziału na dodatkową surówkę, przysługującego małoletnim. Skończyłam już bowiem osiemnaście lat.

Miałam to szczęście, że w celi była bieżąca woda w kranie. Mogłam się więc codziennie, choćby częściowo, umyć. Był to niebywały luksus, do łaźni bowiem chodziłyśmy tylko raz w tygodniu. Minusem było natomiast to, że na tej niewielkiej przestrzeni, na której ledwo można było zrobić krok, stał kibel. O żadnej intymności nie było mowy.

W ciągu dnia każda z nas starała się jakoś wypełnić czas. Dyżurna codziennie dokładnie sprzątała celę. Czasem którąś z nas brano na przesłuchanie. Nie wolno nam było leżeć - chyba że któraś miała na to specjalne pozwolenie - więc siedziałam na łóżku albo na stołku i czytałam wypożyczone z więziennej

biblioteki książki. Pisałam listy. Często też modliłam się w ciszy Z innymi więźniarkami rozmawiałam bardzo ostrożnie. Każda pilnowała się, co mówi i do kogo. Po pierwszym doświadczeniu z „kapustą” byłam bardzo nieufna.

Siedziałam w celach z dziewczynami oskarżonymi o przestępstwa kryminalne. Towarzystwo to bywało trudne, chociażby ze względu na język. Nie byłam przyzwyczajona do takiego stężenia wulgarnych przekleństw i bezpośrednich rozmów na tematy intymne. Jednak wobec mnie kobiety te zwykle odnosiły się życzliwie. Ja też polubiłam niektóre z nich. Osobnym problemem był dym papierosowy wypełniający każdą celę.

Wkrótce wsadzono do nas drugą polityczną - Małgosię Piechowicz. Miała około dwudziestu lat. Trafiła do tej samej celi co ja, co było dziwne. Więźniarki polityczne były bowiem rozdzielane, nawet jeżeli nie łączyło ich jedno śledztwo. Myślę, że to był taki fortel SB. Dwie niedoświadczone, młode i przestraszone dziewczyny zbliżą się do siebie w celi i zaczną szczerze rozmawiać. A ktoś to podsłucha. Na szczęście uważałyśmy.

Z innymi więźniami można było komunikować się raz w tygodniu w świetlicy i podczas półgodzinnych spacerów, które codziennie przysługiwały więźniowi. Tak zwany spacer odbywał się na dworze, na terenie wielkości sali gimnastycznej, porośniętym trawą i paroma krzaczkami. Całość była otoczona chodnikiem i murem, zwieńczonym drutem kolczastym. Na rogach wieżyczki strażników. Nocą było czasem słyszeć szczekanie psów, dodatkowo strzegących teren.

Przez te pół godziny chodziłyśmy gęsiego dookoła. W zasadzie nie wolno nam było rozmawiać. Mimo to starałyśmy się niepostrzeżenie zamienić choćby kilka słów. Na moim pierwszym spacerze przysunęła się do mnie pani Janina Wehrstein i szeptem zaczęła mi udzielać rad. Strażniczka jednak to szybko zauważyła i nas rozdzieliła.

Spacernik był jedyną okazją, żeby pobyc na świeżym powietrzu. Widać było stamtąd mającące w oddali drzewa na wzgórzach. Z biegiem dni i tygodni stawały się coraz bardziej

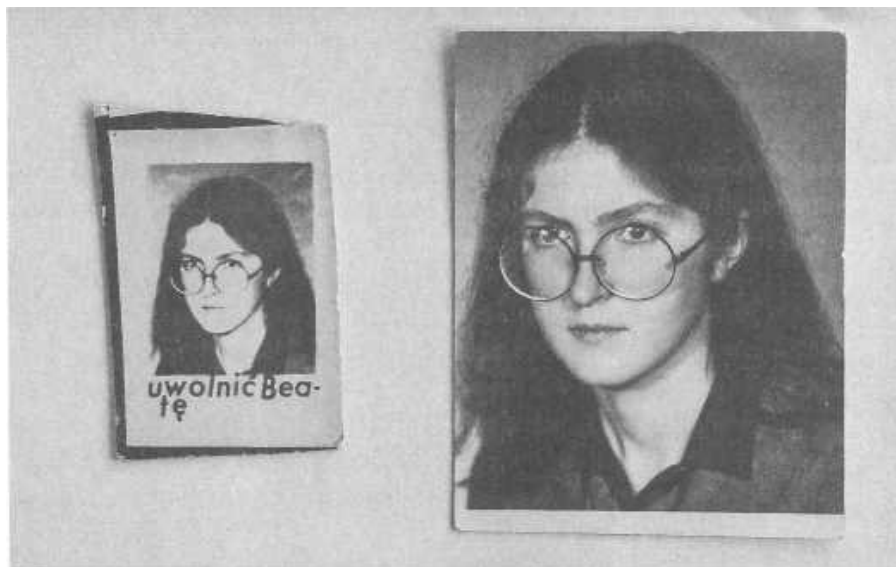
zielone.

Bardzo dotknęło mnie to, że odebrano mi wiosnę. Odczułam to w kantorku u oddziałowej, kiedy odbierałam paczkę. Na stolyczku stał wazonie bez. Piękny, jasnofioletowy. Pachniał oszłamiająco.

Kiedy oddziałowa przeglądała zawartość paczki, pochylałam się i zaczęłam rozkoszować się zapachem kwiatów. Oddziałowa powiedziała, żebym sobie wzięła gałązkę.

Byłam rozdarta. Z jednej strony bardzo chciałam. Z drugiej - bałam się, że przez inne więźniarki może to być odebrane jako okazywanie mi względów przez strażniczkę. Nie mogłam się jednak powstrzymać i wzięłam.

Rodzice zabiegali o uchylenie aresztu. Mieli nadzieję, że uda się im wyciągnąć mnie na maturę. Na szczęście dzień przed moim aresztowaniem odbyła się w szkole rada klasyfikacyjna, na której zostały wystawione oceny roczne.



*Zdjęcie z legitymacji posłużyło przyjaciołom Beaty do przygotowania specjalnych znaczków, które nosili przypięte do ubrań.*

W ten sposób formalnie zakończyłam licealną edukację, więc przynajmniej nie można było mnie wyrzucić ze szkoły.

Dyrekcja szkoły odmówiła poręczenia, ale udzielił mi go biskup gdański Tadeusz Gocłowski. Wnioski o uchylenie aresztu zostały jednak odrzucone. Prowadzący moją sprawę prokurator Jacek Spyt był biernym wykonawcą poleceń ubeków. Rodzice, kiedy chodzili do niego, żeby się czegoś dowiedzieć, byli wypraszani i na korytarzu czekali, aż on dowie się, co ma im odpowiedzieć. Tymczasem termin matury przepadł.

Nie była to jedyna szykana. Nie dostałam pozwolenia na widzenie z adwokatem ani na posługę religijną. Mimo że w więzieniu był kapelan. Widzenia były tylko dwa, z rodzicami.

Kiedy zostałam aresztowana, w „Topolówce” zawrzało. Potem dowiedziałam się, że koledzy organizowali w mojej sprawie „przerwy milczenia”. Nosili znaczki z napisem: „Uwolnić Beatę”.

Jedynie listy, które do mnie przepuszczano, były od rodziców i mojego przyszłego męża, Radka. Nie byłby sobą, gdyby nie urządził przy tym jakiejś psoty. Oprócz zwykłych rzeczy - co u niego słyhać, jak tam na studiach - w jednym z listów umieścił zadanie matematyczne.

Chodziło o to, że na wolności czekają na mnie lody, których liczba w jakiś skomplikowany sposób była uzależniona od dni, które przesiedzę w więzieniu. Ubecy - którzy oczywiście kontrolowali te listy - musieli chyba długo główkować nad tym zadaniem, podejrzewając, że to jakiś szyfr.

Podczas mojego pobytu w więzieniu był prowadzony pewien dziwny eksperyment. Każdego dnia rano, w ramach pobudki, przez głośnik słyszałyśmy... program relaksacyjny. Łagodny kobiecy głos mówił, jak po kolei rozluźniają się wszystkie części naszego ciała. Przypominał też o głębokim oddychaniu. W tle leciała spokojna muzyka.

Doprowadzało mnie to do szału i jednocześnie strasznie bawiło, bo podkreślało absurdalność sytuacji. Obecność głośnika w celi, choć czasem męcząca, miała też zaletę. W

niedziele można było wysłuchać mszy. Prawo do tego wywalczyli strajkujący więźniowie jeszcze w 1980 roku.

Mimo wszystko zwykle trzymałam fason. W gorszych momentach starałam się panować nad sobą, nie okazywać słabości, która mogła zostać wykorzystana przez władze więzienne. Oczywiście myśl, że będę tak żyć przez kolejne miesiące, była ciężka.

Z perspektywy czasu wydaje mi się jednak, że wielokrotnie silniej całą tę sytuację musieli przeżywać moi rodzice, mimo że trzymali się bardzo dzielnie.

Pamiętam pewną sytuację, chyba na rok przed aresztowaniem. Długo nie wracałam z jakiegoś spotkania, rodzice spodziewali się najgorszego. Ze zostałam zatrzymana przez bezpiekę. Kiedy wróciłam - było około północy – ze szczęścia otworzyli szampana.

Zwolnili mnie dosyć niespodziewanie: 16 lipca koło południa do celi weszła strażniczka i rzuciła: „Pakuj się”. Specjalnie się nie ucieszyłam. Myślałam, że pójdę do innej celi, a w tej byłam już przecież zadomowiona.

Strażniczka nic nie mówiła, bo gdyby towarzyszki z celi dowiedziały się, że wychodzę, mogłyby prosić o przekazanie wiadomości na zewnątrz. Dziewczyny chyba wyczuły, że coś jest na rzeczy, bo zdążyły mi szepnąć adresy, wiadomości. Ja tymczasem spakowałam „mandżur” – czyli w więziennym slangu „służbowe” rzeczy osadzonego - i opuściłam celę.

Zaprowadzili mnie na dół i wydali rzeczy z depozytu. Zdałam koc, blaszany talerz i miskę, a także koszulę nocną. I wypuścili mnie za bramę...

Był z tym pewien kłopot. Środek lipca, upał, a ja miałam grubą, włochatą kurtkę. Aresztowali mnie przecież w kwietniu. Byłam blada, gdy wyszłam na słońce, oczy zaczęły mi łzawić. Pod nogami miałam kartony, które musiałam nieść sama. Rodzice nie zostali uprzedzeni, że wychodzę z pudła. Nikt po mnie nie wyszedł.

Tych kartonów miałam kilka - więcej, niż można naraz unieść. Były w nich między innymi książki. Brałam więc jeden, przenosiłam go kilka metrów, a potem wracałam po poprzedni.



*Działalności córki towarzyszyły obawy rodziców, również oddanych sprawie Solidarności. Na zdjęciu Halina i Bogdan Gorczyńscy, 1998 r.*

Tak jakoś dotaszczyłam je do postoju taksówek. Miałam jeszcze jakieś pieniądze z tak zwanej wypiski, czyli zaskórniaki, które więzień zarobił lub przesłała mu rodzina. Raz na pewien czas przysługiwało mi prawo do kupienia w więziennym sklepie czegoś do jedzenia, długopisu czy kawałka mydła. Nie wydałam jednak wszystkiego.

Dobrze, że miałam ze sobą klucz do mieszkania, bo w domu nikogo nie było. Weszłam, cała zziębnięta, wtaszczyłam kartony. Po kilku minutach wrócili rodzice.

Zrobili taką minę, jakby zobaczyli ducha. Dopiero po chwili nastąpił ogólny wybuch radości.

Nie wiedziałam, dlaczego mnie zwolnili, skoro wcześniej wszystkie starania zawiodły. Na urzędowym uzasadnieniu



napisano, że areszt został uchylony w związku z zakończeniem śledztwa. Po latach dowiedziałam się z akt sprawy, że SB miała pewien plan. Chciała mnie obserwować i ewentualnie skierować na mnie w środowisku podejrzenie o współpracę. Nie zauważyłam jednak realizacji tych zamierzeń.

Długo jeszcze walczyłam o rzeczy, które zabrali nam podczas rewizji, między innymi sporo taśm magnetofonowych. Miałam na nich piosenki Kaczmarek, nagrania z Wolnej Europy i innych rozgłośni. Ale też audycje satyryczne z Polskiego Radia jeszcze sprzed stanu wojennego, z czasu legalnej Solidarności, i zwykłą muzykę.

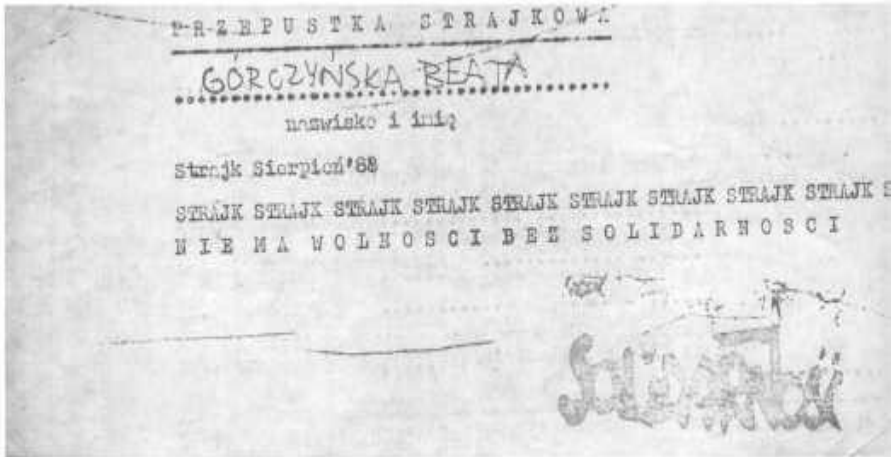
Bezpieka w końcu zwróciła je, ale wszystkie były skasowane. Skasowali nawet starą taśmę, na której rodzice nagrali moje gaworzenie. Chyba po prostu nie chciało im się wszystkiego słuchać. Kasowali taśmy automatycznie. W efekcie, snując teraz te kombatanckie historyjki, mogę pochwalić się, że zagrażałam ustrojowi już od kołyski.

Zabraną bibułę udało mi się odzyskać dopiero w 1990 roku. Nie odbyło się to jednak w sposób formalny. Dostałam ją po kryjomu od pani w sądzie, która miała za zadanie ją zniszczyć. Poprosiła, żebym nikomu nie mówiła, że mi ją wydała. Przez wiele lat rzeczywiście milczałam.

Maturę zdałam z rocznym opóźnieniem — w 1987 roku.

Moje przygody z SB nie skończyły się na niemal trzymiesięcznym uwięzieniu. Zrobili u mnie rewizję jeszcze raz, w lutym 1987 roku, po wybuchu pod Komitetem Miejskim PZPR w Gdyni. Był to chyba tylko pretekst. Esbecy chcieli pokazać, że o mnie nie zapomnieli. Ja oczywiście z tym wybuchem nie miałam nic wspólnego, nawet o nim nie wiedziałam.

Podczas rewizji znaleźli u mnie parę pojedynczych ulotek. Zostałam zatrzymana i następnego dnia ukarana przez kolegium do spraw wykroczeń. Znów na swojej drodze spotkałam Jadwigę Kmicińską, tym razem już w stopniu kapitana.



*Można by przewrotnie powiedzieć, że więzienie niczego jej nie nauczyło. Na zdjęciu: przepustka strajkowa Beaty Gorczyńskiej z sierpnia 1988 r.*

Po wyjściu na wolność nie zerwałam z podziemiem. Na studiach - poszłam na Katolicki Uniwersytet Lubelski - też kolportowałam bibułę. Ale już na małą skalę. Również po to, żebym sama miała do niej dostęp.

## **Przełom**

W 1987 roku coś pękło. Podczas mszy na Zaspie, kiedy papież Jan Paweł II mówił do nas - morza wolnych ludzi - znów zobaczyliśmy, ilu nas jest.

Bardzo ważny był dla mnie też rok kolejny - 1988. Wiosną chodziłam na manifestacje solidarności ze strajkującymi, które odbywały się codziennie przed gmachem KUL-u. W sierpniu wszystko wybuchło na znacznie większą skalę. Tym razem motorem napędowym antykomunistycznych wystąpień było już moje pokolenie.

Przyjechałam do domu na wakacje. Cała gdańska opozycja wspierała strajk. Rzuciłam się w wir pracy. Spotykałam

chłopaków i dziewczyny, znajomych i nieznajomych, z wszystkich możliwych orientacji: z Ruchu Wolność i Pokój, Federacji Młodzieży Walczącej, harcerzy, anarchistów i oczywiście ludzi z „Topolówki”.

Jedni redagowali i drukowali strajkową prasę, inni (jak ja) byli łącznikami. W nieformalnym centrum pomocy na plebanii parafii św. Brygidy organizowana była łączność i druk, a także zaopatrzenie, którym zajmowały się między innymi panie Janka Wehrstein i Małgosia Gorczewska. Ludzie przynosili tam pieniądze i kartki żywnościowe.

Głównie przenosiliśmy i przewoziliśmy do stoczni i portu żywność, leki, materiały drukarskie i informacje. Ktoś taszczył radiostację. Przeprowadzaliśmy ludzi, zabieraliśmy pocztę. Trzeba było tam docierać okrężnymi drogami, unikając zomowców, którzy patrolowali ulice wokół stoczni i stali przed jej bramami. Zdarzało się, że nas legitymowali.

Raz utknęłam na stoczniowym płocie - zahaczyłam ubraniem o częściowo zerwany drut kolczasty. Pod murem tymczasem niecierpliwiał się kolejny chętny do przeprawy. W każdej chwili ulicą mógł nadejść patrol i nas nakryć. Płot był widoczny z ulicy Wałowej, w głębi podwórka. Nerwy były okropne. Zomowcy mogli nas spałować, aresztować. Kiedy wisiałam na górze, wydawało mi się, że trwa to wieczność. W rzeczywistości szamotałam się z tym drutem nie dłużej niż minutę. Wreszcie jakoś sama się odczepiłam. Byłam wolna, ale podziurawiłam spodnie i koszulkę.

Przez płot przeskakiwaliśmy nie bez powodu. Innym razem postanowiłam wyjść ze stoczni normalnie, przez bramę, bo widziałam, że paru mężczyzn wydostało się bez przeszkód. Pomyślałam, że tak będzie krócej, niż przedzierać się opłotkami. Mnie jednak zomowcy od razu zatrzymali. Postanowiłam udawać głupią. Powiedziałam, że w stoczni byłam u chłopaka. Jednak z miejsca zapakowali mnie do „suki” - niebieskiej nysy milicyjnej.

Trafiłam do Urzędu Spraw Wewnętrznych MSW, sąsiadującego z aresztem przy Kurkowej. Musiałam tam czekać na korytarzu na przesłuchanie. Ukradkiem przeżyłam swoją

przepustkę strajkową.

Bałam się. W maju zdarzały się pobicia łączników. Spotkało to między innymi moją rówieśniczkę, Dorotę Szewczyk. Funkcjonariusze ZOMO i esbecji zachowywali się często niezwykle agresywnie wobec ludzi zatrzymanych na ulicy. Mieli poczucie bezkarności i władzy absolutnej nad losem zatrzymanego. W efekcie znęcali się nad ludźmi. Bili, wyzywali, upokarzali. To był ten element ryzyka, to, na co narażali się ludzie zaangażowani w działalność opozycyjną. Także kobiety. Na szczęście moje zatrzymanie widziało wielu ludzi ze stoczni. Miałam więc świadków.

Zaprowadzili mnie w końcu do pokoju przesłuchań, gdzie jakiś esbek dosyć obcesowo zaczął mi zadawać pytania. Od razu powiedziałam, że domagam się sporządzenia protokołu. Nie zamierzałam z nim rozmawiać w tym tonie. Byłam przekonana, że sprawa skończy się zatrzymaniem „na dołku”. Tymczasem, ku mojemu zdziwieniu, po którymś z kolei pytaniu esbek oddał mi dowód osobisty i powiedział „Do widzenia”.

Zdumiona wzięłam dokument i wyszłam. Moje aresztowanie tym razem trwało zaledwie kilka godzin. Na ulicy odetchnęłam z ulgą. Miałam sporo szczęścia. Historia ta dobrze oddaje jednak poczucie zagrożenia, które nam towarzyszyło. To nie były żarty. Nasz przeciwnik nie przebierał w środkach.

Te strajki były przygotowaniem do wydarzeń 1989 roku. W czerwcu tego roku pierwszy raz w życiu wzięłam udział w wyborach. Komuna się waliła.

## **Sprawa funkcjonariuszki**

Wyszłam za mąż za Radka. Mamy dwie córki. Pracuję w Archiwum Państwowym. Nadal mieszkamy w Gdańsku.

Kilka lat temu chciałam sprawdzić, co się dzieje z ubekami, którzy mnie aresztowali. Wpisałam w internecie nazwisko Kmicieńskiej i ze zdumieniem przeczytałam, że w 1997 roku dostała od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w

umacnianiu bezpieczeństwa i porządku publicznego”.

Zatkało mnie. To brzmiało jak żart. Kmicieńska należała do komunistycznego aparatu represji i prześladowała ludzi walczących o demokratyczną, niepodległą Polskę. A teraz, jak ta Polska nastąpiła — Kmicieńska została w niej w taki sposób uhonorowana?! To dla mnie była zniewaga.

Sprawdziłam dane w aktach IPN-u, czy to nie jest przypadkowa zbieżność nazwisk. Nie, to była ona. Okazało się, że skończyła tę samą uczelnię co Kwaśniewski. Byli razem we władzach Socjalistycznego Związku Studentów Polskich na Uniwersytecie Gdańskim.

Postanowiłam zrobić zadymę. Napisałam do prezydenta Lecha Kaczyńskiego prośbę o wyjaśnienia i ponowną analizę zasadności nadania tego orderu. Prezydent może bowiem nadać, ale i odebrać odznaczenie. Pod listem podpisało się sporo osób, które działały w gdańskiej Solidarności i również zostały podobnie odznaczone. Wśród nich pani Janina Wehrstein, która też ma złe wspomnienia o Kmicieńskiej.

List wysłałam w czerwcu 2009 roku. Odpowiedzi jednak nie dostawałam przez ponad pięć miesięcy. Kancelaria Prezydenta odezwała się po artykule poświęconym tej sprawie w „Dzienniku Bałtyckim”. Napisała, że dziękuje za list i że sprawę rozpatrzy. Dostałam później jeszcze jedno pismo, że sprawa jest w trakcie wyjaśniania. Na tym koniec. Cisza. Miałam zamiar zwrócić się ponownie do prezydenta, ale doszło do katastrofy w Smoleńsku.

Zarzuciłam temat, ale przypomniał mi o nim... prezydent Bronisław Komorowski. W 2013 roku przyznał mi bowiem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za działalność w opozycji demokratycznej.

Skorzystałam więc z okazji i zapytałam Kancelarię Prezydenta, jak wygląda sprawa mojego wniosku z 2009 roku w sprawie pani Kmicieńskiej. Wydawała się moim pytaniem zaskoczona.

O tym, że mam dostać order, nie zostałam uprzedzona. Gdybym wiedziała wcześniej, poprosiłabym Kancelarię Prezydenta, żeby się wstrzymała. I przede wszystkim rozstrzy-

gnęła sprawę Kmicińskiej, bo to kwestia elementarnej sprawiedliwości.

Było już jednak po fakcie. Przyjęłam więc odznaczenie, doceniając intencje prezydenta Bronisława Komorowskiego. Podczas odznaczania miałam jednak poważne wątpliwości, czy order rzeczywiście mi się należy. Bo przecież dać się złapać to żadna zasługa.

*Beata Górczyńska-Szmytkowska*

**JOANNA**  
**GWIAZDA SOLIDARNOŚCI**



**O**budziło mnie uczucie, że ktoś obcy jest w domu. Myślałam, że to tylko zły sen, ale gdy otworzyłam oczy – zobaczyłam ich. Po naszym małym mieszkaniu buszowało dziesięciu mężczyzn. Część była w garniturach, część w mundurach. Czuli się jak u siebie w domu.

Esbecy mieli widocznie rozkaz, żeby nie używać siły - nie starali się nas przemocą wyciągnąć z łóżka. Najciekawsze w tej całej historii jest to, że nie słyszeliśmy, jak przyszli. Ani jak dobijali się do drzwi, ani jak wylamywali zamki.

Andrzej zupełnie nie przejął się widokiem esbeków. Przewrócił się na drugi bok, nakrył głowę poduszką i spał dalej. Bezskutecznie próbowali go zwlec z łóżka:

- Panie Gwiazda, niech pan wstaje - mówili. - Nie wie pan, co się stało?

- Wiem, wiem... - odpowiedział półprzytomny.

- Panie Andrzeju, wojna się zaczęła!

- No to jak się zaczęła, to tak szybko się nie skończy - odpowiedział mój mąż. I spał dalej.

Działo się to nad ranem 13 grudnia 1981 roku. W dniu wprowadzenia stanu wojennego.

Mąż na więcej pytań nie odpowiadał. Widocznie wiedział, że to ostatni moment, żeby odpocząć i się porządnie wyspać. Esbecy byli bezradni. Postanowili zwrócić się o pomoc do mnie. Żebym jakoś wpłynęła na męża.

- Pani Joanno - prosili - może pani go jakoś dobudzi.

- A po co? Niech się choć trochę prześpi przed więzieniem - powiedziałam i poszłam do łazienki umyć się i ubrać.

W końcu Andrzej postanowił wstać. Esbecy byli już poważnie zdenerwowani i zaczęli go popędzać. Mówili, żeby się szybko ubierał, bo się spieszą. W Warszawie zaczynał już swoje słynne przemówienie generał Jaruzelski. Oni mieli w samochodzie radio i koniecznie chcieli go posłuchać. Andrzej odpowiedział jednak esbekom, że głodny na wojnę nie pójdzie.

Dziwnym trafem - zdarzało się to naprawdę rzadko - miałam



ugotowany krupnik. Podgrzałam trochę zupy, zaparzyłam herbatę. Oni stali wokół, przebierając nogami. I wtedy doszło do awantury.

Jak Andrzej wypił herbatę, powiedział, że jest gotowy do wyjścia. Poprosił jednak o nakaz aresztowania. Esbecy powiedzieli, że nakazu nie mają. Wtedy Andrzej się wściekł. Na ścianie wisiał Czekan, który służył nam podczas wypraw w góry. Andrzej złapał go i ruszył na funkcjonariuszy.

Przerazili się nie na żarty. W końcu zobaczyli rozjuszonego faceta z ostrym narzędziem uniesionym nad głową. Nie byli przygotowani na taką sytuację, bo na ogół nie spotykali się z oporem. Esbecy w panice uciekli i stłoczyli się w przedpokoju.

Po chwili w drzwiach zobaczyliśmy wysuniętą z przedpokoju rękę z nakazem internowania. Jednak się znalazł! Okazało się, że cały czas go mieli. Po prostu nie chcieli nam go wcześniej pokazać. To wyglądało, jakby wywiesili białą flagę.

Wtedy do pokoju wszedł milicjant w mundurze, który się zagapił i został w kuchni. To był młodziutki chłopak. Wyglądał jak cherubinek - blond loczki i niebieskie oczy. Na widok mojego męża z Czekanem powiedział zaskoczony:

- Panie Andrzeju, to pan się wspina?

To rozbroiło Andrzeja. Zaczął się śmiać i odłożył broń. Gdy wręczyli nam nakaz internowania, daliśmy się wyprowadzić. Mieszkaliśmy na dziesiątym piętrze bloku z wielkiej płyty na gdańskiej Oliwie. Na dole czekały na nas samochody. Jeden dla mnie, drugi dla Andrzeja.

Wywieźli nas do ośrodka internowania w Strzebielinku na Kaszubach. To, że nas zamknęli, nie było dla mnie niespodzianką. Domyślałam się, że prędzej czy później to się stanie. Byliśmy przecież czołowymi działaczami Solidarności. Napsuliśmy komunistom mnóstwo krwi.

## **Łopatką po kostkach**

To nie było moje pierwsze zetknięcie z komunistyczną bezpieką. Po raz pierwszy miałam do czynienia z tą instytucją

jako małe dziecko. Działo się to w 1940 roku w moim rodzinnym Krzemieńcu na Wołyniu. Z okupowanych przez Sowieców Kresów trwały wielkie deportacje na Sybir. Moja rodzina również znalazła się na czarnej liście. Pewnego dnia zapukali do nas funkcjonariusze NKWD.

Mama na widok bolszewików nie straciła rezonu i zawołała do taty: - Tulu, gości mamy!

Tulu — to było pieszczotliwe przezwisko, jakiego mama używała, zwracając się do taty. Bolszewicy tymczasem, zaskoczeni takim przyjęciem, weszli do środka.

Plan mamy był następujący: upić żołdatów i w ten sposób uniknąć deportacji na Sybir. Mama postawiła na stole spirytus, pokroiła słoninę i zaprosiła „gości” na poczęstunek. Efekt był nietrudny do przewidzenia. Bolszewicy urznęli się i zaczęli się bawić. Huścili się na żyrandolu, zawijali w zasłony, biegali po pianinie. Wszystko przy akompaniamencie wrzasków. To była dzicz.

Mama domu nie oszczędzała. Pozwoliła im go zdewastować, bo wiedziała, że i tak prędzej czy później go porzucimy. Nasze rzeczy były stracone, teraz trzeba było ratować to, co najważniejsze - życie. Enkawudziści wyszli od nas z domu nad ranem. Nie aresztowali nas, ale było oczywiste, że gdy nasze dane nie znajdą się w spisie Polaków załadowanych do pociągu deportacyjnego, wrócą po nas. Trzeba było się ukryć.

Wiem to wszystko z opowiadań rodzinnych, bo kiedy rozegrały się te wydarzenia, miałam pół roku. Nawiasem mówiąc, rodzina mojego męża nie uniknęła tego losu. Andrzej wraz z mamą i babką w 1940 roku został deportowany z Pińska do Kazachstanu. Trafili do kołchozu, z którego wrócili dopiero po wojnie.

W czerwcu 1941 roku Hitler zaatakował Stalina i do Krzemieńca przyszedł nowy okupant. Tata znowu miał sporo szczęścia. Uczył bowiem w słynnym Liceum Krzemienieckim, którego kadra znalazła się na celowniku SS. Mordercy z Einsatzgruppe C w lipcu 1941 roku aresztowali wielu profesorów liceum i innych przedstawicieli lokalnej polskiej inteligencji. Ludzie ci zostali rozstrzelani. W sumie około

trzydziestu osób.

Mój ojciec również miał zginąć w tej egzekucji, udało mu się jednak uniknąć śmierci. I to w dość niecodzienny sposób. Otóż w momencie, gdy przyszło po niego Gestapo... po prostu nie było go w domu. Z zamiłowania był przyrodnikiem i akurat łapał w lesie motyle.

Szukaliśmy możliwości ucieczki z Krzemieńca do Generalnego Gubernatorstwa. Pomogli nam zaprzyjaźnieni kolejarze. Najpierw przemycili moją siostrę i brata. Kilka dni później przyszła kolej na rodziców i na mnie. Przejechaliśmy granicę między Komisariatem Rzeszy Ukraina - na którego terenie znalazło się nasze miasto - a Generalną Gubernią w lokomotywie prowadzonej przez wspomnianych kolejarzy-patriotów. Była jesień 1942 roku. Tak zaczęła się nasza wojenna tułaczka, zakończona w Nowym Sączu w 1944 roku.

W moim domu otwarcie mówiono o tym, czym jest komunizm. Mówiono o straszliwych zbrodniach tego reżimu. O 17 września, deportacjach na Sybir, Katyniu. Rodzice nie mieli żadnych złudzeń. Dlatego gdy w 1944 roku do Polski wkroczyła Armia Czerwona - nie mieli wątpliwości, że to nie jest żadne „wyzwolenie”, lecz nowa okupacja.

Nasze pierwsze zetknięcie z „wyzwolicielami” było zresztą dość charakterystyczne. Otóż rozwścieczony żołdat chciał zastrzelić mamę za to, że nie dała mu wódki. Wtedy ja, choć miałam dopiero pięć lat, uderzyłam go po kostkach łopatką od węgla.

Komunistów nigdy się nie bałam. Wiedziałam bowiem, że są prymitywni i głupi. Ich rządy opierały się na zastraszeniu, na terrorze psychologicznym. Należało im pokazać, że się nie boimy. Tej odwagi nauczyli mnie mama i tato.

Mama zawsze na cały regulator słuchała Radia Wolna Europa. Otwierała przy tym na oścież okna, żeby i inni słyszeli. Mama brzydziła się donosami i konformizmem. Uważała władzę komunistyczną za wroga, z którym nie wolno iść na kompromisy. Kiedy w 1953 roku zmarł Stalin, nauczycielka kazała mi poprowadzić akademię poświęconą zmarłemu „wodzowi”. Wymówiłam się bólem gardła.



*Joanna urodziła się na Wołyniu, ale po wojennej tułaczce jej rodzina osiadła w Nowym Sączu. Od dziecka miała o komunistach jak najgorsze zdanie. Gdy nauczycielka kazała jej poprowadzić akademię ku czci Stalina, wymówiła się bólem gardła.*

Działo się to już w Nowym Sączu, w którym zamieszkaliśmy po wojnie. Nasz rodzinny Krzemieniec znalazł się bowiem w granicach Związku Sowieckiego. Tata w Nowym Sączu uczył w liceum, do którego chodziłam. Po maturze postanowiłam, że na studia pojedę do Gdańska. Wybrałam Wydział Budowy Okrętów. Udało mi się zdać egzaminy.

Niewiele jednak zabrakło, żeby ze studiów nic nie wyszło. Otóż ostatnie wakacje przed studiami spędziłam z siostrą nad Jeziorem Rożnowskim. I wpakowałyśmy się w kłopoty. Kolega, z którym płynęłyśmy łódką, źle zrozumiał jedno z naszych poleceń, w efekcie wykonał zły manewr i zatopił łódkę. Ja wtedy pływałam raczej średnio.

Chłopak popłynął do brzegu, a myśmy zostały na środku jeziora. Łódka - całe szczęście — zachowała w kadłubie trochę powietrza i koniuszek masztu sterczał na powierzchni. Trzymałyśmy się go kurczowo. Staralam się zabawiać moją siostrę opowieścią o... naszych nekrologach. Dla siebie wymyśliłam taki: „Sp. Joanna Duda. Młoda, zdolna, zdała na Wydział Budowy Okrętów z bardzo dobrą lokatą. Zaginęła w sinych odmętach Jeziora Rożnowskiego. Niech spoczywa w pokoju”.

Zawsze byłam optymistką. Nawet w najgorszej sytuacji starałam się nie tracić ducha i zachować poczucie humoru.

W gazecie - koniec końców - o nas nie napisali, bo kolega przyплыł nam na pomoc inną łódką i zostałyśmy uratowane.

Dlaczego wybrałam Wydział Budowy Okrętów, czyli zdecydowanie męski kierunek? Otóż uwielbiałam żeglować, interesowałam się statkami. Ciągnęło mnie do dalekich morskich podróży. Do szerokich przestrzeni. Gdy trafiłam do Gdańska, był rok 1957.

## Andrzej

Męża poznałam w akademiku. Koleżanka, z którą mieszkalam w pokoju, studiowała razem z Andrzejem na Wydziale Elektrycznym. Któregoś dnia ją odwiedził. Rozmawiali, a ja

leżałam na łóżku i czytałam książkę. Kiedy skończyłam, chciałam rozprostować nogi i pooddychać świeżym powietrzem. Zapytałam go, czy by się ze mną nie przeszedł. Była zima, mróz. Poszliśmy nad morze. Tak to się zaczęło.



*Andrzeja poznała w czasie studiów. Przyjaźń wkrótce przerodziła się w miłość. Dziś są najbardziej znanym małżeństwem zaangażowanym w Solidarność.  
Zdjęcie ślubne z 1962 r.*

Okazało się, że mamy wspólne zainteresowania. On też lubił góry. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Ustaliliśmy, że razem z paczką przyjaciół pojedziemy w Bieszczady. Zadeklarowało się chyba z dziesięć osób. Najpierw wszyscy mieli przyjechać do mnie do Nowego Sącza, a stamtąd mieliśmy wyruszyć na naszą wyprawę. Przyjechała jednak tylko jedna osoba. Andrzej.

Pamiętam, że gdy przyszedł do naszego domu, akurat przywieziono nam dwie i pół tony węgla. Tę olbrzymią górę

należało zrzucić do piwnicy. Jak Andrzej to zobaczył, od razu chwycił za łopatę i wziął się do roboty.

Nasze sąsiadki zaczęły wówczas plotkować, że do Dudów przyjechał kawaler i będzie się żenił. Jak się okazało - miały rację. Po dwóch latach znajomości, w 1962 roku, wzięliśmy ślub.

Podobnie jak wiele młodych małżeństw w PRL-u nie mieliśmy własnego lokum. Mieszkań nie można było kupić na wolnym rynku ani wynająć. Jedynym sposobem było zapisanie się do spółdzielni mieszkaniowej. Niestety, w spółdzielniach utworzyły się takie kolejki, że nie przyjmowały już nowych członków. W efekcie przez pięć lat musieliśmy wynajmować pokój u różnych ludzi, tak zwaną sublokatorkę.

To była całkowita prowizorka, do tego nasi gospodarze nie dawali nam żyć. Żądali na przykład, żebyśmy gasili światło o dziesiątej. Na ogół nie było się też gdzie wykąpać. Łazienka była prymitywna, obskurna. Długo czas chodziliśmy myć się do znajomych. W takich warunkach trudno było pracować, nie mówiąc już o gotowaniu. Kuchnia była dla nas zamknięta. Jedliśmy więc głównie w stołówkach i barach mlecznych. Jeden wielki koszmar.

Gdy po trzech latach członkostwa w spółdzielni dostaliśmy wreszcie mieszkanie, to był raj. Euforia. Własna kuchnia, łazienka. Mogliśmy wreszcie zaprosić znajomych.

PRL był krajem nie tylko represyjnym, ale również absurdalnym. Weźmy choćby sprawę papieru toaletowego, którego zawsze brakowało. Dlaczego komuniści produkowali go tak mało? Przecież to nie jest żadna wielka filozofia.

To właśnie brak podstawowych produktów najbardziej dawał się ludziom we znaki. Dla kobiet najdotkliwszą sprawą były ubrania. Dziewczyny - wiadomo - zawsze starały się wyglądać świetnie, nawet w realnym socjalizmie. Szyłyśmy więc sobie ubrania z tak zwanej obiciówki, czyli materiału tapicerskiego, używanego do obicia kanap.

Paradoksalnie teraz - gdy wszystko już można dostać w sklepach - zapanowała moda na niechlujne ubrania. Wówczas w takich strojach nikt by nie poszedł nawet do sklepu po bułki.

Ludzie byli schludni. Jak padła komuna i w latach dziewięćdziesiątych młodzi chłopcy zaczęli chodzić w rozchełstanych koszulach, z wiszącymi z tyłu szelkami albo w spodniach z krokiem kończącym się na kolanach. Nie mogłam na nich patrzeć.

W PRL-u, na przekór wszelkim niedoborom, trzymaliśmy fason. Wbrew rozpowszechnionym stereotypom nikt nie nakrywał do obiadu na gazecie i nie pił ze słoików.

Zycie towarzyskie wówczas kwitło. Na szczęście nie mieliśmy wtedy internetu, który zastępuje prawdziwe życie. Nie pisaliśmy mejli ani esemesów, nie chodziliśmy z nosami w smartfonach. Zamiast tego spotykaliśmy się z przyjaciółmi i rozmawialiśmy. Ponieważ nie mieliśmy komórek, w każdym momencie można było wpaść do znajomych bez uprzedzenia.

Po studiach zaczęłam pracować w Stoczni Gdańskiej, w centralnym biurze konstrukcji okrętowych. Miałam dobry kontakt z robotnikami, szczególnie z tak zwanymi traserami. To byli pracownicy kreślący linie na kawałkach konstrukcji statków, wzdłuż których potem prowadzono cięcia, lub wyznaczający przebieg rurociągów. To byli świetni fachowcy, odpowiedzialni, inteligentni ludzie.

Niektórzy uważają, że pierwszy lepszy inżynier jest mądrzejszy od traserą, ale z doświadczonym traserem, który zjadł zęby na budowaniu statków, niejeden inżynier nie może się równać. Robienie stal ków to nie jest taśma produkcyjna. Każdy statek jest niepowtarzalny. W stoczni trzeba często kombinować, improwizować. Trzeba mieć własne zdanie, podejmować samodzielnie decyzje. Myśleć. Nie przez przypadek to właśnie w stoczni rozpoczęła się Solidarność.

## **„My” i „oni”**

W 1962 roku wstąpiłam do PZPR-u. Dlaczego? Z głupoty. Przyznaję to dziś otwarcie popełniłam fatalny błąd. Nie wierzyłam oczywiście w komunistyczne ideały. Wiedziałam, że to blaga.



Chciałam jednak walczyć z wszechobecnym brakiem sprawiedliwości. Z ludzką krzywdą. Wydawało mi się, że w partii będę miała pole do takich działań. Szybko przekonałam się jednak, że to niemożliwe. Że to partia jest źródłem całej niesprawiedliwości.

Zdecydowana większość jej działaczy to byli zwykli karierowicze. Nie chodziło im wcale o poprawę losu robotników, o żadne „lepsze jutro” z propagandowych sloganów. Chodziło tylko o poprawę własnego losu. Załatwienie sobie czegoś na boku dla siebie i dla swoich znajomych. Partyjniacy nagminnie wykorzystywali swoje wpływy i znajomości, żeby dostać dobra niedostępne dla innych obywateli PRL-u.

Kiedy przejrzałam na oczy, starałam się zrobić wszystko, żeby mnie wyrzucili. Ale oni uparcie starali się mnie zatrzymać. Przestałam płacić składki - zwolnili mnie z tego obowiązku. Nie chodziłam na zebrania - zupełnie się tego nie czepiali. Wydawało mi się, że nie ma sposobu, żeby się od nich uwolnić. I wybuchł Marzec '68.

Na Wybrzeżu działo się to, co w całej Polsce. Pałowanie studentów, zamieszki, wiece, aresztowania. Długie kordony milicji z pałkami. Mój mąż był wtedy asystentem na Politechnice Gdańskiej.

Uznałam, że nie mogę odpuścić, że muszę im wygarnąć prawdę w oczy. Pierwsze zebranie naszej komórki partyjnej odbyło się 7 kwietnia. Wstałam i oświadczyłam głośno, że nie chcę należeć do ugrupowania, które bije na ulicach bezbronnych ludzi. I rzuciłam na stół legitymację. W efekcie opuściłam nie tylko partię, ale również pracę. Wylali mnie. Szybko zatrudniłam się jednak ponownie - nawet w tym samym przedsiębiorstwie, w dziale projektowania automatyki okrętowej.

Co ciekawe, sekretarz partyjny namawiał mnie, żebym nie odchodziła.

- Pani Joanno, teraz już będzie dobrze. Zobaczy pani przekonywał.

- Stłukliście studentów - nie dawałam za wygraną.

- To były warchoły, myśmy musieli to opanować. Ale teraz już będzie prawdziwa demokracja.

- Wasza demokracja za dwa lata skończy się strzelaniem do ludzi - odpowiedziałam i wyszłam, trzaskając drzwiami.

Po grudniu 1970 roku - gdy rzeczywiście doszło do masakry robotników - powiedziano mi, że partyjniacy ze zgrozą powtarzali: „Skąd ta Gwiazdowa wiedziała!?”. A ja po prostu chciałam ich trochę postraszyć. Nie przypuszczałam wtedy, że moje słowa okażą się prorocze.

Pierwsze dni grudniowej rewolty spędziłam w łóżku, bo dopadła mnie grypa. Nie mogłam więc uczestniczyć w demonstracjach i starciach ulicznych, za to Andrzej wykazał się za nas obydwójce. 14 grudnia brał udział w paleniu Komitetu Wojewódzkiego partii i unieszkodliwianiu czołgów, które zaatakowały demonstrantów.



*Wydarzenia Grudnia '70 tylko utwierdziły Joannę w przekonaniu o konieczności walki z komunistami. Władza, która morduje ludzi — w jej przekonaniu — musi odejść.*

Czekałam na niego w domu spokojnie, bo byłam przekonana, że prowadzi zajęcia na politechnice.

Gdy Andrzej wrócił do domu późnym wieczorem, wyglądał jak siedem nieszczęść. Twarz miał całą czarną, z dwiema jasnymiścieżkami na policzkach od łez. Mnie też od razu zachciało się płakać. Nie, nie dlatego, że tak wyglądał. Był po prostu cały przesiąknięty gazem łzawiącym.

Następnego dnia doszło do masakry robotników w Gdyni. Natychmiast dowiedziałam się, co tam się działo. Z pracy zadzwoniliśmy do kolegi, który mieszkał przy głównej ulicy Gdyni. Wystawił słuchawkę przez okno, tak że słyszeliśmy pojedyncze strzały z broni palnej, a potem całe serie. Zginęło wtedy około pięćdziesięciu osób. Uważaliśmy, że była to zemsta komunistów za spalenie komitetu w Gdańsku.

Po tym, co się wydarzyło w grudniu 1970 roku, podział na „my” i „oni” stał się nieunikniony. Wiedzieliśmy już wtedy, że żadnego kompromisu nie będzie. Ze władza, która morduje ludzi, musi odejść. To było nie do wybaczenia.

Święta Bożego Narodzenia po wydarzeniach grudniowych obchodzone były w atmosferze żałoby. Przyzwoiaci ludzie nie poszli również na zabawę sylwestrową. Ten, kto się tej nocy bawił, był od razu wykluczany z towarzystwa. Potem nastąpiło kilka lat spokoju. Czuliśmy jednak, że to dopiero początek, że kolejna konfrontacja narodu z władzą jest tylko kwestią czasu.

## **Kolorowy cukier**

Po grudniu 1970 roku na dobre zaangażowaliśmy się w działalność opozycji. Płaciliśmy za to sporą cenę - na zmianę wyrzucali nas z pracy. Raz mnie, raz Andrzeja. Nie rozpaczaliśmy jednak z tego powodu. Byliśmy młodzi. Pieniądze, jeśli jakieś mieliśmy, wydawaliśmy na przyjemności. To była epoka Gierka, w sklepach pojawiły się — kupione na kredyt - wcześniej niedostępne produkty.

Obydwoje należeliśmy do klubu wysokogórskiego, często

wyjeżdżaliśmy w góry. Ze wszystkich naszych pasji tę jedyną dzielaliśmy obydwój. Ani moje żeglowanie, ani Andrzeja podróżowanie autostopem w naszym małżeństwie się nie przyjęło. Jeden jedyny raz dałam się namówić na podróż autostopem. Jechaliśmy ciężarówką, której poprzednimi pasażerkami były... świnie. Na tym skończyła się moja przygoda autostopowiczki. Powiedziałam Andrzejowi, że nigdy więcej już się na to nie zgodzę. Pozostały nam więc góry.

Latem 1976 roku postanowiliśmy pojechać do Hiszpanii - oczywiście, żeby chodzić po górach. Aby móc wyjechać z kraju, musieliśmy najpierw wystąpić o paszport. W dzisiejszych czasach, kiedy paszport trzyma się w szufladzie i w każdej chwili można udać się, gdzie dusza zapagnie, brzmi to jak groteska. Dowcip żywcem wyjęty z komedii Barei. Tak było jednak naprawdę. Władze komunistyczne pilnowały, żeby obywatele „socjalistycznego raj” przypadkiem nie puciekali. Paszporty trzymały więc pod kluczem.

Paszporty dostaliśmy po długim oczekiwaniu, kiedy już gotowi byliśmy odwołać całą wyprawę. Dlaczego nam je dali? Chyba komuniści woleli, żeby Gwiazdowie byli w dalekiej Hiszpanii niż na miejscu. Tam byliśmy mniej groźni.

Na tym jednak nasze problemy się nie skończyły. Kolejnym wyzwaniem było zdobycie dolarów na wyjazd. Za komuny nie można było pójść do kantoru i wymienić złotówki na walutę. Trzeba było dostać promesę, czyli zgodę na kupienie dolarów w banku. My tej zgody oczywiście nie dostaliśmy. A dolary na czarnym rynku były bardzo drogie. Całe szczęście, że moja siostra mieszkała w Australii. Przysłała nam już wcześniej wymagane trzysta dolarów.

W Hiszpanii było fantastycznie. To był mój pierwszy wyjazd na Zachód, pierwszy raz znalazłam się w wolnym świecie. Już na samym początku miałam śmieszna przygodę. Chciałam kupić cukier. W żadnym sklepie nie mogłam go jednak znaleźć.

W końcu okazało się, że cukier był we wszystkich sklepach. Tylko że ja źle szukałam. Intuicyjnie wypatrywałam bowiem szarych, siermiężnych, papierowych opakowań. Inaczej zapakowanego cukru przecież nigdy w życiu nie widziałam.

Tymczasem w Hiszpanii sprzedawano go w pięknych, kolorowych pudełkach. Tak wyglądało pierwsze zetknięcie kobiety przybyłej z PRL-u z kapitalistyczną rzeczywistością.

Hiszpańskiego uczyłam się z kupionego w PRL-u samouczka. Nie mogłam się z niego dowiedzieć, jak zapytać o cukier, ale za to poznałam zwrot: „Do jakiej partii należysz, towarzyszu?”.

Zawsze planowaliśmy urlop tak, żeby nie stracić z niego ani minuty. Prosto z pracy jechaliśmy na dworzec. Tak samo w drodze powrotnej: prosto z dworca do pracy. Tuż po powrocie w pracy, podczas przerwy śniadaniowej, wyjęłam z plecaka bułeczki z szynką, których nie zjadłam w samolocie. Kolegom na widok tych zachodnich specjałów aż oczy wyszły na wierzch. Jeszcze bardziej jednak zdziwili się na mój widok. Myśleli, że zostaniemy na Zachodzie na zawsze.

Po powrocie z Hiszpanii kupiliśmy radio i zaczęliśmy słuchać Wolnej Europy. Jedna z pierwszych audycji, jakie usłyszeliśmy, informowała o tym, że KOR jest prześladowany i prosi o wsparcie. Napisaliśmy więc w obronie KOR-u list otwarty do Sejmu PRL. Odbił się on dość głośnym echem. W ramach represji władze nałożyły na nas zakaz opuszczania PRL-u.

Wysłaliśmy też Halinie Mikołajskiej znanej aktorce, członkini KOR-u pięć tysięcy złotych. Oczywiście na potrzeby organizacji. To wystarczyło, żeby bezpieka założyła nam podsłuch, prowadziła inwigilację.

Podjęliśmy współpracę z Biurem Interwencji KOR-u. Andrzej w 1978 roku został jednym z założycieli Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Wspólnie redagowaliśmy i wydawaliśmy „Robotnika Wybrzeża”. Kolportowaliśmy niezależne wydawnictwa. Andrzej był wielokrotnie zatrzymywany przez SB. A ja wzięłam udział w głodówce protestacyjnej przeciwko aresztowaniu działaczy czechosłowackiej Karty 77. Zaczęliśmy ostro stawiać się komunie.

## Rok 1980

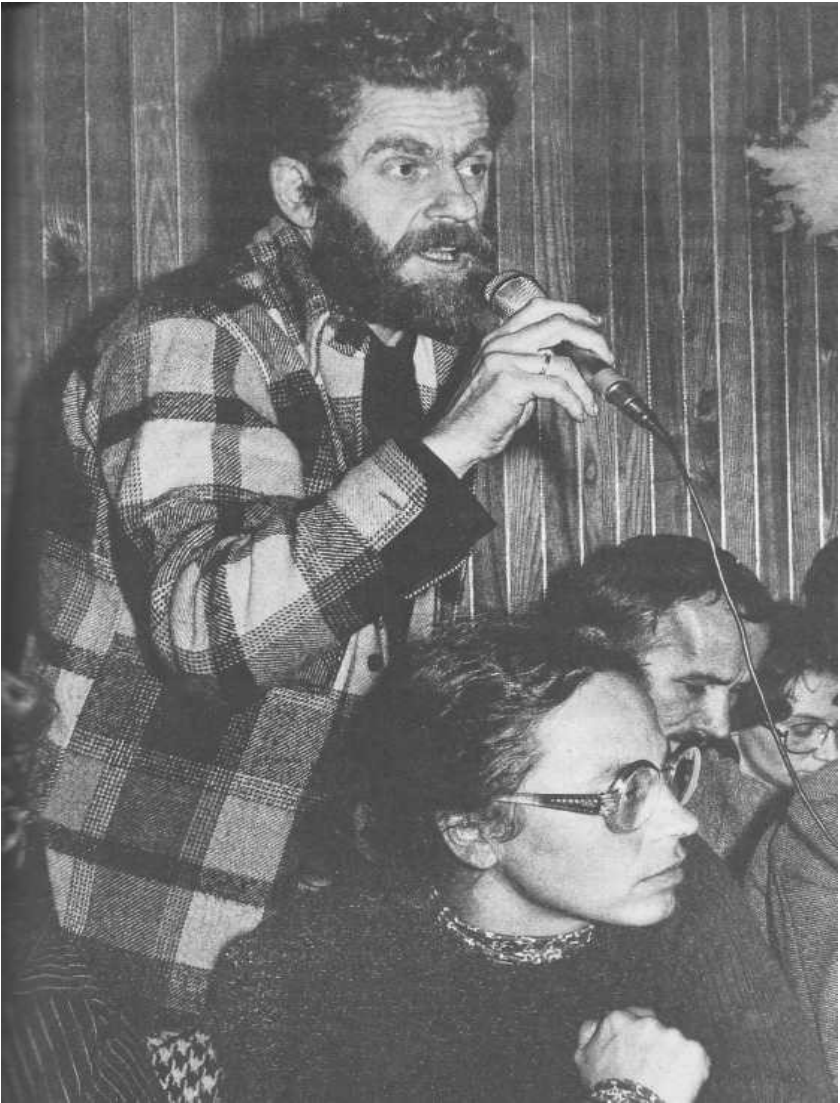
O mały włos, a w sierpniu 1980 roku nie byłoby nas w Gdańsku. Wyjechaliśmy bowiem w góry. Na początku sierpnia dostaliśmy jednak wiadomość, że mama Andrzeja ciężko zachorowała. Trafiała do szpitala. Czym prędzej się spakowaliśmy i wróciliśmy do domu.

Sytuacja na miejscu była napięta. Wielki strajk wisiał w powietrzu. Bezpośrednim bodźcem okazało się wyrzucenie z pracy Anny Walentynowicz. W czwartek 14 sierpnia rano mieliśmy już wszystko przygotowane. Ulotki, apele, instrukcje, „jak strajkować”. Tego dnia stocznia stanęła, a w ślad za nią inne zakłady Wybrzeża. Między innymi Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

Wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Andrzej zauważył, że w dniu wybuchu strajku po raz pierwszy od dawna nie miał esbeckiego ogona. Do tej pory śledzono nas non stop. Andrzej znalazł również plik ulotek wydrukowanych na profesjonalnych maszynach drukarskich, które były zrzucone z helikopterów! Dziś myślę, że strajk był po części prowokacją służb. Komuniści chcieli wprowadzić pewne zmiany i byliśmy im potrzebni jako dźwignia, która wprowadzi cały proces w ruch.

Wróćmy jednak do tego, co działo się w stoczni. 16 sierpnia dyrekcja zaakceptowała część postulatów robotników. Między innymi zgodziła się na podwyżkę płac o półtora tysiąca złotych. W efekcie Lech Wałęsa poddał strajk! Wraz z Andrzejem i działaczką opozycyjną Marylką Płońską nie zostaliśmy wpuszczeni do sali BHP, gdzie trwały negocjacje komitetu strajkowego z dyrekcją stoczni. Słyszeliśmy jednak wszystko przez megafony.

To była decyzja Wałęsy, że nie zostaliśmy wpuszczeni. Wraz z nim działał Bogdan Borusewicz. Po tym, gdy poddał strajk, Wałęsa zaczął śpiewać hymn. Nikt mu jednak nie zawtórował. Ludzie czuli, że stało się coś niedobrego. Że to nie tak powinno być. Że nie wolno tak łatwo dawać za wygraną, zadowalać się byle czym. Marnować szansę na prawdziwą zmianę. My też tak uważaliśmy.



*Razem z mężem brała czynny udział w strajkach robotniczych na Wybrzeżu. Kiedy poddał się strajk w Stoczni Gdańskiej, zorganizowali nowe centrum dowodzenia w Elmorze.*

Jak najszybciej pobiegliśmy do pobliskiego Elmoru, czyli Zakładów Okrętowych Urządzeń Elektrycznych i Automatyki. Cel: zorganizować tam nowe centrum dowodzenia. Chodziło o to, żeby inne zakłady, które podjęły strajk, nie zaprzestały go tak jak stocznia. Musieliśmy ratować sytuację. Przecież nie tak to miało wyglądać! Tyle pracy nie mogło pójść na marne!

W Elmorze odzyskaliśmy wiarę w ludzi. Załoga tego zakładu zachowała się bohatersko. Wszyscy jak jeden mąż stali na placu. Strajk trwał. Kiedy przyszedł Andrzej, wszyscy chcieli się dowiedzieć, co robić dalej.

- Słuchajcie! - krzyknął Andrzej. - Stocznia zdradziła. Musimy powołać międzyzakładowy komitet strajkowy. Jedziemy namawiać pozostałych strajkujących do przyłączenia się do nas, ale wcześniej muszę znać odpowiedź na pytanie...

Andrzej zawiesił głos, na placu zapanowała cisza jak makiem zasiał.

.. .czy Elmor nas nie zdradzi? - dokończył. - Musicie świadomie- podjąć decyzję, bo gra toczy się o wielką stawkę. Mogą spaść na

was ciężkie represje. Może dojść do tego, że Elmor zostanie rozwiązany. Możecie znaleźć się na bruku, bez pracy i bez perspektyw. Taka może być zemsta komunistów. Kto jest z nami, niech podniesie rękę.

Natychmiast nad tłumem wzniosł się las rąk. Nie podniosły ich chyba tylko ze dwie osoby.

Z Elmoru wzięliśmy starą zakładową nysę. Benzyny w baku było na styk, ale jakoś udało nam się wszędzie dotrzeć. Objechaliśmy wszystkie duże zakłady i wzywaliśmy robotników, aby kontynuowali strajk. Nie kapitulowali. Kiedy wracaliśmy do Elmoru, zauważyliśmy na murze stoczni młodego robotnika z białą-czerwoną flagą. Powiedział, że strajk się utrzymał, zostało niewielu ludzi, więc wszyscy siedzą na murach, żeby miasto wiedziało, że zakład się nie poddał.

Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska i Ewa Osowska powstrzymały robotników przed wyjściem z zakładu. Wałęsa musiał zgodzić się na wznowienie strajku. Centrum znowu



przeniosło się do stoczni. Tam powołaliśmy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy

Liczba strajkujących zakładów szybko rosła i należało to wszystko skoordynować.

Oboje z Andrzejem weszliśmy w skład prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. W nocy z 16 na 17 sierpnia opracowaliśmy słynne 21 postulatów, które zostały postawione władzom. Chodziło o legalizację niezależnych związków zawodowych, zniesienie cenzury, ukrócenie partyjnego nepotyzmu i zwolnienie więźniów politycznych. Ale również o poprawę bytu robotników. Podwyżkę płac, poprawę zaopatrzenia w żywność, dostępność mieszkań i przedszkoli.

Od tamtej pory, kiedy strajk rozpoczął się na dobre, dzień zlewał się z nocą. Właściwie prawie w ogóle nie spaliśmy. Tyle było do zrobienia!

Ania Walentynowicz prawie całą noc musiała przekonywać księdza Henryka Jankowskiego, aby w niedzielę 17 sierpnia odprawił mszę świętą w Stoczni Gdańskiej. Z kolei księdza Hilarego Jastaka nie trzeba było namawiać do odprawienia mszy w stoczni gdyńskiej. Wziął taksówkę, a kiedy milicja ją zatrzymała, ksiądz Jastak wysiadł z samochodu i z hostią w rękach ruszył do stoczni. Zomowcy na ten widok ukłękli.

Przez dwa tygodnie spaliśmy na złożonych krzesłach, na stołach lub na podłodze. Gdzie popadnie. Za szczęściarza uważał się ten, kto dorwał wycieraczkę. Z jedzeniem też był kłopot, bo przecież nie jest łatwo wykarmić szesnaście tysięcy strajkujących ludzi. Od pierwszych dni z pomocą pośpieszyli nam mieszkańcy Trójmiasta. Podawali przez bramę lub płot jedzenie. Potem dołączyli okoliczni rolnicy, którzy przywozili do stoczni większe ilości produktów.

Milicji to się oczywiście nie podobało i wprowadziła blokadę. Chcieli wziąć nas głodem. Wtedy Andrzej wpadł na pomysł, żeby powiedzieć dziennikarzom - było wśród nich wielu zagranicznych korespondentów - że niektóre wydziały postanowiły rozpocząć głodówkę. Bez żadnego przygotowania. Ostrzegł reporterów, że to może się fatalnie skończyć. Następnego dnia milicja dopuściła żywność do stoczni.

Mieliśmy dużą salę BHP, w której zawsze toczyły się obrady Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Na ogół obradowaliśmy do późnej nocy. Strajk to nie był dla nas rodzaj urlopu - jak to niektórzy sobie wyobrażają - to była ciężka, wyczerpująca praca. Padałam z nóg.

Władze nie chciały uznać Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. 19 sierpnia wysłaliśmy do premiera Edwarda Babiucha pismo wzywające rząd do rokowań. Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Kontrastowało to wyraźnie z nastrojami społeczeństwa. Przed stoczną zbierały się olbrzymie tłumy, oczy całej Polski - i nie tylko - były zwrócone na Wybrzeże.

Komuniści starali się nas ograć. Przysłali do Gdańska komisję - na jej czele stał wicepremier Tadeusz Pyka - która starała się dogadać za plecami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z załogami niektórych strajkujących zakładów. To było poważne zagrożenie. Komuniści za wycofanie się ze strajku oferowali bowiem znaczne podwyżki płac. Czuliśmy, że sytuacja wymyka się nam spod kontroli. Dwa duże zakłady - Stocznia Remontowa i Stocznia Północna — podjęły negocjacje z Pyką i jego ludźmi.

W takich sytuacjach wpada się na najlepsze pomysły. Andrzej z Anią Walentynowicz w przypiływie desperacji wzięli wózek akumulatorowy i przez most pojechali na wyspę Holm do Stoczni Remontowej. Tam spod bramy - przez blaszaną tubę - nawoływali robotników do zerwania rokowań z komunistami.

Na początku załoga nie chciała słuchać tego, co Ania i Andrzej mieli im do powiedzenia. Zdecydowała się już bowiem pójść na ugodę - wziąć pieniądze i wrócić do pracy. Wtedy Ania zaczęła mówić im o solidarności. Solidarności robotników. Solidarności Polaków. To zrobiło na nich wrażenie. Zadziałało. Strajk nie został przerwany, komisja Pyki z podkulonym ogonem wróciła do Warszawy. A od tego dnia słowo „solidarność” stało się hasłem naszego strajku. Tak, Ania była wspaniałą, dzielną kobietą.

Jej akcja otworzyła drogę do rokowań między Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym a Komisją Rządową. Komuniści nie mieli już wyboru, musieli usiąść z nami do rozmów.

Strajk zakończył się po dwóch tygodniach, nasze postulaty zostały przyjęte. 31 sierpnia 1980 roku zostały podpisane porozumienia sierpniowe. Władza — co wydawało się wcześniej niemożliwe - poszła na ustępstwa.

Związek — któremu nadaliśmy nazwę „Solidarność” - został zalegalizowany. Andrzej został jego wiceprzewodniczącym. Przewodniczącym był Lech Wałęsa. A ja znalazłam się w prezydium. Rozpoczęła się straszna harówka, wszystko trzeba było zorganizować, stworzyć struktury. Przecież nikt właściwie nie wiedział, jak taki związek ma wyglądać. A w szeregach Solidarności znalazło się wkrótce kilka milionów Polaków.

Niestety, wszystko przerwało wprowadzenie stanu wojennego. W tym miejscu powinnam wyjaśnić, dlaczego tego ranka spaliliśmy takim twardym snem, że nie usłyszeliśmy wyłamywania zamków. Otóż cały 12 grudnia spędziliśmy na działalności solidarnościowej. Oboje wróciliśmy bardzo późno, ślaniając się na nogach. Andrzej z zebrania Komisji Krajowej, a ja z zebrania w Gdyni.

Położyliśmy się spać bez kolacji - nie mieliśmy nawet siły ruszyć palcem. Nie nastawiłam budzika, jak co dzień, bo marzyłam, żeby się wreszcie porządnie wyspać. W końcu następnego dnia była niedziela. Niestety, znowu się nie wyspaliśmy — bezpieka nam nie dała.

## **Nowalijki w miednicy**

W ośrodku internowania w Strzebielinku komuna zgromadziła wszystkich zatrzymanych z rejonu gdańskiego. Wpakowali nas do dużych cel, po kilkanaście osób w jednej. Cella jak cella. Kraty w oknach, wuce w rogu, jakaś umywalka, piętrowe nary. O dziwo, była nawet czysta pościel.

Andrzej został w Strzebielinku, a mnie — wraz z innymi kobietami - przewieziono następnego dnia do aresztu śledczego na Kurkowej w Gdańsku. Cella tam to dopiero było kuriozum! Na samym środku stał lśniący, nowiutki klozet. Zważywszy na mikroskopijne rozmiary celi, wyglądało to dziwnie. Jak

koleżanka nacisnęła spłuczkę, zawartość muszli klozetowej wyleciała na zewnątrz i spadła prosto na jej łóżko.

Do podobnych dziwactw byłam już jednak przyzwyczajona. Przed stanem wojennym - w czasie mojej działalności w Solidarności - często mnie zatrzymywano i miałam do czynienia z różnymi rygorami i warunkami sanitarnymi. Najgorszej było w aresztach milicyjnych na komendach, czyli tak zwanych dołkach, gdzie zatrzymywano na czterdzieści osiem godzin. W aresztach śledczych było już nieco lepiej, a w więzieniach - do których trafiali ludzie po wyrokach sądowych - „najlepiej”.

Pewnego dnia przyjechaliśmy z Andrzejem do Warszawy, żeby coś załatwić, i pech chciał, że trafiliśmy na kocioł u Jana Lityńskiego. Oczywiście nas zgarnęli. Trafiliśmy do komendy w Pałacu Mostowskich, „na dołku” zamiast toalety w kącie celi stała parasza, czyli śmierdząca beczka, do której trzeba było się załatwiać. Z kolei w gdańskim areszcie milicyjnym na Białej w ogóle w celi nie było kibla. Trzeba było stukać w drzwi, żeby przyszedł klawisz i zaprowadził aresztanta do wychodka. W „dołkach” zawsze było brudno i zimno, często nie dostawało się nawet koców. A nawet jak je dali? były tak brudne, że człowiek brzydził się nimi przykryć.

Wróćmy jednak do stanu wojennego i aresztu na Kurkowej. Tam również nie siedziałam długo, bo wśród milicjantów wybuchła panika, że tłum będzie nas odbijać. Faktycznie z ulicy dochodziły wyraźne odgłosy walk ulicznych. Stocznia próbowała strajkować; zomowcy jednak strajk spacyfikowali.

Ostatecznie święta Bożego Narodzenia spędzałam w bydgoskim więzieniu Fordon. Przed Wigilią zrobiłyśmy gruntowne czyszczenie celi. Trzepałyśmy koce, wszystko wyszorowałyśmy. Na wieczerzę wigilijną dostałyśmy po kubku barszczu i dwa małe klopsiki rybne. Oczywiście śpiewałyśmy kolędy.

Naczelniczka Fordonu nie miała jakichś szczególnie złych intencji wobec politycznych. Natomiast jej zastępca był zwykłym sadystą. Dowiedziałam się, jak traktował Elę Wieczorek, robotnicę z fabryki baterii. Była drobna, nerwowa, zniszczona od unoszących się w fabryce chemicznych oparów.

Miała dwójkę dzieci. Siedziała w więzieniu razem z Anią Walentynowicz, która opowiadała mi, że ten bydlak przychodził do niej do celi i bił ją pękiem kluczy, a nawet próbował przypalać jej skórę papierosem.

Wyprowadzali nas na spacer, ale nie na normalny spacer dla więźniów, ale w okolice kotłowni. Mogłyśmy dreptać po niewielkim placu między stertami węgla. Podczas jednego ze spacerów nudziło nam się bardzo i wpadłam na pomysł, żeby zaśpiewać międzynarodówkę. „Bój to jest nasz ostatni! Krwawy skończy się trud! Gdy związek nasz bratni, Ogarnie ludzki róóóóóóóóóó!!!” - zaintonowałam na całe gardło.

Dziewczyny były zachwycone. Gorzej zareagowali strażnicy. Momentalnie w więzieniu rozległ się alarm i na nasz plac wyskoczyli kławiszki w pełnym uzbrojeniu. W kaskach i z pałami. Byli wściekli, siłą zaciągnęli nas do cel. Do dziś nie rozumiem, dlaczego ta rewolucyjna pieśń wywołała taką reakcję. Komuniści powinni się przecież cieszyć, że się resocjalizujemy.

Po Fordonie była Gołdap. Ośrodek czasowy zamieniony na ośrodek internowania. Należał on do Macieja Szczepańskiego, słynnego szefa reżimowej telewizji, znanego z zamiłowania do koni, pańienek i luksusowych szampanów. Budynek był zbudowany na starym bunkrze, chyba jeszcze z czasów Hitlera.

W każdym pokoju była łazienka z prysznicem, miękkie, wygodne kanapy, zupełnie jak w hotelu. Było bardzo czysto. Za to jedzenie - paskudne! Podawali nam jakieś spleśniałe kluski. Robiłam o to straszne awantury. Mówiłam naczalstwu, że zanim się wypowie wojnę narodowi, wypadałoby się zaopatrzyć w przyzwoity makaron.

Z Gołdapi przeniesiono mnie do Darłówka. Tam zaliczyłam obowiązkową wizytę u ginekologa. Wszystkie cierpiałyśmy tam bowiem na rzesistek. W Darłówku panował niebywały brud w sanitariatach, pościel była niedoprana. Na całe piętro przysługiwała nam jedna miednica. Nic dziwnego, że wkrótce wybuchła epidemia. Dostałyśmy jakiś antybiotyk.

Do Darłówka docierały paczki, nawet w dużych ilościach. Pomysły niektórych ofiarodawców były dosyć egzotyczne. Z

Norwegii dostałyśmy na przykład przeterminowane racje żywniowe z okrętowych łodzi ratunkowych.

To, co się działo w Polsce, wywoływało wówczas wielkie zainteresowanie za granicą. Chyba pół świata starało się dokarmiać biednych polskich internowanych. Od wszystkich specjałów z paczek z Zachodu najlepsza okazała się miednica pełna nowalijek, którą dostałyśmy wiosną od okolicznych mieszkańców. Rzodkiewki, szczypiorek, koperek. Wszystko świeże, chrupiące, pachnące. Palce lizać! Nie było nic pyszniejszego niż taka sałata. Gajka Kuroniowa nauczyła mnie robić do niej sos winegret.

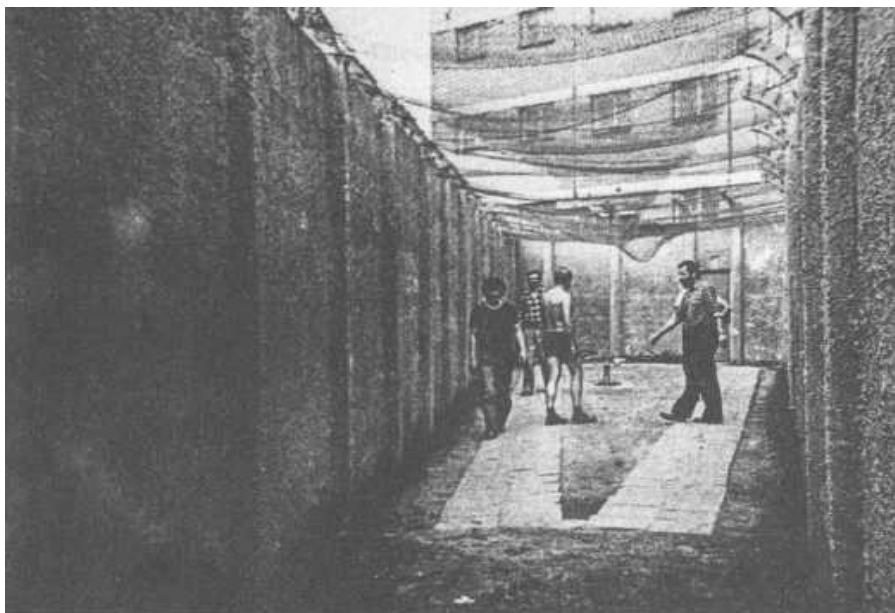
## **Rocznica na Białoleńcu**

Wyszłam na wolność 22 lipca 1982 roku. Dzięki amnestii. Nie przypominałam przestępców z amerykańskich filmów, którzy opuszczają więzienie z małą walizczką w rękach i mrużą oczy przed światłem słonecznym. Oczywiście zawsze przed murem więziennym czeka na nich kumpel w luksusowym samochodzie.

Ja wyszłam z więzienia, targając w rękach dwie plastikowe torby, wypchane po brzegi książkami. Na szczęście moja siostra zabrała wcześniej mój zimowy płaszcz i kozaki. Mimo to wszystko leciało mi z rąk. Dodatkowo wzięłam trochę jedzenia z paczek, żeby się nie zmarnowało - wychodziłam bowiem jako ostatnia z naszej celi.

1 sierpnia 1982 roku stawiałam się w pracy w Centrum Techniki Okrętowej. Wróciłam tam przed samym stanem wojennym, gdy przesiałam zasiadać w prezydium Solidarności. Koleżanki, które w momencie zatrzymania były na etatach związkowych, wychodziły z obozu internowanych jako bezrobotne.

Oczywiście wróciłam do działalności podziemnej. Nie było to jednak łatwe. Kontakty się pourywały. Część znajomych siedziała w więzieniach, część wyjechała, a jeszcze inni ukrywali się.



*Andrzeja oskarżono o próbę obalenia ustroju. Groziła mu za to kara śmierci. Przez siedem miesięcy Gwiazdom odmawiano widzenia. Na zdjęciu: typowy spaceriak z tamtych lat.*

W ciekawy sposób obchodziliśmy z Andrzejem naszą dwudziestą rocznicę ślubu. Otóż mój mąż siedział na warszawskiej Białołęce i udało mi się na ten dzień załatwić widzenie. W kwaciarni na Dworcu Centralnym w Warszawie znalazłam piękne róże. Kupiłam całe naręczce i wkroczyłam z nim triumfalnie do pokoju widzeń. A tam Andrzej już czekał na mnie z pięknym bukietem... storczyków. Przebił mnie. Nie zapomnę tej rocznicy do końca życia.

Niestety, sytuacja Andrzeja była beznadziejna. Abolicja, która dotyczyła wszystkich internowanych 13 grudnia, nic objęła jego.

Mój mąż i jeszcze dziesięciu czołowych działaczy Solidarności i KOR-u zostało aresztowanych z artykułu 122 kodeksu karnego. Według władz PRL-u dopuścili się „wielkiej zbrodni”,

próbowali bowiem „obalić ustrój siłą”. Ponieważ o ich sprawie zrobiło się głośno za granicą, władze PRL próbowały skłonić członków tej grupy do wyjazdu z kraju. Nikt jednak tej „oferty” nie przyjął.

Znajomi przychodzili do mnie i namawiali mnie, żebym poszła do generała Kiszczaka i poprosiła go o wypuszczenie Andrzeja na emigrację. Ale Andrzej przecież nie chciał wyjeżdżać! Jego miejsce było tu, w Polsce. Jak się ma karaluchy w domu, to się kupuje środek do dezynsekcji, a nie zmienia mieszkanie.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1982 roku całą jedenastkę przewieziono do aresztu śledczego na Mokotowie. Oskar żenie z artykułu 122 kodeksu karnego groziło karą śmierci. Po tem zmieniono kwalifikację na „przygotowania do próby obalenia ustroju”, za co groziło już „tylko” wieloletnie więzienie.

Przez siedem miesięcy odmawiano nam jednak widzeń. Polem nasze spotkania odbywały się przez szybę, przy kontrolującym strażniku. W każdej chwili mógł on wyłączyć słuchawki, przez które rozmawialiśmy. To był dla mnie bardzo ciężki okres.

W uwolnienie „jedenastki” zaangażował się prymas Józef Glemp, zaproponował objęcie uwieczonych amnestią w zamian za pisemne zobowiązanie do wycofania się z działalności opozycyjnej na okres pięciu lat. Na to jednak uwięzieni działacze również się nie zgodzili

Ostatecznie wszyscy zostali uwolnieni na mocy amnestii z 22 lipca 1984 roku. Wreszcie!

Do naszego mieszkania nieustannie przychodziło wiele osób, aby powitać Andrzeja i z nim porozmawiać. O odpoczynku w tych warunkach nie było mowy. Mimo że był już wrzesień, zdecydowaliśmy się wyjechać w góry. Jak zwykle z namiotem. Wysiłek fizyczny był jedynym sposobem, aby Andrzej pozbył się chorobliwej więziennej opuchlizny. Więźniowie byli szprycowani środkami uspokajającymi, czego konsekwencją było to, że zamiast mięśni robiła się galareta.

16 grudnia 1984 roku uczestniczyliśmy w manifestacji



zorganizowanej z okazji rocznicy wprowadzenia stanu wojennego i wydarzeń Grudnia '70. Andrzej w pewnym momencie rzucił się w obronie młodego chłopca pałowanego przez ZOMO i po walce z milicjantami sam został zatrzymany. Co ciekawe, oskarżono go nie o „czynną napaść na funkcjonariuszy”, ale o to, że trzymał transparent z „kontrewolucyjnym” hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Sąd w Gdańsku skazał go na trzy miesiące więzienia.

W święta Bożego Narodzenia zorganizowałam w obronie Andrzeja głódówkę. W kościele św. Stanisława Kostki głodowało kilkanaście osób, między innymi Ania Walentynowicz. Ku mojemu zmartwieniu Andrzej dowiedział się o naszej akcji i również głodował w więzieniu.

Po wyroku przewieziono Andrzeja do Wodzisławia Śląskiego, gdzie odbył się kolejny proces. Chodziło o jego wcześniejsze, krótkotrwałe zatrzymanie w Jastrzębiu. Byłam na sali sądowej i mogę powiedzieć, że to, co wyprawiał sędzia, przechodziło ludzkie pojęcie.

Kiedy w Jastrzębiu milicjanci pakowali Andrzeja do „suki”, zdążył wykrzyknąć nasz numer telefonu. Jacyś porządni ludzie zadzwonili do mnie, żeby poinformować mnie o tym, co się stało. Tymczasem sędzia uznał okrzyk Andrzeja za... gloryfikowanie wystąpień antypaństwowych. Nasz telefon zaczynał się bowiem od cyfr 56...

Zeznania świadków wzajemnie się wykluczały. Jeden zeznawał, że Gwiazda „czaił się za autobusem”, drugi twierdził, że „demonstracyjnie przechadzał się przed autobusem z dużą reklamówką z napisem «Solidarność»”. Sędzia w końcu przyznał, że wprawdzie widzi pewne sprzeczności w tych zeznaniach, ale i tak Andrzejowi należy się kara. Za co? Za całokształt. Dostał pięć miesięcy więzienia.

Andrzej wyszedł na wolność 15 maja 1985 roku, a sędzia, który go skazał, już w wolnej Polsce awansował na prezesa sądu w Wodzisławiu.



*Kiedy Andrzej siedział w więzieniu, Joanna sama brała udział w demonstracjach. Na zdjęciu: demonstracja z 1 maja, obok Joanny Anna Walentynowicz.*

## **Zmiana maski**

To był ostatni pobyt Andrzeja w więzieniu. Mnie też już nie zamknęli. Sytuacja zaczynała się zmieniać, władze komunistyczne szykowały się do swojej wersji „pierestrojki”. Odkręciły nam śrubę. W 1987 roku dostaliśmy nawet paszporty i pojechaliśmy do Londynu. Irena Lasota zorganizowała nam podróż do Stanów Zjednoczonych. Pojechaliśmy tam na zaproszenie Fundacji Demokratycznej. Objechaliśmy całą Amerykę i Kanadę. Na każde spotkanie przychodziły tłumy, oczywiście byli to Polacy. Nie bylibyśmy sobą, gdybyśmy nie urwali się na kilka dni, żeby zobaczyć Góry Skaliste.



*Za swoje zasługi w walce opozycyjnej została uhonorowana tytułem Damy Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski.*

Eksplozja radości, do której doszło w 1989 roku, bardzo mnie zdziwiła. Ludzie cieszyli się, że „komuna padła”. Ale ja tego w ogóle nie zauważyłam. To, co się stało, to była tylko zmiana maski. Komunistom nie spadł włos z głowy, zachowali swoje wpływy i majątki. Przy Okrągłym Stole dogadali się z częścią opozycji, która zapewniła im nietykalność.

Obok siebie przy Okrągłym Stole siedzieli Czesław Kiszczak i Lech Wałęsa. A więc szef bezpieczeństwa i jej agent - „Bolek”. I razem ustalali, jak zrobić społeczeństwo w konia. Nikogo nie obchodziło, że w tym samym czasie, kiedy czyniono przygotowania do obrad Okrągłego Stołu, bezpieka mordowała działających w opozycji księży. A Kiszczak mataczył w sprawie zabójstwa księdza Popiełuszki.

W efekcie esbecko-partyjna sytuacja zawładnęła polską

gospodarką. Ci ludzie przy Okrągłym Stole dostali wszystko i stworzyli potężną mafię. Choć rozwiązano SB, to pozostawiono WSI, czyli służby wojskowe. Nie mniej represyjne i zdemoralizowane od bezpieki. Tadeusz Mazowiecki wystąpił zaś z koncepcją „grubej kreski”. Czyli darowania win komunistycznym zbrodniarzom. To był gwałt na sprawiedliwości. Dla mnie, podobnie jak dla tysięcy innych działaczy i działaczek Solidarności, to było wielkie rozczarowanie. Nie tak sobie wyobrażaliśmy nasze zwycięstwo nad komuną. Ten sukces miał dla nas bardzo gorzki posmak.

Czy działając w Solidarności, się bałam? O siebie — nie. O męża - bardzo. Andrzej z perspektywy władz był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Był bezkompromisowym przeciwnikiem komuny. A przecież bezpieka nie przebierała w środkach. Była niezwykle brutalna.

Bałam się również o jego zdrowie, nadszarpnięte, gdy — jako dziecko — został deportowany przez Sowieców na Sybir. Andrzej w PRL-u siedział naprawdę w kiepskich warunkach. Był fatalnie żywiony, karnie trzymany w karczerze, czyli ciemnym pomieszczeniu. Cały czas posyłałam mu paczki. Żeby dostarczyć mu jak najwięcej witamin, do masła dodawałam czosnek, cebulę.

Andrzej z kolei martwił się o mnie. Wiedział, że kiedy siedzi w więzieniu, nie przestawałam działać. Muszę przyznać, że czasem posuwałam się do różnych histerycznych zachowań. Choćby w więzieniu. Co ciekawe, na ogół przynosiły one skutek. Wiadomo bowiem, że mężczyzna z pistoletem jest niczym w porównaniu z „rozwścieczoną babą” z parasolką lub wałkiem. Władze komunistyczne jak ognia bały się kobiet Solidarności. Byłyśmy bowiem zacięte, pewne siebie, nie dawałyśmy sobie w kaszę dmuchać.

W 2000 roku przeszłam na emeryturę i wtedy zaczęło się dla mnie nowe życie! Wreszcie mogłam odpocząć. Oczywiście aktywnie! Cały czas jeździmy z mężem w góry. Schodziliśmy Dolomity, Pireneje, a nawet Kungsleden, czyli Szlak Królewski w Szwecji. Dużo czytamy, udzielamy wywiadów, staramy się być na bieżąco z wydarzeniami politycznymi.



*Wędrówki po górach to jedna z pasji, którą dzieli z mężem. Po przejściu na emeryturę ma jeszcze więcej czasu, by ją realizować. Na zdjęciu: we włoskich Dolomitach, 2000 r.*

Mieszkamy w tym samym bloku na gdańskiej Oliwie, z którego wyprowadzono nas nad ranem 13 grudnia 1981 roku. Mamy tylko jeden problem. Otóż w PRL-u bezpieka cały czas robiła u nas rewizje i zawsze przy okazji rekwirowała masę książek i papierów. W ten sposób udawało mi się utrzymywać jako taki porządek w mieszkaniu. Od naszej ostatniej rewizji w 1986 roku minęło jednak trzydzieści lat i - jak pani widzi - toniemy w papierach. Jednak ta bezpieka na coś się przydawała.

*Joanna Gwiazda*

**OLGA**  
CÓRKA „WILKA”



**B**ezpieka doprowadziła do śmierci mojego ojca. Nazywał się Aleksander Krzyżanowski. Był pułkownikiem Wojska Polskiego, dowódcą Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej. Nosił pseudonim Wilk. W lipcu 1944 roku dowodził operacją „Ostra Brama”. Czyli akcją wyrzucenia z Wilna Niemców.

Po zakończeniu bitwy dowódca Armii Czerwonej zaprosił ojca i jego oficerów na „rozmowy sojusznicze”. Odbywały się przy uroczystej kolacji. Kiedy wybiła północ, żołnierze polscy i sowieccy mieli wznieść wspólny toast. Po kieliszki sięgnęli jednak tylko Polacy. Sowietci wykorzystali ten moment i sięgnęli po pistolety, które przystawili polskim żołnierzom do skroni. Nasi oficerowie zostali aresztowani.

Tak przynajmniej głosi legenda. Według innej, mniej spektakularnej wersji, ojciec po prostu został zaproszony przez Sowietów na spotkanie. I tam z miejsca go rozbrojono i aresztowano.

Ojciec był w sowieckiej niewoli trzy lata. Najpierw trzymali go w więzieniu w Wilnie, potem w moskiewskich Butyrkach. Kiedy wrócił do Polski w 1947 roku, został zatrzymany przez bezpiekę. Tym razem został zamknięty w więzieniu na Rakowieckiej na warszawskim Mokotowie. W efekcie ojca bardzo mało widywałam. To najtragiczniejsza karta mojego życia...

Wychowały mnie właściwie kobiety. Mama, ciotki i babcia. Mężczyźni walczyli w kampanii wrześniowej, a potem w Armii Krajowej. Wszystko więc zostało na głowie kobiet. Nie przeszkadzało im to działać aktywnie w konspiracji. Kobiety bowiem miały i mają niesamowitą zdolność godzenia ze sobą różnych obowiązków. Dzieci świetnie łapią nastrój domu. U nas nie było narzekania, nie było użalania się nad sobą. Nawet jak było bardzo ciężko, jak nie było co jeść. Wpojono nam przekonanie, że nigdy nie wolno się poddawać. Ze trzeba się trzymać — w każdej, choćby najbardziej dramatycznej, sytuacji.



*Rodzice Olgi rozeszli się, gdy ta miała zaledwie siedem lat. Jej matka nie była przygotowana do roli żony oficera.*

Mój ojciec był od mamy o kilkanaście lat starszy. To właśnie ta różnica wieku, niedojrzałość mojej mamy, była powodem ich rozstania. Rozeszli się jeszcze przed wojną, gdy miałam siedem lat. Kiedy byłam już starsza, mama tłumaczyła mi, że była zbyt młoda na wczesne małżeństwo.

Chciała się bawić, żyć pełnią życia. Nie była przygotowana do roli żony wojskowego, oficera przedwojennej armii polskiej, który był bardzo poważnym, zasadniczym i mądrym człowiekiem. Moja matka nigdy nie mówiła o ojcu źle. Ojciec też zawsze mówił o mamie z szacunkiem jako o wspaniałej kobiecie. Mimo że na pewno został zraniony. Do końca życia pozostali jednak przyjaciółmi.

Ojciec, jako zawodowy wojskowy, w 1939 roku poszedł na front. Walczył z Niemcami w bitwie nad Bzurą. Opowiadał potem, że widział, jak rzeka zrobiła się czerwona od ludzkiej



krwi... Po klęsce nie poszedł do niewoli. Chciał dalej walczyć - tym razem w konspiracji.

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie po wybuchu wojny. Wracałyśmy z mamą do naszego warszawskiego mieszkania przy alei Niepodległości. Ojciec czekał na nas na schodach. Siedział przygarbiony, ubrany w starą cyklistówkę. Był oczywiście w cywilnym ubraniu. Na początku go nie poznałam. Wyglądał zupełnie jak nie mój tata - elegancki oficer w mundurze i błyszczących, długich butach.

To był dla mnie pierwszy wojenny szok. Nawet bombardowanie Warszawy nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, jak widok przybitego przeżyciami wojennymi, odmienionego taty. To właśnie tego dnia, a nie 1 września 1939 roku, mój dotychczasowy świat się zawalił.

Pamiętam również przynębiający widok kolumny naszych żołnierzy idących do niewoli. Szli Alejami Jerozolimskimi w kompletnej ciszy. Bez pasów i bez nadziei. W eskorcie triumfujących Niemców. Bardzo to przeżyłam. Może dlatego, że byłam wychowana w środowisku wojskowym.

Widok niegdyś dumnych, dziarsko trzymających się żołnierzy, którzy teraz szli ze zwieszonymi głowami, w zaniedbanych mundurach, był dla mnie wstrząsem.

Z pierwszych dni wojny utrwaliły mi się w głowie pojedyncze obrazy. Na przykład, jak zaklejaliśmy wszystkie okna w naszym mieszkaniu taśmami. Oczywiście okazało się to zupełnie niepotrzebne. Gdy tylko gruchnęła w pobliżu pierwsza bomba - wszystkie szyby z trzaskiem wyleciały z ram.

Mama pracowała w szpitalu - była lekarką - i tam też się stołowała. Od gotowania w domu była babcia. Kilka dni przed 1 września wróciliśmy z babcią z letniska. Nastroje w Polsce były już bardzo wojenne, spodziewano się, że Niemcy mogą zaatakować w każdej chwili.

Jak zareagowała babcia na wiadomość o wybuchu wojny? Chciała iść po zakupy - bo nie miałyśmy w domu żadnych większych zapasów. Mama ją wtedy ofuknęła i powiedziała, żeby babcia nie kupowała zbyt dużo. Bo jeszcze wywoła tym panikę.

Może uważała, że to niepatriotyczne? Ze to objaw pesymizmu? Myśleliśmy przecież, że wojna skończy się szybkim zwycięstwem nad Niemcami. Wszystko miało potrwać kilka tygodni... Babcia, niestety, posłuchała mamy. W efekcie, jak Niemcy oblegali Warszawę, żywiłyśmy się głównie kaszą dla psa — mojego ukochanego spaniela Smyczka.

W czasie bitwy o stolicę musiałyśmy opuścić mieszkanie. W naszej okolicy wybuchły bowiem walki uliczne. Słysłyśmy we trzy - ja, mama i babcia — wzdłuż alei Niepodległości. Pociski przelatowały nam nad głowami. Zaczęłam marudzić, że jestem zmęczona.

Mama wtedy stanęła i powiedziała:

- Oleńko, jest wojna. Weź się w garść.

Do tej pory pamiętam te słowa. Pomagały mi później w wielu trudnych sytuacjach.

Zatrzymałyśmy się u znajomych na Nowogrodzkiej. Tam doszło do strasznej dla mnie tragedii. W dom uderzyła bomba. Ludziom nic się nie stało, ale w całym zamieszaniu zaginął mój Smyczek. Dookoła kamienicy wszystko było czarne od pyłu. Dym strasznie drapał w gardle. A ja ciągle wołałam mojego ukochanego pieska...

Dziś może się to wydawać śmieszne. Wokół mnie wojna, spadały bomby, ginęli ludzie. A ja rozpaczalam z powodu straty mojego Smyczka. Byłam jednak małą dziewczynką, dla mnie to było prawdziwe nieszczęście.

Po kapitulacji Warszawy wróciliśmy do naszego mieszkania. Na początku okupacji Niemcy - w ramach pomocy dla ludności cywilnej — rozdawali przed politechniką chleb i gorącą zupę. Żywiłam się tam razem z babcią. W ogóle Niemcy nie wydawali mi się wówczas tacy straszni. Znacznie gorsze było to, że przegraliśmy wojnę. Jeszcze nie wiedzieliśmy wtedy, czym jest okupacja.

Mimo wszystkich późniejszych zbrodni niemieckich - myślę jednak, że Sowietci byli jeszcze gorsi od Niemców. Owszem, mordowali jedni i drudzy. Ale Sowietci zamieniali ludzi w zwierzęta. Ten system wyzwał w człowieku to, co najgorsze. Niszczył więzy społeczne, wywoływał plagę donosicielstwa.

W Generalnej Guberni życie szło swoim torem. Matka pracowała jako lekarz. Utrzymywała nas wszystkich. Oprócz tego zaangażowała się w działalność podziemia. Raz pojechała jako kurierka Związku Walki Zbrojnej - poprzedniczki Armii Krajowej - do Wilna. Tam spotkała mojego ojca.

Ja zresztą również miałam swoje konspiracyjne zasługi. Było to latem. Przed naszymi oknami — mieszkaliśmy na pierwszym piętrze — rosły gęste krzaki. Stałam w oknie, kiedy nagle spostrzegłam, że na krzaki spadły kartki papieru. W pierwszej chwili pomyślałam, że to znowu ciotka Hala - jedna z siostr mamy - zostawiła na wierzchu jakieś ważne kartki, które zdmuchnął wiatr.

Wyskoczyłam przez okno i zaczęłam te kartki zbierać. W tym momencie usłyszałam donośne niemieckie głosy. Okazało się, że na drugim piętrze aresztowali właśnie doktor Garlicką, która w akcie rozpaczyny wyrzuciła ważne, kompromitujące dokumenty przez okno.

Jeden z Niemców zbiegł po schodach po te papiery, ale ja byłam szybsza! Błyskawicznie je zebrałam i czmychnęłam z powrotem do domu. Babcia od razu zorientowała się, co mam w rękach, i powiedziała, że w tej sekundzie musimy wyjść z tym z domu.

Schowała dokumenty do torebki, wzięła mnie za rękę i poszliśmy oddać dokumenty komuś z organizacji. Bo jak wspominałam, mama współpracowała ze Związkiem Walki Zbrojnej. Okazało się, że w papierach znajdowały się... opisy dróg przerzutu do Wielkiej Brytanii angielskich i polskich żołnierzy, którzy uciekli z niewoli. Było tam wszystko: adresy, nazwiska, hasła. Gdyby dostało się to w ręce Niemców, zginęłoby mnóstwo ludzi.

Za uratowanie dokumentów zostałam uhonorowana Krzyżem Walecznych. Wiadomość o tym dostałam na papierosowej bibułce. To było coś! Miałam przecież dopiero dwanaście lat! Historia ta skończyła się natomiast tragicznie dla doktor Garlickiej i jej córki. Obie zostały aresztowane i zginęły w Auschwitz.



*Ojciec Olgi – Aleksander Krzyżanowski - był pułkownikiem  
Wojska Polskiego. Nosił pseudonim Wilk.*

W 1941 roku do niemieckiego więzienia trafiła również moja mama. Co ciekawe, Gestapo aresztowało ją nie za działalność w podziemiu niepodległościowym, ale za... kontakty z komunistami. Oczywiście zarzut ten był całkowicie wyspany z palca.

Ówczesny narzeczony mojej mamy, który potem zginął w Katyniu, kapitan Leszek Biały, poprosił kolegę o przekazanie mamie wiadomości. Ten kolega przybył ze Wschodu, uciekł bowiem z sowieckiego obozu jenieckiego. Biały podał mu adres mamy, ale biednego chłopaka złapali Niemcy. Uznali go chyba za sowieckiego szpiega, komunistę.

Mama została zamknięta na Pawiaku, na oddziale żeńskim, nazywanym przez więźniarki Serbią. Od razu zaczęła tam pracować w swoim zawodzie — jako lekarz. Robiła zastrzyki, roznosiła tabletki, pomagała ludziom. A przy okazji mogła przynosić grypsy. Za kratami wzięła się bowiem za konspirację.

Mama na szczęście nie była jakoś ciężko torturowana. Mało zresztą o tym wiem, bo nie opowiadała o swoich przejściach na Pawiaku. Miała przyjaciółkę, doktor Chlebowską. Jej szesnastoletnia córka pracowała w Armii Krajowej, prowadziła wywiad na Niemcy. Niestety, została schwytana. Niemcy na jej oczach męczyli jej matkę, aby wydobyć od niej zeznania. Matka skonała, a ją ostatecznie wypuścili. Dlaczego? Bo wskutek szoku nerwowego całkowicie postradała zmysły. Opiekowaliśmy się nią potem, bo nie miała nikogo bliskiego.

Wreszcie przyszedł dzień wyprowadzenia mamy z Pawiaka przez Niemców. Kazali jej wsiąść do ciężarówki, tak zwanej budy. Wtedy zauważyła, że w środku - oprócz niej - siedzą same młode Żydówki. Samochód po krótkiej jeździe zatrzymał się. Niemcy wyprowadzili Żydówki, a potem - na gruzach jakiegoś budynku — jedną po drugiej zastrzelili. Wszystkie.

Mama była świadkiem tej zbrodni. Niemcy w czasie masakry rozmawiali o paczkach, które wyślą na Boże Narodzenie swoim dzieciom. Mama pomyślała wówczas, że to nie są ludzie...

Mamę Niemcy oszczędzili. Zawieźli ją dalej i wyrzucili z samochodu na placu Trzech Krzyży. Stała na ulicy w kitlu lekarskim, z gołymi nogami w klapkach. A był grudzień, Wigilia

1941 roku. W ten niestandardowy sposób odzyskała wolność. Okazało się, że było to skutkiem łapówki. Mama została wykupiona przez rodzinę, Armia Krajowa też dołożyła trochę pieniędzy. Mama знаła dużo osób w konspiracji i obawiano się, że w śledztwie Gestapo może ją zmusić do mówienia. Dlatego woleli ją szybko wyciągnąć.

Minęło pół roku. Pewnego dnia w naszym domu rozległ się dzwonek telefonu. Mama odebrała, po drugiej stronie usłyszała nieznamy głos:

- Proszę natychmiast wyjść z domu. Natychmiast! Rozumie pani?

Ten ktoś odłożył słuchawkę. Wybiegłyśmy z mamą i babcią tak, jak stałyśmy. Gestapo przyszło kolejnej nocy. Nas już na szczęście w domu nie było. Okazało się, że ten Niemiec, który został przekupiony i wypuścił mamę z Pawiaka, fikcyjnie wpisał jej nazwisko na listę wywózki do Auschwitz. W obozie zorientowali się jednak w tym szwindlu.

Od tamtej pory nie mieszkaliśmy już razem. Każda z nas ukrywała się pod innym, przybranym nazwiskiem.

Ja wylądowałam w klasztorze u sióstr urszulanek w Milanówku. Tata przyjechał mnie odwiedzić. Ponieważ obowiązywała go ścisła konspiracja, przedstawił się zakonnicom jako mój wujek. Nie wiedziałam wówczas, że to nasze ostatnie spotkanie. Ze już nigdy więcej z nim nie porozmawiam, nigdy go nie zobaczę...

Mama razem z siostrą Magdaleną przeszły przez zieloną granicę do sowieckiej strefy okupacyjnej, żeby ocalić dwie siostry męża cioci. Wracaly z nimi również nielegalnie. Najgorsze było to, że jedna z sióstr była głucha jak pień. I gdy mama mówiła do niej, że ma skrócić w prawo, ona skręcała w lewo. Jakimś cudem cała eskapada się jednak udała i wszyscy szczęśliwie dotarli do Warszawy. Kilka lat później, w czasie Powstania Warszawskiego, ciocia, która w szpitalu szukała swojego syna, Kazika, znalazła tam leżącą na barłogu panią Jadwigę. Tę półgłuchą staruszkę, której pomogła wydostać się z okupacji sowieckiej. Zabrała ją do siebie, mimo że w mieszkaniu nie było ani miejsca, ani jedzenia.



*O śmierci ojca w więzieniu dowiedziała się przez gryps.  
Na zdjęciu: „Wilk” w 1944 r. pod Wilnem.*

Powstanie warszawskie spędziłam w Otwocku, nad rzeką Świder, z babcią i siostrą mamy, Haliną. Mama była w Warszawie. Spałyśmy w letnim domku w letnich sukienkach, bo powstanie miało przecież trwać trzy dni. Głód był straszny, zimno wdzierało się przez dziury w oknach. Kilka tygodni po powstaniu razem z kuzynką postanowiłam przejść przez Wisłę, żeby dowiedzieć się, czy mama, która powstanie spędziła w Śródmieściu, żyje. I co się stało z resztą rodziny. Zaczęła się już zima, napadało dużo śniegu. Szły-śmy w kierunku Czerniakowa, bo tam Sowietnicy nie pilnowali rzeki.

Zdjęłyśmy buty, żeby ich nie zamoczyć, i brodziłyśmy na bosaka w brudnej śnieżnej brei.

W pewnym momencie doszłyśmy na plaży do miejsca, gdzie ze śniegu wystawało coś na kształt małych pagórków. To były trupy. Tu spod śniegu wystawała noga, gdzie indziej ręka. Wiedziałam, że powstanie było straszne, ale dopiero gdy zobaczyłam te ciała, uświadomiłam sobie, jaki horror spotkał stolicę.

Od dozorczy naszego spalonego domu dowiedziałam się, że mama żyje. Mama razem z siostrą Magdaleną trafiły do niemieckiego obozu jenieckiego z rannymi z powstańczego szpitala, który prowadziły przy ulicy Chmielnej. Wróciły dopiero po zakończeniu wojny, w końcu maja 1945 roku. Znów zamieszkałyśmy wszystkie razem przy alei Niepodległości. Niestety, tyle szczęścia nie miał najmłodszy brat mojej mamy, Adam Łopiński. Zaginął w powstaniu.

Okupacja niemiecka dobiegła końca, rozpoczął się komunizm. Niektórzy oficerowie łudzili się, że jeszcze nie wszystko stracone. Do mamy przyszedł pułkownik Antoni Sanojca z Komendy Głównej Armii Krajowej.

- Jeszcze nie przegraliśmy, możemy walczyć dalej.

Pamiętam tę scenę jak dziś. Mama siedziała na krześle, ciotka na parapecie. Mama bez zastanowienia odpowiedziała:

- Nie, Antoni, żadnych nowych konspiracji. Dzieci mają się uczyć, a nie umierać. Musimy myśleć o przyszłości.

Mama już miała dość. Gruzów, wojny, trupów. Niepewności. Postanowiła, że wyjedziemy z Warszawy i zamieszkamy w



Gdańsku. Pojechaliśmy tam w sierpniu 1945 roku. Wsiadaliśmy z pociągu, a tam było niewiele lepiej niż w zburzonej podczas powstania Warszawie. Spalone budynki, ruiny, gruzy. Cały stary Gdańsk, razem z mieszkańcami, został spalony przez Armię Czerwoną. Chociaż minęło już tyle czasu, w powietrzu unosił się straszny odór trupów. Trafiliśmy z deszczu pod rynną.

## Wańki - wstańki

Mama dostała ponemieckie mieszkanie we Wrzeszczu, na Jaśkowej Dolinie. Przez krótki czas przed nami zajmowali je Sowieci. Zostawili je w oplakanym stanie. W łazience zastałyśmy wannę pełną fekaliów. Tak się zaczęła nasza gdańska epopeja.

Wszyscy strasznie chcieliśmy żyć. Normalnie żyć. Mimo otaczającej nas koszmarnej rzeczywistości. Nigdzie nie można było dostać żadnego materiału, więc z koleżankami robiłyśmy dobrą minę do złej gry. Na bal maturalny uszyłyśmy sobie sukienki z pościeli. Ja, śladem mamy, poszłam na medycynę. Młodzież nie chciała się już wykazywać bohaterstwem, chciała się uczyć, bawić, pracować. Wrócić do pokojowej egzystencji.

Komuniści na to jednak nie pozwalali. Najgorszy był dla mnie okres od 1947 do 1956 roku. Ojciec wrócił z sowieckiej niewoli, ale został aresztowany przez UB. Mój brat cioteczny, Kazik, który w powstaniu walczył w batalionie „Zośka”, również trafił za kraty. Siedziało masę moich kolegów, ludzie byli dręczeni podczas śledztw, sypały się kary śmierci. Taka była „nagroda” dla bohaterów walki o niepodległość.

Kiedy ojciec powrócił z Sowietów, rodzice już do siebie nie wrócili. Mimo że trudne przeżycia wojenne niewątpliwie musiały ich do siebie zbliżyć - nie było mowy o ponownym połączeniu rodziny. Znam zresztą wiele małżeństw, które zniszczyła wojna. Choćby moja ciocia i wujek.

Wuj, tak jak tata, był przedwojennym oficerem. Całą wojnę przesiedział w oflagu. Po wojnie, po przyjeździe do powojennej

komunistycznej Polski, nie mógł pogodzić się z nową polsko-sowiecką rzeczywistością. Z tym, że nagle stał się nikim. Jako były oficer nie mógł dostać przyzwoitej posady - pracował w pralni w Grand Hotelu. To go dobiło. Rozpił się i rozstał z ciotką. Wkrótce umarł.

My, kobiety, znacznie lepiej znosimy takie nagłe zmiany. Czasami śmieję się, że jesteśmy jak rosyjskie wańki-wstańki. Można nas przechylić, ale nie da się nas przewrócić. Zawsze wracamy do pionu.

Nigdy nie byłam na widzeniu u ojca w więzieniu. Komuniści na to nie pozwalali. Dostawałam za to od niego grypsy. Z grypsu dowiedziałam się również o jego śmierci. Pewnego dnia przyszła do nas karteczka - przekazana przez jednego ze współwięźniów ojca - na której był krótki napis: „Krzyżanowski nie żyje”. Dopiero kilka dni później dostałam oficjalne zawiadomienie z więzienia.

Ojciec, będąc w więzieniu, nigdy się nie uskarżał na swój los. Nie pisał o śledztwie, nie wiem więc, czy był bity. Wiem natomiast, że ubecy nie byli w stanie z niego niczego wyciągnąć. Pewnie dlatego go uśmiercili. Zmarł 29 września 1951 roku. Jako oficjalny powód śmierci podano gruźlicę. Został pochowany w bezimiennej mogile poza terenem cmentarza Powązkowskiego.

Sześć lat później, w 1957 roku, przeprowadzono ekshumację zwłok. Pojechała na nią moja mama i podkomendni ojca. Ja nie mogłam - właśnie urodziłam Magdę, moją córeczkę. Mama zidentyfikowała tatę po zębach i kurtce. Miesiąc później odbył się uroczysty pogrzeb na Powązkach. Tata jest pochowany niedaleko pomnika powstańców warszawskich Gloria Victis. Podkomendnym mojego ojca był między innymi ojciec prezydenta Bronisława Komorowskiego Zygmunt Leon Komorowski. Stąd mam dużą sympatię dla byłego prezydenta.

Mimo tragedii związanej ze śmiercią ojca uważam, że miałam szczęśliwe życie. Wysłałam za mąż z wielkiej miłości. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat. Mój mąż, Jerzy, patrzy na świat podobnie jak ja. Jesteśmy więc zgodnym, dobranym i szczęśliwym małżeństwem, co wcale nie zdarza się tak często.



*Mąż Jerzy jest jej wielką miłością. Dzięki temu, że patrzą podobnie na świat, nadal są szczęśliwym małżeństwem.*

Po studiach pracowałam w szpitalu w Pucku, a potem w szpitalu wojewódzkim i Akademii Medycznej w Gdańsku. Później, aż do 1989 roku, kierowałam Wojewódzką Przychodnią Przemysłową w Gdańsku.

Byłam lekarzem zajmującym się chorobami zawodowymi. Nasza przychodnia mieściła się tuż obok stoczni.

W grudniu 1970 roku, w czasie krwawej pacyfikacji strajku robotników, przywieźli do nas młodego chłopaka, ale... żołnierza Ludowego Wojska Polskiego. Miał gorączkę, ledwo trzymał się na nogach. Kiedy już go zbadałam, w drzwiach mojego gabinetu stanęła zakłopotana sprzątaczką.

— Pani doktor - zapytała — to za kim my w końcu jesteśmy? Za stoczniovcami czy za wojskiem?

Cóż miałam jej odpowiedzieć? Oczywiście, że za stoczniovcami. Ale dla lekarza każdy chory jest pacjentem. Każdemu trzeba pomóc — niezależnie od tego, po której stronie walczy.

15 sierpnia 1980 roku byłam w naszym domku letniskowym na Mazurach. Nagle podjechał na rowerze listonosz i wręczył mi depezę. Była skierowana do wszystkich urlopowanych lekarzy, którzy pracowali w Gdańsku - zawierała prośbę o natychmiastowe stawienie się w miejscu pracy.

W depeży napisano również, że w Trójmieście trwają rozruchy. Że mogą być zabici i ranni i jesteśmy tam potrzebni. To właśnie wtedy zaczęła się moja przygoda z Solidarnością.

Zaraz przyjechałam do Gdańska i zameldowałam się w przychodni. Od tego dnia byłam w niej codziennie aż do podpisania porozumień sierpniowych. Na szczęście do rozlewu krwi nie doszło i żadnych rannych nie było. Kiedy tylko nie miałam pacjentów, biegłam do stoczni, do sali obrad. Jako lekarz miałam tam prawo wstępu.

Będąc w stoczni, czułam głęboką satysfakcję. Nasza strona była świetnie przygotowana. Inteligentna, spokojna, merytoryczna. Górowała nad władzą. Szczególnie podziwiałam Lecha Wałęsę. Bez niego Solidarność by nie powstała, a już na pewno nie odniosłaby takiego sukcesu. Bez niego nic byśmy nie wskórali. Obecna nagonka na niego jest zupełnie

niesprawiedliwa, głupia. Bardzo szanuję jego żonę, panią Danutę Wałęsową. Jego cały czas nie było w domu - albo walczył w stoczni, albo siedział w ośrodku internowania. To na jej głowie był wtedy cały dom, wychowywanie ośmiorga dzieci. Wyjątkowo dzielna kobieta.

Kiedy Wałęsa był już prezydentem, pierwsza dama wydawała w pałacu obiad na cześć pani prezydentowej Laury Bush. Zaproszone zostały najważniejsze polskie kobiety tamtych czasów. Również brałam udział w spotkaniu jako wicemarszałek Sejmu. Pani Wałęsowa wcale nie była zmieszana ani skrępowana. Nie była też nadęta. Wprost przeciwnie - czuła się swobodnie, zachowywała się naturalnie. Miała oczywiście swojego tłumacza, ale żadna z nas nie władała wtedy tak biegle obcymi językami. Ubrana była elegancko i skromnie zarazem.

Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie. To było przed jej wyjazdem do Oslo w 1983 roku. Pani Danuta Wałęsowa miała tam odebrać w imieniu męża przyznaną mu za działalność w Solidarności Pokojową Nagrodę Nobla. Wałęsie władze odmówiły wydania paszportu.

Przyszła do mnie wtedy koleżanka, lekarka Basia Wszelaki, która świetnie знаła panią Danutę. Skąd? Otóż jako ginekolog odbierała jej kolejne porody. Basia zdradziła mi, że pani Wałęsowa nie ma się w co ubrać na uroczystość wręczenia Nobla w Oslo. To był poważny problem - bo miały to pokazać telewizje na całym świecie! Coś trzeba było zaradzić. Przypomniałam sobie, że moja przyjaciółka, która mieszkała piętro wyżej, świetnie szyje. Już ona coś wymyśli!

Spotkałyśmy się u niej w kilka kobiet, przyszła też pani Danuta. Każda z nas przyniosła, co miała najlepszego w szafie. Rozłożyłyśmy wszystkie te bluzeczki, spódniczki, płaszcze. Pamiętam, któraś z pań przyniosła nawet futro. Pani Danuta na widok futra stanowczo pokręciła głową:

- O, nie. Ja się tak nie ubieram - powiedziała.

W końcu wybrała sobie stonowane ciuchy. Takie, w których dobrze się czuła. Byłam szczególnie dumna, bo pani Danuta wybrała między innymi moją marynarkę.

## **Mamo, wojna!**

Solidarność w służbie zdrowia zaczęła się od kobiety Pielęgniarki Aliny Pieńkowskiej. Ależ to była osoba! Malutka, drobniutka, ale zbudowana z żelaza. Była nie do zdarcia. Doskonale potrafiła rozmawiać z ludźmi. I ich sobie podporządkowywać. Wszyscy się jej słuchali. Nawet wielkie chłopy. Pod jej wpływem założyliśmy Krajową Komisję Koordynacyjną Służby Zdrowia.

Poprosiliśmy na rozmowę lekarza wojewódzkiego. Chcieliśmy z nim porozmawiać o tym, co zrobić, żeby w służbie zdrowia działa się lepiej. Żeby poprawić sytuację pacjentów. Kiedy nie przyszedł na spotkanie, zapowiedzieliśmy, że nie wyjdziemy z Sali Herbowej w Urzędzie Wojewódzkim, dopóki nie przyjedzie do nas minister zdrowia.

W efekcie siedzieliśmy tam przez tydzień. Ponad sto osób! Spaliśmy na ławkach, było nam skrajnie niewygodnie, nie mieliśmy jak się umyć. Ale chcieliśmy dać ostrzeżenie władzom. Działo się to we wrześniu 1980 roku, a więc miesiąc po podpisaniu porozumień w stoczni.

Całą akcją kierowała oczywiście Alina, a wiceprzewodniczącymi strajku byłem ja i Piotr Mierzewski. Mój późniejszy zięć. W końcu minister zdrowia ustąpił i przyszedł na rozmowy...

Alina została naszą szefową: szefową Solidarności w służbie zdrowia. Na ogół między lekarzami a pielęgniarkami wytwarza się pewien dystans. Tymczasem tutaj było odwrotnie. Na strajk lekarski w Urzędzie Wojewódzkim przyjechała masa profesorów z całej

Polski, wybitnych lekarzy, ludzi na wysokich stanowiskach. I całe to grono - bez żadnego wyjątku — we wszystkim zdawało się na Alinę. „Co Alina na to powie?” - to pytanie zadawali sobie wszyscy, zanim zapadła jakaś ważniejsza decyzja.

Alina wyszła później za mąż za Bogdana Borusewicza. Jeszcze przed ich ślubem, kiedy Bogdan się ukrywał przed bezpieką, dowoziłam ją na skraj lasu, w którym miała się z nim spotkać.



*Córka Magda- późniejsza żona Piotra Mierzewskiego również bardzo aktywnie działała w Solidarności. Wprowadzenie stanu wojennego zrobiło na niej wstrząsające wrażenie.*

A kiedy w stanie wojennym urodziła im się córka, Bogdanowi, przebranemu w pielęgniarski kitel, cudem udało się przechytryć esbeków obstawiających szpital i zobaczyć małą Kingę.

Alina zadzwoniła do mnie pewnego dnia i powiedziała, że potrzebuje kogoś do organizowania struktur Solidarności. Powiedziałam jej, że ja się do tego nie nadaję, ale mam świetną kandydatkę. Nazywa się Baśka Przedwojska, jest zastępczynią lekarza wojewódzkiego. Bystra, inteligentna, zna się na rzeczy. Idealna kandydatka. Był tylko jeden problem. Baśka... należała do partii.

Gdy usłyszała propozycję, omal nie spadła z krzesła. Mimo to podjęła wyzwanie. Mało tego, szybko wciągnęła się do tego stopnia, że została jedną z czołowych działaczek Solidarności w

służbie zdrowia.

Jechałyśmy kiedyś razem na jakieś solidarnościowe spotkanie. Baśka powiedziała do mnie:

- Wiesz co, w moim życiu wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Byłam sympatykiem partii, robiłam karierę. Mamy z mężem własne mieszkanie i samochód. Uważałam, że moje życie jest idealne, a świat dookoła jest cudowny. Nagle okazało się jednak, że wcale tak nie jest. Ze musimy zmienić ten kraj. Zrobić coś dla innych. Dzięki Solidarności przejrzałam na oczy.

Baśka została w Solidarności do końca.

Stan wojenny był dla nas szokiem. Mieszkaliśmy wtedy we Wrzeszczu, w bloku z wielkiej płyty. W środku nocy do sypialni wbiegła nasza córka Magda i zaczęła krzyczeć:

- Mamo, wojna!

- Jaka znowu wojna, córeczko? - spytałam zasnana.

Magda bardzo aktywnie działała w Solidarności, o tym, co się miało wydarzyć 13 grudnia, wiedziała już dzień wcześniej. To, co się zaczęło dziać - czołgi na ulicach, ZOMO, godzina policyjna — zrobiło na tej młodej dziewczynie wstrząsające wrażenie. A na mnie? Wręcz przeciwnie.

Wszystko to już znałam, wszystko przeżyłam. Oczywiście podczas okupacji niemieckiej. Po tym, co wtedy przeszłam, już nic nie było w stanie mnie zaskoczyć. Zresztą - co to była za wojna!? Prawdziwa wojna kojarzyła mi się z bombardowaniami, zwałami trupów na ulicach, kanonadą broni maszynowej. Tymczasem w 1980 roku nic takiego się nie działo.

Oczywiście w nocy z 12 na 13 grudnia nie mogłam przewidzieć, że Solidarność uda się spacyfikować tak szybko i łatwo. Spodziewałam się krwawych zamieszek, strzelaniny. Oporu. Dlatego chciałam być na posterunku. Od razu pojechałam na dyżur na pogotowie - na wypadek gdyby trzeba było opatrywać rannych w starciach z wojskiem i milicją.

No i rzeczywiście. Trafił do mnie człowiek, którego życie było zagrożone. Ale nie na skutek rany postrzałowej. Otóż... pękł mu w żołądku wrzód. Musiałam natychmiast wpakować go do



karetki i pędzić do szpitala, aby położyć go tam szybko na stół operacyjny. Wpadliśmy na sygnale pod most, a tam transportery bpancerzone, mnóstwo milicji. Koncentrowały się tam oddziały, które miały zdobywać stocznię.

Oczywiście nas zatrzymali, nie chcieli puścić dalej. Całą ulicę blokowały ciężkie wojskowe pojazdy. Zaczęłam cierpliwie tłumaczyć dowodzącemu oficerowi, że wiozę chorego, dla którego każda minuta jest na wagę złota. Ostrzegałam, że ten człowiek może w każdej chwili skończyć. Ten wojskowy powoływał się jednak na swoje rozkazy. Musiałam zawracać i wieźć tego nieszczęśnika do innego, bardziej oddalonego szpitala. Całe szczęście przeżył. Tak zaczął się dla mnie stan wojenny.

Innym razem - było to w czasie strajku stoczni - wparował do nas do przychodni pułkownik Ludowego Wojska Polskiego. Groził nam surowymi karami, krzychał. Chodziło o to, że nasza przychodnia sąsiadowała ze stoczną i przez okna rzucaliśmy strajkującym jedzenie i listy. Kiedy pułkownik skończył mówić, nastąpiła cisza. Patrzyliśmy na siebie, nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Muszę przyznać, że ten facet napędził nam stracha. Był w mundurze, z bronią. Nagle odezwała się jednak młoda dziewczyna, pielęgniarka:

- Niech pan pułkownik głupstw nie opowiada! My jesteśmy służba zdrowia, jak ktoś jest głodny czy chory, to my mu zawsze pomożemy.

Obróciła się na pięcie i wyszła. A pułkownik stał oniemiały. A my przestałyśmy się ich bać. I dalej pomagałyśmy naszym stoczniovcem.

Aresztowali mnie tylko raz. To było w czasie, kiedy pracowałam społecznie przy tworzeniu hospicjów, które jako pierwsze powstały właśnie w Gdańsku. Chodziliśmy do chorych ludzi, którzy byli pozostawieni w domu bez opieki lekarskiej. Udzielaliśmy im podstawowej pomocy. Pomagali nam w tym studenci medycyny. Zupełnie bezinteresownie. To była właśnie ta prawdziwa solidarność.

Byłam z koleżanką Romą Zawistowską. Miałyśmy wziąć z jej mieszkania lekarstwa dla moich pacjentów. Weszłyśmy na

piętro - już na nas czekali. Z dołu i z góry zaszli nas „smutni panowie” z SB. Oprócz leków Roma trzymała u siebie w domu całe sterty bibuły. Wpadliśmy jak śliwki w kompot.

Zrobili rewizję. Oczywiście znaleźli to, co chcieli. Nie wiem dlaczego, ale uznali, że do mieszkania Romy przyjdą kolejni ludzie z Solidarności. I założyli „kocioł”. Ale my przecież z nikim nie byliśmy umówione! Przyszłam do Romy przez kompletny przypadek. Staraliśmy się im to wytłumaczyć, ale nasze perswazje nie zdały się na nic. Zatrzymali nas w mieszkaniu jako przynętę.

Całe szczęście, że sami esbecy po kilku godzinach doszli do wniosku, że to absurd. Zdjęli „kocioł” i zawieźli nas na komisariat. Nie trzymali nas tam jednak długo. Jeszcze tego samego dnia wyszliśmy na wolność. Roma dostała kolegium, a ja nic. Mój mąż w tym czasie odchodził od zmysłów. Nie wiedział, co się ze mną dzieje. Prosiłam tych esbeków, żeby pozwolili mi zadzwonić do domu, wiedziałam, że Jerzy będzie się martwił. Odmówili. W efekcie całą tą sytuacją mój mąż przejął się bardziej niż ja.

W czasie stanu wojennego w rodzinie przydarzyło nam się jeszcze jedno aresztowanie. Tym razem chodziło o mojego zięcia, Piotra Mie-rzewskiego. Był szefem Solidarności na Akademii Medycznej, a później, w czasach III Rzeczypospolitej, został wiceministrem zdrowia.

Piotra osadzono w więzieniu w Iławie. A było to w czasie, kiedy moja córka Magda miała już z Piotrem ustaloną datę ślubu. Magda po prostu się zagotowała, kiedy aresztowali jej narzeczonego. Zapowiedziała, że nie pozwoli komunistom zniszczyć swojego ślubu.

I postanowiła wziąć ślub w więzieniu! Pojechałam tam z Magdą załatwić formalności. O dziwo, urzędniczki były bardzo miłe, pomagały nam. W końcu jednak do więziennego ślubu nie doszło. Piotra wypuścili.

Esbecy zrobili mu jednak jeszcze jedną nieprzyjemność. Otóż w dniu ślubu wezwali go z powrotem do więzienia, żeby... odebrał książkę, którą tam zostawił. W efekcie spóźnił się na całą uroczystość. Goście czekali na niego długo pod urzędem

stanu cywilnego. Właśnie w ten sposób komuniści walczyli z Solidarnością. Starali się nam uprzykrzać życie.

## **Pani poseł**

Komunizm w Polsce skończył się w 1989 roku. Przy Okrągłym Stole przedstawiciele Solidarności i partii ustalili, że w czerwcu odbędą się wybory do sejmu kontraktowego. Były to pierwsze w części wolne wybory w Polsce od pół wieku. Część mandatów sejmowych zagwarantowano komunistom, ale o część mogli ubiegać się kandydaci niezależni.

To była wielka zmiana. Dla Polski, ale również dla mnie. Pewnego dnia w moim domu zadzwonił telefon. Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam głos Borusewicza. Od razu wypalił:

- Olga, ty startujesz.

W jego głosie nie było pytania. Po prostu mi to oznajmił.

- Jak to ja? — zdumiałam się. — A Alina?

Dla mnie było oczywiste, że z Solidarności to Alina powinna zostać posłem. Wszyscy tego chcieliśmy. Alina była znana na cały Gdańsk, wszyscy jej ufali. Bogdan powiedział jednak, że jego żona nie może dostać jedyinki na liście, skoro on jest przewodniczącym komitetu wyborczego. To by wyglądało na nepotyzm. Stąd wybór padł na mnie. Nie mogłam odmówić.

Z tym moim kandydowaniem wiąże się śmieszna historia. Otóż jako jedyna ze startujących w wyborach kandydatów Solidarności nie miałam zdjęcia z Lechem Wałęsą. Przy moim nazwisku na plakacie wyborczym widniała jedynie informacja, że jestem lekarką z przychodni przy stoczni. Do tego krótki życiorys.

- To pani wtedy nie lubiła Wałęsy? - pytają mnie dzisiaj często ludzie.

Bardzo mnie to śmieszy, bo nie chodziło oczywiście o moją rzekomą antypatię do Wałęsy, którego bardzo poważalam i poważam. Tylko o bardzo błahą, kobiecą sprawę. Przed wyborami miałam bowiem problem z zębami i strasznie

spuchłam na twarzy. Uznałam, że nie mogę tak wyglądać na zdjęciu wyborczym. To by była kompromitacja. Odmówiłam więc udziału w sesji zdjęciowej.

Każdy, kto żył wtedy w Polsce, pamięta atmosferę tych wyborów. Wszędzie wisiały plakaty z czerwonym logiem Solidarności, kowbojem i napisem „W samo południe”. Ludzie nie mogli uwierzyć, że wreszcie mogą wziąć udział w normalnym, niesfałszowanym głosowaniu. Entuzjazm był olbrzymi. Wszyscy mieli poczucie, że dzieje się coś wielkiego. Startowałam nie z Gdańska, lecz z Tczewa i okolic. Musiałam więc jeździć po małych miasteczkach i wsiach i urządzać wiece wyborcze. To była dla mnie całkowita nowość. Miałam samochód, pomarańczową ładę. Moim asystentem został mój kuzyn, Zdzisław, który przesiedział dziesięć lat w sowieckich łagrach.

Zatrzymywaliśmy się przed kościołami, na rynkach. Niczego ludziom nie obiecywaliśmy. Ani wysokich pensji, ani ulg dla rodzin. Nie mówiliśmy też, jacy to „tamci” są straszni. Mówiliśmy za to, co chcemy zrobić. O naszych celach i marzeniach. O wolnym kraju, o sprawiedliwym społeczeństwie, o braku przemocy. O ludzkiej godności. O tym, że chcemy sami decydować, jak chcemy żyć.

Było mi w to trudno uwierzyć, ale udało się! Ludzie na mnie zagłosowali - zostałam posłem. Mało tego, zostałam wicemarszałkiem Sejmu! Jak do tego doszło?

Władze Sejmu były wybierane podczas drugiego dnia obrad na podstawie propozycji klubów. Nie miałam tego dnia czasu, żeby przyjechać do Warszawy. Miałam mnóstwo wcześniej poumawianych pacjentów. Wróciłam do domu późnym wieczorem, mój mąż Jurek właśnie oglądał telewizję. Byłam w łazience, kiedy zaczął krzyczeć:

- Olga, zostałam zgłoszona na wicemarszałka Sejmu!
- Jak to? To niemożliwe!
- To ty nic o tym nie wiesz?

Naprawdę nic nie wiedziałam. Nie było mnie na zebraniu koła poselskiego Solidarności, nikt do mnie nie zadzwonił... Jurek pół żartem, pół serio zaczął się wtedy ze mną przekomarzać.



*Kiedy zaproponowano Oldze udział w wyborach, była zaskoczona, ale nie mogła odmówić. Podczas swojej kampanii wyborczej jeździła po małych miasteczkach i organizowała wiece.*

- Źle ta nowa Polska się zaczyna - mówił - skoro od samego początku panuje u was taki bałagan.

Potem okazało się, że podczas obrad obok Wałęsy siedział mój kolega, poseł Krzysztof Dowgiałło. I to najprawdopodobniej on — albo Adam Michnik - podsunął mu moją kandydaturę. Przedstawiano mnie jako lekarkę ze stoczni, podczas dyskusji padło nazwisko mojego ojca, legendarnego pułkownika „Wilka” z wileńskiej Armii Krajowej. Wałęsa mnie poparł.

Miałam ogromne szczęście, bo trafiłam do Sejmu wraz z mądrymi, przyzwoitymi ludźmi. Między innymi z Bronisławem Geremkiem, Tadeuszem Mazowieckim, Jackiem Kuroniem. To były postaci legendarne, wielkie figury Solidarności. Słyszałam o nich setki opowieści. Teraz byli moimi kolegami z sejmowych ław.

Praca poselska wcale nie była łatwa. Przychodzili do mnie ludzie wyrzuceni z mieszkań zakładowych. Pisałam wtedy do sądów, pomagałam im. To był czas, gdy padały wielkie, nierentowne zakłady z czasów PRL-u. Wielu ludzi znalazło się w tragicznej sytuacji. Transformacja dla wielu Polaków nie była łatwa.

Kiedy przyszałam do Sejmu, sekretarka poprzedniego, komunistycznego wicemarszałka, pani Elżbieta, zapytała się mnie, kiedy ma złożyć wypowiedzenie. Ku jej zdziwieniu zatrzymałam ją na stanowisku. I była to bardzo dobra decyzja. Była świetna, znała Sejm jak własną kieszeń. A my przecież byliśmy zieloni. Do parlamentu trafiliśmy prosto z podziemia. Pani Elżbieta na pewno była w partii, ale nigdy ją o to nie pytałam. To miał być nowy początek.

Kiedy dziś spotykam posłów z naszego pierwszego Sejmu, nawet byłych komunistów, witamy się ze sobą bardzo serdecznie. Oni przecież mieli większość, mogli nas blokować. Tymczasem nie przeszkadzali w dokonywaniu zmian. Nie protestowali choćby wtedy, gdy przywróciliśmy orłowi koronę.

Mazowiecki powiedział wówczas jasno: przekreślamy przeszłość. Odkreślamy ją „grubą kreską”. Uważam, że zrobił

dobrze. Zasada była słuszną. Nie można było przecież wpakować wszystkich komunistów do więzienia. Polska, która i tak ledwo trzymała się, wówczas by po prostu padła.

Zgadam się jednak, że należało wykonać jakieś symboliczne gesty. Zorganizować kilka, kilkanaście porządných, głośnych procesów. Ukarać największych oprawców. Pokazać, że zbrodnia nie może pozostawać bezkarna. Ze odcinamy się od tego systemu. Rzeczywiście kwestię rozliczenia z komuną odpuściliśmy chyba zbyt łatwo.

Komuniści zresztą bardzo zabiegali o nasze względy. Pamiętam, raz dostałam wielki bukiet czerwonych róż na imieniny od... generała Czesława Kiszczaka.

Marszałek prowadzący obrady Sejmu ma dużą władzę i — kiedy na sali obrad robi się gorąco - musi z niej korzystać. Wiele osób uważało, że jako kobieta nie będę sobie w stanie poradzić z niesfornymi mężczyznami. Posłowie byli jednak wtedy znacznie kulturalniejsi niż obecnie. Upomnienia skutkowały. Nie musiałam im wyłączać mikrofonów.

Bardzo się też pilnowałam, żebym nie była stronnicza. Nie okazywała sympatii i antypatii do posłów. Raz musiałam mitygować Bronisława Geremka, który ostro spierał się z Włodzimierzem Cimoszewiczem. Potem, gdy opadły emocje, Geremek przyznał mi rację. Mimo że był moim szefem w Unii Demokratycznej, do której wkrótce wstąpiłam. Tacy to byli ludzie.

Wicemarszałkiem Sejmu byłam jeszcze po raz drugi, w Sejmie II kadencji, w latach 1993-1997. W parlamencie V kadencji zostałam wybrana na senatora. Po wygaśnięciu mandatu w 2005 roku postanowiłam odejść z polityki. Uznałam, że piętnaście lat wystarczy. Uznałam ponadto, że na moje miejsce powinni przyjść nowi, młodzi ludzie.

Jestem członkiem Rady Fundacji Batorego. Przez dwadzieścia dwa lata byłam też przewodniczącą Rady Fundacji Filmowej Armii Krajowej. Naszym celem było stworzenie pełnometrażowego filmu pokazującego prawdziwe oblicze Powstania Warszawskiego.



*Jako marszałek musiała panować nad porządkiem na sali obrad. Wiele osób uważało, że kobieta nie poradzi sobie na tym stanowisku.*

Rok temu, w 2015, udało nam się osiągnąć ten cel. Powstało *Powstanie Warszawskie '44*, fabularyzowany film, złożony z prawdziwych nagrań z 1944 roku. Byłam też członkiem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

## **Kongres Kobiet**

Uważam, że Solidarność nie powstałaby i nie mogłaby działać tak prężnie bez kobiet. Bez takich osób jak Alinka Pieńkowska. Teraz się o nich nie mówi, symbolem Solidarności stał się Lech Wałęsa. Za wszystkim jednak stały kobiety. Gdy poszłam do polityki, szybko stałam się feministką.





*Pamięć o ojcu towarzyszy jej przez całe życie. Mimo że Olga nie znalazła go za, dobrze, każdą decyzję podejmowała z myślą o tym, aby go nie zawieść.*

Spierałam się jednak z Bašką Labudą, znaną działaczką Solidarności i czołową postacią polskiego ruchu feministycznego. Zgadzałam się z nią, że trzeba mówić głośno o potrzebach i prawach kobiet, ale uważałam, że to nie jest najważniejsze. Najpierw trzeba ułożyć sprawę w Polsce - przekonywałam - a dopiero potem zająć się kobietami. Baška oponowała. I teraz, po latach, myślę, że ona miała rację. Takie rzeczy trzeba ustawiać od początku.

Do Kongresu Kobiet wstąpiłam od razu, gdy powstał. Czyli w roku 2009. Motorem całego przedsięwzięcia była Henryka Boch-niarz. Kongres powstał na obchody dwudziestolecia transformacji systemowej. Od tamtego czasu spotykamy się co roku. Dyskutujemy

na temat równouprawnienia, na temat tego, co jeszcze można zrobić, aby poprawić sytuację Polek.

Do Kongresu należą między innymi: Hanna Suchocka, Basia Labuda, Irena Eris. To kobiety, które do czegoś doszły samodzielnie. Coś osiągnęły w różnych dziedzinach. Stanowią przykład dla innych. Po jakimś czasie dołączyła do nas Magdalena Środa. To ona skierowała naszą grupę w kierunku nowoczesnego feminizmu. To świetna kobieta. Tryska pomysłami. Nasze zjazdy to coś niesamowitego – przyjeżdża na nie kilka tysięcy kobiet z całej Polski na własny koszt. Kobiet, którym nie jest wszystko jedno.

Zapraszałyśmy na spotkania różnych polityków, ministrów, marszałków Sejmu i rozmawiałyśmy z nimi swobodnie o tym, co myślimy o sytuacji politycznej. Kiedyś był u nas nawet Andrzej Lepper.

We wszystkim, co robię i robiłam - w szpitalu, w Solidarności, w Sejmie, w Kongresie Kobiet - starałam się trzymać prostej zasady: „Jak coś robisz, to rób to porządnie”. Była to zasada, którą wpojono mi jeszcze przed wojną w rodzinnym domu.

Przez wszystkie te lata dużo myślałam o moim ojcu – generale Armii Krajowej Aleksandrze Krzyżanowskim „Wilku”. Znałam go bardzo słabo, spędziłam z nim zdecydowanie zbyt mało czasu. Przed podjęciem każdej ważnej decyzji zastanawiałam się jednak, co on by na to powiedział. Mam nadzieję, że nie przyniosłam mu wstydu. Że go nie zawiodłam.

*Olga Krzyżanowska*

**JANINA**  
**JASŃNIE PANIENKA W SOLIDARNOŚCI**



Tyraliera ruszyła w stronę tłumu. Niebieskie mundury, szare kaski, pały i tarcze z napisem ZOMO. Tupot grubych buciorów. Po chwili w naszą stronę z sykiem poleciały granaty gazowe. Ludzie zaczęli w panice rozbiegać się na wszystkie strony. Milicji bowiem nie robiło żadnej różnicy, czy kobieta, czy mężczyzna, wszystkich tłukli bez litości.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Nagle zobaczyłam przy sobie wykrzywioną z nienawiści twarz. Piana na ustach i ordynarne przekleństwo. Zomowiec dopadł do mnie i wymierzył mi potężnego kopniaka. Przewróciłam się na chodnik, a on zaczął mnie okładać pałą. Na oślep, z całej siły.

Rozbił mi głowę, zalałam się krwią. Straciłam przytomność. Ocknęłam się dopiero, gdy sanitariusze zabierali mnie z ziemi i próbowali przenieść do karetki. Śnieg na chodniku był czerwony... Wraz z innymi rannymi przewieziono mnie na ostry dyżur. Tam akurat pomocy ludziom udzielał mój znajomy lekarz. Gdy mnie zobaczył - przeraził się. Musiałam wyglądać przerażająco. Rozcięta skóra, włosy i twarz we krwi, brudne ubranie.

W szpitalu założono mi na głowę siedemnaście szwów. Położono do łóżka. Na tym jednak nie skończyły się kłopoty. Do szpitala co pewien czas przyjeżdżała bezpieka, szukając rannych, którzy uczestniczyli w zamieszkach. Ratowały mnie wtedy pielęgniarki.

Przed nalotem wpadały do sali, krzycząc: „Wehrstein, ciebie nie ma!”, i zakrywały mnie kołdrą od stóp do głów. Ścieliły łóżko w taki sposób, żeby wyglądało na puste. Jakby nikt na nim nie leżał. Ludzie starali się sobie pomagać, nienawiść do systemu była powszechna. Wkrótce zwolniono mnie ze szpitala. Z zabandażowaną głową pojechałam do domu autobusem. Akurat była Wigilia Bożego Narodzenia. Rok 1981. Od dwóch tygodni trwał stan wojenny.



*ZOMO, brutalnie pacyfikując demonstracje, nie przebierało w środkach. Po jednej z takich akcji 50-letnia wówczas Janina trafiła na ostry dyżur, gdzie założono jej 17 szwów.*

## Nie ma jak Lwów

Urodziłam się w innym świecie. W II Rzeczypospolitej, w niewielkim miasteczku Stryj opodal Lwowa.

Lwów. Trudno dziś oddać klimat, jaki panował w tym cudownym, tętniącym polskością mieście. Klimat tamtych deptaków, kawiarni i teatrów. Turkot dorożek i charakterystyczny dźwięk lwowskiej gwary. Miałam to szczęście, że byłam częścią tego świata, że mogłam obcować z żyjącymi wówczas ludźmi. Doświadczając tamtej epoki.

Dziś nie ma już polskiego Lwowa. Nie ma polskiej Galicji wschodniej. Większość Polaków pochodzących z tamtych stron nie żyje. Ci, którzy żyją, nigdy ich jednak nie zapomną.

Kiedy zamykam oczy, widzę nasz dom w Stryju. Otaczały go duży ogród i sad, a obok stała fabryka ojca. Odlewnia Żelaza i Metali. W zasadzie cała ulica Fredry należała do rodziny. Mój ojciec, Władysław Wehrstein, był inżynierem i oficerem rezerwy. Podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku specjalnie podpiłowana kula dum-dum rozszarpała mu rękę. Do końca życia władał nią gorzej niż prawą.

Tata był zamożny, trzymał w domu służbę. Wychowywała mnie bona. W dzisiejszych czasach może to się wydawać śmieszne, ale zwracała się do mnie „jaśnie panienko”. „Niech jaśnie panienka usiądzie, niech jaśnie panienka zejdzie na dół”. Mówiła tak nawet wtedy, kiedy byłam bardzo mała. Rodzice byli rozwiedzeni, mieszkalam z babcią, tatą i siostrą.

Mamy nie pamiętam, ostatni raz widziałam ją, kiedy miałam trzy lata. Pozostały mi po niej tylko zdjęcia i wspomnienia, które przekazała mi jej mama, czyli moja babcia. Poznałam ją już jako dorosłą dziewczyną.

Tata często z nami rozmawiał. Bardzo lubiłam te chwile. Niestety, więcej uwagi poświęcał mojej siostrze. Ona była córeczką tatusia, a mnie uważano za córkę mamy, mimo że przecież jej nie znałam.



*Ojciec Janiny, Władysław Wehrstein, był inżynierem i oficerem rezerwy. Miał własną fabrykę, której nie zgodził się oddać na potrzeby zbrojeniowe Armii Czerwonej.*

*Jak wielu innych polskich oficerów padł ofiarą zbrodni katyńskiej.*

Babcia ze strony ojca często mnie straszyla, że jak będę niegrzeczna, to mnie mama zabierze.

Nie lubila swojej synowej, uważala, że tata zasłużył na kogoś lepszego. Według niej popełnił megalomanię, bo moja mama była „tylko” córką profesora, wykładowcy Politechniki Lwowskiej. Mama przed wojną mieszkała we Lwowie. Tak blisko nas.

Babcia od strony taty miała majątek ziemski w sąsiednim województwie - stanisławowskim. Nazywał się Dobrowlany.

Jeździłam tam w wakacje. W pamięci, niczym na kliszy fotograficznej, utrwaliły mi się wyraziste obrazy: do majątku przyjeżdżają ułani po owies, są uśmiechnięci, w rogatywkach, w pięknych zielonych mundurach.

Niedaleko naszego domu w Stryju był sklep spożywczy „U Wilka”. Prowadził go stary, poczciwy Żyd. Było u niego najtaniej i babcia załatwiała „U Wilka” różne sprawunki. Ja oczywiście kupowałam u niego cukierki. Galicja była krajem wielonarodowym. Razem żyli tam Polacy, Żydzi, Ormianie i oczywiście Ukraińcy. Z ukraińskimi dziećmi bawiłam się na podwórku.

Pamiętam sannę i wielkie polowanie, na którym panowie, zajęci tropieniem zwierzyny, mnie zgubili. Tata odnalazł mnie dopiero po trzech godzinach. Specjalnie się nie bałam. Byłam zafascynowana pięknem przyrody. Po prostu sobie spacerowałam. Tymczasem dorośli odchodzili od zmysłów.

Tata był zapalonym myśliwym, często w rodzinnym majątku urządzał polowania, na które zapraszał ludzi z wyższych sfer. Przy okazji w dworze odbywały się wspiane przyjęcia. Tak, to były zupełnie inne czasy.

W 1939 roku wszystko się skończyło. Raptownie, nagle. Świat, który znałam, z hukiem się zawalił. Tata został zmobilizowany i poszedł na front. My musiałyśmy wrócić z Dobrowlan do Stryja. Pomiędzy nami a Ukraińcami — z którymi do tej pory żyliśmy w zgodzie — wytworzyło się nagle dziwne napięcie. Od zawsze czuli chyba urazę do „polskich panów”, wielu z nich upadek Rzeczpospolitej wykorzystało do rozliczeń.

Po klęsce tata przedzierał się ze swoją jednostką w kierunku Rumunii. W ostatniej chwili jednak zawrócił do domu. Nie chciał nas zostawiać samych. Decyzja ta okazała się katastrofalna w skutkach. Stryj znalazł się pod okupacją bolszewicką. Wkrótce po powrocie tata został aresztowany

Doskonale pamiętam to wydarzenie. To były Zaduszki. W ten dzień odwiedziliśmy rodzinny grób, a nocą przyszło do nas do domu NKWD. To była dzicz. Inaczej nazwać ich nie można. Zachowywali się brutalnie, siłą wdarli się do domu. Wydzierali się na nas, wyzywali od „burżujów”, szamotali się z babcią.



Wszystko pruli. Materace, poduszki, kanapy, fotele, a nawet ściany Szukali kosztowności. Jak skończyli — zabrali tatę.

Przed wyjściem przytulił nas i powiedział, że wszystko na pewno się wyjaśni. Żebyśmy się nie martwiły. Że niedługo do nas wróci.

Kilka dni później dokwaterowali nam Sowietą. To był politruk, miał nas pilnować. Co ciekawe, zachowywał się nawet w sposób cywilizowany. Nasz dom był jednak bardzo duży i nowe władze wkrótce dokwaterowały nowych lokatorów, przybyłych ze Związku Sowieckiego. Tym razem to była matka z trójką dzieci. Koszmarnych dzieci. Atakowały nas, rzucały nam we włosy zapalone zapalki. Do dziś wspominam to z wielką przykrością.

Na Boże Narodzenie NKWD przyprowadziło ojca. Pokazując mu rodzinny dom i córki, chcieli go złamać. Nakłonić, żeby uruchomił dla nich swoją fabrykę, która stanęła we wrześniu 1939 roku. Oczywiście na potrzeby zbrojeniowe Armii Czerwonej, która miała olbrzymie braki w broni i sprzęcie. To było bardzo nędznie wyposażone wojsko. Sowietci sami nie potrafili uruchomić fabryki. Swoich fachowców wymordowali w latach trzydziestych, a fabryka była bardzo nowoczesna, zaawansowana technicznie. Dla nich to była czarna magia.

Ojciec trzymał się dzielnie i odmówił współpracy. Zabrali go więc z powrotem do więzienia. Jeszcze raz próbowali go przekabacić. Bez skutku. W końcu marca dali za wygraną i jako „wroga ludu” - był w końcu polskim oficerem i fabrykantem - wywieźli go w głąb Związku Sowieckiego. Nigdy więcej już go nie zobaczyłam.

Mój ojciec padł ofiarą zbrodni katyńskiej. Wiosną 1940 roku został zamordowany w Kijowie strzałem w tył głowy przez oprawców z NKWD. Jego szczątki znajdują się w mogile ofiar czerwonego terroru w Bykowni. Gdy go zamordowano, miałam dziesięć lat...

W styczniu zostałyśmy wyrzucone z domu i przekwaterowane na osiedle, z którego wywożono ludzi na Sybir. Na ulicę Kochanowskiego. Kiedy po nas przyszli, babcia postanowiła wywieść bolszewików w pole. Powiedziała, że w domu nie ma

starszej wnuczki i bez niej nigdzie się nie ruszy. Przekupiła żołdatów kosztownościami i umówiła się z nimi, że zabiorą nas, jak będą wracać. Ulica Kochanowskiego była bardzo długa i mieli na niej dużo ludzi do wywiezienia. Oczywiście, kiedy wrócili, już nas nie było.

Schroniliśmy się u naszego gajowego, pana Mierczuka. Mieszkał w małej wiosce pod lasem. Spałyśmy na klepisku w jego chacie, zbierałyśmy i rąbałyśmy drewno. Trwało to... dwa lata. Do czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna między Hitlerem a Stalinem.

Niemcy przepędzili Sowietów i mogliśmy się ujawnić. Siostra mojego ojca zabrała nas do swojego mieszkania we Lwowie. Nie byłyśmy u niej jedynymi lokatorami. Ciotka ukrywała żydowską dziewczynkę. Działała w grupie, która za pieniądze ze sprzedaży rodzinnych kosztowności i futer z więzienia na Łąckiego wykupywała więźniów politycznych i Żydów.

Wydawało mi się to wspaniałą przygodą, bo uczestniczyłam w całym procederze, przenosząc futra i biżuterię z moją siostrą.

Ciotka była bogata, jej mąż był sędzią. Niestety, nie znalazła z nim szczęścia. Popęnił samobójstwo. Podobno z miłości do niej.

Niemal całą wojnę przeżyłam we Lwowie. Dopiero pod sam koniec, gdy znowu zaczęli się zbliżać bolszewicy, wyjechałyśmy na zachód. Trafiłam na Śląsk, do rodziny mojej ciotki. Wtedy to była jeszcze III Rzesza. Musiałyśmy uważać, żeby na ulicy nie mówić po polsku.

Sowieckie „wyzwolenie” w 1945 roku wyglądało koszmarnie. Wszędzie leżały trupy, a „wyzwoliciele” grabili, pili na umór i gwałcili kobiety. Musiałyśmy ukryć moją siostrę, żeby nie wpadła w ich łapy. Wkrótce przeniosłyśmy się do Gdańska, gdzie zamieszkałyśmy w porzuconym przez Niemców mieszkaniu. A raczej w jego gruzach. Po przejściu Armii Czerwonej Gdańsk był bowiem w ruinie.

O przeżyciach wojennych mamy dowiedziałam się kilka lat po wojnie. W 1939 roku wyszła po raz drugi za mąż. Tym razem za lotnika, który walczył w kampanii wrześniowej, a potem przedarł się do Wielkiej Brytanii, aby tam walczyć z Luftwaffe.

Mama chciała się do niego przedostać, usiłowała wydostać się na Zachód przez zieloną granicę.

Nie udało się. Złapali ją sowieccy pogranicznicy i wywieźli na Syberię. Przetrwiała tam jakoś do 1941 roku. Życie uratował jej pakt Sikorski—Majski. Kiedy generał Władysław Anders zaczął organizować armię, została do niej wcielona jako sanitariuszka. Przez Persję dostała się wreszcie do Londynu, aby tam dowiedzieć się o... śmierci drugiego męża. Nigdy nie wróciła do Polski.

Już po wojnie przez znajomych dowiedziała się, że mieszkamy w Gdańsku. Napisała list, który zaadresowała do ciotki i babci. Napisała, że bardzo chciałaby zobaczyć swoje dzieci. Nie dostała żadnej odpowiedzi. Zmarła w 1949 roku.

Ciekawie ułożyły się losy jej ojca, czyli mojego dziadka. On miał bardzo burzliwe życie osobiste. Z pierwszą żoną (czyli moją babcią) rozwiódł się i ożenił się po raz drugi. Jego nowa wybranka została jednak zastrzelona na ulicy przez... egzekutorów z Armii Krajowej. Oskarżono ją bowiem o kolaborację z Niemcami. Dziadek wkrótce uciekł przed bolszewikami do Wrocławia. Zabrał ze sobą swoją pierwszą żonę, ale we Wrocławiu ożenił się po raz trzeci. Tym razem z jakąś młodą Niemką. Mieli dziecko. Dziadek wkrótce zmarł, a ja potem poruszyłam niebo i ziemię, żeby odnaleźć to dziecko. Niestety, bez rezultatu.

Gdańsk po wojnie był bardzo przygnębiającym, depresyjnym miejscem. Ktoś zrobił mi zdjęcie, jak stoję na stosie gruzów i trzymam w ręku cegłę. Tak właśnie wyglądał Gdańsk. Całkowicie zdemolowane, opustoszałe miasto, które próbowali odbudować zupełnie nowi mieszkańcy. Jednocześnie ludzie ci próbowali odbudować swoje - rozbite przez wojnę - życie.

Byłam jedną z nich. Skończyłam szkołę wieczorową, wkrótce znalazłam pracę w Dyrekcji Dróg Wodnych jako maszynistka. Kiedy miałam już pierwsze pieniądze, wyprowadziłam się z domu i wynajęłam pokój. Wszystko zaczęłam od nowa.

## Precz z komuną!

Moje perypetie z władzą komunistyczną zaczęły się w 1956 roku. Pracowałam wtedy w Centrali Aptek Społecznych i zostałam zaproszona przez dyrektora do teatru na akademię na cześć Armii Czerwonej. Siedzieliśmy na balkonie, rozmawialiśmy, śmialiśmy się, flirtowaliśmy. Po akademii przy drzwiach czekali już na mnie panowie z UB.

Zabrali mnie na komendę przy ulicy Okopowej i trzymali tam przez czterdzieści osiem godzin. Zarzucili mi, że wyśmiewałam armię „bratniego kraju” i że źle wypowiadałam się o komunistach.

Pilnujący mnie strażnik strasznie mnie dręczył. Groził, że nigdy nie wyjdę na wolność.

To był brutalny, wulgarny człowiek. Nie odstępował mnie na krok — chodził za mną nawet do toalety. Wypowiadał przy tym takie słowa, które nigdy nie przeszłyby mi przez gardło. Było to niezwykle upokarzające doświadczenie. Mimo że szybko mnie wypuścili - długo nie mogłam dojść do siebie.

Choć starałam się nikomu nie wchodzić w drogę, dla komunistów byłam „wrogiem ludu”. Osobą nieodpowiednio urodzoną. Kadrowiec z pracy pisał na mnie donosy, że jestem „burżujką”. Nie pasowałam do tego systemu. Szarość i beznadzieja PRL-u całkowicie mnie przygnębiały. Obrzydzały mi życie.

Dlatego gdy w 1980 roku powstała Solidarność - i pojawiła się nadzieja na zmianę - nie wahałam się nawet chwili. Od razu się do niej zapisałam. Razem z kolegami z Pracowni Konserwacji Zabytków chodziłam pod stocznice. U siebie w pracy również założyliśmy komórkę Solidarności. Chłonełam to, co się działo, jak gąbka. Wyrwałam się z głębokiej depresji i znalazłam się w stanie euforycznym. Niestety, nie było nam dane cieszyć się długo...

Spodziewałam się, że za „udział w antypaństwowych zajściach” wyrzucą mnie z pracy. Nie pomyliłam się. Dyrektor kadr osobiście wręczył mi trzymiesięczne wypowiedzenie z zakazem wstępu do zakładu pracy.



*Janina musiała opuścić rodzinny Lwów. W Gdańsku próbowała odbudować swoje rozbite wojną życie. Na zdjęciu: Janina, ok. 1975 r.*

Mimo to zaglądałam co jakiś czas do pracowni, rozdawałam kolegom opozycyjne broszury.

Generał Jaruzelski wprowadził stan wojenny, a ja 16 grudnia zostałam ciężko pobita pod stoczną przez ZOMO. Raz przyszłam w nocy z ulotkami. Dozorczyni dała mi klucze, ktoś jednak zauważył i doniósł. Dozorczynię zwolniono dyscyplinarnie.

Nie poddawałam się. Wszystkie te perypetie, zamiast zniechęcić, zagrzewały mnie do dalszej walki. Rozdawałam ulotki jak nie pod miejscem pracy, to na ulicy. W moim mieszkaniu koledzy z Solidarności założyli drukarnię. Wydawaliśmy broszurkę „Gryps”. Pisałam artykuły na maszynie: o tym, kogo aresztowano, na kogo trzeba uważać, gdzie doszło do zamieszek.



*Kiedy powstała Solidarność, Janina nie wahała się ani chwili — od razu się zapisała. Po wprowadzeniu stanu wojennego represje jej nie ominęły. Została ciężko pobita i zwolniona z pracy, ale się nie poddała.*

Dzięki temu, że świetnie pisałam na maszynie, mogłam się zresztą utrzymać. Po wyrzuceniu z pracy musiałam z czegoś żyć, więc zabrałam się za prywatne przepisywanie. Prace magisterskie i doktorskie, referaty, książki. Przepisywałam wszystko. Ludzie mi za to płacili i w ten sposób pozyskiwałam pieniądze na skromne utrzymanie.

Strata pracy to była cena, jaką musiałam zapłacić za zaangażowanie w Solidarność. Wszyscy opozycjoniści musieli być na to gotowi. Władze nie cofały się przed żadnymi wobec nas szykanami, by w ten sposób zmusić do uległości, do wycofania się. Wyrzucenie z pracy w PRL-u to był naprawdę bardzo poważny problem. Trzeba było mieć sporo hartu ducha, żeby to znieść, żeby sobie poradzić.

Niestety, niektórzy dawali się złamać i donosili. Jeden z chłopców, którzy przychodzili do mnie po odbiór ulotek, sypanął całą drukarnię. Oczywiście ze mną na czele. Ten donosiciel nazywał się Igor Koreń. Po tym, jak zostałam aresztowana, koledzy wydrukowali ostrzegawczą ulotkę z jego zdjęciem. Zachowałam ją do dzisiaj.

Przyszli po mnie w sierpniu 1982 roku. Był ranek, miałam otwarte okno w sypialni, przez które wpadało słońce. Siedziałam przy biurku i pisałam na maszynie - trudniłam się wówczas przepisywaniem z rękopisu prac dyplomowych. Mieszkałam na czwartym piętrze, a mój parapet łączył się z dachem. I nagle nie mogłam uwierzyć własnym oczom - na tym dachu zobaczyłam dwóch ubeków.

Jednocześnie kilku stanęło pod drzwiami i zaczęły zawzięcie pukać. Nie otwierałam, bo byłam w samej koszuli nocnej. Tych z dachu, którzy z kolei pukali w okno, spytałam, po co właściwie tam wleźli? Odpowiedzieli, że bali się, że wyskoczę... Pamiętam, że zaczęłam się wtedy strasznie śmiać. Czy oni naprawdę myśleli, że popełnią samobójstwo?

Rewizja trwała długo. Ubecy wszystko przeszukiwali bardzo starannie. Odnaleźli ukryte w ścianie półki z bibułą. Byli zaskoczeni, że potrafiłam coś takiego wymyślić. Nagle osłupiałam. Dwóch z nich rozciągnęło się na moim tapczanie i

zaczęło się wylegiwać. Cóż za bezczelność! Zaczęłam na nich krzyżeć, a oni z rozbijającą szczerością powiedzieli, że są przemęczeni. Oczywiście natychmiast ich z tego tapczanu zgoniłam.

- Samiście sobie taką pracę wybrali - powiedziałam.

Siedzieli u mnie cały dzień. W końcu zgłodnieli i wysłali jednego po bułki. Chcieli mnie nawet częstować, ale odmówiłam.

Powiedziałam, że boję się, że są zatrute. Zaczęli się śmiać i powiedzieli, że „byle kogo” truć nie będą. Zażądali, żeby im zrobić herbaty. Odpowiedziałam, że ja herbatą częstuję tylko gości, a ich do siebie nie zapraszałam. Takie to prowadziliśmy rozmowy.



*Uczestniczyła w najważniejszych wydarzeniach tamtych czasów. Całkowicie poświęciła się Solidarności.*

*Na zdjęciu: z prawej strony, obok Bogdana Borusewicza.*



W protokole zatrzymania napisali, że przechowuję w piwnicy benzynę dla celów terrorystycznych. To był jakiś nonsens. To było paliwo do mojego malucha. Dzisiaj to, co mówię, może wywołać zdziwienie. Paliwo w piwnicy? PRL był jednak krajem powszechnych niedoborów. Półki w sklepach świeciły pustkami, niczego nie można było dostać. Chyba że spod lady. Benzyna nie była żadnym wyjątkiem. Gdy już udawało mi się ją kupić - robiłam spory zapas. Teraz SB postanowiła wykorzystać to przeciwko mnie.

W końcu zabrali mnie na komendę przy Okopowej. Ubecy traktowali mnie tam okropnie. Mówili do mnie per ty: „Nie dałaś nam herbaty, to teraz nie puścimy cię do łazienki”. Kazali mi załatwić się na podłogę. Potem przewieźli mnie na Kurkową. Nie chciałam zeznawać ani niczego podpisywać. Przychodzili do mnie do celi i skarżyli się, że robię im w ten sposób olbrzymi kłopot. Pamiętam, że jeden z nich miał pokiereszowane ręce. Kogoś wcześniej „przesłuchiwał”.

Mnie nie bito, ale bardzo bałam się kryminalistki, z którą siedziałam w celi. To była wielka kobieta. Patrzyła na mnie spode łba. Wypuścili ją przede mną. Podpatrzyła w dyżurce mój adres i poszła do mojej siostry. Próbowała od niej dostać pieniądze i jedzenie. Że niby dla mnie, bo zaraz wróci do więzienia i mi przekaże. Siostra nie dała się nabrać.

W ogóle więźniarki kryminalne bardzo źle się do nas, politycznych, odnosiły. Obwinały nas o sprowokowanie stanu wojennego.

Z aresztu wyszłam po roku, w lipcu 1983. Komuniści ogłosili wówczas amnestię, bo przyjechał papież. Nie nacieszyłam się długo wolnością, bo w 1985 roku znowu mnie zamknęli. Tym razem nie skakali już po dachach. Normalnie zapukali do drzwi. Nie chciałam otworzyć, wywalili więc drzwi kopniakiem.

W areszcie powitano mnie jak starą znajomą. Oddziałowa, która zobaczyła mnie, już na korytarzu krzyknęła: „Wehrstein, co wy tu robicie!?! Pewnie znowu Jaruzelskiego chcieliście zamordować!”.

Ta oddziałowa nazywała się Sawicka. Była nawet przyzwoita. Po ósmej wieczorem przynosiła nam do celi - co było

zabronione przez regulamin — herbatę. Podobno teraz w areszcie na Kurkowej pracuje jej córka. To w ogóle była „więziennicza rodzina”. W areszcie pracował też jej mąż, ale on z kolei nie cieszył się zbyt dobrą opinią.

Tym razem czułam się już w areszcie pewniej. Nie bałam się tak, miałam w końcu doświadczenie. Mimo to ubecy potrafili mnie zaskoczyć. Przychodzili na przykład do celi i w ciężkich buciorach stawali więźniom na bosych stopach. Spotkało mnie to wiele razy. Ból był okropny. Staralam się jednak nie dać im satysfakcji i tego nie okazywać.

Siedziałam w celi z kryminalnymi. Była tam jedna dziewczyna - niezwykle wulgarna. Siedziała za zabójstwo starszej pani, którą udusiła kablem. Poszturchiwała mnie, zaczepiała. Stawała w oknie i rozbierała się do naga. Po drugiej stronie, w męskiej części aresztu, siedział jej „ukochany” i mógł ją obserwować. Było to dość obrzydliwe.

Ta morderczyni rzucała w moim kierunku żyletkami, groziła, że mi przetnie żyły. Zapowiadała, że jak będę spała — przejedzie mi żyletką po oczach. Tego bałam się najbardziej. Jej prycza znajdowała się nad moją i nigdy nie byłam pewna, czy w nocy mi czegoś nie zrobi. Siedzenie z nią w jednej celi było dla mnie udręką.

Nawiasem mówiąc, przypominała mi prowadzącą moją sprawę oficer bezpieczeństwa Jadwigę Kmicieńską. Ona podczas przesłuchań zachowywała się tak samo jak ta kryminalistka. Tak samo mi groziła, rzucała podobnymi wulgarnymi słowami.

Znowu odsiedziałam rok. Wypuścili mnie w październiku 1986 roku z okazji kolejnej amnestii. Wtedy wyszedł też z więzienia Bogdan Borusewicz. Pamiętam, że wszyscy zebraliśmy się u księdza Henryka Jankowskiego w kościele św. Brygidy. Tam poznałam Adama Michnika.

Utkwiło mi w pamięci takie zdarzenie. To było chyba drugiego dnia po wyjściu z więzienia. Szłam do sklepu. Jakiś młody człowiek mył okna na klatce schodowej. Kiedy wracałam, zaczął do mnie krzyżeć: „Ty k... j.. .a”. Podeszłam do niego i zapytałam grzecznie, dlaczego tak mówi, skoro nawet mnie nie zna. Odparł, że mu jedna z moich sąsiadek za to zapłaciła.



*Janina wśród przedstawicieli gdańskiej Solidarności. Na zdjęciu: po prawej obok Lecha Wałęsy podczas jego pożegnania w 1990 r.*

To była straszna, zajadła komunistka. Wręcz nienawidziła ludzi, którzy mieli inni poglądy. Nieprzyjemności spotkały mnie jednak nie tylko z jej strony. Inni sąsiedzi odwracali głowy na mój widok, zabraniali mi do siebie przychodzić, przestali mówić „dzień dobry”. Dlaczego tak się zachowywali? Nie wiem, może z oportunistu, a może ze strachu.

Słuchając tego, co dziś ludzie opowiadają, można odnieść wrażenie, że wszyscy byli w opozycji. W rzeczywistości nie było tak różowo. Oczywiście miałam też i odwrotne doświadczenia. Pewnego razu szłam ulicą Monte Casino. Nagle jakaś kobieta zaczyna biec w moim kierunku i krzyżeć na całą gardło: „Dzień dobry! Dzień dobry, jak miło, że cię widzę!” To była złodziejka, z którą przez pewien czas siedziałam w jednej celi.

Państwo Zbigniew i Zofia Romaszewscy powołali w

Warszawie Komisję Interwencji i Porad Prawnych. Zostałam jej pełnomocnikiem na Gdańsk. Razem ze mną miała pracować Alina Pieńkowska, żona Bogdana Borusewicza. Urodziło im się jednak akurat dziecko, więc na placu boju zostałam sama.

Czym się zajmowałam? Głównie biegałam po sądach. Po starciach ulicznych z milicją ludzie przychodzili do mnie i przekazywali mi informacje, kto tym razem został zatrzymany. Pędziłam wtedy na rozprawę. Sędziowie na ogół skazywali ludzi na karę grzywny. To były zawrotne sumy - nawet pięćdziesiąt tysięcy złotych - i nikogo nie było na nie stać. W przypadku niezapłacenia groziła odsiadka. Wykupywałam tych ludzi dzięki funduszom przekazywanym Solidarności z zagranicy. Przywoził mi je z Warszawy mecenas Jacek Taylor. Po wpłaceniu grzywny opozycjonista był wypuszczany z aresztu.

Kilka lat temu załatwiałam coś w urzędzie w Gdyni. Czekałam na korytarzu, kiedy akurat przechodził wiceprezydent miasta. Stał przede mną jak wryty. „Pani Janko - powiedział - czy pani mnie pamięta? Pani mnie przecież wykupiła na rozprawie! Dzięki pani nie poszedłem siedzieć”.

Oprócz tych dwóch rocznych odsiadek jeszcze kilka razy zatrzymywano mnie na czterdzieści osiem godzin. Ubecy zgarniali mnie z różnych miejsc. Z ulicy, sprzed kościoła. Zawsze jednak udawało mi się pozbyć „dowodów”, czyli ulotek i kompromitujących dokumentów, które miałam przy sobie. Przeważnie je zjadałam.

Pamiętam jedną taką sytuację. To było w 1986 roku, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Razem z kilkoma kolegami z Solidarności urządziliśmy u mnie w domu głódówkę. Poszliśmy z Jackiem Fedorem do kościoła, a wracając, rozlepialiśmy na budynkach ulotki. Złapali nas, gdy już wchodziliśmy do mieszkania. Zabrali mnie i Jacka na komisariat.

Okazało się, że zauważyli na ulicy duży opozycyjny plakat, który wywiesiliśmy w oknie. Gdy trafiliśmy na komisariat, natychmiast na miejsce ściągnięto ubeka, który wcześniej prowadził moją sprawę.

Był po prostu wściekły. Zadzwoił na komendę w Gdańsku i

wrzeszczał do słuchawki: „Słuchajcie, znowu ta Wehrstein! Ja mam gości w domu, a wy mi każecie tu po nią przyjeżdżać i się nią zajmować”.

O tym naszym bożonarodzeniowym „numerze” zrobiło się głośno w całym Trójmieście. Na rozprawę, która odbyła się dwa dni później, przyszedł tłumy. Między innymi Anna Walentynowicz.

Dostałam grzywnę pięćdziesiąt tysięcy. Jacek też. Odwołałam się od tego wyroku do komisji Urzędu Wojewódzkiego, gdzie miałam rozprawę rewizyjną. Niestety, komisja odrzuciła moje odwołanie. Zdenerwowało mnie to i mocno im tam nawrzucałam. Jak wychodziłam z sądu, miałam złe przeczucia. Spodziewałam się, że nie puszcza mi tego płazem.

Nie myliłam się. Na ulicy dwóch „smutnych panów” chwyciło mnie pod ręce i zaczęło wciągać do białego mercedesa. Wtedy nadbiegła opozycyjna młodzież, która była na rozprawie. Na czele z Beatą Szmytkowską, jedną z bohaterek tej książki. Młodzież narobiła rabanu i zaczęła mnie wyciągać z drugiej strony samochodu!

Z czymś takim ubecy chyba jeszcze nie mieli do czynienia. Zaczęła się dzika szarpanina. Z jednej strony ciągnęła mnie młodzież, z drugiej ubecy. Raz byłam na ulicy, raz w samochodzie. Niestety, w końcu ubecy wygrali i mercedes - ze mną w środku — ruszył spod gmachu urzędu z piskiem opon. Zostałam uprowadzona!

O tym spektakularnym zatrzymaniu zrobiło się głośno. Jeszcze tego samego wieczoru Radio Wolna Europa podało informację, że Janina Wehrstein została aresztowana. Kiedy mnie wypuszczali, usłyszałam zrezygnowany głos jednego z funkcjonariuszy: „Wehrstein, my wiemy, że wy tutaj nie jesteście ostatni raz. Wy tu jeszcze wrócicie”. Mieli mnie już tam dość.

Służba Bezpieczeństwa była aktywna do końca. Aż do samego upadku reżimu byłam inwigilowana, śledzona przez szpicli. Chodzili za mną wszędzie. Do kościoła, do sklepu, na spacer. Z czasem zaczęłam ich już rozpoznawać. Zresztą nietrudno ich było zauważyć - wszyscy kamuflowali się, udając, że czytają

gazetę. Ze też im się chciało!

Do wydarzenia uwiecznionego na słynnym zdjęciu doszło w kwietniu 1989 roku. Wyszliśmy wtedy dużą grupą z kościoła św. Brygidy po mszy odprawionej przez księdza Jankowskiego. Udaliśmy się pod pomnik Ofiar Grudnia '70. W drodze powrotnej mijaliśmy budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Odpowiednie służby zostały zawczasu zawiadomione o naszym przemarszu i na miejscu zastaliśmy zomowców w pełnym rynsztunku obstawiających budynek.

Choć wcześniej nikt nie miał wrogich zamiarów, teraz - na widok mundurów - młodzież nabrała ochoty do bitki. Chłopcy zaczęli już schylać się po kamienie, rwać bruk uliczny. Zanosilo się na straszną rozróbę. Chciałam temu zapobiec. To się bowiem zawsze kończyło tak samo - aresztowaniami ludzi, których potem musieliśmy wyciągać z komisariatów.

Stałam więc między naszymi a ZOMO i zaczęłam nawoływać do spokoju. Ktoś mi dał do ręki tubę, obok stanęła mała dziewczynka, która bacznie mi się przyglądała. Na ramieniu miałam biało-czerwoną opaskę. Ktoś uwiecznił ten moment na zdjęciu. Co jednak najważniejsze - udało mi się opanować nastroje. Tłum się rozszedł, do zadymy nie doszło.

Czuliśmy wtedy, że coś w szeregach władzy pęka. Przestali być tacy pewni siebie. Częściej nas wypuszczali. Na coraz więcej nam pozwalali. Na komunie pojawiły się pierwsze rysy, system zaczął trzeszczeć w szwach. I wreszcie przyszedł rok 1989. Rok kończący naszą walkę. Rok zwycięstwa.

Naprawdę trudno mi opisać uczucia, które mi wówczas towarzyszyły. Po tylu latach walki, tylu wyrzeczeniach i szykanach, które musieliśmy znosić, jednak wygraliśmy! Udało się obalić komunę. A przecież jeszcze niedawno ludzie uważali nas za marzycieli, fantastów. Myśleli, że nie mamy najmniejszych szans w starciu z władzą. Bez wątplenia rok 1989 był rokiem naszego triumfu. Gdybym miała w jednym słowie ująć to, co wówczas czułam, powiedziałabym – euforia. Po wyborach czerwcowych już oficjalnie mogłam pracować w legalnej Solidarności.



*W kwietniu 1989 r. mogło dojść do kolejnego starcia protestujących z ZOMO. Janina chciała jednak uniknąć fali kolejnych aresztowań. Nawoływała ludzi do spokoju.*

Pracę zaproponował mi Borusewicz. Dostałam gabinet, telefon i... robiłam to, co wcześniej w podziemiu. Czyli interweniowałam w sprawie zatrzymanych, zbierałam informacje o zajściach.

Podczas jednego z dyżurów zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się męski głos. Człowiek ten powiedział, że w Gdańsku Oliwie jest placówka Straży Granicznej, w której od dwóch dni SB pali dokumenty z Komitetu Wojewódzkiego partii w Gdańsku. Jak powiedziałam o tym Borusewiczowi, kazał mi natychmiast wsiadać w samochód i jechać.

Na miejscu jakiś facet powiedział wielce zdziwiony: „Kobieta? Tu? Nie ma mowy, nigdzie pani nie wejdzie”. Kazał mi jechać do komendanta straży do Oliwy. Pojechałam tam, zameldowałam się i zażądałam, aby natychmiast jechał ze mną na miejsce palenia dokumentów.



*W podziemiu zajmowała się interwencjami w sprawie zatrzymanych, zbierała informacje o zajściach. Wiele osób zawdzięcza jej uwolnienie z aresztu. Po wyborach czerwcowych mogła kontynuować swoją działalność w legalnej Solidarności.*



On tymczasem... zaczął mnie częstować herbatą i chciał zaprosić na kolację! Oczywiście nie dałam się oczarować.

Wróciłam do Oliwy. Tam już czekał na mnie prokurator. Okazało się, że komuniści palili dokumentację dotyczącą różnych zajęć, do których dochodziło w latach osiemdziesiątych w Trójmieście. A także materiały dotyczące represji wobec opozycjonistów. Wszystko to odbywało się w sposób niebywale prymitywny. W budynku tym była zwykła kotłownia i palacz co pewien czas wrzucał do ognia pakiet tych cennych dokumentów. W ten sposób „czerwoni” starali się zatrzeć ślady swojej opresyjnej działalności.

Całe szczęście, że wkroczyliśmy razem z prokuratorem do placówki i zatrzymaliśmy proces palenia. Część dokumentów udało się uratować. Sekretarz PZPR dostał za to potem rok w zawieszeniu. Takich przypadków po 1989 roku było bardzo wiele. Niestety, SB udało się zniszczyć wiele materiałów.

Potem prowadziłam biuro poselskie Borusewicza. Pewnego dnia Borusewicz stanął przed moim biurkiem. Byłam zaskoczona, bo bardzo rzadko bywał w biurze. Rzucił do mnie: „Pakuj swoje rzeczy! Już tu nie pracujesz”. Obok niego stała atrakcyjna, na oko dwudziestokilkuletnia, dziewczyna... Moja następczyni.

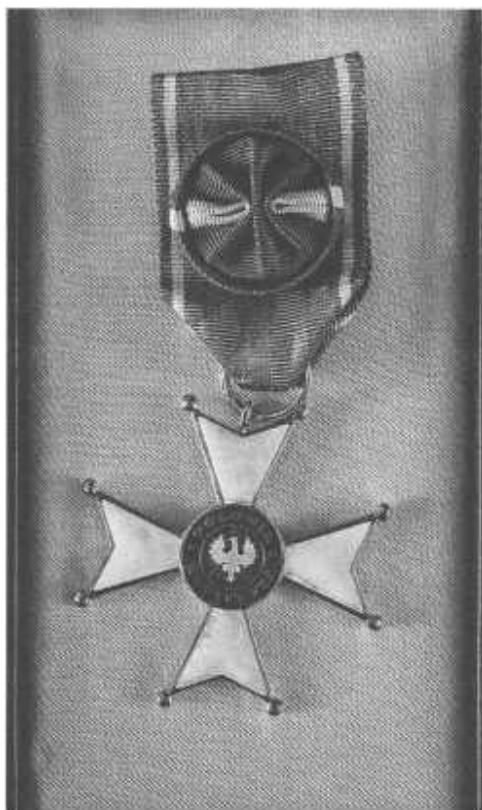
Muszę przyznać, że mnie zamurowało. Nie tak sobie wyobrażałam moją karierę w wolnej Polsce. Tłumaczę mu, że przecież się przyjaźnimy, nawzajem ukrywaliśmy się w latach osiemdziesiątych, a poza tym mam umowę o pracę. Nawet nie chciał słuchać. Oświadczył, że jestem zwolniona i mam się wynosić. Cóż miałam robić, wsiadłam do malucha i odjechałam. Zaskarżyłam go później do sądu o niesłuszne zwolnienie i brak trzymiesięcznego wypowiedzenia. Od tego czasu w ogóle się sobie nie kłaniamy.

Kiedy 3 maja 2006 roku dostałam z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Borusewicz chciał do mnie podejść. Może chciał się pojednać, przeprosić. Ale udawałam, że go nie widzę. Po tym, co mi zrobił, nie mogłabym się z nim przywitać. To by było poniżej

mojej godności.

Lecha Kaczyńskiego znałam jeszcze z czasów stanu wojennego. Przekazywał mi informacje do „Grypsu”, pisma, które drukowałam w swoim mieszkaniu. Leszek miał przesympatyczną żonę. Bardzo się lubiliśmy, wręcz się przyjaźniłyśmy. Kiedy Borusewicz wyrzucił mnie ze swojego biura, to Kaczyńscy pomogli mi znaleźć nową pracę.

Mieszkali bardzo blisko mnie, często do nich zachodziłam. Z Marią Kaczyńską połączyła mnie miłość do kotów. To był stały i główny temat naszych rozmów.



*Za swoje zasługi w Solidarności Janina została uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.*

Co robię teraz? Dużo! Przede wszystkim zasiadam w zarządzie gdańskiego oddziału Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich. Regularnie organizujemy różne spotkania i imprezy. Jeździmy do Bykowni i Katynia, gdzie zapalam świeczkę mojemu ojcu.

Działam też w Stowarzyszeniu Penitencjarnym „Patronat”, które pomaga ludziom przebywającym w więzieniach, ale też i tym, którzy odsiedzieli już swój wyrok, oraz ich rodzinom. Koresponduję z więźniami, dzwonię do nich, a oni do mnie. Staram się podtrzymywać ich na duchu, przekonać, że świat wcale o nich nie zapomniał. Ze mają przed sobą przyszłość.

Jestem współzałożycielką Stowarzyszenia „Amazonki”, zrzeszającego kobiety, które chorują lub chorowały na nowotwory piersi. Sama jestem jedną z nich. Przeszłam operację dwadzieścia pięć lat temu. Raz w tygodniu mam w naszym stowarzyszeniu dyżur.

Wspieram kobiety, które są przed operacją piersi lub po niej i chcą o tym porozmawiać.

Z najbliższej rodziny została mi tylko siostra. Bardzo się kochamy, ale ona uważa, że jestem lekko postrzelona, bo zamiast siedzieć z kotami przed telewizorem - jak przystało na porządną staruszkę - cały czas angażuję się w kolejne inicjatywy. Cóż jednak poradzę na to, że muszę działać? Nie znoszę beczynności.

Niedawno wystąpiłam o odszkodowanie za lata spędzone w więzieniu. Dostałam trochę pieniędzy, za które kupiłam sobie piękne srebrne suzuki. Jazda samochodem to po kotach (obecnie mam dwa) moja druga pasja.

Zaraz po upadku komuny pojechałam też do Lwowa. Byłam w rodzinnym Stryju. Oglądałam nasz dom - ten sam, z którego w 1939 roku Sowieci zabrali mojego ojca. Teraz jest to siedziba jakiegoś ukraińskiego urzędu. Byłam też na cmentarzu, na którym znajduje się grób rodziny Wehrsteinów. To wszystko było dla mnie bardzo wzruszające, a jednocześnie trudne. Tyle wspomnień stanęło mi przed oczami...

Obecnie moją małą ojczyzną, moim miejscem na ziemi, jest Gdańsk. To tutaj walczyłam o wolność i tutaj odniosłam zwycięstwo. Cieszę się, że mogę teraz oglądać jego owoce.

Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy wypuszczono mnie z więzienia, dwóch ubeków zaprosiło mnie na rozmowę. Ku mojemu zdumieniu próbowali mi wręczyć paszport. Powiedzieli, że dają mi wolną rękę - bylebym tylko zgodziła się wyjechać z Polski. Oni resztę załatwią. Pytali, gdzie chcę jechać. Do Londynu? Do Paryża? Do Ameryki? Byle daleko stąd.

Odrzuciłam tę ofertę z pogardą.

— Panowie, nie ma mowy. Ja się stąd nie ruszę.

*Janina Wehrstein*

**IZABELLA**  
WIEŻNIARKA, KTÓRA ZOSTAŁA MINISTREM



**13** grudnia rano pod okna mojego mieszkania przybiegł kolega z teatru i na całe gardło zaczął krzyczeć: „Iza, obudź się, wojna, wojna!”.

Włączyłam telewizor. Generał Wojciech Jaruzelski czytał z kartki dekret o wprowadzeniu stanu wojennego. Sztywny jak zawsze, miał na sobie mundur i nieodłączne czarne okulary. Nad jego głową wisiał orzeł, oczywiście bez korony. Mówił monotonie, bez wyrazu.

W południe wszyscy zbiegliśmy się do Teatru Nowego w Poznaniu, którym kierowałam. Ja, aktorzy, przyjaciele teatru. Staliśmy pod moim gabinetem i na gorąco wymienialiśmy nasze spostrzeżenia, lęki, przewidywania. Byliśmy wstrząśnięci tym, co się stało.

Władze kazały nam zamknąć teatr. Wszyscy dziwili się, dlaczego bezpieczeństwa się za mnie nie wzięła. Trwały masowe aresztowania przeciwników systemu. Pocięłam się, że może nie jestem dla nich aż tak ważna. Że dadzą mi spokój. Niestety, myliłam się.

Kolejnego dnia - 14 grudnia 1981 roku - zaprosiliśmy z Januszem do siebie do domu przyjaciół, żeby pokazać im slajdy z naszej letniej podróży do Lwowa. Piliśmy samogon zrobiony przez Janusza, paliliśmy długie stuyvesanty, amerykańskie papierosy, które przywozłam z ostatniego pobytu w Berlinie.

Przez chwilę czuliśmy się tak, jakby wydarzenia z tego dnia nie miały miejsca. Jakby było normalnie. Oglądaliśmy właśnie zdjęcia z cmentarza Łyczakowskiego, gdy rozległo się mocne walenie do drzewi.

Nie pamiętam już, kto otworzył. Pamiętam natomiast, kiedy esbecy powiedzieli, że mnie zabierają, i Janusz krzyknął, żeby wzięli jego zamiast mnie. Tylko się roześmieli.

Było ich dwóch. Jeden przystojny, młody, w tureckim kożusku i błękitnym golfie - typ intelektualisty w okularach. Drugi - typowe chamidło z pałą. Co ciekawe, znacznie gorszy okazał się ten „intelektualista”. Zakuli mnie w kajdanki i

powiedzieli:

- No, Cywińska, żarty się skończyły.

Zdażyłam zgarnąć ze stołu napoczętą paczkę „amerykanów”, *Wzgórze błękitnego snu* Igora Newerlego i dwa ciepłe swetry. Do buta schowałam jeszcze listek relanium, środka na uspokojenie.

Wieźli mnie ulicami Poznania. Mojego miasta, ale teraz jakby obcego, milczącego. Na ulicach czołgi, patrole. Znalazłam się w potrzasku. Dosłownie. Siedziałam na tylnym siedzeniu, wciśnięta między dwóch esbeków. Po drodze mijaliśmy hotel. Jeden z nich wskazał na hotel i ordynarnie zapytał, którego z nich wybieram. Bałam się, ale starałam się nie dać tego po sobie poznać. Spojrzałam na nich z pogardą i powiedziałam, że nie są w moim typie.

Zawieźli mnie do aresztu na Kochanowskiego. Czy się bałam? Oczywiście, bardzo. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, co ze mną zrobią. To był początek stanu wojennego, nie wiadomo było jeszcze, do czego komuniści się posuną. Co zamierzają.

Esbek, przez którego byłam prowadzona w kajdankach, wtrącił mnie do celi - brudnej, śmierdzącej. Strasznej. Cuchnęło, pod ścianą stał kubeł po brzegi wypełniony fekaliami. Koc był dosłownie sztywny z brudu.

Na domiar złego w celi było ciemno, gdyż znajdowała się ona w piwnicy. Okno - maleńkie i zakratowane - było na poziomie chodnika. Stając na pryczy, można było zobaczyć poruszające się szybko buty idących po ulicy przechodniów, A także przyjaciela - wróbla, który dokonywał porannej toalety w piasku rozrzuconym pod moim oknem.

Długo nie mogłam dojść do siebie. Wpatrywałam się monotonicznie w obdrapaną ścianę i paliłam papierosy - jeden za drugim. To były moje wspaniałe „amerykany”. W końcu jakoś zasnęłam.

Kiedy otworzyłam oczy, ktoś nade mną stał, ktoś się we mnie wpatrywał. Nie widziałam twarzy, tylko zarys sylwetki w ciemności. Dużej, wysokiej, barczystej. „Czy to esbek, który chciał mnie zgwałcić w hotelu?” - pomyślałam. Wydawało mi się, że jest ubrany w czarny płaszcz.

Całe szczęście po chwili rozległ się kobiecy, mocny głos. Odetchnęłam z ulgą. Okazało się, że do celi „dokwaterowano” mi drugą więźniarkę. Przedstawiła się jako Barbara Napieralska. Pracowała jako technik elektronik w zakładach „Teletra”. Również działała w Solidarności.

Po trzech dobach zabrali mnie do aresztu na Młynie, czyli przy ulicy Młyńskiej 1. Udało mi się wtedy przekazać wiadomość dla Janusza... Kierowca budy, którą mnie wieźli, był na tyle uprzejmy, że zatrzymał się i pozwolił zamienić kilka słów z kolegą, który akurat szedł ulicą. To mnie nieco uspokoiło. Janusz wiedział, gdzie jestem, co się ze mną dzieje.

### **Tragedia w „Bristolu”**

Urodziłam się we Lwowie, bo tego pragnęła moja mama. To było jej ukochane miasto. Ze Lwowa pochodziła jej rodzina, zresztą bardzo dla tego miasta zasłużona. Ze Lwowa pochodzimy więc i my. Ja i moja starsza siostra, Renia.

Dzieciństwo spędziłam w Kamieniu Puławskim, w majątku ziemskim moich rodziców. Mówiąc o rodzicach, mam na myśli mamę i stryja Stanisława Cywińskiego, brata mojego ojca. Przez nas, dzieci, nazywanego stryjkiem. To on mnie wychował. Mama wyszła za niego za mąż po śmierci mojego taty. Ojca, Andrzeja Cywińskiego, nigdy nie poznałam.

Zginął w tragicznych okolicznościach w styczniu 1936 roku. O tym makabrycznym wypadku głośno było w całej Warszawie. O ósmej rano, po nocy spędzonej w słynnej „Adrii”, ojciec wrócił do swego pokoju w „Bristolu”. Po drodze w hotelowym kiosku kupił papierosy i gazetę.

Po dwóch godzinach w pokoju, który zajmował - numer 113 - rozległ się przeraźliwy krzyk. Mój ojciec został ciężko poparzony. Ogień zaprószył się od niedopałka papierosa, z którym ojciec zasnął w ręku. Nie miał najmniejszych szans...

Gdy umarł, nie miałam nawet roku.

Dwadzieścia lat później poznałam na dancingu w „Bristolu” znanego dziennikarza „Szpilek”.





*Dziecięce zabawy i filmy kręcone z siostrą Renią „pod koldrą” były dla Izabelli inspiracją przy realizacji „Bożej podszewki”. Na zdjęciu: mała Iza z siostrą w 1937 r.*

Był przyjacielem mojego ojca i opowiedział mi o nim dużo rzeczy, których nie mówiono w domu.

Ojciec lubił się bawić. Miał być świetnym „kompanem do wódeczki” i był uwielbiany przez panie. Zresztą z wzajemnością. A jednocześnie był wielkim marzycielem. W latach trzydziestych porwała go idea budowy Gdyni. Wielkiego portu, który miał otworzyć dla Polski drogę do mórz, oceanów i

egzotycznych łądów.

Ojciec chciał budować statki i okręty, które miały pływać do przyszłych polskich kolonii w Brazylii i Liberii. Wierzył, że Rzeczpospolita stanie się kolonialnym imperium. Dziś może się to wydawać śmieszne, ale taki był klimat tamtej epoki.

Mama była damą z prawdziwego zdarzenia. Obie z siostrą tak ją zapamiętałyśmy. Jako małe dziewczynki lubiłyśmy towarzyszyć jej w „kąpeli w różowej wannie”. Z dużą ilością piany. Dłonie trzymała splecione na piersiach, żeby ich nie zamoczyć i w ten sposób nie zniszczyć lakieru. Wtedy najlepiej nam się z mamą rozmawiało.

Używała dużo kremów i nas też nimi pacykowała.

- Pamiętajcie - mówiła - żebyście przed wyjściem z pokoju zawsze zerkały dyskretnie w lustro.

Nasze kokardy we włosach musiały być zawsze w idealnym ładzie. Te mamy rady w dzieciństwie wydawały nam się śmieszne. Potem jednak je doceniłyśmy. Mama była bardzo mądrą kobietą.

Z Renią często bawiliśmy się w teatr. Robiliśmy lalkowe przedstawienia, szyłyśmy kostiumy, przygotowywałyśmy dekoracje. Uwielbiałam to. Można powiedzieć, że reżyserię miałam we krwi. Kręciliśmy też serial „pod koldrą”. Odgrywałyśmy w nim różne sceny z naszego życia, inne odcinki były w konwencji horroru.

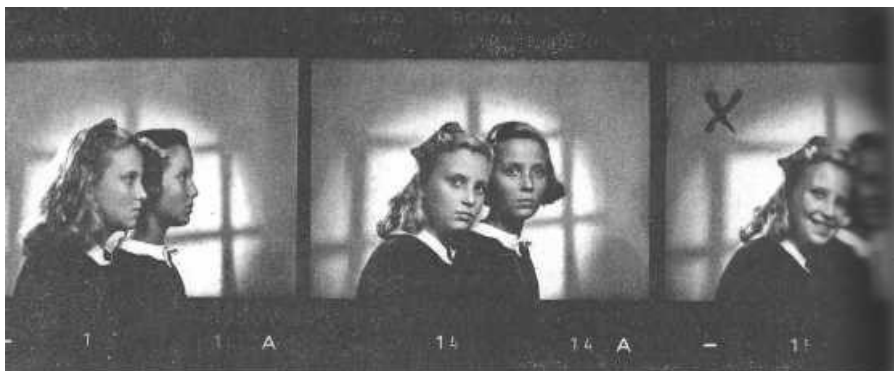
Niektóre z nich stanowiły inspirację do *Bożej podszewki*, serialu, który wyreżyserowałam w latach dziewięćdziesiątych dla Telewizji Polskiej.

Jedną z naszych ulubionych gier i zabaw była „zimna kolacja”.

O co chodziło? Otóż wszyscy musieli usiąść przy stole jak do kolacji i schować ręce pod długą serwetę. Tak, aby nie było widać dłoni, którymi podawało się innym graczom jakiś nieznany przedmiot.

Wygrywał ten, kto pierwszy go zidentyfikował. Przedmiot musiał mieć różną formę. Zazwyczaj były to rzeczy wzięte z domowego gospodarstwa.

Któregoś razu zobaczyłyśmy z Renią walającą się gdzieś pod płótem... odciętą głowę koguta.



*Piękne uśmiechy, idealne kokardy... Przed wyjściem dyskretne spojrzenie w lustro. Mama była dla dziewczynek pierwszą nauczycielką stylu.*

Ta głowa wyglądała obrzydliwie, była cała we krwi i zwisła z niej jakieś farfocle. Postanowiłyśmy ją wykorzystać w „zimnej kolacji”.

Gdy głowa trafiła pod serwetę, część biorących udział w grze dostała hysterii. Gra została nierozstrzygnięta. Dorośli zrobili dochodzenie, ale winnego wsadzenia głowy pod serwetę nie znaleźli. Wszyscy uczestnicy „zimnej kolacji” mieli na rękach krew.

Moje dzieciństwo brutalnie przerwała wojna. Kiedy wybuchła, miałam zaledwie cztery lata. Mimo że po pierwszym okresie tułaczki w 1939 roku wróciliśmy do Kamienia, nic nie było już tak, jak dawniej. Moje życie podzielilo się na dwie epoki. Ta druga była zdecydowanie dłuższa.

Jak każdą polską rodzinę, wojna boleśnie nas doświadczyła. Ciocię Mynię i jej bliskich, którzy mieszkali na Wołyniu, zamordowali ukraińscy nacjonaści. Przedtem na jej oczach zabili jej ciężarną siostrę. Jedna siostra mamy była w Auschwitz, drugą Sowietci wywieźli z dziećmi na Syberię. Ona jakoś przeżyła - dzieci nie. Ich opowieści i tragiczne losy innych członków rodziny ciążyły nad całym naszym dzieciństwem.

Mniej więcej od 1943 roku dwór nachodziły oddziały

sowieckich partyzantów. Oczywiście w celach rabunkowych. Bronili nas przed nimi żołnierze Armii Krajowej, których rodzice żywili i wyposażali im obóz.

W tych trudnych czasach zdarzały się i śmieszne sytuacje. Nasza prababcia - nazywaliśmy ją Prabusią - była głucha jak pień. Nadrabiała za to wzrokiem. Do późnej starości całe dni spędzała nad książką.

Któregoś razu do domu jej córki - Prabusia właśnie u niej była - wdarła się banda sowieckich partyzantów. Bolszewicy obezwładnili domowników i rzucili się do grabieży. Wszystko to odbywało się wśród przekleństw, krzyków i łomotów, ale babcia - pogrążona w lekturze - nic nie słyszała! Na nią, niewielką staruszkę, też nikt nie zwrócił uwagi.

W końcu oderwała wzrok od książki i zobaczyła swoją córkę z mężem, wnuka, pokojówki i kucharza leżących na podłodze ze skrzępowanym rękami. Prabusia uznała, że zrobili jej dowcip i uśmieła się serdecznie.

Tak, wojna widziana oczami dziecka czasami bywała jak numer z kabaretu. Takie sytuacje należały jednak do wyjątków. Raz jechałyśmy z mamą do dentysty. W przydrożnym rowie zobaczyłyśmy grubą, ubraną tylko w różowe majtki, kobietę. Leżała zwrócona twarzą do ziemi. Była martwa.

Pierwsza reakcja mamy była obronna. Chciała zasłonić nam oczy. Po chwili jednak zmieniła zdanie. Pozwoliła nam patrzeć. Dlaczego? Widocznie uznała, że nadszedł czas, abyśmy zrozumiały, jakim koszmarem jest wojna. I zapamiętały to na zawsze.

Mama opowiedziała nam wtedy o przejściowym obozie dla Żydów, który znajdował się niedaleko naszego majątku, w Poniatowej. Ta martwa kobieta była właśnie stamtąd.

To był moment, w którym przestałam być dzieckiem. Każdy ma taką cezurę.

Wojna się skończyła, przyszła Armia Czerwona. Bezwrotnie utraciliśmy nasz ukochany dom w Kamieniu. Zaczęło się dla mnie zupełnie nowe życie. Zaczęła się wielka tułaczka.



*Rodzina Cywińskich musiała po II wojnie światowej opuścić swój wspaniały majątek w Kamieniu Puławskim. Czekala ich długa tułaczka.*

### **Randki z Cybulskim**

To, że urodziłam się we Lwowie, stanowi dla mnie jakiś punkt odniesienia. Tak naprawdę trudno mi bowiem powiedzieć, skąd jestem. Dzieciństwo spędziłam w Kamieniu, po wojnie mieszkałam w Zakopanem, Krakowie, Legnicy, Szczecinie, Poznaniu i Kaliszu. Teraz mieszkam w Warszawie.

Jako nastolatka byłam bardzo wysportowana. Świetnie biegałam na średnie dystanse, pływałam, grałam w koszykówkę. Któregoś razu zostaliśmy wytypowani, żeby reprezentować Szczecin w ogólnopolskich mistrzostwach akademickich, które odbywały się w Warszawie.

Trenowaliśmy na stadionie Legii od rana do nocy. Zaczął się

kręcić wokół mnie niepozorny chłopak z Krakowa. Był lekkoatletą, ale marnym, bo zawsze przybiegał do mety ostatni. On się tym jednak nie zrażał, tylko startował w kolejnych zawodach i z uporem biegł do przodu. Powtarzał, że „trzeba umieć przegrywać”.

Mnie jednak podobał się jego kolega. Poprosiłam więc tego chłopaka z Krakowa, żeby przyszedł razem do stołówki, gdzie ja miałam już czekać. Potem miał zostawić nas samych. Przyszedł jednak bez kolegi. Kiedy zobaczyłam jego brązowe oczy, nie miałam już do niego żadnych pretensji. Zakochałam się w lekkoatlecie, niepozornym chłopaku z Krakowa. Nazywał się Zbyszek Cybulski.

Umówiliśmy się na spotkanie w Międzyzdrojach. Ponieważ nie miałam pieniędzy na bilet - po wojnie u nas w domu z gotówką było krucho - postanowiłam... oddać krew. Dostawało się wtedy za to pewną sumę pieniędzy. Źle się to jednak dla mnie skończyło. Kiedy poszliśmy ze Zbyszkiem biegać wzdłuż plaży, zemdlalam. Cucenie nie miało w sobie nic romantycznego. Zbyszek bardzo się na mnie gniewał za to, że oddałam krew. Wyzwał mnie od prostytutek, które frymarczą ciałem.

Następna randka - dla odmiany - miała się odbyć w Zakopanem. Skończyła się jednak totalnym fiaskiem i moim nocnym powrotem na nartach ze schroniska w Dolinie Chochołowskiej. Zbyszek nie miał dla mnie czasu.

Mimo to zostaliśmy przyjaciółmi. Kiedy byłam na studiach, którejś nocy wdrapał się razem z Markiem Hłaską przez okno do mojego pokoju w akademiku. Wywołało to popłoch wśród moich współlokatorek. Ale także zazdrość, kiedy w intruzie rozpoznały znanego aktora.

W ciągu naszej długiej przyjaźni Zbyszek udzielał mi różnych porad. Żebym pod żadnym pozorem nie zrywała ze sportem, nie zawałala egzaminów na uczelni i nie piła alkoholu. Ta ostatnia rada była dość osobliwa - sam bowiem wtedy pił na umór. Gdy ostatni raz go widziałam - w SPATiF-ie - pomagałam mu stanąć na własnych nogach. Był sam. Przyjaciele gdzieś się zawieruszyli. Tydzień później już nie żył.

8 stycznia 1967 roku zginął tragicznie na dworcu we Wrocławiu. Próbował wskoczyć do odjeżdżającego pociągu. Wpadł pod koła.

Studia - poszłam na etnografię w Poznaniu - to był wspaniały, beztroski okres w moim życiu. To wtedy po raz pierwszy razem z innymi studentami wzięłam udział w „antypaństwowej” manifestacji. 1 sierpnia 1954 roku, w rocznicę Powstania Warszawskiego, zaaranżowałam patriotyczny pochód. Chodziliśmy ze świecami po

Puszczy Kurpiowskiej i śpiewaliśmy niepodległościowe pieśni. To była noc, nastrój niesamowity.

Pamiętam żarliwą dyskusję, która wywiązała się wówczas wśród obecnych na manifestacji młodych historyków. Spierali się o sens powstania. Mówili o bohaterskich żołnierzach Armii Krajowej, ale również o niewinnej ludności Warszawy, która nieodpowiedzialną decyzję dowódców przypłaciła życiem.

Poznań jest dla mnie ważny również ze względu na kluczowe wydarzenie, które mnie w jakimś stopniu uformowało. Chodzi oczywiście o konfrontację z władzą w 1956 roku.

Był początek wakacji, 29 czerwca. Lato w pełni. Wracalam pociągiem z Warszawy. Już w pociągu dowiedzieliśmy się, że w mieście coś się dzieje. Mówiono, że ktoś podobno zastrzelił milicjanta. To było zdumiewające - ludzie zupełnie się otworzyli. Rozmowy były tak szczere, jakbyśmy z PRL-u przenieśli się do wolnej Polski.

Pociąg nie dojechał na dworzec, stanęliśmy kilka kilometrów przed stacją. Wybiegłam z pociągu i pognałam w stronę centrum. Bardzo chciałam zobaczyć na własne oczy ludzi, którzy nie bali się wystąpić przeciwko komunie. Chciałam zobaczyć strajk, pochód. Czyżby wreszcie nadeszła wymarzona rewolucja?

Zziajana dobiegłam na plac przed Teatrem Wielkim. Jeszcze trwała tam demonstracja, ale ludzie wkrótce zaczęli się rozchodzić. Pamiętam straszny płacz kobiety, która przez łzy krzyczała, że ona знаła tego chłopaka, że mieszkał niedaleko niej. Chodziło o Romka Strzałkowskiego, którego poprzedniego dnia w czasie pochodu zastrzelił ubek. Miał trzynaście lat.



*Zawsze miała świetne relacje z aktorami występującymi w jej teatrze. Nadawali na tych samych falach.*

Śmierć małego Romka stała się symbolem strajków w Poznaniu, krwawo stłumionych przez Ludowe Wojsko Polskie. Operacją tą kierował, wywodzący się z Armii Czerwonej, generał Stanisław Popławski.

Pierwsze kroki w teatrze stawiałam na początku lat sześćdziesiątych. Chciałam dostać się na studia reżyserskie, ale przedtem chciałam sprawdzić, czy teatr to jest rzeczywiście to, o czym myślę. Pierwsze kroki skierowałam do Adama Hanuszkiewicza do Teatru Powszechnego. Jak zwykle gdzieś się spieszył. Nie bardzo słuchał tego, co mu mówiłam, krzyknął tylko, zbiegając po schodach, żebym przyszła do niego pogadać do telewizji.

Hanuszkiewicz był bardzo miły, po krótkiej rozmowie przyjął mnie jako asystentkę do spektaklu *Zmartwychwstanie* na podstawie powieści Lwa Tołstoja. Równocześnie wyśmiał moje



marzenie o reżyserii. Powiedział wprost, że „z baby reżysera nie będzie”. Jedyne, co mogę reżyserować, powiedział, to sztuki dla dzieci.

Te szowinistyczne słowa Adama nie zniechęciły mnie. Odwrotnie - zdopingowały. Później, podczas wywiadów prasowych, dziennikarze często zadawali mi pytanie, jak jako kobieta daję sobie radę w zawodzie reżysera. Odpowiadałam, żeby nie patrzyli na mnie jak na kobietę. Tylko jak na człowieka.

Z Adamem bardzo się potem zaprzyjaźniliśmy. Nauczył mnie więcej niż cała szkoła teatralna. To był fascynujący człowiek.

Postanowiłam zdawać na Wydział Reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. I po sześciu latach moje marzenie się spełniło. Wbrew słowom Hanuszkiewicza - zostałam reżyserem.

### **Oskarżony: Czerwiec '56**

Aresztowano mnie w 1968 roku. Pewnie doniósł któryś ze współpasażerów z pociągu. W przedziale głośno bowiem entuzjasmowałam się *Dziadami* wystawionymi przez Kazimierza Dejmka. Ubecy zabrali mnie na drugi dzień z próby w teatrze.

W areszcie na Młyńskiej spotkałam młode dziewczyny z opozycji. Niewiele rozumiały - nawet treści ulotek, które roznosiły. Przez te parę dni uczyłam je historii, wprowadzałam w arkana polityki. Jak sobie to przypominam, to łatwiej mi zrozumieć dzisiejszą młodzież, która także nie zna dziejów własnego kraju, nie wie, na kogo głosuje.

Esbecy, którzy mnie przesłuchiwali, nie byli od nich dużo mądrzejsi. Musiałam im tłumaczyć, czym jest syjonizm, czym antysemityzm. Facet, który mnie przesłuchiwał, nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Panował u nich całkowity bałagan. Aresztowali mnóstwo osób, sami nie byli się w stanie w tym połąpać. Wypuścili mnie po czterech dniach odsiadki.

Byłam już wtedy mężatką.



*Portret Izabelli Cywińskiej z prywatnego archiwum.*

Mojego pierwszego męża, podobnie jak i drugiego, poznałam dzięki teatrowi. Pierwszy związek, z Jurkiem Adamskim, nie był bardzo udany. Adam był ode mnie starszy o kilkanaście lat, zdradzał mnie bez przerwy, ale mimo to wszystko mu darowałam, bo był piekielnie inteligentny. Rozstaliśmy się po dziewięciu latach w wielkiej przyjaźni. Oboje wtedy płakaliśmy.

Mój drugi mąż, Janusz Michałowski, jest aktorem. Wybitnym. Poznaliśmy się na deskach teatru i pokochaliśmy się na długie lata. Janusz wynagrodził mi wszystkie lata pierwszego, nieudanego związku.

W tym czasie spełniałam się też zawodowo. Najpierw byłam dyrektorem Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Właśnie tam, użerając się z cenzurą, uznałam, że wolność słowa jest wartością najwyższą.

W 1973 roku przeprowadziłam się do Poznania, gdzie kierowałam Teatrem Nowym. Zaczęłam tam robić teatr polityczny. Wystawiać sztuki, które dotyczyły spraw społeczno-politycznych. To był okres, kiedy w kraju trochę się rozluźniło. Można było mówić nieco więcej.

W Teatrze Nowym miałam świetny zespół aktorski. Mogliśmy na sobie polegać jak na Zawiszy. Zaufanie, przyjaźń - to była nasza siła. Wierzyłam w moich współpracowników, ufałam im, byłam przekonana, że nadajemy na tych samych falach. Myślę, że oni czuli podobnie. Do tego stopnia, że kiedy rozpoczął się tak zwany „karnawał Solidarności”, postanowiłam zapisać cały zespół - nie porozumiewając się z nikim - do związku.

Byłam wtedy bardzo naiwna. Wydawało mi się, że jeżeli do Solidarności należy dziesięć milionów ludzi, to znaczy, że cały naród jest po naszej stronie. Że jest to siła, której nie da się powstrzymać, zniszczyć. Że zwycięstwo jest w zasięgu ręki.

W teatrze robiliśmy wtedy bardzo dużo różnych opozycyjnych akcji. Teatr Ósmego Dnia, który miał trudności z wystawianiem sztuk, był inwigilowany, jego członkowie przesłuchiwani. W moim teatrze zbierałam oficjalnie podpisy w jego obronie. W sekretariacie leżała petycja, ludzie z miasta przychodzili i podpisywali. Tak po prostu, idąc po zakupy czy na spacer. To było fantastyczne.

Kolportowaliśmy literaturę podziemną. Esbecja na pewno o tym wszystkim wiedziała, ale na razie jakoś się mnie nie czepiali.

Ponieważ jeździłam z moim teatrem często za granicę, po każdym powrocie musiałam zdawać sprawozdanie. Wychodziłam z założenia, które wpoił mi Jacek Kuroń, że esbeków należy przeciągać na naszą stronę. Uświadamiać ich.

Przy okazji tych sprawozdań zawsze robiłam im więc małe wykłady. Jak wróciliśmy z Holandii, opowiadałam, jak wspaniale jest tam zorganizowana służba zdrowia. Po powrocie z Niemiec - o świetnej organizacji i swobodzie działania tamtejszych związków zawodowych. Oni tego cierpliwie słuchali i pukali się w głowę.

Pod koniec 1979 roku z przyjacielem Włodkiem Branieckim, dziennikarzem „Głosu Wielkopolskiego”, napisaliśmy scenariusz do spektaklu *Oskarżony: Czerwiec '56*. Opowiadał on o strajku i demonstracjach, jakie odbyły się w Poznaniu. Głównie o „czarnym czwartku”, 28 czerwca 1956 roku, gdy komuniści zamordowali pięćdziesięciu ośmiu robotników.

W pisaniu scenariusza pomagało nam kilku bohaterów „czarnego czwartku”. Opowiadali nam o tym, co zostało zatajone (czyli niemal wszystko), jaki był prawdziwy przebieg tych tragicznych wydarzeń.

Dodatkowo ściągnęliśmy, będące dotychczas w ukryciu, taśmy z procesów robotników. Te taśmy czekały na lepsze czasy i te czasy wreszcie nadeszły. Tak nam się przynajmniej wtedy wydawało...

Na scenie umieściliśmy wielką czarną trybunę. Była przeznaczona dla oskarżonych, czyli ubeków. Nie mogliśmy ich wymienić z imienia i nazwiska, więc nazywaliśmy ich „nieznanymi sprawcami”. Mimo to publiczność bezbłędnie rozpoznała w aktorach oprawców. A oprawcy siebie samych, jak się później naocznie przekonałam.

Pod trybuną stali robotnicy przesłuchiwani przez ubeków. Spektakl kończył się spektakularnym zawaleniem się trybuny, co miało oznaczać zwycięstwo Solidarności. W naszej sztuce ludzie byli ważniejsi od opresyjnego systemu.



*Słowa Adama Hanuszkiewicza, że z „baby reżysera nie będzie”, wcale jej nie zniechęciły, ale jeszcze bardziej zdopin-gowały. Udało jej się spełnić marzenia. Współpracowała z najwybitniejszymi polskimi aktorami.*

Przesłanie było takie, że żaden totalitarny system nie może trwać wiecznie. Ze musi się rozpaść.

Spektakl wystawiliśmy oczywiście w Teatrze Nowym. Sukces był niebywały. Z całej Polski przyjeżdżały nas oglądać wycieczki robotników. Kiedyś takie wycieczki „klasy robotniczej” organizowane przez zakłady pracy były dla nas skarciem boskim. W ogromnej większości przyjeżdżali bowiem wówczas ludzie, których sztuka w ogóle nie interesowała. Siedzieli rozparci na krzesłach, rozzuwali buty i zasypiali, głośno chrapiąc. Tym razem było zupełnie inaczej. Robotnicy z uwagą obserwowali to, co się dzieje na scenie. Żywo reagowali, widać było, że przedstawienie ich porusza.

Robotnicy zaczęli interesować się polityką. Chcieli dowiedzieć się, jak przebiegała ta „pierwsza rewolucja” z roku 1956.

Teatr był przepelniony. Nie tylko w dniu premiery, która odbyła się 28 czerwca 1981 roku, ale także podczas pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu spektakli. Na premierę przyszli między innymi: Lech Wałęsa, Andrzej Wajda i Jacek Kuroń. Po skończonym spektaklu aktorzy razem z widownią odśpiewali na baczność *Jeszcze Polska nie zginęła*. Coś niesamowitego!

Setny spektakl miał się odbyć 13 grudnia 1981 roku. Tego dnia jednak zamknięto teatr i już nigdy więcej nie zagraliśmy *Oskarżonego*.

Dla tej sztuki trzynasty okazał się dniem pechowym. Tak samo jak i dla mnie...

## **„Wczasy” w Gołdapi**

Dzień po wprowadzeniu stanu wojennego zostałam w kajdankach wyprowadzona z mieszkania. Trafiłam do okropnego aresztu na Kochanowskiego, a potem do więzienia na Młyńskiej. W areszcie, od razu po przywiezieniu, na korytarzu stanęłam twarzą w twarz z osławionym szefem śledczym poznańskiej ubecji Bogdanem Jeleniem.

Świetnie go znałam. Pamiętałam każdy ruch jego twarzy, gesty. Tyle razy go przecież widziałam... Nie, nie osobiście. Widziałam go na deskach teatru w *Oskarżonym*. To on był jednym z oprawców odgrywanym przez aktorów. Teraz zobaczyłam go takim, jaki był naprawdę. On też mnie poznał.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, potem zaczął mi grozić pięścią i dziko się wydarł:

- Ty to jeszcze wszystko odwołasz!

Chodziło mu oczywiście o to, co zawarłam w spektaklu.

O prawdę, której nikt jemu i jego kolegom do tej pory prosto w oczy nie wygarnął. Nic nie odpowiedziałam.

Przyzwoity okazał się za to więzienny wychowawca. Siedziałam przy Młyńskiej w pojedynczej celi, co bardzo źle

znosiłam. Nie było się do kogo odezwać, działało to na mnie bardzo przygnębiająco. Staralam się trzymać dzielnie, ale niestety, nie zawsze udawało mi się powstrzymać łzy.

Kiedy zobaczył to wychowawca, którego prosiłam, żeby przeniósł mnie do zbiorowej celi, zaczął żartować.

- „Żelazna Cywa” płacze? - powiedział. - Muszę to odnotować w aktach.

Mimo to spełnił moją prośbę. Boże Narodzenie spędzałam już z innymi więźniarkami.

Skąd wziął się ten przydomek - „Żelazna Cywa”? Zawsze byłam na przedzie. Byłam albo wójtową w klasie, albo kapitanem drużyny koszykówki. Kierując teatrem, musiałam bez wahania podejmować decyzje, kierować ludźmi.

W więzieniu szybko dowiedziałam się, że mam wsparcie. Janusz zbierał wśród naszych kolegów podpisy pod petycją w sprawie mojego uwolnienia. W mojej sprawie interweniowali między innymi: Gustaw Holoubek, Zbigniew Zapasiewicz, Adam Hanuszkiewicz,

Kazimierz Dejmek, Jerzy Jarocki. A na miejscu pani mecenas Halina Kochowa, która wykorzystwała swoje znajomości.

O tym, że przewiozą mnie do kolejnego więzienia, tym razem do Gołdapi, dowiedziałam się od... księdza, więziennego kapelana. Był to bardzo miły człowiek, często przychodził do nas do celi i spowiadał dziewczyny. Od mojej ostatniej spowiedzi upłynęło już bardzo dużo czasu, mocno się więc zdziwiłam, kiedy ksiądz wskazał na mnie palcem i rozkazującym tonem powiedział:

- Cywińska, do spowiedzi!

Poszłam, mając nadzieję - i słusznie - że nie chodzi o spowiedź. Tak też było. Ksiądz powiedział mi, że przewiozą mnie wraz z innymi więźniarkami do Ośrodka Odosobnienia w Gołdapi, tuż przy granicy sowieckiej. Ksiądz prosił, żebym pozostałym dziewczynom wyjawiała cel podróży dopiero w drodze. Miałam podtrzymywać je na duchu.

Powiedziałam, że dotrzymam obietnicy, chociaż nie było to łatwe. Prawie złamałam słowo, gdy zobaczyłam strach w oczach moich współwięźniarek, kiedy spostrzegły, że jedziemy na

wschód.

W Gołdapi - w porównaniu z obskurnym poznańskim aresztem - czekały na nas luksusy. Osobna łazienka, w której można było spędzić trochę czasu w samotności! Pokoje niezamykane na klucz, a strażnicy bardzo życzliwi. Na nasze powitanie wydeptali w śniegu znak wiktorii.

Zapoczątkowało to niepisany pakt między nami, internowanymi, a strażnikami - młodymi chłopcami, którym władza próbowała wmówić, że będą pilnować najgroźniejsze kontrrewolucjo-nistki i prostytutki zgarnięte z dworców. Oni od razu zorientowali się, że to błaga. Zamiast jakichś potworów przyjechały kulturalne, inteligentne babki. Normalne kobiety.

Mówiąc szczerze - internowanie przypominało trochę wczasy. Oczywiście z tą różnicą, że człowiek był ubezwłasnowolniony. Nie mogliśmy wychodzić poza teren ośrodka. Zaczęłyśmy więc organizować sobie różne zajęcia. Wykłady, kursy. Ja zabrałam się nawet za wystawianie *Trzech sióstr* Czechowa.

Mimo że życie w Gołdapi było dość przyjemne, ucieszyłam się, kiedy - dzięki staraniom Janusza i moich kolegów - po trzech miesiącach zostałam zwolniona.

Wróciłam do Poznania w bojowym nastroju. Chciałam działać, spotykać się z ludźmi, robić coś. Walczyć. Przeciwstawić się ogólnemu marazmowi, który wywołał w ludziach stan wojenny. To był rodzaj społecznego paraliżu. Pokaz siły władzy, spacyfikowanie Solidarności wzbudziły olbrzymie przygnębienie.

Mój zapal zderzył się, niestety, z szarą rzeczywistością. Przed wszystkim teatr pod moją nieobecność został zamknięty na cztery spusty. W oknach ktoś z pracowników wywiesił żałobne kiry. To był protest przeciwko stanowi wojennemu. Bardzo mnie to wszystko zdenerwowało. Dlaczego teatr miałby być zamknięty? Gdzie mają się teraz spotykać ludzie? Jak mają obcować z kulturą? Mają być skazani na reżimową, kłamliwą telewizję?

Nie byłam entuzjastką aktorskiego bojkotu - czyli strajku aktorów - choć wiedziałam, że w jakiś sposób trzeba pokazać Jaruzelskiemu, że nie zgadzamy się na stan wojenny. Bez



wątpienia należało bojkotować publiczną telewizję, teatry powinny jednak działać dalej. Ich zamknięcie nie szkodziło reżimowi, tylko publiczności.

Akcja bojkotu bardzo podzieliła środowisko aktorskie. Część aktorów wykorzystała bojkot jako okazję do zrobienia błyskotliwej kariery w telewizji. Wykorzystali to, że ich przyzwoici koledzy zniknęli z ekranów. Przeważnie zachowali się tak ci aktorzy, którzy wcześniej nie mieli większych szans na angaż w telewizyjnych produkcjach. Aktorzy drugiej kategorii. Teraz mogli z nawiązką odbić sobie chude lata.

Z kolei inni aktorzy popadli w samozachwyty, rozkoszowali się swoim bohaterstwem. I już potem w ogóle nie chcieli grać. Nawet po zniesieniu stanu wojennego. To są wszystkie sprawy przykre, które doprowadziły w środowisku do wielu niesnasek, sporów.

Z głową pełną dylematów i wątpliwości poszłam do znajomego dominikanina, ojca Honoriusza Kowalczyka. Musiałam z kimś porozmawiać, kogoś się poradzić. Chodziliśmy długo po zaśniewanym przyklasztornym ogródku i rozmawialiśmy. Nie tylko o teatrze.

O moim aresztowaniu, o Gołdapi, o sytuacji w kraju. O wszystkim.

Na koniec ojciec Honoriusz zapytał, kiedy ostatni raz byłam u spowiedzi. Powiedziałam mu, że się nie spowiadałam i nie będę tego robić. Honoriusz mnie zaskoczył:

- Właśnie to zrobiłaś - powiedział. - Nasza rozmowa była spowiedzią.

A potem udzielił mi rozgrzeszenia. Rok po naszej rozmowie ojciec Honoriusz został zamordowany przez bezpiekę. Oficjalna wersja głosiła, że zasnął za kierownicą i wpadł na drzewo...

Następnego dnia po rozmowie z dominikaninem otworzyłam teatr. Był marzec 1982. Ruszyliśmy z próbami, zaczęłam układać repertuar na następny sezon. I wtedy reżim znowu podciął mi skrzydła. Wprowadzono godzinę policyjną dla młodzieży, obowiązującą od ósmej wieczorem. Teatr musiał zostać znowu zamknięty...

## W rządzie Mazowieckiego

Moje internowanie przyspieszyło naszą decyzję o wzięciu ślubu. Janusz, jako nieoficjalny partner, nie mógł odwiedzać mnie w więzieniu. Woleliśmy więc zabezpieczyć się na wypadek, gdyby zamknęli mnie po raz kolejny. Po uroczystości ślubnej poszliśmy złożyć kwiaty pod pomnikiem Czerwca '56. Nie wiem, czy do tej pory zachował się w Poznaniu ten zwyczaj. Wtedy wszyscy tak robiliśmy.

Koniec lat osiemdziesiątych to okres dużych zmian. Na naszych oczach znienawidzony system dogorywał. Szybko stało się jasne, że wkrótce musi upaść. Że to już tylko kwestia czasu. Stan wojenny przedłużył istnienie komunizmu w Polsce, ale nie był w stanie go uratować.

W teatrze, jak na ironię, rozpoczął się jałowy okres. W całej Polsce brakowało na teatry pieniędzy, dyrektorzy odchodzili, pozostawiając po sobie puste miejsca. Zaczęłam się poważnie zastanawiać nad przeprowadzką do Warszawy, gdzie było więcej możliwości. Tam mogłabym rozpocząć jakiś nowy projekt. Uważaliśmy, że obojgu nam zresztą dobrze zrobi taki wyjazd. Janusz mógłby w Warszawie odpocząć trochę od stałej współpracy z żoną-dyrektorem, więcej grać w filmach i telewizji. Coraz częściej rozmawialiśmy o ewentualnej przeprowadzce.

Przyszedł rok 1989. I wielkie zmiany. Zmiany także w mojej pracy. Zaczęłam podróżować, pracować za granicą. W Stanach Zjednoczonych zrobiłam *Śmierć Taretkina* Suchowo-Kobyлина, z moim mężem w roli głównej. Spektakl był w Polsce wielokrotnie nagradzany. Za oceanem także odniósł sukces. Z Ameryki pojechałam reżyserować do Ufy w Związku Sowieckim. Wystawiłam tam *Ich czworo* Zapolskiej.

Potem był Omsk. Odległe o cztery tysiące kilometrów od polskich granic miasto, daleko, daleko na Wschodzie. Miałam tam reżyserować *Świętoszka* Moliera. W bardzo upolitycznionej wersji. Spodobało mi się to wyzwanie. Wreszcie coś nowego.



*Drugiego męża - Janusza Michałowskiego - poznała w teatrze.*

Potem wróciłam do kraju, żeby razem z Teatrem Nowym pojechać na występy do Hagi. Tam zastały nas wybory 4 czerwca, które były już prawie wolne. Solidarność zwyciężyła.

Wróciłam do Omska, żeby skończyć *Świętoszka*, a tam kolejne zaskoczenie. Któregoś dnia wcześniej rano obudziło mnie pukanie do drzwi hotelowego pokoju. Otworzyłam. Stał przede mną funkcjonariusz KGB w pełnym umundurowaniu. Ja byłam w koszuli nocnej. Pierwsza myśl: znowu po mnie przyszli!

Tymczasem kagebista podał mi karteczkę, mówiąc, że to od „primministra Mazowieckowo”. Stałam z tą kartką oniemiała i zastanawiałam się, co to wszystko znaczy.

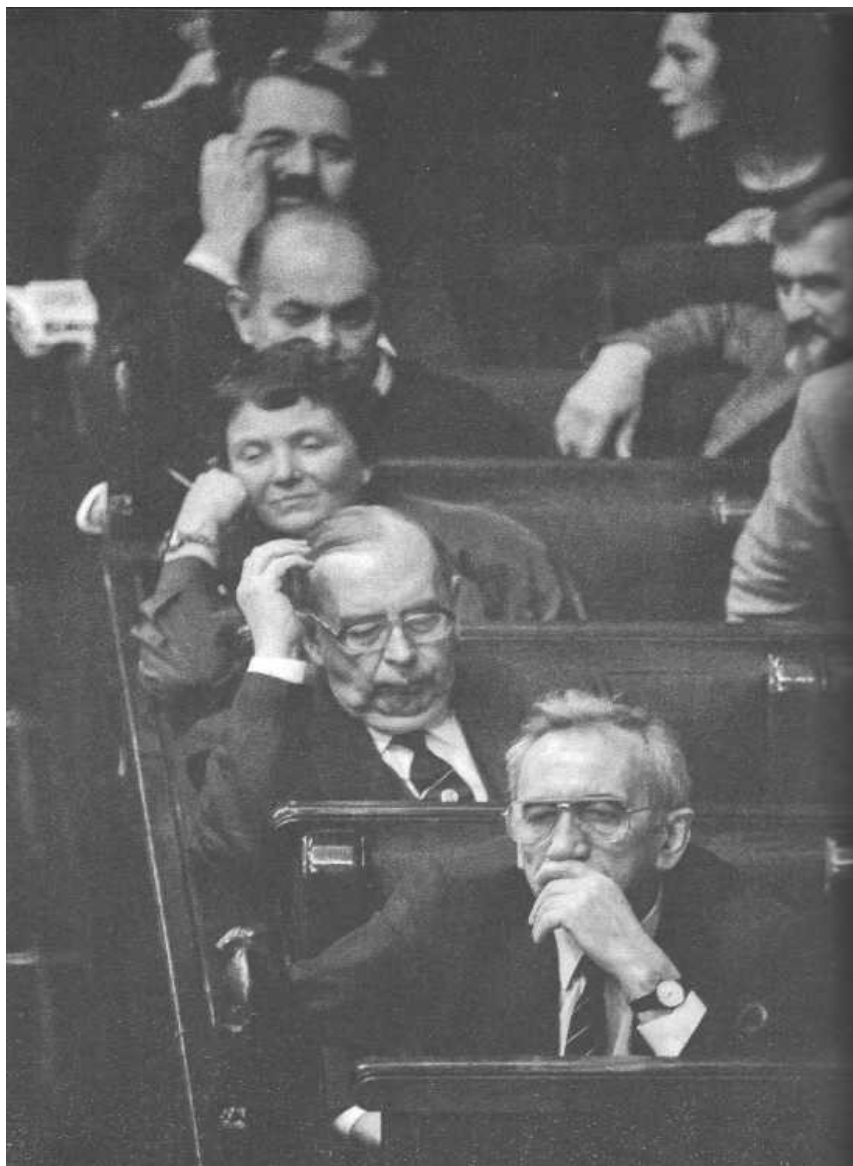
W teatrze okazało się, że wszyscy już wiedzą. Dyrektor Borys Michajłowicz przywitał mnie słowami: „Dzień dobry, pani minister!”.

Przewidywania Borysa potwierdziła moja rozmowa z samym Mazowieckim. Zapropował mi objęcie Ministerstwa Kultury i Sztuki w swoim rządzie. Pierwszym rządzie III Rzeczypospolitej.

Kiedy usłyszałam tę propozycję, замуrowało mnie. Ja ministrem? Dlaczego? Poprosiłam o czas do namysłu. Dostałam zaledwie pięć godzin. Sprawa była poważna - przyjęcie propozycji oznaczałoby całkowitą zmianę życia. Mojego i Janusza, ale także wszystkich moich przyjaciół z teatru. Gdybym się zgodziła - musiałabym ich osierocić.

Decyzję podjęłam sama. Nie udało mi się bowiem dodzwonić do Janusza. Poszłam na próbę. Ale coś nie szło... Aktorzy woleli gadać, niż pracować nad *Świętoszkiem*. Nominacja wytworzyła dystans pomiędzy mną a aktorami. Do tej pory byliśmy partnerami, nadawaliśmy na tych samych falach - ja w wytartych dżinsach i bluzie, oni też. Wytworzyło się między nami porozumienie, które teraz nagle zostało przerwane. Oto stała przed nimi przysła pani minister. To było dla nich krępujące, mimo że nadal miałam na sobie dżinsy i bluzę.

Dokładnie po pięciu godzinach w gabinecie dyrektora Borysa Michajłowicza rozległ się dzwonek telefonu.



*W rządzie Tadeusza Mazowieckiego otrzymała tekę ministra kulturalnej. Nominacja zastała ją w Omsku. Swojej decyzji nie zdążyła nawet skonsultować z mężem.*

Dzwoniła Warszawa. Nie miałam wyjścia. Propozycję przyjął bez konsultacji z Januszem. Kiedy później udało mi się nareszcie do niego dodzwonić, był zaskoczony jeszcze bardziej niż ja. A najbardziej tym, że propozycję przyjął.

Dlaczego akurat ja dostałam tę propozycję? Dlaczego premier Mazowiecki wybrał mnie? Czy dlatego, że dobrze zarządzałam teatrem? Nie, to na pewno za mało. Może chcieli mieć w rządzie kobietę? Chyba także nie. W tamtych czasach to nie było takie ważne. Dlaczego dostałam tę nominację, nie wiem do dzisiaj. Domyślam się, że zarekomendował mnie Andrzej Wajda albo Jacek Kuroń. Obaj mnie znali, znali moją pracę.

Pamiętam pierwszą rozmowę z premierem. Dla niego najważniejsze było, żeby pogodzić ze sobą dwie Polski, zakopać głębokie podziały, jakie wytworzyły się w społeczeństwie. Mazowiecki już w tej pierwszej rozmowie uprzedził mnie, że dużo pieniędzy na kulturę nie dostanę. Pieniądzy brakowało bowiem dosłownie na wszystko. Liczył się każdy grosz. Kultura, siłą rzeczy, znalazła się na szarym końcu.

To był naprawdę trudny czas. Dwoiłam się i troiłam, żeby jakoś to wszystko posklejać. Trudności finansowe nie były jedynym moim zmartwieniem. Byłam pierwszym ministrem kultury wolnej Polski i próbowałam w sposób jak najmniej bolesny przetransportować polską kulturę na drugi brzeg. Dosłownie. Kulturę socjalistyczną, cenzurowaną zmienić w kulturę wolną.

Nigdy nie zapomnę rozmowy z Jerzym Giedroyciem. Naszym guru z czasów PRL-u. Wśród spraw, którymi radził mi się niezwłocznie zająć, znalazło się między innymi ułożenie dobrych relacji z Ukrainą. I przełożenie *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza na rosyjski. Dość dziwne były te przyjacielskie rady. Każdy uważał, że dla nowej Polski ważne jest coś innego.

Do tej pory w Polsce trwa dyskusja nad słusznością koncepcji „grubej kreski”, wprowadzonej przez Tadeusza Mazowieckiego. Często zastanawiałam się nad tym, siedząc przy jednym stole podczas obrad Rady Ministrów z generałem Czesławem Kiszcziakiem i generałem Florianem Siwickim. Pierwszy był

ministrem spraw wewnętrznych, drugi ministrem obrony narodowej. Zgodnie z umową zawartą przy Okrągłym Stole cztery teki ministerialne miały być zarezerwowane dla komunistów.

Mazowiecki nie miał wtedy wyjścia. Polska nie potrzebowała kolejnej wewnętrznej wojny i rozliczeń. Potrzebowała zgody. Było bowiem tyle do zrobienia! „Gruba kreska” nie była żadnym gestem przebaczenia, jak zarzucają to Mazowieckiemu jego wrogowie. Oznaczała przekreślenie przeszłości i stanowiła nowy początek. A przeszłość miały rozliczyć sądy wolnej Polski.

Czy premier miał rację? Myślę, że tak. Źle by się stało, gdybyśmy zamiast działać dla wspólnego dobra, skoczyli sobie do gardeł.

Niestety, nasze rządy nie trwały długo. Po piętnastu miesiącach Mazowiecki podał swój rząd do dymisji. Przyczyną była przegrana w wyborach prezydenckich. Zgodził się kandydować i to go zgubiło. Nikt bowiem z Wałęsą nie miał wtedy szans. W akcie solidarności odeszłam z rządu razem z Tadeuszem. Mimo że Leszek Balcerowicz chciał mnie zatrzymać. Już jednak nie widziałam tam dla siebie miejsca.

Wróciłam do tego, co kocham i co robię najlepiej. Czyli do teatru.

I do reżyserowania. Z Teresą Lubkiewicz-Urbanowicz napisałam scenariusz do serialu *Boża podszewka*, który układałam w głowie już od dzieciństwa. Wyreżyserowałam też kilka spektakli telewizyjnych, a także filmy *Kochankowie z Marony* i *Cudpurymowy*.

W 2008 roku, po śmierci Gustawa Holoubka, przejęłam obowiązki dyrektora Teatru Ateneum. To był mój trzeci i zarazem ostatni teatr. W 2011 roku skończyłam pracę. Nie spoczęłam jednak na laurach. Napisałam wspomnienia, udzielałam się publicznie, wspierałam kandydaturę Bronisława Komorowskiego na prezydenta Polski.

Najbardziej wyraziste wspomnienie z lat osiemdziesiątych? Wigilia spędzona w areszcie na Młyńskiej krótko po wprowadzeniu stanu wojennego. W moim życiu zdarzało mi się spędzać wigilie w różnych okolicznościach. Ta jednak

wyjątkowo mocno wyryła mi się w pamięci. Było gorzej niż podczas wojny, bo wtedy byłam przynajmniej z rodzicami, siostrą. A wtedy musiałam ją spędzić bez bliskich. Rodzinę zastąpiły mi inne więźniarki.

Mimo okoliczności starałyśmy się zachować odświętny, uroczysty nastrój. Dziewczyny położyły na stole białą kartkę, która imitowała obrus. Życzyłyśmy sobie wszystkiego dobrego...

Nagle dobiegły nas słowa kolędy *Bóg się rodzi, moc truchleje...* Śpiewali więźniowie - kobiety i mężczyźni. Razem. Kolęda wybrzmiewała coraz głośniej, bo do śpiewania dołączały kolejne cele

i kolejne piętra. To było niesamowite. W miejscu, gdzie ludzie mieli stracić wszelką nadzieję, śpiewano pieśń o narodzinach, o odmianie losu. O nowym początku.

To było najpiękniejsze wykonanie *Bóg się rodzi*, jakie słyszałam w życiu. Gdy dzisiaj słyszę tę kolędę, przed oczami staje mi moja więzienna wigilia roku 1981. Wigilia klęski, ale również wigilia nadziei.

*Izabella Cywińska*



**JADWIGA**  
**PROFESOR Z CZERWONĄ SZMINKĄ**



**S**kąd wzięła się czerwona szminka, mój znak rozpoznawczy? To stara, romantyczna historia. Przed maturą rodzice wysłali mnie do Londynu, abym nauczyła się angielskiego. W drodze do Anglii, na statku, poznałam mechanika okrętowego. Zakochałam się. I to z wzajemnością.

Kiedy dopłynęliśmy do celu, umówiliśmy się na randkę, gdy jego statek znowu przyplynie do Wielkiej Brytanii. Pędziłam na to spotkanie, pedałowując na rowerze jak oszalała. To się musiało źle skończyć przy obowiązującym w Anglii ruchu lewostronnym. Wpadłam pod ciężarówkę, strasznie się poturbowałam. Trafiłam do szpitala z ciężkimi obrażeniami głowy.

Byłam załamana, bo do randki oczywiście nie doszło. A na dodatek miałam paskudną bliznę na twarzy. Wiedziałam, że spotkam tego marynarza w drodze powrotnej do Gdyni. Miałam przecież wracać tym samym statkiem. Postanowiłam więc odciągnąć jego uwagę od mojej blizny, malując usta na czerwono.

Miłość do marynarza wkrótce mi przeszła, a szminka została...

## **Dzieciństwo na ruinach**

Urodziłam się w Warszawie dwa lata przed wybuchem powstania warszawskiego. Powstanie nas rozdzieliło. Ja z bratem - pod opieką naszej niani - znaleźliśmy się po drugiej stronie Wisły. Mamę powstanie zastało w Śródmieściu. Czyli w epicentrum bitwy.

Mieszkaliśmy w Sulejówku w sporej willi. Gdy przyszli Sowieci, umieścili w niej szpital połowy dla swoich żołnierzy. Mój roczny braciszek zachorował wtedy na jakąś paskudną chorobę. Uratował go felczer Armii Czerwonej, który poddał go

dość niecodziennej terapii. Wkładał go raz do gorącej, raz do zimnej wody.

To był jednak jedyny pozytywny aspekt obecności Sowietów. Po willi i okolicach kręciły się tabuny pijanych żołnierzy. Zachowywali się koszmarnie, celowali do cywilów z pepesz. Czuli się całkowicie bezkarnie. Nasze życie znajdowało się w ich rękach.

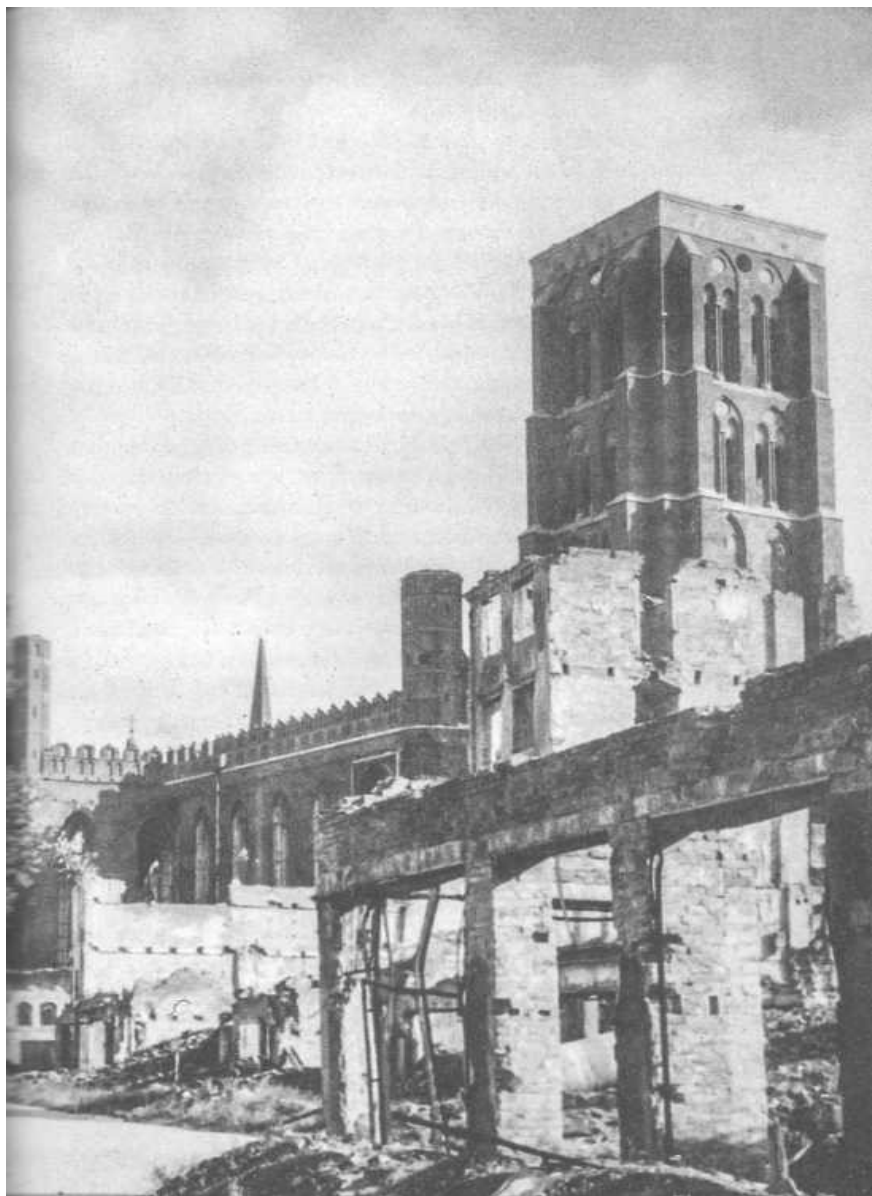
Mój ojciec, Witold Wincenty Staniszkis, był znanym inżynierem i działaczem ONR-u. Bił się w kampanii 1939 roku. Po klęsce Warszawy ukrył w grobowcu na Bródnie mundur i poszedł walczyć do lasu. Tak naprawdę ojca z tamtych lat prawie nie pamiętam.

W 1945 roku przeprowadziliśmy się do Gdańska. Ojciec był specjalistą od budownictwa wodnego. Kiedy skończyła się wojna, postanowił, że pomoże w odbudowie Gdańska. Znalazł pracę w Biurze Odbudowy Portów. Na Wybrzeże przylecieliśmy małym samolotem. Pamiętam, że całą drogę siedziałam z nosem przyklejonym do szyby i zafascynowana oglądałam morze ruin, jakim była wtedy Polska. Niemal każde miasto było zburzone, wypalone.

Zamieszkaliśmy we Wrzeszczu. Zajęliśmy mieszkanie po jakiejś niemieckiej rodzinie. Dzieci tych państwa zapytały się nas - czyli mnie i mojego młodszego brata - czy mogą zabrać ze sobą swoje saneczki. Było to dla mnie dosyć wstydlive doświadczenie... Mieliśmy zamieszkać w ich domu. Przejęliśmy z bratem ich pokój dziecienny z ich wszystkimi pięknymi zabawkami, między innymi cudownymi lalkami.

Czułam się trochę jak kolonizator. I było mi z tego powodu wstyd. Nie do końca rozumiałam dlaczego. Byłam przecież małym dzieckiem, to nie ja byłam odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Za wojnę, za to, że ludzie musieli opuszczać swoje domy. Budynek szkoły, do której chodziłam, oczywiście też był ponemiecki.

Moja mama - Maria - była z wykształcenia prawnikiem. To była bardzo energiczna kobieta. Założyła w Gdańsku firmę transportową, zajmującą się między innymi wywożeniem gruzów, co było bardzo przytomnym pomysłem.



*Ruiny powojennego Gdańska stały się dla wielu dzieci placem zabaw. Wśród nich była także mała Jadwiga.*

Miasto po przejściu Armii Czerwonej było bowiem potwornie zniszczone.

Ruiny Gdańska były scenografią, w której rozegrało się moje dzieciństwo. Uwielbialiśmy się w nich bawić. Pamiętam taką dosyć makabryczną historię. Działo się to tuż po wojnie, teren był jeszcze nieoczyszczony przez saperów z broni i materiałów wybuchowych. Dzieci chętnie to wszystko wydłubywały. Nietrudno domyślić się, co się stało. Jednemu z moich kolegów w ręku eksplodował granat. A ja wtedy powiedziałam, żebyśmy poszli bawić się gdzie indziej.

Nami - tak jak podczas wojny - zajmowała się niania. Pochodziła z Kaszub. Dowiedzieliśmy się jednak, że była kapo w niemieckim obozie koncentracyjnym w Stutthofie, i mama ją zwolniła. Stosowała wobec nas brutalne metody wychowawcze, aby nas hartować. Kiedy się budziliśmy, wkładała nam stopy do miski z zimną wodą. Albo straszyla Niemcami. Mieli czaić się w lasach albo między ruinami. I na sprężynach przyczepionych do butów wskakiwać do naszego mieszkania.

Przekonanie, że wszędzie są Niemcy, którzy nie wyjechali i dokonują ataków na Polaków, było w czasach mojego dzieciństwa powszechne. Dzieci cały czas się tych mitycznych Niemców bały. Opowiadałyśmy sobie rozmaite potworne historie. O Gestapo, obozach, o fabrykach mydła z ludzkiego tłuszczu...

W 1948 roku komuniści aresztowali mojego ojca. Powodem była jego przedwojenna działalność. Eksmitowano nas z mieszkania, a właśnie urodziła się moja siostra. Ubecy w czasie rewizji przetrząsnęli cały dom, rozpruwali nawet nasze misie i lalki. To był jakiś koszmar. Musieliśmy opuścić mieszkanie. Od tamtej pory zaczęliśmy tułać się po rodzinie, z miejsca na miejsce. Stryja, u którego mieszkaliśmy w Łodzi, też wkrótce aresztowano.

Po aresztowaniu taty straszono mamę, że zabiorą nas do domu dziecka. Dlatego nie mówiła nam o niczym: ani o Katyniu, ani o innych sowieckich zbrodniach. A ja nie zadawałam pytań. To był chyba dla niej bezpieczny układ.

Dopiero później zrozumiałam, jak zły jest ten system i co robi z ludźmi. Ale to było już po wyjściu ojca z więzienia.

Mieszkaliśmy wtedy w Poznaniu. Ukryci za żywoplotem obserwowaliśmy z bratem, jak robotnicy idą pod budynek UB. Nie przypuszczałam, że zomowcy użyją ostrej amunicji przeciwko tłumowi bezbronnych ludzi. Krwawa pacyfikacja robotniczego zrywu w czerwcu 1956 roku była dla mnie zaskoczeniem.

Na studia pojechałam do Warszawy. Wybrałam socjologię. Dlaczego? Bo tego kierunku nie było w Poznaniu, a ja miałam siedemnaście lat (do szkoły poszłam jako sześciolatek) i strasznie chciałam się wyprowadzić z domu. Zamieszkałam sama w stolicy. Można więc powiedzieć, że zostałam rzucona na głęboką wodę.

Mama wynajęła dla mnie jakiś pokoik przy rodzinie robotniczej. W studenckiej stołówce jadłam za darmo. Często chodziłam głodna. Nawet gdy miałam pieniądze - zarabiałam, udzielając korepetycji - to nie wydawałam ich na jedzenie, tylko na inne rzeczy. Na przykład na szminkę.

Za mojego pierwszego męża, Marka Lewickiego, wyszłam bardzo wcześnie. Przypominał mi francuskiego aktora, Jeana-Luisa Trintignanta. To było jego jedyną zaletą. Kiedy zaszłam w ciążę, miałam dwadzieścia jeden lat. Postanowiliśmy się pobrać.

Rodzice błagali mnie, żebym zrezygnowała z zamiaru poślubienia Marka. Nie przeszkadzało im to, że byłam w ciąży - mówili nawet, że pomogą mi wychować dziecko. Widocznie wiedzieli, że nic z tego małżeństwa nie wyjdzie.

Niestety, mieli rację. Rozwiedliśmy się w 1964 roku, kiedy moja córka miała roczek.

## Marzec '68

Wszystko zaczęło się od *Dziadów* Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka. Pamiętam związane z tym zabawne zdarzenie. Jeden z kolegów, kiedy szliśmy do teatru, zapytał

mnie - widocznie *Dziadów* nie czytał - w których momentach ma klaskać. Entuzjazm był jednak powszechny.

Władza bardzo szybko zorientowała się, jakie reakcje wywołuje w społeczeństwie ten spektakl. Szczególnie wśród młodzieży. *Dziady* zostały zdjęte z desek teatru. Interweniowała w tej sprawie ambasada Związku Sowieckiego. Po ostatnim przedstawieniu, 30 stycznia, oburzona młodzież wyszła na ulicę i zaczęła skandować: „Nie-pod-ległość bez cenzury!”.

Demonstracja przeszła pod pomnik Adama Mickiewicza. Tam do akcji wkroczyła milicja i rozpędziła tłum pałkami. Po tych zajściach Adam Michnik i Henryk Szlajfer zostali wyrzuceni z uniwersytetu.

Wtedy właśnie partia dokonała antysemitkiej czystki. Wynikało to po części z eskalacji konfliktu izraelsko-arabskiego w 1967 roku.



*Dziadek Jadwigi, Witold Teofil Staniszkis (na zdjęciu po lewej), był posłem na sejm IIRP z ramienia endecji. W czasie okupacji pomagał Żydom, co przypłacił życiem w obozie koncentracyjnym Auschwitz.*

Związek Sowiecki opowiedział się po stronie Arabów. PRL oczywiście też. Żydów usuwano zewsząd - z partii, z bezpieki, z milicji, z urzędów, z uniwersytetów.

Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, którzy właśnie wyszli z więzienia, zaczęli organizować podziemne seminaria. Oczywiście i ja na nie trafiłam. Uważano mnie za osobę, która w trafny sposób analizuje procesy zachodzące w komunistycznym aparacie władzy. Poproszono mnie więc o ocenę słynnego manifestu Kuronia i Modzelewskiego, w którym zarzucili partii brak ideowości.

Przystąpiłam wtedy do opozycyjnie nastawionej młodzieży, którą znałam z uniwersytetu. To byli „komandos”, czyli studenci wywodzący się z rodzin komunistycznych.

Dla mnie zaangażowanie się w protest przeciwko antysemityzmowi na uniwersytecie było częścią walki z moją własną historią rodzinną. Pokazaniem wszystkim, że jestem inna. Mój dziadek, Witold Teofil Staniszkis, był posłem wysuniętym przez endecję. Mój ojciec, Witold Wincenty Staniszkis - tak jak wspominałam - działał w ONR-ze.

Nawiasem mówiąc, byłam dla komandosów dość egzotycznym egzemplarzem. Dla Michnika czy Blumsztajna obóz polityczny, z którym związana była moja rodzina, był symbolem wszystkiego, co najgorsze. Endecja - to hasło działało na nich jak płachta na byka. Kojarzyło się z pogromami, przedwojennymi pałkarzami. Tak jest zresztą do dzisiaj.

Tymczasem mój dziadek zginął w Auschwitz. Trafił tam, bo od początku wojny działał w Komitecie pomagającemu mieszkańcom getta. Komitet dostarczał Żydom pieniądze i dokumenty niezbędne do ucieczki.

Przed marcem 1968 roku pracowałam jako asystentka na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Byłam przedstawicielką młodszych pracowników naukowych w Radzie Wydziału i świadkiem zażartych dyskusji między profesorami. Brał w nich udział między innymi Zygmunt Bauman, który wcześniej przyczynił się do wyrzucenia



profesora Juliana Hochfelda. A potem sam w ramach czystek wyleciał.

To był jeden z głównych powodów, dla których zdecydowałam się odegrać jakąś rolę w Marcu. Uważałam, że podjudzanie ludzi do nienawiści etnicznej jest całkowicie niedopuszczalne. Że muszę przeciwko temu jakoś zaprotestować.

Wszystko zaczęło się 7 marca. Moja córka przez trzy tygodnie chorowała na ospę i na świnkę, siedziałam z nią cały czas w domu i byłam już tym mocno znudzona. Brakowało mi życia towarzyskiego, chciałam zobaczyć się ze znajomymi. Tego dnia akurat ktoś z rodziny mógł z nią posiedzieć, więc skorzystałam z okazji i wyszłam.

Zadzwoiłam do kogoś ze znajomych i usłyszałam, że mam przyjść do Jakuba Karpińskiego. Mieszkał w wielkim, szarym bloku na Ścianie Wschodniej. Czyli bardzo blisko mojego mieszkania na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, w budynku, w którym mieściła się herbaciarnia „Gong”. Do Jakuba miałam jakieś sto metrów.

Przed spotkaniem założyłam nową sukienkę, którą kupiłam na ciuchach. Na miejscu okazało się jednak, że w mieszkaniu Jakuba trwa ostateczne zebranie opozycji, na którym ustalano, jak ma wyglądać wiec protestacyjny na uniwersytecie i kto wejdzie w skład delegacji do rektora.

Jak się miało okazać, to moje wyjście zaważyło na wszystkim, co się później wydarzyło w moim życiu. Jego skutkiem było aresztowanie, wyrzucenie z uniwersytetu, brak pracy. Gdybym wtedy nie nudziła się w domu i nie poszła do Jakuba, moje życie mogłoby potoczyć się innym torem. Przypadek jednak o takich sprawach decyduje bardzo często.

Nie mogłam się wycofać. Jak się później okazało, esbecja wiedziała o wszystkim dzień przed wiecem... Byliśmy więc skazani na klęskę.

Wiec 8 marca trwał od południa. Na dziedzińcu uniwersytetu zgromadził się tłum studentów. Rektor Uniwersytetu Warszawskiego Zygmunt Rybicki oczywiście uznał demonstrację za nielegalną.



*W czasie protestów studenckich w marcu 1968 r. w skład delegacji negocjującej z komunistami weszła Jadwiga Staniszkis. Wbrew obietnicom rektora protesty zakończyły się masowymi aresztowaniami uczestników.*

Wyszedł na balkon i zaczął grozić nam strasznymi konsekwencjami. Wzywał nas do natychmiastowego rozejścia się. W końcu zgodził się przyjąć delegację, w której znalazłam się między innymi ja.

Przyjął nas w swoim gabinecie, rozpoczęły się negocjacje. Poprosiłam go, żeby rozpatrzył nasze postulaty. Ale przede wszystkim dał studentom gwarancje, że nic im się nie stanie, gdy opuszczą uniwersytet. Dopiero wtedy pójdziemy do domów. Wśród nas rozeszła się bowiem wieść, że każdy, kto wyjdzie za bramę, będzie pałowany. Na Krakowskim Przedmieściu stały już rzędy ciężarówek. Stały oddziały milicji i ORMÓ.

Rektor - typowy komunistyczny aparatczyk - z uwagą wysłuchał moich słów, a następnie podniósł słuchawkę

telefonu. Przez kilka chwil coś tam do niej mamrotał. Nic nie słyszałam, bo odwrócił się do mnie bokiem. Po zakończeniu rozmowy zapewnił mnie, że wszystko załatwił i mogę powiedzieć studentom, że nie mają się czego obawiać. Nic im się nie stanie, a wszystkie ich postulaty zostaną wzięte pod uwagę.

Wysłałam na balkon i przekazałam kolegom dobrą wiadomość. Tłum studentów natychmiast zaczął kierować się ku bramie. Rybicki uśmiechnął się wtedy do mnie szyderczo i powiedział, że tak naprawdę do nikogo nie zadzwonił. Że tylko gadał do głuchego telefonu. Z powrotem wybiegłam na balkon, ale było już za późno.

Niemal nikt nie usłyszał mojego nawoływania, żeby jednak nie opuszczać uniwersytetu. Ludzie już byli przy bramie, odwróceniem plecami do mnie. Widziałam, jak na ulicy rzucają się na studentów milicjanci. Okładają ich pałkami, kopią. Wciągają do samochodów. To był jakiś koszmar. Byłam wściekła, że tak łatwo dałam się nabrać. Czułam się winna.

Później razem z Karolem Modzelewskim pojechaliśmy do Michnika. Nie zdążyliśmy się jednak z nim zobaczyć, bo aresztowali nas pod jego mieszkaniem. Zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich. Siedziałam czterdzieści osiem godzin. Maglowali mnie, ale nic w końcu mi nie zrobili. To nie byli jakoś bardzo lotni ludzie. Chciałam się wybrać do kina i miałam przy sobie karteczkę z tytułem filmu - *Chiny blisko* - i datą projekcji. Ubecy myśleli, że to jakiś tajny kod.

Najgorzej wspominam celę. Była niebywale obskurna. Zamiast toalety stał pośrodku wielki kubeł z ekskrementami. Zamknęli mnie z kryminalistkami - to były głównie prostytutki - które straszły mnie szczurami. A konkretnie jakąś krzyżówką królików i szczurów, które rzekomo miały grasować w tym areszcie od czasu wojny. Te potwory miały gryźć po nogach więźniarki. W efekcie spędziłam te czterdzieści osiem godzin, siedząc na materacu z podkulonymi nogami.

Po wyjściu na wolność działałam dalej. Wzięłam udział w pisaniu Deklaracji Ruchu Studenckiego, która została rozprawiona po uniwersytecie.

Zostałam aresztowana w czerwcu 1968 roku. Przyczyniły się do tego również kontakty z czeskim inżynierem, którego poznałam w Augustowie. Esbecja zaczęła doszukiwać się związków między opozycją w Polsce i Czechosłowacji. Trwała przecież Praska Wiosna. Uznano mnie za „groźny element”.

Przyszli po mnie rano, ale na szczęście pozwolili mi jeszcze odprowadzić córeczkę do przedszkola na Mokotowskiej. Przed wyjściem zadzwoniłam do mamy, żeby ją odebrała. W ten sposób historia zatoczyła koło. Moja córka, będąc w tym samym wieku co ja, kiedy aresztowano mojego ojca, była świadkiem rewizji w domu i aresztowania rodzica. Zostawiłam córkę w przedszkolu, nie wiedząc, kiedy znowu ją zobaczę.

Prosto spod przedszkola zawieziono mnie do aresztu na Rakowieckiej.

Byłam przesłuchiwana i - niestety - do wszystkiego się przyznawałam. Z pytań esbeków bowiem wynikało, że wszystko wiedzą. Z protokołów przesłuchań później te pytania wykreślono. Aresztowano mnie w czerwcu, a niektórzy sypali już od marca. Esbecy nie wypuszczali mnie z powodu mojego endeckiego dziadka. Chcieli w ten sposób pokazać, że nie są żadnymi antysemitami, że nie zamykają samych Żydów, ale również osobę wywodzącą się z rodziny narodowców.

Niestety, kiedy siedziałam w więzieniu, mój były mąż wystąpił o odebranie mi prawa do opieki nad córką. Działał pod naciskiem władz i to było widać.

Sprawa o opiekę nad dzieckiem trafiła do sądu. Na salę rozpraw pojechałam prosto z więzienia. Ubrałam się w swoje najlepsze ubranie, które wzięłam z domu w momencie aresztowania. Założyłam garsonkę z niegniotącej się wełny. To bardzo dobry rodzaj wełny robi się z niej góralskie chusty. Do tego buty na obcasie.

Gorzej było z kosmetykami. Oczy pomalowałam tuszem do rzęs zrobionym z popiołu od papierosów, zmieszanym z jakąś tłustą mazią. W celi chowałyśmy ten tusz w małym pudełeczku za ubikacją.

Na szczęście system zadziałał na moją korzyść. Sprawę prowadziła sędzia Alicja Mincowa, synowa Hilarego Minca,

znanego działacza komunistycznego. Mincowa należała do środowiska, które za swoje żydowskie pochodzenie było dyskryminowane. Ja zaś protestowałam przeciwko antysemitycznym czystkom i to nastawiło ją do mnie przychylnie. Proces wygrałam, córka została ze mną. Kiedy byłam w więzieniu, mieszkała z moją mamą.

Za kratami spędziłam w sumie osiem miesięcy. Z więzienia wyszłam razem z Aleksandrem Smolarem. Mieliśmy mieć razem proces, ale przyszła amnestia.

Wielu moich przyjaciół szykowało się wtedy do wyjazdu z Polski, między innymi Janek Gross. Alik Smolar wyjechał później. Pamiętam, że byłam z nim jeszcze u profesora Włodzimierza Brusa, znanego polskiego ekonomisty żydowskiego pochodzenia, który również się już pakował. Trafił do Wielkiej Brytanii razem z żoną, Heleną Wolińską-Brus, która była stalinowskim prokuratorem w powojennych procesach, kończących się mordami sądowymi.

To właśnie będąc u nich, usłyszeliśmy o masakrze, do której doszło w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu. Zomowcy spacyfikowali wtedy strajkujących robotników. Wolińska zaczęła mówić z entuzjazmem, że teraz Gomułka upadnie. Ja i Alik byliśmy w szoku, że ZOMO posunęło się do mordowania bezbronnych. To był dla mnie kolejny wstrząs po 1956 roku. Kolejny raz komuna pokazała swoje krwawe oblicze.

Po wyjściu z więzienia zostałam na lodzie. Ludzie się bali ze mną kontaktować, na mój widok odwracali wzrok. Czułam się odrzucona. Na uniwersytecie zostałam zawieszona, do końca trzyletniego kontraktu dostawałam połowę pensji. Musiałam znaleźć jakąś inną pracę, aby utrzymać siebie i córkę. Alimentów nie dostawałam. Brałam różne prace dorywcze. Uczyłam w liceum pielęgniarstwie, robiłam ankiety na wsiach.

Przed aresztowaniem pisałam doktorat u profesor Marii Hirszo-wicz, która - wtedy gdy ja siedziałam w więzieniu - wyemigrowała z mężem do Wielkiej Brytanii. W końcu jakoś udało mi się dokończyć ten doktorat i obronić go w Polskiej Akademii Nauk. Moim nowym promotorem został profesor Jerzy Wiatr.



*Z Ireneuszem Iredyńskim tworzyli burzliwy związek. Jego hulawczy tryb życia doprowadził w końcu do rozstania.*

Pamiętam, że poprosiłam Alika, żeby nie przychodził na moją obronę. Zresztą, parę dni wcześniej poznałam Ireneusza Ireduńskiego, znanego poetę i dramaturga. I on z kolei przyszedł. Był pijany, zataczał się gdzieś w drzwiach, ale był.

## Irek

Mieszkałam z Ireduńskim kilka lat. To był specyficzny związek, pełen sprzeczności. Irek funkcjonował zupełnie inaczej niż ja, pochodził z innego środowiska. Co wieczór wpadałam do SPATiF-u, żeby go stamtąd wyciągnąć. Irek pił tam z pisarzami, artystami. W tamtym okresie uczyłam w szkole pielęgniarstwa, więc Irek dla zgrywu przedstawiał mnie jako pielęgniarkę. A przecież byłam już cenionym socjologiem.

Wiele lat później, po strajku w Stoczni Gdańskiej, koledzy Irka dowiedzieli się, że byłam jednym z ekspertów uczestniczących w porozumieniach sierpniowych. Byli w szoku. Myśleli bowiem, że byłam jedną z tych wielu nic nieznaczących panienek, które się wokół niego kręciły.

Życie z Irkiem było na dłuższą metę niszczące. On wręcz nie chciał żyć. Poza tym chciał, niestety, niszczyć innych. Dzwonił do mnie z wyjazdów i podawał mi do telefonu inną kobietę... Życie z nim stawało się nie do zniesienia...

Był załamany komuną. I autodestrukcyjny. Dla kogoś takiego jak ja, kto jest optymistyczny, żywotny, a na dodatek wychowuje dziecko i pracuje, relacje z kimś takim były bardzo męczące. W pewnym momencie namówiłam go, żeby kupił na Mazurach chatkę.

Chciałam go w ten sposób wyciągnąć z pijackiego ciągu. „Bristol”, „Kameralna”... To były miejsca, z których właściwie nie wychodził.

Po wielu latach sama zaczęłam obsesyjnie kupować okazjnie nieruchomości. Niewielkie chałupki na terenie całej Polski. Bez wątpienia miałam syndrom bezdomności. Zaczęło się to już od wczesnego dzieciństwa, od naszej tułaczki po kolejnych

miastach. Kiedy wyszłam za mąż, pierwsze miesiące z małym dzieckiem spędziliśmy z mężem w hotelu robotniczym na Pradze.

Cały czas miałam uczucie bycia u kogoś, skrępowania. Bardzo chciałam mieć własny kąt. Więc zaczęłam kupować. Najpierw za pięćset dolarów małą chałupkę w Męcmierzu koło Kazimierza Dolnego. Potem rozwalające się mieszkanko w domku rybackim na Helu. Kiedy je wyremontowałam, zrobiło się tam bardzo przytulnie. Mogłam w każdej chwili tam uciec.

Ale wróćmy do Irka. Rozstałam się z nim ostatecznie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Już nie mogłam z nim dłużej wytrzymać. Któregoś dnia zamieściłam w gazecie ogłoszenie, że zamienię się mieszkaniem. Zgłosiła się jakaś pani z Saskiej Kępy. Spakowałam do pudeł nasze rzeczy. Osobno moje i córki, osobno Irka. I tak się rozeszliśmy.

Poświęciłam się pracy, skończyłam pisać habilitację. Poznałam Jurka Strzeleckiego. To był w ogóle bardzo ciekawy dla mnie czas. Dawałam dużo wykładów w podziemiu, poznawałam ciekawych ludzi. Między innymi Jarosława Kaczyńskiego. Z nim i ze Stefanem Mellerem wykładaliśmy w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego.

Jeździliśmy tam razem pociągiem. Nie rozmawialiśmy o tym, co dzieje się w kraju, ale raczej o komunizmie w teorii. To były bardzo ciekawe rozmowy.

Pisałam w tym czasie książkę poświęconą regulacji sytuacji w państwie za pomocą kryzysów. O tym, jak komuniści wywołują kryzysy, żeby móc przeforsować zmiany, które byłyby niemożliwe w normalnej sytuacji. Moim zdaniem, paradoksalnie, kryzys ułatwia podtrzymanie systemu. Książka nazywała się *Dialektyka społeczeństwa socjalistycznego* i ukazała się... tylko w Japonii.

Wyjechałam wówczas na moje pierwsze stypendium do Stanów Zjednoczonych, do American Council of Learners' Society. Ameryka mnie zafascynowała, przejechałam ją wzdłuż i wszerz. Całymi godzinami włóczyłam się ulicami Nowego Jorku.





*Jadwiga Staniszkis w swoim pełnym książek warszawskim mieszkaniu.*

## **Kryzys '80**

W lipcu 1980 roku, kiedy wybuchły pierwsze strajki, byłam tym bardzo pochłonięta. Wyglądało na to, że sytuacja w kraju potoczyła się zgodnie z tezą mojej książki. Doszło do kolejnego kryzysu. Czy to oznacza, że Solidarność była sterowana przez komunistów? Oczywiście nie wykluczałam elementu spontaniczności - taki zawsze istniał - ale mógł on być wykorzystany przez system.

Na przełomie dla Polski wydarzenia z sierpnia 1980 roku patrzyłam więc przede wszystkim jako socjolog z długoletnim stażem. Robotnicy ze stoczni szybko zrozumieli, że sami nie będą w stanie dogadać się z władzą. A i partia, która też nie za bardzo wiedziała, jak rozmawiać z robotnikami, chciała mieć po drugiej stronie inteligentów, którzy lepiej rozumieli sytuację. Komuniści bali się tłumy robotników. Potrzebowali

bufora. Woleli załatwić to za pośrednictwem grupy ludzi, którym ci robotnicy ufali. Czyli za pośrednictwem nas. W ten sposób w stoczni pojawili się eksperci.

Do udziału w negocjacjach zaprosił mnie telefonicznie Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Gdańsku. Specjalnie w tym celu władze odblokowały telefon stoczni - żeby można było zadzwonić do Warszawy. Weszłam w szeregi Komisji Ekspertów. Na początku niespecjalnie paliłam się do tego wyjazdu. O związkach zawodowych nie miałam bladego pojęcia. Podobnie jak o robotnikach.

Społeczeństwo polskie jest bardzo hierarchiczne. W komunizmie było jeszcze bardziej. W efekcie ktoś wychowany w inteligenckim domu nie znał w zasadzie środowisk robotniczych czy chłopskich. Występowała luka kulturowa.

Bałam się więc, że kogoś tam urażę. Nie chciałam, żeby stoczniowcy odczuli tę różnicę, odebrali to tak, że stoję wyżej niż oni. Byłam szczególnie wrażliwa na to, czego od nas, ekspertów, oczekiwała strona robotnicza. Na pewno nie oczekiwała, że przejmemy całkowitą kontrolę i to my wypracujemy kształt porozumienia z władzą. A tak, niestety, się stało.

Poza tym - myślałam - co ja tam będę robić? Elegancka kobieta, w szpilkach, z czerwoną szminką na ustach, w stoczni? Nie, to się jakoś gryzło. Uważałam, że więcej mogę zrobić, pisząc o tych wydarzeniach niż biorąc w nich udział. W końcu jednak, z poczucia przyzwoitości i obowiązku, dałam się namówić.

Do Trójmiasta pojechał ze mną mój brat. Podprowadził mnie pod samą bramę stoczni - bał się, że esbecja może mnie po drodze aresztować. Tam już przejęła mnie straż robotnicza. Byłam jednym z nielicznych ekspertów zaproszonych do stoczni przez robotników, a nie uzgodnionych ze stroną partyjną. Tym ostatnim warszawski komitet PZPR zafundował nawet bilety lotnicze do Gdańska.

To był wielki zakład pracy. Ciężkie maszyny, smary hale fabryczne. W stoczni panowały spartańskie warunki. Zbiorowy prysznic, suche bułki, spanie na krzesłach. Ogólne zmęczenie.



*Jadwigę jako eksperta zaproszono do stoczni. Spędziła tam. dziesięć długich dni, negocjując z przedstawicielami komunistycznej władzy.*

Brud. A ja pojechałam do stoczni ubrana bardzo przyzwoicie. Tak jak do więzienia - założyłam swoje najlepsze ubranie. Była to dobra decyzja, bo ubranie wytrzymało to wszystko.

W ciągu dziesięciu dni tylko raz udało mi się na chwilę wyjść ze stoczni. Jurek Strzelecki był tłumaczem dziennikarza francuskie" gazety „Le Monde” Bernarda Guetta i mieszkał z nim w luksusowym hotelu „Heweliusz” niedaleko stoczni. Zaprosili mnie do siebie, żebym mogła skorzystać z łazienki. Wzięłam prysznic, umyłam głowę. Czułam się jak nowo narodzona.

Z jednej strony brud i zmęczenie, a z drugiej uczucie wielkiego ryzyka. Nie wiadomo było przecież, jak to się wszystko skończy. Czy komuniści nie postąpią tak, jak w 1970 roku. Nie dokonają masakry. Mogli przecież wszystkich nas

wystrzelać. Stocznia była otoczona od strony wody i lądu. Czołgi, transportery opancerzone, broń maszynowa. Zyliśmy w napięciu. Zagrożenie było potężne.

Podczas negocjacji mówiliśmy o demokracji, prawach człowieka, godności ludzkiej. A jeden z członków komisji rządowej, wiceminister przemysłu maszynowego, prawdopodobnie przedstawiciel Moskwy, patrzył na nas lodowatym wzrokiem. Z pogardą i szyderstwem. Dopiero po latach, zajmując się naukowo tym tematem, odkryłam w archiwach Układu Warszawskiego, że znajdowaliśmy się wtedy na granicy wojny.

Sowieci potrzebowali pretekstu, żeby wkroczyć do PRL-u. Wprowadzić grupę uderzeniową do północnej Polski i ruszyć wojska, które mieli w NRD. To był plan „obrony przez atak”. Sowieci byli przekonani, że Zachód chce ich zaatakować, i chcieli stworzyć strefę buforową. Szukali tylko pretekstu i strajk w Stoczni Gdańskiej wydawał im się idealną okazją.

Dowiedziałam się o tym planie dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy, gdy rozgrywały się te wydarzenia, zyliśmy w błogiej nieświadomości. Nie przypuszczaliśmy, że strajk jest częścią większego planu. Sądzę, że niektórzy przedstawiciele delegacji rządowej zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Jednocześnie trwały negocjacje z przedstawicielami władzy w sprawie robotniczych postulatów. Nasza praca, jako ekspertów, polegała na tym, że uzgadnialiśmy stanowisko z Lechem Wałęsą i Andrzejem Gwiazdą. A oni później przekazywali wszystko stoczniovcóm.

Sam przyjazd delegacji rządowej oznaczał, że będzie porozumienie. Tę delegację wybierano pod tych, których robotnicy zaprosili jako doradców. W grupie doradców był profesor Tadeusz Kowalik, a przewodniczącym delegacji rządowej był wicepremier Mieczysław Jagielski, który w szkole partyjnej był uczniem Kowalika. W 1980 roku byli już po dwóch stronach barykady.

Grupa ekspertów, w której się znalazłam, miała negocjować z rządem treść preambuły statusu Solidarności. Kiedy

usłyszałam, na co godzą się Tadeusz Mazowiecki z Bronisławem Geremekiem, zamarłam. Chcieli wprowadzić do niej formułę uznania przez związek zawodowy kierowniczej roli partii!

To było skandaliczne. A co gorsza, decyzję tę podjęto wbrew zasadom demokracji. Uważałam, że powinno się tę sprawę postawić do głosowania w gronie robotników. Tego jednak nie zrobiono. W efekcie, na znak protestu, wyszłam demonstracyjnie z sali obrad. Nie chciałam przyłożyć ręki do czegoś podobnego.

O tę sprawę wywiązała się zresztą później awantura. Widziałam reakcję działaczy Solidarności na to uznanie kierowniczej roli partii. Byli niesamowicie rozczarowani. Wściekli. Można było przewidzieć, że wywoła to kolejną falę strajków. Wybuchły one w momencie rejestracji Solidarności we wrześniu 1980 roku. Czyli tuż po podpisaniu porozumień sierpniowych.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że w Stoczni Szczecińskiej podpisano porozumienie z władzą bez takiego sformułowania w preambule. Czyli komuniści specjalnie się przy tym nie upierali.

To ustępstwo było niepotrzebne. To był szok nie tylko dla robotników. Sami komuniści byli zaskoczeni, że eksperci zgodzili się na taką formułę.

Rozwinięcie skrótu NSZZ „Solidarność” to - jak wiadomo - Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Niestety, w momencie uznania „kierowniczej roli partii” związek przestał być niezależny i samorządny. Bunt nietransformacyjny - tak to wtedy nazwałam. Wydawało mi się, że to koniec. Ze sytuacja została przez komunistów opanowana, kryzys został przewyciężony.

Nie doceniłam jednak przełomu, jaki zaszedł wówczas w ludziach. Oni w sierpniu 1980 roku upomnieli się o swoją stłamszoną godność. Kompromis wynegocjowany wówczas z partią nie satysfakcjonował ludzi. Chcieli prawdziwych zmian i Polska weszła wówczas na drogę całkowitego obalenia komuny.

Tymczasem po podpisaniu porozumień nastąpiła fala

rejestrowania związku w zakładach pracy. Tak zwany „karnawał Solidarności”. W 1981 roku wróciłam na uniwersytet. Jednym z postulatów zaakceptowanych przez władze w porozumieniach sierpniowych była gwarancja przyjęcia z powrotem na uczelnie ludzi wyrzuconych za przekonania. Wróciłam do pisania i normalnego zarabiania na życie.

### **Nocne podróże i Jaruzelski**

Działałam we Wszechnicy Solidarności. Jeździłam po całym kraju, dawałam setki wykładów. Przyjeżdżałam zawsze nocnym pociągiem, a wykłady były następnego dnia po południu. Dzięki temu miałam trochę czasu, żeby powłóczyć się po małych miasteczkach. Poznałam lepiej Polskę.



*Pracy naukowej Jadwiga Staniszkis poświęciła całe dorosłe życie. Na zdjęciu: podczas jednego z wykładów. Po prawej Włodzimierz Czarzasty.*

Pamiętam wykład gdzieś na Śląsku, w kościele otoczonym przez milicję. Wprowadzono mnie do środka przez plebanię, żeby ominąć kordon ZOMO. To było po wygłoszeniu przez papieża Jana Pawła II homilii o tym, że dobro zawsze zwycięża zło. Zaczęłam wykład od powiedzenia, że niestety, nie mogę się zgodzić z tym stwierdzeniem. Dobro, niestety, nie zawsze zwycięża. Słuchacze omal mnie nie zlinczowali!

Moja córka w styczniu 1982 roku miała mieć bal maturalny, który został nieoczekiwanie odwołany. Zanosilo się na coś poważnego. 13 grudnia przebywałam pod Kazimierzem Dolnym, więc bezpieka mnie nie znalazła. Wprowadzenie stanu wojennego nie było dla mnie zaskoczeniem. Spodziewałam się, że władza zdecyduje się na rozwiązanie siłowe.

Przez kilka tygodni ukrywałam się przed SB. W Kazimierzu i okolicach znałam wielu ludzi, którzy mi pomogli. Tymczasem mój Wydział Filozofii i Socjologii został zawieszony, czyli znowu znalazłam się bez pracy.

W końcu zdecydowałam się na powrót do Warszawy. Kilka dni później zostałam zatrzymana. Przyszli po mnie do domu. Zawieźli mnie na komendę do Pałacu Mostowskich. Tak jak podczas mojego pierwszego aresztowania w 1968 roku. Tym razem nie bałam się tak bardzo, moja córka była już prawie dorosła. Całe szczęście, że wkrótce mnie wypuścili.

Zaczęłam publikować w prasie podziemnej. Skontaktowała się ze mną Ewa Kulik-Bielińska. Utrzymywała kontakt z ukrywającym się Zbigniewem Bujakiem. Powiedziała mi, że Bujak się nudzi, i poprosiła, żebym znalazła dla niego jakieś ciekawe książki. Ukrywał się w mieszkaniu na Bemowie. Pamiętam, jak kluczyłam po różnych uliczkach i zakamarkach, dźwigając pod pachą ciężką torbę pełną książek. Oczywiście chodziło o to, żeby zmylić szpiclów. Z działaczami Solidarności spotykałam się w parku Skaryszewskim, do którego dla niepoznaki przychodziłam z psem.

Solidarność przyczyniła się do obalenia komunizmu, ale -wbrew popularnemu w Polsce mitowi - nie była decydująca. Komunizm skończyłby się też bez Solidarności. Ale oczywiście

inaczej. Nie byłoby Okrągłego Stołu. A co za tym idzie, ci przedstawiciele opozycji, którzy zostali zaakceptowani przez komunistów, nie mogliby zaistnieć. W dużej mierze decydowały tu uwikłania agenturalne. Solidarność była bowiem zinfiltrowana przez służby.

Równie ważne było uwłaszczanie nomenklatury. Aparatczycy woleli funkcjonować w kapitalizmie. Chcieli zarabiać pieniądze. Komunizm to uniemożliwiał. Totalna władza nie dawała im zresztą realnej kontroli - bo kiedy się kontroluje wszystko, tak naprawdę wiele rzeczy spod kontroli się wymyka. Spory wpływ miała na to również sytuacja militarna w Europie.

Zgodził się ze mną nawet sam generał Wojciech Jaruzelski. W 1990 roku zaprosił mnie do Pałacu Prezydenckiego. Spodziewałam się, że zaprosił mnie na jakieś większe przyjęcie, a tu okazało się, że rozmawialiśmy tylko we dwoje. Siedzieliśmy w saloniku w Belwederze - był już wtedy prezydentem.

Byłam tą sytuacją trochę skrepowana. Jakiś oficer przyniósł nam herbatkę i ciasteczka. Były widelczyki, ale ja cytrynę do herbaty wzięłam palcami. Jaruzelski spojrzał na mnie z naganą.

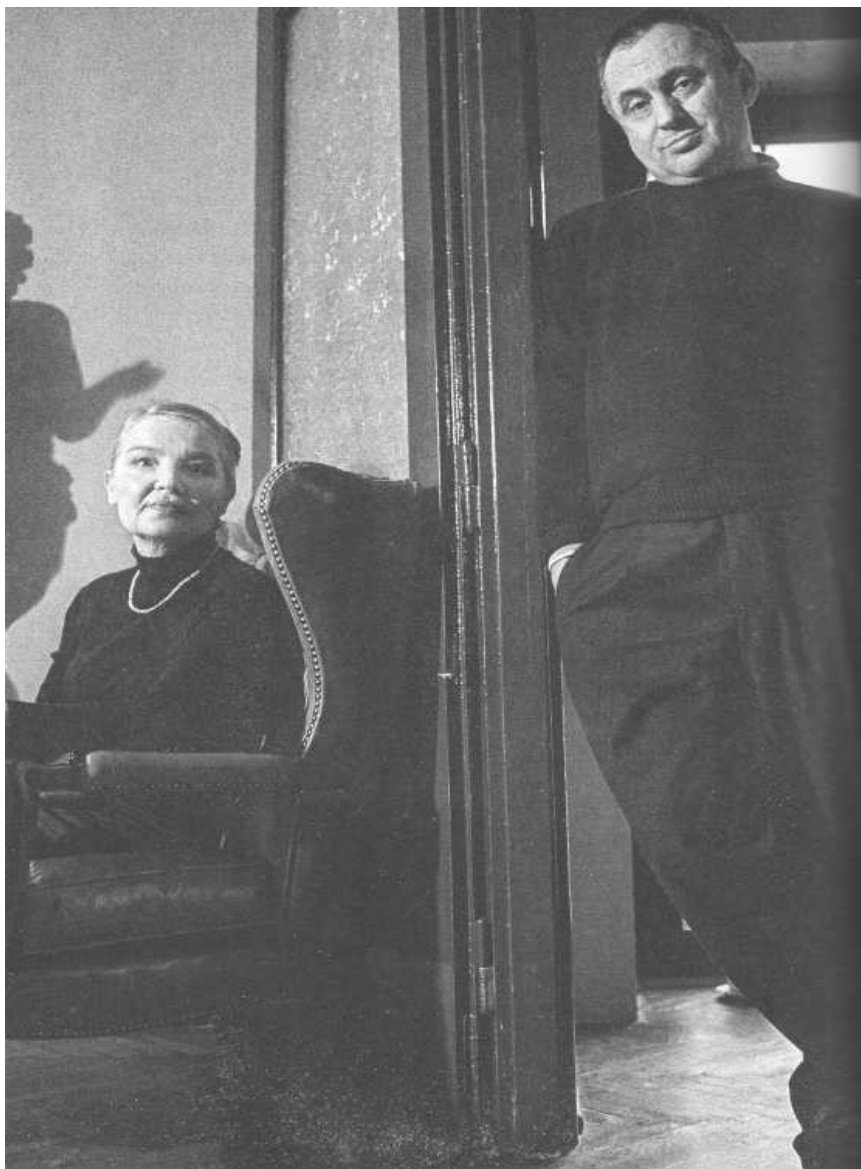
Właśnie wróciłam z Japonii, zaczęłam mu więc opowiadać o tamtejszych reformach, o kapitalizmie. Rozmawialiśmy o sytuacji politycznej.

Drugi raz spotkałam generała na seminarium o zimnej wojnie, na które przyjechał Wiktor Kulikow, swego czasu głównodowodzący Układu Warszawskiego. A także jego zastępca Anatolij Gribkow. Drugą stronę reprezentował Zbigniew Brzeziński i generał William Odom, sekretarz obrony USA za czasów prezydenta Jimmyego Cartera. Wygłosiłam wtedy referat o scenariuszu wojennym.

Referat ten został oficjalnie odrzucony przez stronę rosyjską. Generał Gribkow skomentował go: „Kobiety do robienia jajecznic”. Ale w kularach przyznano mi rację. Powiedział mi to między innymi generał Florian Siwicki.

Cóż mogę jeszcze powiedzieć o sobie? Chyba to, że zawsze się spieszę i nie mam poczucia humoru. Nie utrzymuję wielu kontaktów towarzyskich, cenię swoją prywatność.





*Profesor Jadwiga Staniszkis mieszka dziś ze swoim ostatnim, byłym już mężem Michałem Korcem. On rzucił kiedyś dla niej wszystko. Na zdjęciu: oboje w swoim domu, 1999 r.*

Zajmuję się transformacją, postkomunizmem i Rosją, która mnie fascynuje. To właśnie moje badania nad fenomenem Związku Sowieckiego pozwoliły mi dostrzec w działaniach rządu PiS-u cechy wyraźnie bolszewickie. Jak wiadomo, spadły na mnie za to gromy.

Mieszkam w Podkowie Leśnej. Mam trzy psy - wszystkie to przybłąkane kundły - i koty. Opiekuję się moim kolejnym byłym mężem, Michałem Korcem, który cierpi na depresję. Mieszka u mnie. Mam do niego sentyment, bo wszystko dla mnie rzucił. Pracę na uniwersytecie w Holandii, żonę i dziecko. Spakował się w dwie walizki i przyjechał do Polski. Ot tak. Wcześniej, w latach pięćdziesiątych, jako żydowskie dziecko wyemigrował stąd z rodzicami.

Ślub wzięliśmy w Kazimierzu nad Wisłą. W ostatniej chwili przed ceremonią się jednak zawahałam. Poszłam do Urzędu Stanu Cywilnego, aby wszystko odwołać. Żona burmistrza popatrzyła na mnie nawet ze zrozumieniem. Niestety, zmiękłam, kiedy zobaczyłam, że Michał wynajął już restaurację, a nawet statek, którym mieliśmy płynąć w górę Wisły. Uległam.

Moja córka, Joanna Staniszkis, zrobiła amerykański doktorat z matematyki, studiowała też filozofię. W ostatnich wyborach do Sejmu startowała z list partii Nowoczesna.

Moja najstarsza wnuczka, Jula, skończyła psychologię i zajmuje się psychiatrią dziecięcą. Pisze doktorat z psychologii sportu. Zuzia jest z kolei wicemistrzynią Polski na nartach. A mój najmłodszy wnuk, Maksymilian, uczy się w liceum.

Dlaczego zaangażowałam się w Solidarność? To proste. Jestem socjologiem. Zajmuję się analizą funkcjonowania systemu komunistycznego i opozycji. A co za tym idzie, oceniam innych ludzi. Często bardzo ostro. Nie miałabym do tego moralnego prawa, gdybym sama nie brała udziału w tych wydarzeniach i sama nie ryzykowała. Ot i cała historia.

*Jadwiga Staniszkis*

**HANNA**  
**U BOKU KSIĘDZA POPIEŁUSZKI**



**B**ył 20 października 1984 roku. Tego tragicznego dnia nigdy nie zapomnę. Rano - jak co sobotę - udałam się na mszę do kościoła św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

Zawsze po mszy spotykałam się z księdzem Jerzym i omawiałam z nim kwestię rozprowadzania darów z Zachodu. Przekazywałam mu recepty na lekarstwa, które otrzymywaliśmy w ramach pomocy dla Solidarności. Mieliśmy z tym zawsze huk roboty.

Do kościoła pojechałam moją zieloną zastawą, w bagażniku miałam paczki z darów. Nie zdążyłam ich jeszcze zaparkować, kiedy do samochodu podbiegł kościelny.

- Czy umawiała się pani z księdzem Jerzym na dziewiątą? - zapytał wyraźnie zdenerwowany.

Odpowiedziałam, że nie. Że przecież ksiądz Jerzy zawsze w sobotę odprawia mszę o dziewiątej i że przyszłam na mszę. Kościelny nic nie odpowiedział, tylko odszedł strapiiony.

Niestety, ksiądz Jerzy do kościoła nie przyjechał, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Poprzedniego dnia pojechał do Bydgoszczy, ale miał wrócić późnym wieczorem. Kościelny myślał, że może coś wiem.

Dopiero wieczorem w sobotę telewizja podała, co się stało: poprzedniego dnia, 19 października, w piątek, ksiądz Jerzy został uprowadzony. Porwali go funkcjonariusze SB przebrani w milicyjne mundury. Wsadzili go do bagażnika samochodu. Straszliwie bili, katowali. W końcu skrępowanego sznurem, obciążonego kamieniami, wrzucili do Wisły. Ksiądz Jerzy został zamordowany w sposób wyjątkowo drastyczny, brutalny.

W ten sposób zapłacił za swoją bohaterską, niezłomną postawę.

To, co się stało, było dla mnie szokiem. Wielką, osobistą tragedią.

## Dary z Zachodu

Solidarność to był prawdziwy cud. Dosłownie. Nigdzie indziej w bloku sowieckim nie powstała tak gigantyczna, opozycyjna wobec władz komunistycznych organizacja. Nigdzie nie powstał tak masowy, tak potężny ruch społecznego oporu.

Należałam do ludzi, którzy w 1980 roku dosłownie oszaleli na punkcie Solidarności. Rzucili się w wir działalności związkowej. Uczyłam wówczas angielskiego na Akademii Teologii Katolickiej i Polskiej Akademii Nauk. W efekcie postanowiłam, że będę zakładać koła Solidarności wśród nauczycieli na Mazowszu.

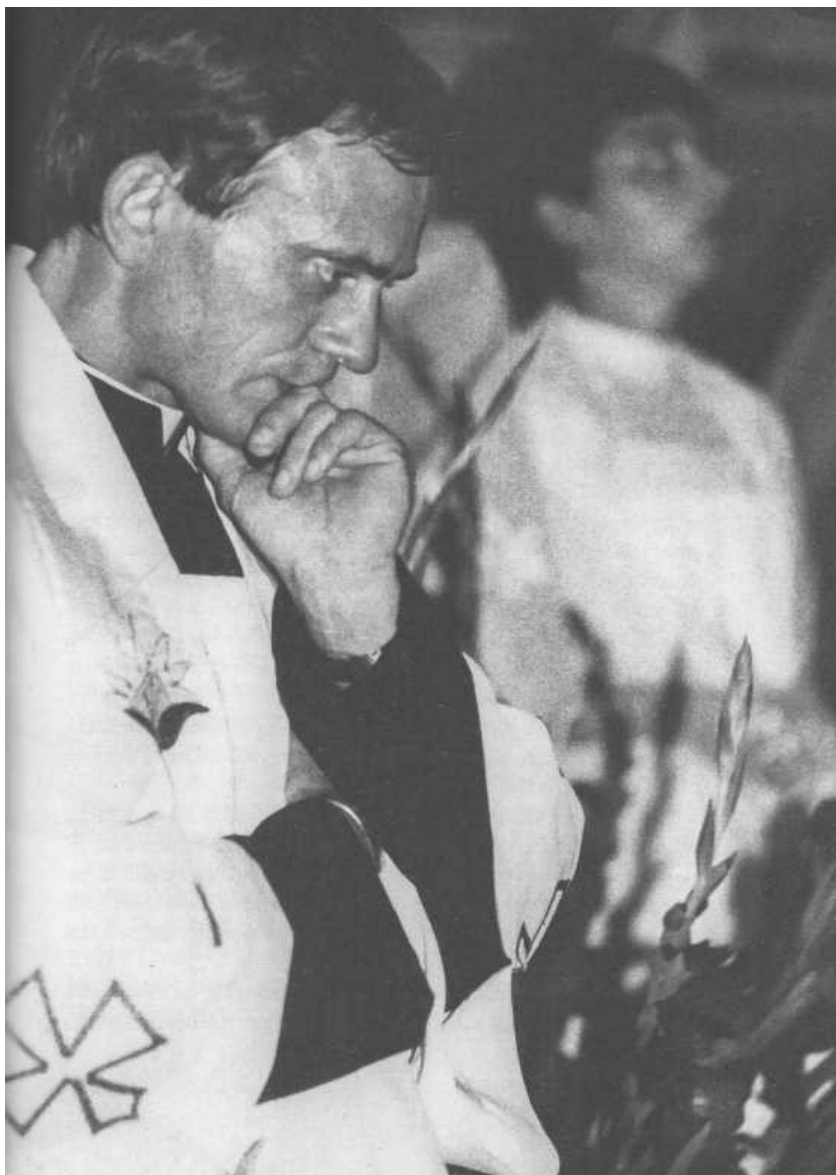
Tryb pracy był następujący: tylko trzy dni w tygodniu praca na uczelni, dwa dni przeznaczone na opozycję. Wszędzie jeździłam moją zastawą. To był samochód nie do zdarcia. Prezent od mojego brata.

Jak wyglądało zakładanie tych kół? Dzwonili do mnie nauczyciele - mój telefon krążył wśród ludzi - i prosili, żebym przyjechała. Oni bali się narazić swojemu kierownictwu, dlatego potrzebowali do pomocy ludzi z zewnątrz. Takich jak ja. Wsiadałam do zastawy i jechałam na zebranie nauczycieli. Tam wszystko organizowałam. Przekazywałam im mój adres, telefon, żeby mogli utrzymywać kontakt z Warszawą.

Koła Solidarności stanowiły ośrodki oporu wobec władzy. Ich członkowie kolportowali bibułę, walczyli o prawa pracowników, wywoływali strajki.

Potem zaczęły przychodzić dary z zagranicy. Świat bardzo interesował się tym, co dzieje się w Polsce. Starał się wspierać Solidarność w walce z reżimem. Ale także zwykłych Polaków, którzy cierpieli wskutek olbrzymich niedoborów wywołanych przez komunistów. Robiono więc zbiórki pieniędzy, żywności i innych produktów. Wszystko to przychodziło do Polski w paczkach.

Ponieważ miałam kontakty w Wielkiej Brytanii - o czym szerzej jeszcze opowiem - zostałam oddelegowana do zajmowania się tymi paczkami.



*Z księdzem Popiełuszką zaprzyjaźnili się podczas wspólnego rozdawania darów potrzebującym. Jego śmierć była dla niej wielką osobistą tragedią.*

Do zorganizowania całej operacji. Pierwsze dary z Wielkiej Brytanii pakowały w Londynie... moje koleżanki z emigracyjnego polskiego harcerstwa. Potem zanosiły je do polskiej parafii mojej mamy w Londynie. Stamtąd zabierała je firma przewozowa. Do Polski paczki przywoziły tiry albo pociągi, wagony towarowe. Pomoc nazywała się „Medical Aid for Poland”. Zdecydowali, że lepiej będzie podpisywać właśnie tak, a nie słowem „Solidarność”, bo istniała wtedy większa szansa, że władze w kraju nie będą robiły problemów.

Wtedy właśnie nawiązałam codzienną współpracę z księdzem Jerzym Popiełuszką. On także starał się pomagać ludziom i zajął się rozdzielaniem darów.

Wtedy nie było internetu i komórek, wszystko załatwiano się przez zwykły telefon. Co pewien czas dzwoniło do mnie z dworca, że przyjechał dla parafii św. Stanisława Kostki cały wagon z rzeczami. Adresowany był na nazwisko moje i księdza Popiełuszki. Natychmiast trzeba było je odebrać. Miałam do pomocy kilku ludzi z Solidarności - bez nich nie dałabym rady.

Pudła wydawali nam celnicy. Musiałam sobie ich w odpowiedni sposób urobić, inaczej mogliby się do czegoś przyczepić i wszystko skonfiskować. Okazało się, że zwykłe, ludzkie podejście jest najlepsze. Prosiłam ich, żeby najpierw wybrali coś dla siebie. Przecież dary były kierowane również do nich. Oni też - jak niemal każdy człowiek w PRL-u - byli w potrzebie. Do ostatniego dnia celnicy zawsze byli po mojej stronie.

Pamiętam, jak pewnego dnia dostałam telefon, że przed kościołem na Żoliborzu stoi tir wyładowany po dach darami. Pobiegłam czym prędzej na miejsce. Ciężarówka była olbrzymia. Co my z tym wszystkim zrobimy?! Trzeba było jak najszybciej znaleźć jakiś magazyn. I to duży.

Całe szczęście udało się - na Woli, przy ulicy Bema 99. Kierowaliśmy tam tiry aż do mojego aresztowania w kwietniu 1982 roku. Rozładować to wszystko pomagali nam mieszkańcy tego domu. Oni oczywiście również korzystali z darów.

To był paradoks. Komunistyczna szarość, opresje, kłamstwa.



*Paczki z zagranicy pozwalały Polakom przez chwilę zapomnieć o szarej, biednej rzeczywistości Polski Ludowej.*

Ale ludzie byli po prostu cudowni. Pomagali sobie zupełnie bezinteresownie, byli wobec siebie życzliwi. Dzisiaj, choć żyjemy w wolnym kraju, nie zawsze tak to wygląda.

Były również sytuacje humorystyczne. Pamiętam, jak do solidarnościowych protestów dołączyła straż pożarna. Ksiądz Jerzy odprawił mszę, Jacek Kuroń zorganizował miejsce dla strajkujących na politechnice studentów. I nagle jeden z tych młodych chłopaków przyszedł do mnie i oświadczył, że „jest zapotrzebowanie” na czternaście par dżinsów. Miałam z tym nie lada kłopot, ale jakoś się udało. Chłopaki byli bardzo zadowoleni, ale nawet nie wiedzieli, ile musiałam się tych dżinsów naszukać.

### **Z inteligentami ciężko**

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałam się o ósmej rano w kościele. Bo to była niedziela. Wracając do domu, spotkałam w bramie sąsiadkę, która poprosiła mnie, żebym



zadzwoiła po ekipę naprawczą, bo zepsuł się jej telefon. Weszłam do mieszkania, podniosłam słuchawkę, a tam głucha cisza. Władza odłączyła telefony.

Oczywiście w Solidarności nie zajmowałam się tylko paczkami z Zachodu. W domu miałam mnóstwo bibuły, która w przypadku rewizji w moim mieszkaniu mogła mi poważnie zaszkodzić. Jeszcze tego samego dnia zrobiłam kilka paczek z nielegalną prasą i na wszelki wypadek zawiozłam je do cioci. Uważałam, że do niej SB nie przyjdzie. Po południu razem z sąsiadką wyniosłyśmy jeszcze kilka worków z bibułą.

Tego dnia, 13 grudnia - kiedy wracałam od cioci z pustym bagażnikiem - ulicami Żoliborza przechodziła procesja. Obraz Matki Bożej Częstochowskiej został przeniesiony z naszego kościoła do kościoła Dzieciątka Jezus. Obserwowałam idących zza szyby samochodu - był to widok, którego nie zapomnę.

Czarny grudniowy wieczór. Ludzie szli w milczeniu z płonącymi świecami. Na ulicach wojsko i milicja. W powietrzu czuć było grozę aresztowań.

Naprzeciwko mojego bloku znajdował się warsztat ślusarski. Prowadził go pan Szczepan - znali go wszyscy mieszkańcy osiedla. Ja też często korzystałam z jego usług. Kiedy został wprowadzony stan wojenny, pan Szczepan za każdym razem, kiedy mnie widział, pytał:

- Pani Grabińska, a pani to dlaczego nie biorą?

A ja odpowiadałam półzartem:

- Panie Szczepanie, spokojna głowa, na pewno mnie wezmą. Na razie pewnie mają coś pilniejszego do roboty.

Nie pomyliłam się. Przyszli po mnie w dniu imienin księdza Popiełuszki, 23 kwietnia 1982 roku. Co ciekawe, zadzwonili domofonem. Była szósta rano. Wcześniej umówiłam się z sąsiadem, że w razie aresztowania miałam zastukać w łazienkową rurę. I rzeczywiście tak zrobiłam. Dzięki temu sąsiad wiedział, co się ze mną stało, i mógł tę informację przekazać ludziom z Solidarności.

Było ich pięciu, w tym jeden żołnierz z karabinem. W pewnym momencie karabin upadł mu z hałasem na podłogę, całe szczęście nie wystrzelił.

Rewizja trwała cały dzień, do siódmej wieczorem. Znaleźli między innymi ponad trzydzieści egzemplarzy tygodnika „Mazowsze”, które przeoczyłam podczas „czyszczenia” mieszkania. Byłam bardzo nieostrożna, trzymając to wszystko w domu.

Esbecy to byli ludzie strasznie źle wychowani. Zupełnie nie potrafili się zachować. Zrzucali na przykład książki z półek na podłogę. Powiedziałam im z oburzeniem, że w tym domu książki się szanuje. Musiałam im również zwrócić uwagę, gdy zabrali się do picia soków prosto z butelek. Powiedziałam im, że w kuchni są szklanki.

W pewnym momencie jeden z nich westchnął:

- Z tymi inteligentami to naprawdę jest ciężko.

Zabrali dwa worki książek, jakieś papiery, maszynę do pisania i kartkę świąteczną od księdza Hilarego Jastaka, słynnego kapelana gdyńskiej Solidarności. Współpracowałam z nim podczas odbioru jednego z transportów, który przyszedł do Gdyni drogą morską.



*Czasami ilość przekazywanych z zagranicy darów przekraczała najsmielsze oczekiwania odbiorców. Ludzie z całego świata wspierali walczących Polaków.*

Po skończonej rewizji, przed wyjściem na komendę, udałam się do łazienki, aby zabrać lekarstwa. Jeden z ubeków popatrzył na mnie spode łba i rzucił grubiańsko:

- Majtek pani nie zabiera, tylko same lekarstwa.

Nieźle się zaczynało!

Gdy tylko znalazłam się na Rakowieckiej, od razu zabrano mnie do lekarza, który zapewnił, że będą mnie leczyć - miałam nerwicę i kręgosłup w fatalnym stanie. To „leczenie” polegało na tym, że mogłam leżeć na pryczy w ciągu dnia i dostawałam na kolację kaszę manną zamiast tego paskudztwa, które dawali innym więźniom.

Siedziałam w celi z panią Marylką z Wybrzeża. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Była jeszcze jakaś pani, która miała założoną sprawę o dokonanie oszustwa podczas transakcji sprzedaży krowy czy jakiejś rolniczej maszyny. Czwartą więźniarką była kobieta, która opowiadała dziwne rzeczy. Kręciła, myliły jej się wersje. Później domyśliłyśmy się, że była agentką podstawioną przez władze więzienia. Miała przysłuchiwać się naszym rozmowom. Takich to ludzi spotykało się w więzieniu.

Potem, gdy przeniesiono mnie do kolejnej celi, na wejściu jakaś młoda kobieta spytała, czy dam radę wspiąć się na wyższą pryczę. Spała na niej wcześniej Basia Sadowska, znana opozycyjna działaczka i poetka. 12 maja 1983 roku milicja śmiertelnie pobiła jej syna, Grzegorza Przemyka. Mszę pogrzebową odprawił ksiądz Jerzy.

Siedziałam w więzieniu trzy i pół miesiąca. Kiedy wyszłam, prokurator formalnie wniósł oskarżenie. O ile na początku zupełnie nie bałam się więzienia, to kiedy dowiedziałam się, że mogłabym iść za kraty po raz drugi, zaczęły mi puszczać nerwy.

W końcu odbyła się druga rozprawa. Adwokat, który mnie bronił, był tym samym adwokatem, który bronił później morderców księdza Jerzego. W moim przypadku zachował się jednak przyzwoicie. W pewnym momencie podszedł do mnie i powiedział, że mam teraz wrócić do domu. Wyrok przywiezie mi osobiście. Sędziemu powiedział, że źle się poczułam. Całe szczęście udało mu się mnie wybronić. Za moją działalność w

Solidarności dostałam sześć miesięcy w zawieszeniu na dwa lata. Wyrokiem się nie przejęłam. Natychmiast po wyjściu z Rakowieckiej wróciłam do przyjmowania i rozprowadzania darów z Zachodu.

## **Prawdziwa solidarność**

Ci, którzy nie siedzieli w więzieniach, ukrywali się. Stale potrzebne były dla nich rzeczy. Także dla ich rodzin, które znalazły się w trudnej sytuacji. Codziennie wieczorem po godzinie milicyjnej dzwonił ksiądz Jerzy. Każdą rozmowę zaczynał od pytania, czy mam pod ręką coś do pisania. Oczywiście zawsze miałam wszystko przygotowane.

Ksiądz dyktował, a ja pisałam: Jeden: mężczyzna, wzrost, numer buta. Dwa: kobieta, wzrost, numer buta. Trzy: dziecko, wzrost, numer buta. A potem szczegóły: co konkretnie dla nich potrzeba. Następnego dnia jechałam do magazynu przy Bema i wkładałam do czarnych worków wszystkie te rzeczy. Przywoziłam to do kościoła, gdzie z kolei zgłaszali się po odbiór potrzebujący. Już bezpośrednio do księdza Jerzego. Nie znałam ich imion ani nazwisk, tylko numery. Takie były wymogi konspiracji - ja przez cały czas miałam przecież telefon na podsłuchu. Lepiej było, aby SB nie знаła personaliów osób, którym pomagaliśmy. Otrzymanie paczki z zagranicy bezpieka mogła zinterpretować jako „niebezpieczne powiązania” z Zachodem. To mogło ludziom zaszkodzić.

Z każdego transportu z darami odkładałam jedną parę butów w rozmiarze księdza Jerzego. Kładłam je u niego w pokoju pod ścianą. Dlaczego? Bo ksiądz Popieluszko miał zwyczaj oddawania swoich butów potrzebującym. Gdybym tak nie robiła, chodziłby chyba bosy. Był to człowiek, który swoimi prozaicznymi sprawami nie zaprzętał sobie głowy.

Mnie też zdarzało się pomagać ludziom na bieżąco. Kiedy widziałam, że ktoś nie ma butów czy płaszcza, to podchodziłam do niego na ulicy i mówiłam, że mam w samochodzie takie i takie rozmiary. Może będą pasować. Zawsze woziłam część

darów w bagażniku zastawy. Muszę jednak przyznać, że nie zdejmowałam z siebie ubrań, tak jak ksiądz Popiełuszko.

W stanie wojennym i dłuższy czas po nim paczki wysyłane pocztą musiały być otwarte i nie mogły ważyć więcej niż pięć kilo. Potem już pozwolili na dziesięciokilogramowe. Bardzo zaprzyjaźniłam się z paniami na poczcie żoliborskiej. Codziennie przyjeżdżałyśmy około drugiej, wyjmowałyśmy z samochodu górę paczek, pani z okienka dawała mi cały zeszyt, a ja wszystko samodzielnie wypisywałam. Dawałam jej pieniądze na znaczki i szłam do domu. Następnego dnia przychodziłam po resztę. Takie to były czasy.

Mieliśmy jeszcze jedno miejsce, gdzie składowaliśmy dary. Była to sala obok kościoła w Łomiankach. Księża tamtejszej parafii mieli wątpliwości, czy te dary trafiają w odpowiednie ręce. Pytali, czy zdają sobie sprawę, że niektórzy sprzedają otrzymane rzeczy.

Odpowiadałam zawsze tak samo. Jeżeli rodzina dostała w darze ładną sukienkę, a nie ma co włożyć do garnka, to dlaczego miałyby jej nie sprzedać? Te dary miały pomóc rodzinom. Jeśli więc matka albo ojciec zdecydowali, że sprzedadzą buty i kupią za nie jedzenie - proszę bardzo. Będę się z tego tylko cieszyć.

Jednak wyraźnie pisałam do ludzi, którzy organizowali pomoc na Zachodzie, że w darach nie przyjmujemy kawy. Nie zamawiałam jej też, jeśli ktoś o nią prosił. Bo kawa była w PRL-u typowym artykułem na sprzedaż, na wymianę. Prosiłam też, żeby nikt nie sprzedawał mleka w proszku. Jeśli jakaś rodzina dostawała go zbyt wiele, powinna była je po prostu oddać. Mleka nie wolno było sprzedawać, bo było potrzebne dla dzieci.

Dostawałam mnóstwo listów z całej Polski. Każdy list był podpisany przez proboszcza danej parafii. Takich listów do dzisiaj mam pełną walizkę. W jednym z nich było napisane ołówkiem: „Nicie białe i czarne”. To było od rodziny z kilkorgiem dzieci, w której nikt nie potrafił pisać. Niektórzy pisali okropną polszczyzną. W tamtych czasach na wsi panował duży analfabetyzm.



*Na mleku przysyłanym z zagranicy wychowało się niejedno dziecko w PRL-u. Czasami w ręce młodych Polaków trafiały także inne rarytasy.*

Do każdej paczki wkładałam święty obrazek z kartką z dopiskiem - ręcznym albo na maszynie - „dary pochodzą od Polaków z Anglii i przysłane zostały do kościoła św. Stanisława Kostki na Zoliborzu”. Kiedy ksiądz Popiełuszko został zamordowany, hutnicy dostarczyli mi duży plik zdjęć księdza Jerzego wydrukowanych na papierze gazetowym. Od tej pory do paczek, zamiast obrazka, wkładałam to zdjęcie.

Tu należy się wyjaśnienie. Ksiądz Jerzy był kapelanem Huty Warszawa, miał wśród hutników wielu przyjaciół. Gdy huta strajkowała, odprawiał msze dla załogi.

W niektóre niedziele jeździliśmy z mlekiem i innymi artykułami spożywczymi do Ostrołęki. Nietrudno było poznać mieszkania, które korzystały z darów. Na balkonach piętrzyły się puste pudła, a w oknach wisiały zdjęcia księdza Jerzego na gazetowym papierze. Przypominało mi to polskie domy w Londynie - tam z kolei w pokojach wisiały zdjęcia generała Władysława Andersa.

Ludzie przychodzili też bezpośrednio do mnie do domu. Któregoś dnia w drzwiach stanęła średniego wzrostu pani,

ubrana od stóp do głów w rzeczy z Zachodu. Powiedziała, że przez wiele lat dostawała ode mnie rzeczy dla swoich dzieci. Teraz, kiedy dzieci są już dorosłe, chciałyby ofiarować mi swoją pomoc. Chciała się na coś przydać, udzielać pomocy innym. Przyłączyła się do naszych codziennych zajęć.

Miałam też odwrotną sytuację. Przyjechała do mnie olbrzymia, tęga kobieta. Z trudem mieściła się w drzwiach. Na szczęście była u mnie pani Marylka, moja koleżanka z Gdyni, z którą razem siedziałam w celi na Rakowieckiej. Przyjeżdżała do mnie do Warszawy po rzeczy dla ludzi, którzy ukrywali się w Gdańsku u księdza Henryka Jankowskiego.

Wróćmy jednak do tej tęgiej pani. Od samego progu zaczęła mi wymyślać! Z pretensją w głosie oświadczyła, że przysłała w sprawie paczki, którą dostała. Na kartonie, w którym znajdowały się rzeczy, było napisane: „czternaście męskich koszul”. A w środku nie było koszul, lecz jakieś inne ubrania. Te ubrania jej się oczywiście też przydały, ale przysłała odebrać należne jej koszule...

Te sprawy do mnie wracają do dzisiaj. Kilka lat temu zatrzymała mnie na ulicy nieznajoma kobieta. Szła z dorosłą córką. „Na mleku tej pani się wychowałeś” - powiedziała do córki, wskazując na mnie. Ta dziewczyna spojrzała na matkę ze zdumieniem. Musiała jej wytłumaczyć, że dostawała ode mnie mleko w proszku.

Tak, Solidarność to nie była tylko walka uliczna z milicją, strajki, pisanie odezw i drukowanie bibuły. To była codzienna pomoc, udzielana dziesiątkom tysięcy Polaków znajdujących się w sytuacji krytycznej. To była solidarność.

Solidarności poświęciłam dziewięć lat życia. Rozdawaniem darów zajmowałam się codziennie. To była moja praca - często żmudna i trudna. Wieczorami dosłownie padałam z nóg. Dlaczego więc to robiłam? To oczywiste. Dlatego, że czułam, że tak trzeba.

Z tych dziewięciu lat została mi walizka wypchana listami z podziękowaniami od potrzebujących. I to jest dla mnie najlepszą zapłatą.

Prawdziwa Solidarność skończyła się w 1989 roku. Całe

szczęście, że nie musiałam patrzeć na jej upadek: 19 lipca 1989 roku - w dniu wyboru generała Wojciecha Jaruzelskiego na „prezydenta” - wyjechałam z kraju.

Aby wyjaśnić tę decyzję, muszę się cofnąć w czasie do mojego dzieciństwa...

## **Wilno - Monachium – Londyn**

Moi rodzice mieszkali w Wiedniu, ale tuż przed moim urodzeniem przyjechali do Wilna. Zrobili tak tylko dlatego, żebym przyszła na świat w Polsce. Polskość, patriotyzm - te wartości były dla nich niezmiernie ważne. W Wilnie mieszkali także moi dziadkowie. Oni z kolei przyjechali z Kijowa. Dziadek ze strony mamy - Aleksander Januszkiewicz - został osobiście wezwany przez marszałka Józefa Piłsudskiego do objęcia urzędu dziekana Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Mój ojciec, Mieczysław Grabiński, za młodu służył w Polskiej Organizacji Wojskowej, podczas pierwszej wojny światowej walczył w Legionach. W niepodległej Polsce był dyplomata. Rok przed wybuchem wojny przenieśli go do Monachium, gdzie objął stanowisko konsula generalnego. Jako mała dziewczynka trafiłam więc do III Rzeszy.

W Monachium mieszkaliśmy w pięknym, dużym domu nad samą Izarą. Na wakacje wróciliśmy do Druskiennik, żeby spotkać się z „dziadziami”. Tak na nich mówiliśmy z moim młodszym bratem Jurkiem. Nie przeszkadzało nam, że dziadek był poważnym, powszechnie szanowanym człowiekiem. Dystyngowanym profesorem. Był dla nas „dziadziem” i kropka.

W lipcu 1939 roku pojechaliśmy z mamą najpierw do Warszawy a dopiero potem na Kresy. Tata spodziewał się, że będzie wojna. Nie bez powodu na letnie wakacje kazał nam spakować zimowe ubrania.

Zanim opowiem o wojnie, muszę wspomnieć o ważnym zdarzeniu, które miało miejsce w Monachium. To była wiosna 1939 roku. Przyjechał do nas przyjaciel ojca z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.





*Ojciec Hanny, Mieczysław Grabiński, podczas I wojny światowej służył w Legionach. Jako dyplomata IIRP objął stanowisko konsula generalnego w Trzeciej Rzeszy.*

Pojechaliśmy samochodem na zamiejską wycieczkę. Pamiętam, że wzięliśmy koc i dużego drewnianego misia na kółkach, którego Jurek dostał od tego pana. Ułożyliśmy się na kocu, między mną a bratem umieściliśmy misia. Tata wyjął aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie.

Zrobił je w taki sposób, żeby w tle było widać obóz koncentracyjny w Dachau. Tata niedługo potem wysłał to zdjęcie do władz w Warszawie z dopiskiem: „Tam się znajdę”. A cała ta wycieczka była zorganizowana tylko po to, aby przesłać do Polski tę wiadomość.

W drewnianym misiu przybysz z Warszawy przewiózł z kolei dla taty ważne tajne dokumenty.

Słowa taty, niestety, okazały się prorocze...



*Większość lat wojennych Hanna spędziła razem z bratem Jurkiem i dziadkami w Wilnie, gdyż po ataku Niemiec na Polskę ich rodzice zostali internowani.*

Mama zostawiła nas pod opieką dziadków w Druskiennikach i tuż przed wybuchem wojny wróciła do Monachium. Tam 3 września rodzice zostali internowani przez Niemców. Po kilku dniach wymieniono ich na niemieckich dyplomatów, którzy zostali z kolei zatrzymani w Polsce. Polski rząd na emigracji skierował tatę do Zagrzebia w Jugosławii, gdzie został konsulem. Tym razem rządu emigracyjnego.

W kwietniu 1941 roku Jugosławia podzieliła los Polski. Została zaatakowana i zajęta przez Niemców. Chorwaccy ustasze aresztowali ojca i wydali go Gestapo. Niemcy nie uznawali polskich władz na emigracji, a co za tym idzie, nie uznawali immunitetu jego dyplomatów. Wywieźli więc ojca do Rzeszy. Zamknęli go w więzieniu, a potem w Dachau. Po latach ojciec napisał książkę o swojej wojennej gehennie.

Mamę Niemcy też aresztowali. Po trzech miesiącach ją wypuścili, ale z zakazem opuszczania Niemiec. Dużą część wojny spędziłam więc z dziadkami i Jurkiem w Wilnie. Do tej pory nad moim biurkiem wisi zdjęcie naszego mieszkania przy Uniwersyteckiej 5. Kochałam ten dom. Okna wychodziły na szeroki dziedziniec.

Jurek uczył się strzelać gumowymi strzałami z łuku. Pewnego dnia stał przy oknie i celował w przestrzeń. Nagle przed oknem stanął mężczyzna w mundurze. Babcia spojrzała na niego i powiedziała: „Popatrz, teraz on będzie strzelał”. To był pierwszy żołnierz Armii Czerwonej, jaki pojawił się na naszej ulicy, gdy bolszewicy zajęli Wilno. Był 19 września 1939 roku.

Początkowo Sowietci oddali Wilno Litwinom. Nie oznacza to jednak, że ominęły nas represje. Dziadzio wrócił do domu 8 grudnia bardzo przygnębiony i powiedział, że litewskie władze zamknęły uniwersytet. Mało tego, nakazały dziadkowi natychmiastowe zwolnienie służbowego mieszkania. Całe szczęście, że dwóch studentów dziadka - Litwinów - wstawiło się za nim. Władze pozwoliły nam zostać w mieszkaniu do wiosny.

Gdy zrobiło się ciepło, przenieśliśmy się na Jagiellońską. A ja

zaczęłam chodzić na tajne komplety. Chciałam zapisać się do tajnego harcerstwa, ale babcia stanowczo mi zabroniła.

- Jak wojna się skończy, to wstąpisz do harcerstwa.

Z perspektywy lat te słowa wydają się naiwne. Babci wydawało się, że gdy skończy się wojna, wszystko będzie jak dawniej. Pójdę do szkoły w Wilnie, zapiszę się do harcerstwa. Wrócą rodzice...

Tymczasem Wilno przechodziło z rąk do rąk. W 1940 roku przyszli bolszewicy, a w 1941 roku bolszewików przepędzili Niemcy.

Mama przyjechała do Wilna na początku września 1943 roku. Przyjazd umożliwiło jej to, że w Wilnie byli już Niemcy. W Monachium najpierw pracowała jako służąca, całe szczęście u bardzo kulturalnej osoby. Potem została przeniesiona do katolickiego domu dla samotnych kobiet, w którym uczyła angielskiego. Nie dogadywała się jednak z tamtejszymi zakonnice. Otóż siostrzyczki wznosiły dziękczynne modły za każdym razem, kiedy Hitlerowi udało się wygrać kolejną bitwę.

Kiedy w 1944 roku ruszyła wielka sowiecka ofensywa, dziadzio powiedział, że powinniśmy zostać w Wilnie. Mama się temu stanowczo sprzeciwiała. Wiedziała, że tata nie przyjedzie do Wilna, znajdującego się pod bolszewicką okupacją. Postawiła na swoim. Wyjechaliśmy z Wilna w samą porę. Na stacji czekały już wagony, którymi bolszewicy mieli nas wywieźć w głąb Syberii.

Po wojnie zamieszkaliśmy w Kaliszu - mieście, w którym ojciec przed laty chodził do gimnazjum. Zgodnie z obietnicą daną przez babcię wstąpiłam do harcerstwa. Szybko się jednak z niego wypisałam. Ja chciałam świętować 3 maja, a harcerze dostali rozkaz, aby pójść w pochodzie pierwszomajowym. To już było inne harcerstwo i inna Polska.

Tymczasem obóz w Dachau został wyzwolony przez aliantów zachodnich. Ojciec prosto z obozu pojechał do Londynu. Zgłosił się tam do prawowitego polskiego rządu, który skierował go z powrotem do Monachium. Miał, tak jak przed wojną, objąć stanowisko konsula. W Anglii bardzo się jednak rozchorował - było to skutkiem źle przeprowadzonej w obozie operacji gardła.

Kiedy po kilku tygodniach opuścił szpital, sprawa była nieaktualna. Alianci wycofali uznanie dla polskiego rządu. Uznali za to sowiecki reżim Bieruta.

Tata ostatecznie wyjechał do Monachium, ale jako delegat Czerwonego Krzyża. Do komunistycznej Polski nie miał zamiaru wracać. To nie był kraj, w którym on - legionista, przedwojenny dyplomata - mógłby żyć. Rodzice stanęli przed trudną decyzją. Ostatecznie zdecydowali, że całą rodziną zamieszkamy w Monachium.

Nasze nowe życie w powojennych Niemczech bardzo mi się nie podobało. Zamieszkaliśmy pod Monachium, ojciec był cały czas zajęty sprawami dipisów, czyli ówczesnych uchodźców. Mama zatrudniła się jako tłumaczka i też ciągle jej nie było. Buntowałam się, chciałam wracać do Polski. Mama dowiedziała się, że w Ingolstadt, sto kilometrów od Monachium, jest polska szkoła z internatem im. Feliksa Konarskiego. Założyli ją byli więźniowie Dachau i Mur-nau. Pojechałam tam z mamą i zostałam na dwa lata.

Spaliśmy w salach po jedenaście dziewczyn na składanych amerykańskich łóżkach. Pośrodku stał stół i dwa stołki. Na szczęście okna miały bardzo szerokie parapety - mogłyśmy tam rozkładać książki i się uczyć. Rano i wieczorem dostawałyśmy wiadro zupy. Mimo spartańskich warunków wspominam internat bardzo dobrze.

Wstąpiłam tam do polskiego harcerstwa z prawdziwego zdarzenia, do hufca „Lwów”. Prowadziła je Anna Mokrzycka. Niedawno zmarła, mając sto dwa lata. Utrzymywałyśmy kontakt do samego końca. Dzwoniła do mnie w środku nocy - mieszkała w Chicago, u niej to był dzień - i prosiła:

- Niech druhna mi wytłumaczy, co się dzieje w Polsce.

W lipcu 1949 roku, tuż po polskiej maturze, wyjechałam z rodziną do Londynu. Aby dostać pozwolenie na ten wyjazd, tata musiał zwrócić się o protekcję aż do prezydenta Dwighta Eisenhowera i papieża Piusa XII. Władze angielskie bowiem nie chciały dać tacie pozwolenia na przyjazd z rodziną.

Dla mnie to była kolejna tragedia. Coraz bardziej oddalałam się od ukochanego Wilna i Polski.



*Hanna po wojnie zapisała się do harcerstwa. Harcerze musieli wykonywać polecenia komunistycznych władz. Bardzo ją to rozczarowało. Dopiero na emigracji w Niemczech wstąpiła do prawdziwego polskiego harcerstwa, kultywującego przedwojenne tradycje.*

Musiałam się rozstać z koleżankami z harcerstwa. Mało tego, trafiłam do kraju znienawidzonego Churchilla, który sprzedał Polskę Stalinowi.

Całe szczęście w Anglii też było harcerstwo. Zaprzyjaźniłam się z druhną Jadwigą Chruściel, córką generała „Montera”, legendarnego dowódcy Powstania Warszawskiego. W Londynie skończyłam college nauczycielski - zawsze chciałam zostać nauczycielką.

Ojciec był bardzo schorowany. Przeszedł już na emeryturę. Nikt nie interesował się jego książką *Dyplomacja w Dachau*. Rodzice za pieniądze, które tata dostał od rządu polskiego jako pensję za czas wojny, kupili w Londynie dom w dzielnicy Putney. Wynajmowali w nim trzy pokoje - zawsze Polakom. Mama pracowała jako tłumaczka. Ja przepracowałam cztery lata jako nauczycielka w katolickiej szkole. Życie Polaków na emigracji było bardzo przygnębiające.

W połowie lat pięćdziesiątych do Londynu przyjechał z PRL-u zespół Mazowsze. Całe harcerstwo i w ogóle cała emigracja oszalała na jego punkcie. Piekłam dla jego członków ciasta, bo Anglicy strasznie marnie ich karmili. Byłam na jedenastu przedstawieniach. To po wyjeździe Mazowsza zdecydowałam, że wracam. Urzekło mnie to, że mówili o Polsce jako o normalnym kraju.

Nikt nie był w stanie mnie powstrzymać. Wszyscy uważali, że musiałam zakochać się w którymś z tancerzy. Ale to nie było prawdą. Ja byłam zakochana w Polsce.

## **Powrót**

Przypłynęłam do portu w Gdyni, mając trzysta złotych w portfelu, bilet kolejowy do Warszawy i kilka kufrów rzeczy. Był rok 1958. Taksówka z dworca w Warszawie kosztowała trzysta pięćdziesiąt - powiedziałam kierowcy, że mam tylko trzysta. Mimo to zgodził się mnie zawieźć. Przez rok mieszkałam u zaprzyjaźnionych pań, było ciasno, spałam w kuchni.



*Harcerskie ideały przyświecały jej przez całe życie. Po latach miała okazję uczestniczyć w spotkaniu prezydenta Andrzeja Dudy z najstarszymi harcerkami.*



Na szczęście od razu znalazłam pracę w przedszkolu.

Początki były trudne. Czasami nie miałam gdzie mieszkać. Najważniejsze było jednak to, że jestem w Polsce.

Później zapisałam się do nauczycielskiej spółdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu. Kierowniczka przedszkola знаła prezesa. Przyproceedziła mnie do niego i przedstawiła jako repatriantkę z Zachodu, która ma pieniądze. Oczywiście pieniędzy nie miałam. Wzięłam pożyczkę...

Miałam więc już mieszkanie, ale także długi. Udzielałam prywatnych lekcji angielskiego, robiłam tłumaczenia. Byłam zajęta dzień i noc. Sama nie wiem, jak to robiłam, że starczało mi jeszcze czasu, żeby pójść do teatru czy kina. Udało mi się też skończyć studia. Po zrobieniu dyplomu zaczęłam pracować na wydziale anglistyki na wyższej uczelni w Poznaniu, a potem na Akademii Teologii Katolickiej.

Nieustannie korespondowałam z rodzicami. Na Boże Narodzenie 1960 roku pojechałam z pierwszą wizytą do Londynu. Niestety, nie zobaczyłam już ojca - zmarł pół roku przed moim przyjazdem. Mama została sama. Od tamtego czasu jeździłam do mamy co rok. z jednym wyjątkiem - wtedy, gdy siedziałam w więzieniu.

Pewnego dnia 1989 roku zadzwonił telefon. Odezwała się w słuchawce znajoma z Londynu. Powiedziała, że mama wyszła z domu i nie potrafiła sama wrócić. Uznałam, że mnie potrzebuje. Wyjechałam z Polski na sześć lat. Wróciłam w 1995 roku, tuż po pogrzebie mamy.

Mój brat nie wrócił do Polski. Mieszka z rodziną w San Francisco. Utrzymujemy kontakt, czasami przyjeżdża do kraju.

Do tej pory przechowuję pamiątki z okresu Solidarności. Czasami je przeglądam. Wracam wtedy myślami do tamtych szalonych czasów: księdza Jerzego, tirów wyładowanych paczkami, mojej zielonej zastawy, ubeckich rewizji i więziennej celi. Nie mam wątpliwości, że było warto.

*Hanna Grabińska*

**IZABELLA**  
GDAŃSZCZANKA Z KRWI I KOŚCI



**J**ak znalazłam się w więzieniu? Przez brak poczucia humoru. Nie, nie mój. Ja zawsze miałam i mam poczucie humoru aż w nadmiarze. Nie mieli go milicjanci.

Działo się to 16 grudnia 1981 roku. A więc cztery dni po tym, jak Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Pracowałam wtedy w laboratorium medycznym w Gdańsku. Byłam wstrząśnięta tym, co się stało, i nie chciałam siedzieć beczynn timer. Biernie poddać się przemocy.

Zacząłam więc rozdawać opozycyjne ulotki. To miał być dowód na to, że Solidarność walczy, że nie złożyła broni. Najpierw rozdawałam ulotki u siebie w pracy. A potem wpadłam na pomysł, że zawiozę trochę bibuły do innych placówek służby zdrowia w Trój-mieście. Chciałam zacząć od szpitala w Gdyni. Gdy już wychodziłam, Witek Marczuk - kolega z pracy - poderwał się od stołu i powiedział, że pójdzie ze mną. Będzie raźniej, pomyślałam. Jak się okazało, był to fatalny pomysł.

Powoli przedzieraliśmy się przez obstawiony wojskiem i milicją Gdańsk. Nagle wyrosło przed nami trzech milicjantów, tak zwanych mundziów. Oblał mnie zimny pot. Miałam przecież ulotki! Tymczasem mój kolega, widząc patrol, jak gdyby nigdy nic podszedł do niego i powiedział:

- Zimno, co, panowie?
- Ano zimno - odpowiedzieli.
- Do domu daleko?
- No, daleko.
- A nie chcieliby panowie czegoś poczytać? - spytał Witek i nie czekając na odpowiedź, wręczył im trochę ulotek!

Zamurowało mnie. Nie wiedziałam, co zrobić. Wyrwanie tych nieszczęsnych ulotek nie miało sensu.

- No widzisz, oni chętnie biorą. Ich też trzeba edukować - ucieszył się Witek, gdy milicjanci sięgnęli po bibułę.

Bez wątpienia była to wyjątkowo głupia wpadka. Ulotkami zainteresował się ich dowódca, zarządził akcję, no i

natychmiast nas zgarnęli.

Na komendzie spisali moje dane i wzięli w depozyt rzeczy. Wpakowali mnie do celi ze zwykłą chuliganką i Renią, która była członkiem RKS-u w Stoczni Gdańskiej. A potem dołączyło do nas jeszcze kilka dziewczyn. Między innymi Zosia Kwiatkowska z Transbudu z Gdyni i Jola Wilgucka z Biblioteki Wyższej Szkoły Morskiej, też z Gdyni. Obie za strajk w zakładzie zmilitaryzowanym.

Warunki? Jak to w więzieniu. Bez wątpienia nie był to luksusowy hotel. Ciepłą wodę miałyśmy raz dziennie, i to tylko w umywalce. Obok stał kibel. Do tego cztery piętrowe żelazne łózka, okna oczywiście zablendowane. Czyli z szybą umieszczoną po drugiej stronie kraty, aby więźniowie nie mogli wystawiać rąk.

Do tego stolik i cztery stołeczki. To wszystko na dziewięciu metrach kwadratowych. Raz na tydzień łaźnia - w typie obozowym. Pobyt w niej traktowałyśmy raczej jako okazję, żeby sobie pogadać z innymi więźniami, a nie żeby się porządnie umyć.

Z kolei z jedzeniem, o dziwo, nie było tak źle. Wreszcie mogłam jeść posiłki regularnie, o normalnych, ludzkich porach. Na wolności nie było to możliwe. Nie dość, że wychowywałam dzieci, biegałam do pracy, to jeszcze działałam w Solidarności. Często nie było czasu na posiłek. Ważyłam wtedy czterdzieści dziewięć kilo.

Do jedzenia nie dawali nam noży. Oczywiście dlatego, że nóż to potencjalna broń. Można się nim okaleczyć lub zrobić krzywdę komuś innemu. Miałam z tym spory kłopot, ale wkrótce - siedząc przy stole - wyczułam, że pod blatem przytwierdzone jest coś twardego. Nóż! Zostawił go ktoś, kto siedział wcześniej w celi.

Ponieważ byłyśmy jeszcze przed wyrokiem, to mundurków więziennych nam nie dano. Za koszule nocne służyły nam harcerskie bluzy wiązane na troczki przy szyi. Złożone w kostkę ubranie codzienne musiałyśmy wystawiać na taboret stojący przed celą. Ze względu na stan wojenny widzenia, msze, wyjścia do świetlicy czy biblioteki były zakazane.



*Młoda, wesola dziewczyna trafiła do więzienia przez brak poczucia humoru... milicjantów, którym jej kolega wręczył opozycyjne ulotki.*

W areszcie przechodziłyśmy obowiązkowe badania ginekologiczne. Dzięki nim można było udowodnić, że jedna z koleżanek, Jola Wilgucka, jest we wczesnej ciąży. Udało się ją wydostać na wolność z wyrokiem w zawieszeniu.

Powoli areszt się zapełniał i zaczęły się pierwsze procesy. Nasz odbył się jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Stanęliśmy przed... sądem Marynarki Wojennej. Rozprawa odbywała się na wesoło. Sędziowie byli w wyśmienitych humorach, opowiadali sobie kawały. Prokurator biedził się, żeby wykazać winę oskarżonych. Adwokat z urzędu robił swoje, a sędziowie dalej: gadu, gadu. Zupełnie nie przejmowali się nami i rozprawą. Do czasu. O wpół do trzeciej nagle się ocknęli, bo ktoś napomknął o obiedzie. W pięć minut było po sprawie. Sąd wydał wyrok - trzy lata więzienia.

Jakie to na mnie zrobiło wrażenie? Chyba byłabym bardziej załamana, gdybym dostała trzy miesiące. Bo trzy miesiące wydawały się realne. Tyle można było odsiedzieć. Ale trzy lata? Czy oni naprawdę myślą, że ja tyle będę w więzieniu? To była abstrakcja, niemożliwość. Byłam przekonana, że tylko chcą mnie nastraszyć, że ten wyrok zostanie złagodzony.

Gdy wróciłam do celi, dziewczyny, całe w emocjach, zapytały o wyrok. Jak im powiedziałam, zapanowała grobowa cisza.

Po mnie sprawę miała Zośka Kwiatkowska. Wróciła zapłakana i powiedziała: pięć lat. A potem sprawę miała jeszcze Ewa Kubasiewicz. Gdy wróciła i oświadczyła, że dostała dziesięć lat, to już tylko wybuchłyśmy śmiechem.

- Ewa, nie odsiedzisz tego! - tak sobie żartowałyśmy. Gdybym wtedy wiedziała, jak długo będę za kratami, nie byłoby mi do śmiechu.

## **W Wolnym Mieście**

Jestem gdańszczanką z dziada pradziada. Tu, w Wolnym Mieście Gdańsk, urodziła się moja mama. Mój dziadek pracował w konsulacie II Rzeczypospolitej. Pochodząca z

Kaszub babcia zajmowała się domem. Mieszkali na tak zwanym polskim podwórzu, czyli we Wrzeszczu.

Stosunki między Polakami a Niemcami w Gdańsku nigdy nie były najlepsze, ale pod koniec lat trzydziestych zaczęły się bardzo zaostrzać. Na Gedanii, stadionie sportowym odwiedzanym przez Polaków, zaczęło dochodzić do starć. Mama opowiadała mi, że polskie dzieciaki zbierały w okolicy kamienie i podawały je chłopakom, bijącym się z młodymi Niemcami.

Wkrótce przysła wojna i na Polaków spadły o wiele drastyczniejsze represje. Moją rodzinę Niemcy zaciągnęli do Victoriaschule, budynku szkolnego, który we wrześniu 1939 roku pełnił rolę przejściowego obozu dla polskich cywilów. Warunki panowały tam fatalne, Niemcy zachowywali się strasznie.

Tym, którzy mieli obywatelstwo gdańskie - a z mojej rodziny mieli je wszyscy - zaproponowano podpisanie Volkslisty. Dziadek z oburzeniem kategorycznie odmówił. Tak samo babcia i jej wszystkie cztery córki. Rezultat był taki, że wyrzucili ich z domu, pozwalając zabrać jedynie małe tłumoczki. Zostali deportowani do Generalnego Gubernatorstwa, w okolice Lublina.

Początki w nowym miejscu były trudne. Dziadkowie nie mieli niczego. Koczowali w stodole. Przed wywózką z Gdańska Niemcy zabrali im wszystkie pieniądze, twierdząc, że tam, gdzie jada, nie będą im potrzebne. Byli jednak i inni Niemcy. W pobliżu miejsca deportacji stacjonował oddział niemieckich żołnierzy. Na zajęтым przez niego terenie znajdowała się jedyna w okolicy pompa.

Dziewczyny - czyli mama ze swoimi trzema siostrami - chodziły do tej pompy po wodę. Widząc młode, a na dodatek ładne dziewczyny żołnierze oczywiście natychmiast się nimi zainteresowali. Gdy zobaczyli, w jakich warunkach mieszkają, przynieśli im wiadro pełne marmolady i dwa bochenki chleba. Po jakimś czasie rodzina przeniosła się do Radomia. Wszyscy zaczęli pracować oprócz dziadka, który udawał, że nie jest w pełni sił umysłowych.



*Izabella jest Gdańszczanką z krwi i kości. W jej rodzinie o komunie mówiło się otwarcie. To z domu wyniosła pogardę dla systemu. Na zdjęciu: z rodzicami Bogusławem i Elżbietą.*



Robił wszystko, byleby nie pracować na Niemca. Wojnę jakimś cudem przetrwali. Wszyscy wrócili do Gdańska, gdzie urodziłam się w 1953 roku.

W moim domu o komunie mówiło się bez ogródek, otwarcie. Ojciec uczył w Technikum Łączności. Do szkoły tej dzieci posyłali partyjni oficjele. Tata się pieklił, że taki chłopak się nie uczy, ma same dwóje, a tu nagle przychodzi jego ojciec i każe postawić synowi pozytywny stopień! Jakby tego było mało, w ślad za ojcem drepce płaszczący się przed partyjniakiem dyrektor szkoły. Takie obyczaje dla ludzi ukształtowanych na przedwojennym etosie były nie do zaakceptowania.

Podobne historie sprawiły, że nabrałam pogardy do systemu. Rozumiałam bowiem, że komuniści nie są wcale żadnymi ideowcami, którzy walczą o dobro klasy robotniczej. To była bezwstydną propagandą. W rzeczywistości to byli drobni karierowicze, łapówkarze, którzy poszli do partii, żeby się ustawić. Wszystko to działo się kosztem zwykłych ludzi.

## **Beztroskie lata**

Idąc na studia, wybrałam biologię. Mimo wielu zajęć zawsze udawało nam się znaleźć czas, żeby się spotkać ze znajomymi, potańczyć. Mieliśmy też dużo zajęć w terenie. Na trzecim roku pojechaliśmy na miesiąc do Stacji Biologicznej w Górkach Wschodnich nad samym morzem. Oczywiście zdecydowana większość studentów zajmowała się tam wszystkim, tylko nie badaniami.

Po trzecim roku wyszłam za mąż za Andrzeja. Zamieszkaliśmy z teściami. Mąż studiował na Akademii Medycznej. Jeden z jego kolegów był felczerem w Trąbkach Wielkich. Urządziliśmy sobie do niego wycieczkę. Miał z nami jechać Edi, nasz murzyński kolega. Ostatecznie postanowił jednak, że przyjedzie swoim samochodem.

Gdy dojechaliśmy do Trąbek, od razu skierowaliśmy się do jedynej tam restauracji. Akurat odbywało się wesele. Goście, zamiast tańczyć, stali z nosami rozplaszczonymi na szybie i

gapili się na... Ediego, który jadł obiad. Dziś widok Murzyna nikogo w Polsce chyba by już nie zdziwił. Wtedy to była sensacja, którą jeszcze długo żyły całe Trąbki.

W 1976 roku dostałam pierwszą pracę w Zakładzie Mikrobiologii na Akademii Medycznej. Zaczęło się dorosłe życie. Jednocześnie pojawiły się kartki na cukier. Sytuacja w Polsce była coraz trudniejsza, coraz bardziej napięta.

Niedługo potem zaszłam w ciążę. Kierujący zakładem profesor wysłał mnie do szpitala w Redłowie, żebym szkoliła młody narybek. To było dla mnie niezwykle trudne, traumatyczne przeżycie. W szpitalu doszło bowiem w tym czasie do awarii ciepłej wody, co skończyło się wybuchem sepsy na oddziale noworodkowym. Dziennie umierało po czworo maluchów. Trzeba było robić sekcje... Nie była to najlepsza praca dla młodej dziewczyny oczekującej dziecka.

Jak wielu innych obywateli PRL-u, nie mieliśmy własnego mieszkania. Studia skończyłam jednak z tak zwanym granatowym dyplomem. Osobom z takim dyplomem wojewoda był zobowiązany przydzielić mieszkanie. Napisałam więc podanie do wojewody i zostawiłam u niego w sekretariacie.

Wszyscy znajomi uważali, że to szaleństwo. Że muszę wokół tego podania „chodzić”. Starać się coś załatwić, dać jakąś łapówkę. W PRL-u wszystko się tak załatwiało. Ja się jednak uparłam i czekałam.

O dziwo, po miesiącu przyszedł list polecony. A w nim: „Wojewoda ze swojego przydziału przydziela obywatelce mieszkanie”. Dalej podany był numer bloku i mieszkania. Znajomym oczy wyszły na wierzch. Nie mogli uwierzyć! Przecież nikt wtedy nie dostawał mieszkania od tak, bez łapówek w postaci bombonierek i marko-wych alkoholi! Triumfowałam.

Dumni i pełni optymizmu ruszyliśmy, aby zobaczyć nasze nowe mieszkanie. Na miejscu zamurowało nas. Zastaliśmy tam bowiem... wielki dół w ziemi, częściowo zalany betonem. Staliśmy nad tym dołem z naszym malutkim synkiem Andrzejem. Milczeliśmy.



*Przed swoim aresztowaniem Izabella pracowała w laboratorium analitycznym. Wówczas jeszcze się łudziła, że po podpisaniu porozumień sierpniowych władza się ugnie.*

Mieszkanie odebraliśmy dopiero po roku, gdy już urodził się nam drugi syn, Michał.

Do pracy wróciłam 1 września 1980 roku. W czasie strajku z maluchem w wózek poszłam z Moreny pod stocznnię na piechotę - komunikacja też strajkowała. Euforia była niesamowita. Pamiętam, jak w telewizji oglądaliśmy podpisanie porozumień sierpniowych. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Komuniści ustępują pod naporem Solidarności, idą na ustępstwa. To było niebywałe.

Byliśmy tak szczęśliwi. Od razu wszyscy zapisaliśmy się do związku. Zaczęliśmy wydawać na akademii gazetkę solidarnościową „Pomost”. Wierzyliśmy, że uda się obalić ten koszmarny system. Skończyć z tym wszechobecnym kłamstwem, beznadzieją. Żyliśmy wtedy pełnią życia, oddychaliśmy pełną piersią.

Idylla trwała do 13 grudnia 1981 roku. To była niedziela. Dzieci chciały rano obejrzeć swoją ulubioną bajkę - *Matt i Jenny*. Gdy zamiast serialowych bohaterów na ekranie pojawił się „smutny pan” w mundurze i czarnych okularach, wpadły w rozpacz. Płakały więc, gdy Jaruzelski ogłaszał wprowadzenie stanu wojennego. Trzy dni później ich mamusia siedziała w więzieniu.

## Więzienny folklor

Kiedy dostałyśmy wyroki, zaczęto rozwozić nas po zakładach karnych. Mnie skierowano do słynnego Fordonu w Bydgoszczy. W moim transporcie jechały same kryminalne, w tym jedna Cyganka. Było całkiem wesoło. Opowiadałyśmy sobie różne historie.

Mój pierwszy kontakt z „personalem” więzienia był wręcz rewelacyjny. Na wejściu zapytano mnie, jaki dostałam wyrok. Fakt, że były to trzy lata, zapewnił mi wyjątkowe względy nawet w magazynie. Z powodu tak długiego wyroku miałam prawo do „porządnych” rzeczy. Dostałam więc całkiem niezły granatowy

waciac (wtedy to był szczyt mody) i mundurek.

Ponieważ nie było dla mnie odpowiednich butów, mogłam zatrzymać swoje kozaczki. Potem klawiszka zaprowadziła mnie na oddział - mój nazywał się „szary”. Korytarz był zawsze zamknięty kratą, za to cele można było mieć otwarte. W każdej z nich upchane było od ośmiu do kilkunastu dziewczyn, w zależności od wielkości celi. „Kącik higieniczny” odgradzony był firaneczką.

Gdy weszłam do swojej celi, od razu usłyszałam:

- O, z Solidarności! My tu takich nie lubimy.
- A dlaczego?
- Bo przez was odebrali nam widzenia.

No to się zaczęło! Trzeba im było trochę w głowach rozjaśnić. Zaczęłam pogadanki. O komunie i opozycji. Siedziało tam kilka dziewczyn skazanych za chuligaństwo, opowiadałam im więc o tym, jak Solidarność toczyła uliczne boje z gdańską milicją.



*Więzienie było dla Izabelli prawdziwą szkołą przetrwania. Musiała nauczyć się radzić sobie w trudnych warunkach. Na zdjęciu: pamiątki z więzienia.*

Słuchały z zapartym tchem i wypiekami na twarzy.

- I co, i co? - dopytywały się.
- No i gonili ich!
- I co? I co dalej?
- No i walnęli tego milicjanta po łbie.
- Milicjanta? Glinę? O, jak to fajnie!

Cała cela siedziała dookoła stołu i słuchała tych historii. A ja naprędce wymyślałam kolejne opowieści. W pewnym momencie jedna z dziewczyn klepnęła mnie po ramieniu i stwierdziła:

- Pal sześć te nasze widzenia! Najważniejsze, że tak tym glinom przyłożyście!

Następnego dnia moje towarzyszki z celi wstały zadowolone. Były wobec mnie bardzo miłe.

- Trzymaj się nas - mówiły - my ci tutaj wszystko załatwimy. Ustawimy cię. Będzie ci się dobrze siedziało.

Już myślałam, że się jakoś urządziłam, gdy nagle wpadła do naszej celi klawiszka i kazała mi się spakować. Powiedziała, że przenoszą mnie na oddział „czerwony”. Moje współwięźniarki zrobiły przerażone miny.

- Boże, na „czerwony”?! - jęknęły.
- O co chodzi?
- „Czerwony” to zaostrzony rygor. Coś ty zrobiła?!

Rzecz w tym, że nic takiego. Po prostu ktoś w biurze zajrzał do moich papierów i okazało się, że zamiast zwykłej kryminalistki mają na oddziale o złagodzonej rygorze dywersantkę z Solidarności! Cudem udało im się podburzyć cały Fordon przeciwko internowanym, które przetrzymywano tu w grudniu, a teraz taka wpadka! Musiałam więc iść na „czerwony”.

Pierwszą różnicę odczułam od razu po wejściu. „Szary” miał tak zwane porządne cele. Wszystkie łóżka były schludnie zasłane. Choć leżał na nich obowiązkowy więzienny szary kocyk, to w celi wisiała firaneczka z białego perkaliku. Niektóre dziewczyny trzymały lalki, maskotki. W celi były wyszywane serwetki.

A na „czerwonym” - pożał się Boże! „Gdzie ja trafiłam? - pomyślałam. - Chyba do jakiegoś bunkra!” Ściany obdrapane, wszechobecny grzyb. Cele wyglądały, jakby trwał w nich remont. Brud, zaniedbanie, wystrój bardziej niż surowy. A w samym środku tego grajdołu siedzą trzy dziewczyny z „dobrych domów”.

- Z Solidarności? - pytam.

Odpowiedziały mi przeciągłym „Noooooo”.

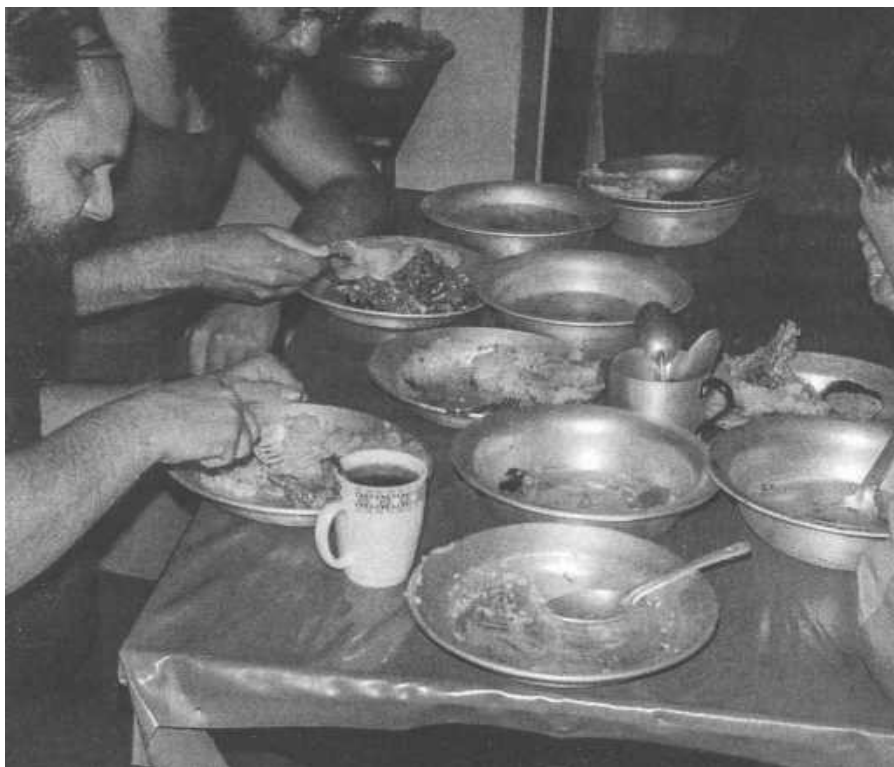
Uznałyśmy, że musimy zrobić dobrą minę do złej gry i jakoś się urządzić. Odpadające kawałki tynku oderwałyśmy od ścian. Z okien aż gwizdało, na dodatek było minus dwadzieścia stopni. Musiałyśmy je jakoś uszczelnić. Pierwszą noc miałam koszmar - okazało się, że w materacach są pluskwy. Brrrrr...

Nie wiedziałyśmy wtedy, że polityczni nie mieli obowiązku pracy. Władze więzienne dały nam wybór, zgłosiłyśmy się więc na tak zwane pilniczki. Musiałyśmy za pomocą drewnianych młotków prostować niezahartowane pilniki z bydgoskich zakładów Befamy. Dopiero tak wyprostowane szły do hartowania. Była to robota naprawdę idiotyczna, coś w stylu robienia na drutach. Miała jednak i dobrą stronę - mogłyśmy sobie przy okazji pogadać, pożartować i dowiedzieć się, co dzieje się w Fordonie.

Każde więzienie miało swoją *spécialité de la maison*. Fordon kojarzy mi się z koszmarnym chlebem. Naprawdę nie wiem, skąd oni go brali. Paskudztwo. Dawali nam za to cudowny smalec, robiony chyba przez jakąś prywatną masarnię. Pasztetówka - palce lizać. W kuchni pracowały dziewczyny, które potrafiły gotować. Lepiły doskonale pierogi.

Wieści z domu dochodziły do mnie przez mamę. Tuż przed aresztowaniem złożyłam pozew rozwodowy. Z mężem nie miałam żadnego kontaktu. To mama pisała mi, co słyhać u dzieci. To był bez wątpienia najtrudniejszy aspekt mojego uwięzienia. Nie pluskwy, nie tynk odłazący ze ścian, ale rozstanie z dziećmi. Myślę, że każda matka - która będzie czytać tę książkę - doskonale to zrozumie.

Moi synkowie nie rozumieli, co się stało. Dlaczego nie ma mamy.



*Więzienne jedzenie nie było zbyt urozmaicone, ale dla zabieganych opozycjonistek regularne posiłki i brak aktywności fizycznej okazały się uciążliwym problemem... Przybierały na wadze. Na zdjęciu: typowy posiłek w PRL-owskim więzieniu.*

Moi synkowie nie rozumieli, co się stało. Dlaczego nie ma mamy. Starszy, trzyletni Andrzejek, kilka dni po moim arestowaniu wybiegł sam na ulicę, żeby mnie szukać. Jak chłopcy poszli w odwiedziny do babci, to zaczęli przeszukiwać całe mieszkanie, bo myśleli, że gdzieś się schowałam. Ze to taka zabawa...

Ani mąż, ani mama nie powiedzieli im oczywiście, że siedzę w więzieniu. Powiedzieli tylko, że wyjechałam i nie wiadomo,



kiedy wróce. Dlatego o widzeniach z dziećmi nie było mowy.

Kiedy wieczorem leżałam na więziennej pryczy, starałam się przypominać sobie najweselsze momenty z życia na wolności, zabawy z moimi dziećmi, ich psoty... Miałam ogromne zaufanie do mojej mamy, wiedziałam, że nie dopuści, żeby stała im się jakaś krzywda. Bywały, niestety, i gorsze chwile... Musiałam się jednak trzymać, aby się nie rozkleić, nie załamać. Nie mogłam się poddać, o to przecież chodziło moim prześladowcom. Starałam się więc skupiać na bieżących, codziennych sprawach. Na mojej więziennej egzystencji.

Warunki na oddziale „czerwonym” w Fordonie były tak katastrofalne, że interweniował w tej sprawie episkopat i Amnesty International. Komuniści zabrali się więc za remont, a nas na ten czas wysłali do zakładu karnego w Grudziądzu.

Grudziądz był więzieniem dla recydywy. Jakby to dziś powiedziała młodzież - hardcorowym na maksa. Bez kanalizacji, za to z wielkimi, dwudziestolitrowymi kotłami w celach. Każdego dnia trzeba było ten kocioł opróżnić z ekskrementów. Jak się wynosiło te kotły, to miało się pięć minut na mycie w łazience. W więzieniu był oddział dla ciężarnych. Nie miały taryfy ulgowej. Też musiały nosić te kotły.

Klawiszki z Grudziądza szybko się na nas poznały. Takich więźniarek jak my - dziewczyny z Solidarności - jeszcze nie widziały. Były przyzwyczajone do recydywistek, które już zaliczyły prawie wszystkie więzienia. Byłyśmy inne, momentami naiwne, nie chlastałyśmy się, nie bluzgałyśmy, nasze rozmowy były dla nich momentami niezrozumiałe, a mimo to byłyśmy też harde, zaradne, nie dawałyśmy sobie w kaszę dmuchać. Strażniczki doszły do wniosku, że najlepiej nam nie wchodzić w drogę i nie utrudniać życia. Mogłyśmy więc choćby korzystać ze świetlicy i biblioteki, co nas bardzo ucieszyło.

Młode dziewczyny pochłaniały *Cafe pod Minogą* Stefana Wiecheckiego, najeżoną określeniami z przedwojennej gwary warszawskiej. Szczególnie spodobało nam się określenie „rzymska z grzyb-kamy”. Nazwałyśmy tak naszą łaźnię. „Może nie jest do końca rzymska - mówiłyśmy - ale za to są w niej

grzybki”. Chodziło o to, że na ścianach i podłodze był obrzydliwy grzyb.

Nie nudziłyśmy się. Koleżanki opowiadały nam więzienne legendy o zamurowanej w jednej z cel zakonnicy, której duch od czasu do czasu przechadzał się korytarzami.

W Grudziądzu był szpital. Mnie, jako pracownika służby zdrowia, zdumiało, że można prowadzić szpital w miejscu, gdzie nie ma kanalizacji. O zachowaniu elementarnych zasad higieny w takiej sytuacji nie ma mowy. Prawie każdej dziewczynie ropiały rany po operacjach, potem robiły się z tego paskudne blizny. Jeżeli chodzi o leki, to przysyłały je rodziny.

### **Noc poślubna „na dołku”**

W maju 1982 roku wróciłyśmy na stare śmieci - do Fordonu. Trafiłam do celi z Iwonką Szubryt i Wiesią Kwiatkowską. Wiesia pracowała w sekcji historycznej Zarządu Regionu Solidarności, zajmowała się badaniem masakry z Grudnia '70. To właśnie ona jako pierwsza opublikowała materiały dotyczące tej zbrodni. Dostała pięć lat.

Bardzo przypadłyśmy sobie do serca, choć Wiesia trzymała nas krótko. Powtarzała, że nie możemy się nad sobą rozczulać. Uważała, że czas spędzony w więzieniu nie może być czasem zmarnowanym.

Iwona Szubryt pochodziła ze Szczecina i była naprawdę świetną babką. Miała narzeczonego w Poznaniu - Janka. I ten Janek nagle - tuż po jej aresztowaniu - uznał, że czym prędzej muszą się pobrać. No, ale jak i gdzie? Rozpoczęły się długie i żmudne zabiegi. Władze Fordonu w końcu ustąpiły i dały Iwonce przepustkę na jej własny ślub. Całe trzy dni! Po siedemdziesięciu dwóch godzinach musiała stawić się z powrotem u wrót więzienia i dokończyć odsiadkę.

Przygotowania zaczęły tymczasem iść pełną parą. Postanowiłyśmy z dziewczynami - Wiesia i ja byłyśmy męźatkami o różnych poglądach na tę instytucję - udzielić Iwonie nauk przedmażeńskich.



*Wspólne więzienne przeżycia zbliżają ludzi. Fotografia zrobiona podczas zjazdu więźniów stanu wojennego w bazylice Mariackiej w Gdańsku. Izabella czwarta od prawej za Anną Walentynowicz.*

W końcu ktoś musiał to zrobić, a z braku laku padło na nas. Podeszłyśmy do sprawy profesjonalnie. Kazałyśmy jej założyć „indeks”, wzorowany na indeksie studenckim. Wszystko skrzętnie w nim notowała.

Kiedy po odbytych kursie chciała zabrać ten indeks, żeby pochwalić się rodzinie, że została „wykwalifikowanym materiałem na żonę”, przedstawiciele dyrekcji więzienia stanowczo się na to nie zgodzili. Podobno śmiali się do rozpuku, kiedy czytali ten „indeks”. Zachowali go sobie chyba na pamiątkę.

Na pożegnanie dałyśmy Iwonce następujące instrukcje: do

Fordonu ma wrócić czołgiem pomalowanym na biało, z weselną laleczką na pancerzu. Potem ma rozbić bramę i nas uwolnić. Jak widać, wszystko odbywało się na wesoło. To był nasz sposób na rozładowanie stresu, na to, aby jakoś znieść to więzienie.

Wróćmy jednak do historii naszej więziennej panny młodej. Minęły trzy dni, a Iwony nie ma.

- Kurcze, ma dziewczyna charakter! - mówiłyśmy. - Związała, nie wróci. Ale fajnie!

Niestety, czwartego dnia wczesnym rankiem, jeszcze przed pobudką, do celi wpada wściekła Iwona. Już od wejścia krzyczy na całe gardło:

- Zwinęli nas, zwinęli!

Okazało się, że po ceremonii wszyscy goście pod wodzą panny młodej poszli złożyć ślubne kwiaty pod pomnikiem poznańskiego Czerwca '56. A tam... aresztowała ich milicja. I razem z kwiatami, w garniturach i sukienkach całe weselne towarzystwo wylądowało „na dołku”. Noc poślubną Iwona spędziła na komendzie milicji w Poznaniu.

Cała historia na dodatek o mało nie skończyła się rozwodem. Po jednym dniu małżeństwa! Biedny pan młody, który nie miał kontaktu ze swoją zaangażowaną w działalność opozycyjną żoną - przesłuchiwali ich osobno - zgodził się podpisać zobowiązanie, że już nigdy więcej nie będzie uczestniczył w tego typu „antypaństwowych” wiecach. Iwona się wściekła: „Jak ty mogłeś to zrobić, kretynie?”

Tak czy inaczej, Iwona nie mogła w terminie wrócić do więzienia, gdyż siedziała w areszcie. Przyjechała do nas nie w czołgu, ale w milicyjnej furgonetce. Była tak zła, że aż kipiała. Oczywiście na męża.

- Nie martw się, Iwonka. Wykształcisz swojego Janka, jak wyjdiesz - pocieszałyśmy ją.

Małżeństwo okazało się bardzo udane, a Janek jest wspaniałym mężem. Widać z tego, że nasze „nauki przedmażeńskie” chyba się na coś przydały.

W sąsiedztwie naszej celi był oddział śledczy. Siedziały w nim nasze dziewczyny, tyle że młodsze, jeszcze ze szkoły średniej.

Jak to nastolatki, nie mogły spokojnie wysiedzieć na miejscu. Pewnego dnia jedna z nich zaczęła coś wołać przez okno. Do celi wpadł klawisz i ją uderzył.

Gdy się o tym dowiedziałyśmy - w więzieniu wiadomości rozchodzą się bardzo szybko - zaczęła się wielka rozróbka. Coooo!?! Biją naszych? No to my im pokażemy! Ogłosiłyśmy głódówkę. Nasz postulat był prosty: zacniemy znowu jeść, gdy przyjedzie prokurator i ukarze tego klawisza - damskiego boksera.

Pierwszy dzień minął jako tako, drugi fatalnie, ale trzeciego dnia było już lepiej. Zaprowadzili nas do lekarza, który nam szczerze odradzał całe przedsięwzięcie. Przestałyśmy go za to lubić. Stwierdziłyśmy, że jest „wojskową pluskwą” i już z nim więcej nie będziemy rozmawiać.

Piątego dnia głódówki dowiedziałyśmy się, że do Fordonu przyjadą sędzia penitencjarny i prokurator. Wyglądało na to, że dopięłyśmy swego. Zmiękli. Wszystko załatwione. Pozostał tylko jeszcze jeden problem - pierwszy posiłek po głódówce...

Do obiadu zostały trzy godziny. To były najdłuższe trzy godziny w moim życiu. Byłyśmy po prostu koszmarnie głodne!

- Słuchaj - powiedziała do Iwonki - gdy przyniosą obiad, to zachowujemy się spokojnie i z godnością. Siedzimy i patrzymy zdziwione na klawiszy: co, już? A potem pomalutku wstajemy.

Taki był plan. Początek wyszedł nam nawet nieźle, ale gdy tylko zamknęły się drzwi, rzuciłyśmy się na obiad jak dzikie! Efekt dla moich koleżanek był nieciekawym. Iwonka i Wiesia, jak przystało, zaczęły od zupy, a ja od drugiego. I tylko ja jedna nie wymiotowałam. Tak organizmy dziewczyn zareagowały na pierwszy posiłek po głódówce.

Mimo to uznałyśmy, że ta głódówka to fajna sprawa. Doszłyśmy do wniosku, że wyszłyśmy na niej całkiem nieźle i że musimy rozpocząć kolejną. Przyznam zresztą szczerze, że nie przyświecały nam tylko pobudki ideowe. Chodziło również o nasze... figury.

Otóż na wolności byłyśmy w stałym ruchu. Cały czas gdzieś ganiałyśmy, biegałyśmy, coś załatwiałyśmy. Praca, działalność opozycyjna, ponadto zajmowanie się rodzinami. Tak jak

mówiłam wcześniej - na jedzenie często nie starczało czasu. W efekcie byliśmy chude jak szczapy. A w więzieniu prowadziłyśmy zupełnie inny - siedzący - tryb życia. Efekt nie był trudny do przewidzenia. Zaczęłyśmy tyć.

Nie dość, że karmiono nas regularnie z więziennej kuchni, to jeszcze zaczęła do nas trafiać pomoc z różnych organizacji charytatywnych. Do tego paczki od rodzin. Gdy już mowa o pomocy z zewnątrz, warto wspomnieć, że w paczkach z Zachodu dostawałyśmy też ciuchy.

Uznałyśmy, że jest w tym coś nieprzyzwoitego. Ze nie możemy tego brać „za darmo”, że musimy się naszym darczyńcom odwdziaczyć. Jak? Oczywiście kontynuując walkę z komuną.

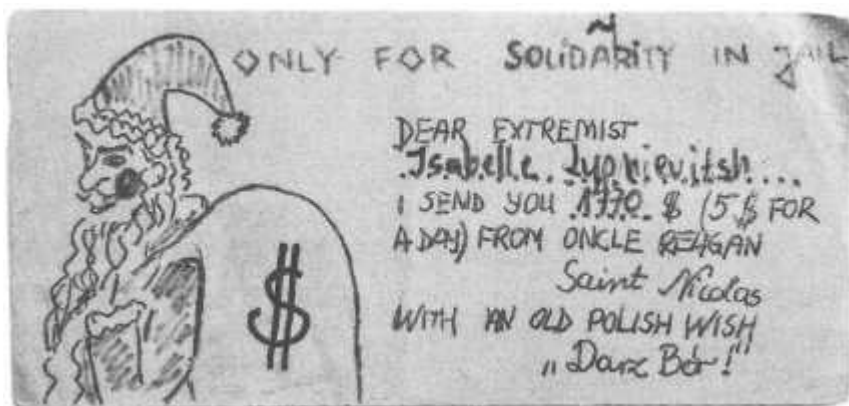
Zadecydowałyśmy, że będziemy na każdym kroku zatruwać życie władzom więziennym.

Cel kolejnej głodówki był szczytny. Postanowiłyśmy regularnie głodować w sprawie wprowadzenia w naszym więzieniu statusu więźnia politycznego.

Mężczyźni głodowali zwykle trzynastego dnia każdego miesiąca, w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. My postanowiłyśmy głodować dwa dni w miesiącu, każdego dwudziestego i dwudziestego pierwszego.

No i się zaczęło. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że byliśmy naprawdę wredne. Za pośrednictwem rodzin i Ewy Kubasiewicz informowałyśmy Radio Wolna Europa o tym, co robimy. W efekcie w eterze leciał wieloodcinkowy serial pod tytułem: „Co słyhać w Fordonie”. Doszło do tego, że kierownictwo więzienia miało dość i bało się już nawet oddychać. Cokolwiek zrobiło - zaraz wiedziała o tym cała Polska.

Przykład? Raz jednej dziewczynie skonfiskowano czekoladę, którą dostała na widzeniu. Naczelniczka zapowiedziała jej, że będzie jej... wydzielać tę czekoladę po kawałku. Wtedy ta dziewczyna powiedziała jej bez ogródek, co może sobie zrobić z tą czekoladą. Niby błaża sprawa, ale po dwóch dniach cała historia została przedstawiona w Wolnej Europie.



*Historie więzionych działaczy Solidarności wzruszały ludzi na całym świecie. Wielu przekazywało realne, materialne wsparcie, czasem, w dość zabawnej formie.*

Raban podnosiłyśmy dosłownie o wszystko. O zatargi z lekarzem też. Nie wspominałam wcześniej, że w ramach walki z nudą i dla poprawy sylwetek uprawiałyśmy w celi jogę i gimnastykę. Podczas ćwiczeń Wiesia uderzyła stopą o żelazną nogę od łóżka i złamała palec. W ambulatorium nie potraktowano tego poważnie, więc wysmażyłyśmy raport o katastrofalnym stanie służby zdrowia w więzieniu.

W końcu władze więzienne przeszły do kontraktaku. Nasza grupa została rozdzielona. Zostałyśmy w celi w trójkę. Ja, Wiesia i Ania

Stawicka - młoda dziewczyna, jeszcze uczennica. Pozostałe koleżanki zostały wysłane do Krzywańca w województwie lubuskim.

Bardzo nam było szkoda, stanowiłyśmy przecież taką zgraną paczkę. Zaczęłyśmy kombinować, jak by znowu się połączyć. Nic nam jednak nie przychodziło do głowy. Wtedy Wiesia wymyśliła coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się całkowitym szaleństwem.

Otóż poszła do naczelniczki i oświadczyła jej, że my też chcemy jechać do Krzywańca. Trzeba było widzieć ten błysk w

oku naczelniczki! Te najgorsze więdźmy, które na każdym kroku robiły jej jakieś numery, same chcą się wynieść? Cudownie! Proszę bardzo! Trudno w to uwierzyć, ale uzyskałyśmy zgodę.

Wspomniana uczennica, Ania, chciała wszystkim udowodnić, że nigdy w życiu nie podda się komunie, a na resocjalizację jest z gruntu odporna. Rezultat - lawina raportów: za palenie „kominka” w celi, za głośnie śpiewanie w łaźni - miała bardzo silny głos i naprawdę ładnie śpiewała, ale wywrotowy repertuar nie przypadł klawiszom do gustu - i inne pomniejsze przewiny, jak chociażby notoryczny bałagan w celi. To już było „przestępstwo” zbiorowe.

Nie byłybyśmy sobą, gdybyśmy na odchodnym czegoś nie zbroiły. Otóż Ania strasznie chciała spróbować więziennego czaju. Czyli niezwykle silnego naparu z wielu torebek herbaty, który działa odurzająco. Zrobiłyśmy jej coś takiego, ale Bogiem a prawdą, ten czaj był bardzo słabiutki.

Ania była rozczarowana i napiła się „pastówki”. Co to takiego? Pasta do zębów zmieszana z wodą. Potworne paskudztwo! W efekcie w więzieniu poszła fama, że w naszej celi narkotyzują „małolatę”. Co było oczywiście nieprawdą.

Dwa dni później do Fordonu przyjechał sędzia penitencjarny i całe więzienie zostało postawione na baczność. Przyszli po Anię, aby zabrać ją na przesłuchanie. Wróciła po godzinie, cała zapłakana i czerwona. Tak szlochała, że długo nie mogła wydusić z siebie słowa. W końcu trochę się uspokoiła i powiedziała:

- Wyrzucają mnie z więzienia za złe sprawowanie! Każą jechać do domu! A ja tak bardzo chcę zostać z wami.

Długo musiałyśmy ją przekonywać, że wyrzucenie z więzienia to nic złego. Obiecałyśmy jej, że jak wyjdziemy, to ją odwiedzimy. Po tej obietnicy Ania przestała płakać.

Dowiedziałyśmy się później, że sędzia uznał, że dziecko jest demoralizowane w więzieniu i trzeba je zwrócić rodzicom. Tym sposobem Ania wylądowała na wolności, a ja z Wiesią wyruszyłyśmy w podróż - oczywiście na koszt państwa - do Krzywańca. Rozpoczął się nowy etap mojego uwięzienia.



## Kraty w schronisku

Krzywaniec to było chyba jedno z najdziwniejszych więzień świata. Składało się ono z domków bliźniaków, w których urządzono cele-pokoje. To już było więzienie półotwarte. Na poddaszu niski strop z belkowaniem, pod nim stół przez cały pokój i zamiast krzeseł - ławy. Była nawet łazienka. Całość leżała w sosnowym lasku. Trochę przypominało to górskie schronisko.

- Dziewczyny, no wreszcie! - przywitały nas tam koleżanki. Znowu byłyśmy razem.

W Krzywańcu był oddział dla matek z dziećmi do lat trzech. To była górna granica. Po skończeniu trzech lat dzieci urodzone w zakładzie karnym były odsyłane do domów dziecka albo do dalszych członków rodziny, jeżeli ci zgadzali się je przyjąć. Zdarzało się też, że jak jakieś dziecko było wyjątkowo ładne lub mądre, to adoptowali je klawisze.

Choć na pierwszy rzut oka więzienie nie wyglądało tak źle - szybko pojawił się problem. Było w nim głodno. Mimo że przy więzieniu działała ogromna ferma świń. Miała jednak wyżywić nie tylko zakład karny, ale również pobliskie miasteczko. Połowa jego mieszkańców pracowała na kolei, a druga połowa w więzieniu.

To był rok 1982. A więc najgorszy okres, jeżeli chodzi o zaopatrzenie. W efekcie szerzyła się prawdziwa plaga złodziejstwa. Na kolei ludzie mogli ukraść tylko węgiel, więc wszystko skupiło się na więzieniu. Stało się ono zapleczem darmowych produktów dla całej miejscowości. Wynoszono z niego dosłownie wszystko: pościel, koce, materace, garnki, żarówki, papier toaletowy. Więzienie było regularnie ogoławane.

Przed wszystkim znikwały jednak produkty żywnościowe. W efekcie jakość posiłków była zatrważająca. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czym oni nas tam karmili. Podejrzewam, że odpadkami, które zostały im po świniach. W końcu zrobiliśmy

taki raban, że przed świętami Bożego Narodzenia pod więzienie podjechała ciężarówka z jedzeniem, wysłana przez biskupa wrocławskiego. Zanim ją wpuścili na teren więzienia, odbyły się długie pertraktacje. Kierownictwo zakładu w Krzywańcu zażądało między innymi, żebyśmy zgodziły się na podział darów z więźniarkami kryminalnymi. Zgodziłyśmy się bez wahania.

W ciężarówce były między innymi ciastka, ciasta i pierniczki pieczone przez zakonnice. Pyszne! Do dziś pamiętam ich smak. Ledwo zdążyłyśmy tę całą ciężarówkę rozładować, a przyjechała następna. Tym razem z diecezji warszawskiej. Wszystko zaczęło się od początku.

Kończyłyśmy rozładunek drugiej, a na horyzoncie pojawiła się... trzecia ciężarówka! Nie pamiętam już skąd, chyba z Krakowa. Nagle nasza sytuacja zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Po tej całej „operacji” pod łózkami mieliśmy poupychane góry żywności. To była podwójna frajda. Raz, że podjadłyśmy. Dwa, że miało się świadomość, że zewnętrzny świat o nas nie zapomniał. Że ktoś o nas myśli. Ktoś się o nas troszczy. Na tym właśnie polegała solidarność.

Były jeszcze inne miłe chwile. Momenty otuchy. Wtedy, kiedy przyjeżdżała do mnie na widzenia mama.

Święta Bożego Narodzenia w więzieniu? No cóż, starałyśmy się robić dobrą minę do złej gry. Oczywiście nie było łatwo. Bez bliskich, bez dzieci... Dziewczyny stwierdziły jednak, że święta to święta. Muszą być porządne. Niezależnie od okoliczności. Na stół musiały więc trafić wszystkie tradycyjne potrawy. Zaczęło się wielkie kombinowanie. Jedna z więźniarek pracowała w kuchni i przyniosła nam maszynkę do gotowania, inna wytrzasnęła skądś garnek.

Zrobiłyśmy kluski, które musiałyśmy gotować na raty, bo garnek był mały. Te ugotowane ustawiliśmy na kaloryferach, aby nie wystygły. Pech chciał, że jednocześnie zabrałyśmy się za sprzątanie. Czerwoną pastą zaciągnęłyśmy podłogę. W pewnym momencie Iwonka zagapiła się i zrzuciła wszystkie te kluski na podłogę. Doszło do awantury, musiałyśmy obmyć je pod zimną wodą. Efekt? Nie dość, że nie były ciepłe, to miały jeszcze

wyraźny posmak pasty do podłogi i lekko różowawy kolor. Nie wybrzydzałyśmy jednak.

Moją opowieść snuję trochę z przymrużeniem oka, na wesoło. Nie chciałabym jednak, żeby czytelnicy odnieśli wrażenie, że komunistyczne więzienie to była jakaś sielanka. Wielu ludziom złamało życie, stało się przyczyną wielu tragedii.

Na przykład siedziała z nami Ula z Łodzi. Jej mąż także przebywał w zakładzie karnym. W efekcie dwójka ich dzieci trafiła do domu dziecka. Jak Ulę wypuścili — dzieci zostały jej oddane. Takiego szczęścia nie miała Nina z Gdańska. Jej dziecko zostało oddane do adopcji. Do dziś nie ma z nim kontaktu...

Inny przypadek: sympatyczna starsza pani - Lonia z Kołobrzegu. Mieszkała razem z córką i zięciem, którzy potajemnie drukowali bibułę. Żeby było zabawniej, mąż pani Loni pracował w milicji. Pewnego dnia do ich mieszkania wpadła SB. Zrobili rewizję, znaleźli drukarnię. Pani Lonia oświadczyła wówczas, że to wszystko jej. Ze to ona drukowała bibułę.

Uratowała w ten sposób córkę, która miała dwójkę dzieci, ale sama poszła siedzieć. Pamiętam ją doskonale: pogodna, cichutka, spokojna kobieta. Siedziała na stołeczku i całymi dniami robiła na drutach. Strasznie była schorowana. W czasie odsiadki wyrok zmarł jej syn. Pani Lonia dostała przepustkę na pogrzeb. Wszyscy myśleli, że komuna już jej daruje. Że nie będzie musiała wracać za kraty. Niestety, wróciła.

## **Znowu razem**

Po świętach zostałam wezwana do Gdańska na ponowne rozpatrzenie mojej sprawy. Znowu trafiłam na stare śmieci, czyli do aresztu na Kurkową. Przesiedziałam tam trzy tygodnie, a potem... wypuścili mnie na wolność.

Jak się czułam? O czym wtedy myślałam? O dzieciach! Jak się z nimi przywitać? Jak wrócić?



*Dzieci nie wiedziały, co działo się z ich mamą. Po jej powrocie z więzienia nie odstępowały Izabelli na krok.*

Postanowiłam, że wejdę do mieszkania normalnie. Jakbym wyszła po bułki i nie było mnie pół godziny. Tak zrobiłam. Gdy chłopcy mnie zobaczyli, rzucili się na mnie. Jeden złapał mnie za jedną nogę, drugi za drugą. A ja stałam oniemiała. Ależ oni wielcy! Jak urosli... Nie mogłam uwierzyć, że to moje dzieci. Były takie duże...

Wtedy rozumiałam, co odebrało mi więzienie.

Przez pierwsze kilka tygodni byliśmy nierozłączni, nierozzerwalni. Chłopcy nie odstępowali mnie nawet na krok. Staraliśmy się nadrobić stracony czas.

Kilka dni po wyjściu na wolność poszłam do kościoła św. Brygidy. Dowiedziałam się tam, że dla zwolnionych z więzienia komisja charytatywna organizuje specjalne rodzinne wyjazdy w

góry. Pojechaliśmy do Zakopanego. Tam wszystko zaczęło wracać do normy. Dzieci oswoiły się z nową sytuacją. Uwierzyły, że mama drugi raz już nie zniknie. Mogłam już chodzić bez dwóch odważników na nogach.

Gdy wróciłam do Gdańska, od razu przekazano mi ostrzeżenie. SB znowu mnie szuka. Okazało się, że Witek - chłopak, z którym zostałam aresztowana - zniknął. Bezpieka wpadła na pomysł, że wyciśnie ze mnie informację, gdzie się ukrywa. Koledzy z Solidarności chcieli mnie ukryć, ale ja stanowczo odmówiłam. Nie mogłam przecież znowu rozstać się z dziećmi.

Wróciłam więc do domu. Całe szczęście, że jednak mnie nie aresztowali. Jeździli tylko za mną przez jakiś czas brązowym dużym fiatem, ale szybko im się to znudziło.

W pracy powitano mnie entuzjastycznie. Dzięki więzieniu miałam kontakty w całej Polsce, świeże dostawy bibuły. Z powrotem rzuciłam się w wir działalności opozycyjnej. Kolportaż, artykuły do prasy podziemnej, pomoc dla uwięzionych. Związałam się wtedy również z Solidarnością Walczącą, byłam łączniczką między Ewą Kubasiewicz a Andrzejem Kołodziejem. Znowu walczyłam ze znieprawdą komuną.

Tak jak mówiłam, na krótko przed aresztowaniem złożyłam pozew rozwodowy. Z mężem już się nie zesłiśmy. Poznałam nowego mężczyznę. W 1987 roku urodził się mój trzeci, najmłodszy syn. No cóż, musiałam wtedy zrobić sobie chwilową przerwę. Dwa lata później komunizm upadł. Nie będę ukrywać, że forma, w jakiej to się stało - czyli porozumienie Okrągłego Stołu - wcale mi nie odpowiadała. Nie tak to sobie wyobrażałam.

Potem nastąpiła III Rzeczpospolita. Trudno uwierzyć, że to już ćwierć wieku. Mieszkam w Gdańsku, moi synowie są już dorosłymi mężczyznami. Jestem na emeryturze. Drugi raz już nie wyszłam za mąż.

Czasami ludzie pytają mnie, po co mi to wszystko było. Dlaczego, mając małe dzieci, zaangażowałam się w działalność Solidarności? Dlaczego tak ryzykowałam? Bardzo

dziwią mnie te pytania. Przecież robiłam to właśnie dla nich. Dla moich chłopców. Nie chciałam, żeby wyrastali w takiej samej beznadziei, w takiej samej szarości jak ja. Chciałam dla nich lepszej przyszłości.

*Izabella Lipniewicz*

**JADWIGA**  
**ŚCIGANA PRZEZ BEZPIEKĘ**



**G**dy miałam wieźć pociągiem coś trefnego, to wypatrywałam na peronie oficera. Zaczepiałam go i jeszcze przed przyjazdem pociągu stawałam się jego najlepszą przyjaciółką. Im wyższy rangą, tym lepiej. Razem wsiadaliśmy do pociągu, siadaliśmy obok siebie w jednym przedziale. Rozmawiałam z nim całą drogę. Kokietowałam go i komplementowałam.

W efekcie - gdy w pociągach były kontrole - sprawdzali wszystkich pasażerów... oprócz mnie. Przecież nikt nie ośmieliłby się wylegitymować przyjaciółki oficera Ludowego Wojska Polskiego!

Niestety, raz trafiłam na inteligentnego oficera, który zorientował się w moim fortelu. To było w pociągu relacji Katowice-Wrocław. W jednym z przedziałów zauważyłam mężczyznę w mundurze lotnika. Świetnie! Od razu się przysiadłam.

Miałam ze sobą wielką torbę z zakazanymi książkami i bibułą. Była tak ciężka, że ledwo byłam w stanie ją taszczyć. Pot lał się ze mnie strumieniami. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, udawałam jednak, że jest bardzo lekka. Z biodra, z całej siły wrzuciłam torbę na półkę niczym piórko. Usiadłam na wolnym miejscu i przez przeszło dwie godziny szczebiałam jak najęta.

Dojeżdżaliśmy do Wrocławia i szykowaliśmy się do wyjścia. Oficer chciał zachować się jak dżentelmen i zdjąć moją torbę. Nie zdążyłam go ubiec. Ponieważ widział, z jaką lekkością wkładałam ją na półkę, myślał, że w torbie są same ubrania, i sięgnął po nią jedną ręką.

Efekt był taki, że ciężka torba zleciała mu na głowę. A lekko oszołomiony mężczyzna z wrażenia aż przysiadł na swoim miejscu. Cały przedział zaczął się śmiać.

- Co pani tam wiezie? Granaty czy co?

- Pewnie, że granaty, a cóż by innego!?! - dalej starałam się grać słodką idiotkę. W rzeczywistości jednak zrobiło mi się już gorąco.



Oczywiście ten lotnik zorientował się, kim jestem i co wiozę. Wysiedliśmy razem, a on nie wypuszczał z rąk mojej torby z bibułą. Trudno opisać, co wtedy czułam. Byłam pewna, że to koniec. Ze wpadłam. Że odprowadzi mnie prosto na bezpieczną. A byłam przecież ścigana listem gończym, ukrywałam się przed władzą. Niechybnie skończyłoby się to kilkuletnią odsiadką.

On tymczasem odprowadził mnie na... postój taksówek.

- Niech pani wybierze taksówkę - powiedział. - Ale nie pierwszą i nie ostatnią. Niech pani nie podaje właściwego adresu, tylko wysiądzie dwie ulice dalej. Niech Bóg panią prowadzi ku chwale ojczyzny!

Zasalutował i odszedł.

Ukrywałam się osiem lat, siedem miesięcy i osiemnaście dni. Dopiero po upływie tego czasu władze anulowały rozesłany za mną list gończy. Dopiero wtedy mogłam się ujawnić i wrócić do normalnego życia. Kiedy to nastąpiło? 1 sierpnia 1990 roku.

Te długie dziewięć lat to był dla mnie trudny czas. Nie miałam kontaktu z rodziną, musiałam przerwać karierę naukową. Zapadłam się pod ziemię. Walce z komuną poświęciłam moje najlepsze lata.

Kiedy wstąpiłam do Solidarności, miałam dwadzieścia sześć lat i całe życie przed sobą. Byłam pełna wiary w sukces. W zwycięstwo. Przyjaciołom powtarzałam, że góra za dziesięć lat komuna padnie. A Związek Sowiecki się rozsypie. Pukali się wówczas w czoło. Uważali mnie za fantastkę. Mówił tak nawet mój mąż.

Nie przejmowałam się tym i - jak się okazało - słusznie. Wyszło bowiem na moje. To ja miałam rację. Coś, co wydawało się fantastycznym rojeniem, naiwnym marzeniem, stało się rzeczywistością. Zwyciężyliśmy.

## **Plaster na ustach**

Moi rodzice poznali się przed wojną na raucie w Warszawie. A raczej powinnam powiedzieć, że prawie się poznali. Otóż mama przyjechała wtedy ze Stanisławowa w odwiedziny do

swojej kuzynki. I razem wybrały się na przyjęcie.

Tam, wśród gości, był mój ojciec. Od razu zwrócił na nią uwagę, ale nie mógł tak po prostu podejść do dziewczyny z dobrego towarzystwa. W tamtych czasach obowiązywała etykieta, której bardzo surowo przestrzegano.

Tata musiał więc znaleźć na tym raucie jakiegoś wspólnego znajomego, który mógłby mu przedstawić mamę. Próbował to zrobić, dyskretnie rozpytując, kim jest owa nieznajoma. Niestety, zanim udało mu się kogoś takiego znaleźć, mama z przyjęcia wyszła. Ojciec stracił ją z oczu na... kilkanaście lat.

Mama wyszła za mąż. A wkrótce wybuchła wojna. Świat, w którym żyła, rozpadł się jak domek z kart. Jej pierwszy mąż - Edward Szaniawski - był kapitanem, oficerem Dwójki (kontrwywiadu wojskowego), dowódcą posterunku w Brodach koło Lwowa.

W pierwszych dniach wojny w Brodach po bombardowaniu zapalił się dworzec kolejowy, na którym stał pociąg z cysternami wypełnionymi po brzegi paliwem. Szaniawski dał rozkaz maszyniście wyprowadzenia pociągu poza miasto. Sam w ostatniej chwili, jadąc palącym się pociągiem, odczepił płonące już wagony od cystern. W mieście nie doszło do eksplozji i uratował paliwo dla armii.

Kiedy weszli Sowietci, od razu go aresztowali. Został wywieziony do obozu w Ostaszkowie. Spotkał go taki sam los, jak pozostałych polskich oficerów i policjantów uprowadzonych przez Armię Czerwoną. Został zgładzony strzałem w tył głowy w Twerze.

Przed aresztowaniem Szaniawski wydał wszystkim swoim żołnierzom rozkaz, żeby nie przyznawali się przed bolszewikami, że służyli w kontrwywiadzie. Mieli zniszczyć wszystkie dokumenty. Również żony oficerów były odpowiednio przeszkolone. Mama wiedziała, co robić, musiała milczeć jak grób o tym, że była żoną oficera Dwójki.

W czasie wojny nie było jej łatwo, za pierwszej okupacji sowieckiej, w latach 1939-1941, musiała się ukrywać. Później wyrobiła sobie metrykę na panińskie nazwisko - Dreiseitel.



*Największą miłością matki był jej pierwszy mąż Edward Szaniawski - oficer kontrwywiadu wojskowego. Nigdy nie pogodziła się z jego śmiercią.*

To ją chroniło, bo przecież był to okres przyjaźni sowiecko-niemieckiej, a jej ojciec był w połowie Austriakiem, a w połowie Niemcem.

Matka zaś miała w żyłach krew polską, ukraińską i czeską.

Wszyscy w rodzinie czuli się jednak Polakami. Ojciec mamy, Jan Dreiseitel, walczył w wojnie z bolszewikami. Mama współpracowała z dowódcą Okręgu Stanisławów Armii Krajowej kapitanem Władysławem Hermanem, pseudonim Żuraw. Pomagała ratować Żydów, będąc urzędniczką Arbeitsamtu, wysyłała ich z fałszywymi ukraińskimi dokumentami, jako ochotników, na roboty do Niemiec.

Mama nie chciała podpisać volkslisty i musiała zmienić pracę. Jako urzędniczka pocztowa niszczyła donosy pisane do Gestapo. Podczas rewizji w pracy, kiedy oficer Gestapo powiedział do niej „Du polnisches Schwein”, dała mu po pysku, tak że przeleciał przez biurko. Po tym incydencie musiała na kilka tygodni zniknąć ze Stanisławowa.



*Podczas wojny matka Jadwigi pomagała Polakom, niszcząc donosy pisane do Gestapo. Na zdjęciu: kenkarta Jadwigi Szaniawskiej.*

Przewoziła transporty broni i amunicji między Lwowem a Krakowem. Posługiwała się wtedy podrobionymi dokumentami generałowej austriackiej. Mówiła świetnie po niemiecku.

Nie znam dzielniejszej kobiety niż ona. To zresztą w naszej rodzinie było tradycją. W 1920 roku babcia zostawiła moją mamę pod opieką teściów i poszła razem z mężem bić bolszewików. Babcia była chyba nawet bardziej dziarska od dziadka. To kolejna reguła w naszej rodzinie.

Drugi raz moi rodzice spotkali się już po wojnie, pod koniec 1951 roku, na konferencji nauczycieli wychowania fizycznego. Ojciec, przedwojenny oficer, nie chciał służyć w ludowym wojsku. Uczył WF-u.

Mama cały czas czekała na swojego pierwszego męża, nie wierzyła, że zginął. Uważała, że tak zdolny, bystry i inteligentny oficer, człowiek władający biegle sześcioma językami, po prostu nie mógł dać się zabić. Nie mogła jednak czekać wiecznie, chciała mieć dziecko. Za mojego ojca wyszła w 1952 roku. Nie zapomniała jednak o Edwardzie Szaniawskim. Pamiętam, że mama - kiedy już byłam prawie dorosła - uważnie przyglądała się każdemu kwitowi z poczty. Ze zdenerwowaniem otwierała każdy list, wpatrywała się w charakter pisma. Nie traciła nadziei aż do śmierci.

Byłam straszną rozrabiarą. Zostało mi to zresztą do dzisiaj. W przedszkolu dokazywałam okrutnie. A były to czasy, kiedy stosowano dość radykalne sposoby dyscyplinowania dzieci. Urwisom, takim jak ja, przedszkolanka zaklejała usta taśmą klejącą. Raz omal nie skończyło się to tragicznie.

Otóż moja koleżanka Ala miała w nosie polipy. Nie miałam pojęcia, co to są polipy, ale domyślałam się, że to coś przeszkadza jej w oddychaniu podobnie jak katar. Przedszkolanka o tym nie wiedziała i - tak jak innym - zakleiała jej usta. Ala zaczęła się robić czerwona, a potem sina. W ostatniej chwili zerwałam jej ten plaster.

Zamiast nagrody omal nie dostałam kary. Przedszkolanka widząc, że zerwałam plaster, złapała mnie za rękę i chciała w nią uderzyć.



*Matka zawsze była dla Jadwigi najbliższą osobą. Nawet kiedy się ukrywała, starała się aranżować z nią spotkania. Na zdjęciu: mała Jadwiga z mamą.*

Całe szczęście, że wyrwałam dłoń i ta kobieta uderzyła się we własną rękę. To, co zrobiłam, doceniła jednak kierowniczka przedszkola i mama Ali. Przyszła do mnie do domu i podziękowała za uratowanie córki. Dostałam od niej słodycze. Jej mąż był marynarzem. A marynarze w PRL-u mieli dostęp do towarów z Zachodu.

Buntownikiem byłam przez całe życie. Stawiałam się równo każdej zwierzchniej władzy. Najpierw przedszkolankom, potem nauczycielom, a w końcu reżimowi komunistycznemu. Poza tym - w przeciwieństwie do innych dziewczynek - lubiłam się bić. Gdy widziałam, że dwóch atakuje słabszego, to zawsze robiłam porządek. Kiedy ojciec chodził na wywiadówki, bezustannie słyszał skargi: „W tym tygodniu pańska córka pobiła pięciu chłopaków”.

To była chyba taka zaprawa, przygotowanie do tego, co robiłam i przez co musiałam przejść w latach osiemdziesiątych.

### **Bolszewika goń!**

Poszłam na Wydział Automatyki i Informatyki na Politechnice Śląskiej. Było nas na roku piętnaście dziewczyn i dwustu facetów. To były ciężkie studia. Mnóstwo zajęć, laboratoriów, wkuwania. Jakoś jednak znajdowałam czas i na inne sprawy: wędrowki po górach, wspinaczkę, jazdę na łyżwach, na konie i narty. Pływanie kajakiem i pod żaglami.

Pod koniec studiów wyszłam za mąż za kolegę z roku - Jarka. To był spokojny, grzeczny chłopak. Chyba wybrałam go sobie dla równowagi. Przeciwności się podobno przyciągają. Choć rodzice mojego męża byli wielkimi komunistami, o czym dowiedziałam się po ślubie, dziadków miał porządnych i - całe szczęście - to oni go wychowali.

Dziadek męża, gdy miał piętnaście lat, strzelał do bolszewików. Uwielbiał mnie, bo byłam dziewczyną - jak się to wówczas mówiło - i do wybitki, i wypitki. Śpiewaliśmy sobie razem: „Lance do boju, szable w dłoń / bolszewika goń, goń,

goń”, i inne przedwojenne żurawiejki, czyli ułańskie piosenki. Oczywiście ku zgorszeniu mojej teściowej komunistki. Dziadek był zachwycony.

W 1980 roku zapisałam się na studia podyplomowe. Zaczęłam przygotowywać się do pisania doktoratu. Od dwóch lat pracowałam w Instytucie Systemów Sterowania w Katowicach. Robiłam projekty komputerowe, na studiach byłam bowiem dobra z teorii automatów. Moja kariera potoczyła się szybko. Po czterech miesiącach stażu awansowałam na stanowisko zastępcy kierownika pracowni. Mimo że praca była szalenie ciężka - często śleczyłam przy biurku całe noce - uwielbiałam ją. To był mój żywioł.



*Kiedy Jadwiga postanowiła uciekać, mąż zdecydował się pozostać w domu i prowadzić normalne życie. Ich małżeństwo nie przetrwało tej próby.*

Doskonale znałam język niemiecki i latem dorabiałam sobie pilotowaniem zagranicznych wycieczek. Pod koniec sierpnia 1980 roku oprowadzałam po Krakowie grupę studentów z NRD. Ich przewodnik wpadł do naszego biura, czyli do Almaturu.



- Moglibyście sobie kupić lepszy odbiornik - powiedział, zakrywając rękami uszy, bo w biurze na cały regulator trzeszczało radio.

- Czyś ty zwariował? To przecież najlepsze radio, najnowocześniejsze. Importowane.

- To dlaczego tak trzeszczy? Warszawa ma tutaj taki zły odbiór?

- Kochany, jaka Warszawa!? My tego nie słuchamy. To Monachium, Radio Wolna Europa.

Enerdowiec zbladł, a potem z wrażenia aż siadł.

- Wy tak normalnie, w biurze, tego słuchacie? U was w Polsce jest prawdziwa kontrrewolucja!

Dla tego przybysza z NRD to było Szokiem. U nich było to nie do pomyslenia.

31 sierpnia, w dniu podpisania porozumień sierpniowych, pojechałam z tą enerdowską wycieczką do Wieliczki. Jechaliśmy autokarem, mówiłam, co mijamy, gdy Niemcy nagle do mnie krzyknęli:

- Przestań gadać! Lepiej tłumacz, co nadają w radiu, które włączył kierowca.

On też oczywiście słuchał Radia Wolna Europa. Zamiast więc zanudzać tych Niemców informacjami o zabytkach, tłumaczyłam symultanicznie całą relację. I rzeczywiście to ich o wiele bardziej interesowało.

Na postoju podeszło do mnie młode niemieckie małżeństwo.

- Modlimy się za was - powiedzieli. - Za to, żeby ta Solidarność wam się udała.

- Dobrze będzie! - zapewniłam ich. - My obalimy komunę, mur berliński szlag trafi i połączycie się z RFN-em.

Gdy tego słuchali, aż oczy im się zaszklily.

Na początku września wróciłam do pracy. Od razu zaczął mnie jeden z kolegów:

- Słuchaj, Jadźka. Wiesz, że w całym kraju powstają wolne związki zawodowe?

- Wiem.

- No to co - robimy własny?!

- Możemy robić.

- No to rób.
- Dlaczego ja? Wy jesteście chłopy, to wy róbcie.
- Nie, Jadźka. Tylko ty się nadajesz.

No to zrobiłam ten związek. 3 września obdzwoniliśmy zakłady instytutu rozsiane po całym Śląsku i umówiliśmy się na zebranie wyborcze komitetu założycielskiego na następny dzień. W ten sposób 4 września w naszym instytucie powstała Solidarność. Zaczęliśmy „knuć” przeciw władzy.

Dyrektor instytutu, gdy się o tym dowiedział, dostał szału. Zaczął mnie od tego pomysłu odwozić, przekonywał, że Solidarność to samo zło. Ze to wymysł KOR-owców, zbuntowanych członków partii i... klerykałów. Popatrzyłam na niego zdziwiona i powiedziałam, że się pogubiłam. Kto w końcu za tym stoi? Bo jak wszyscy razem, to chyba mają rację? Facet po czterech dniach dyskusji ze mną zrobił się siwiuteńki. A wcześniej był lekko szpakowaty.

Byłam w komitecie założycielskim w instytucie. Zostałam członkiem Zarządu MKZ-u Huty Katowice, a później Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego Solidarności. Na zebraniach tłumaczyłam, dlaczego należy powołać związki zawodowe. Dyrektor nie dawał za wygraną. Mówił, że nie mamy prawa pouczać robotników, bo oni w trudzie i znoju pracują dla dobra narodu. A nam, inteligentom, w głowach się przewraca.

Odpowiadałam na to, że ten robotnik w trudzie i znoju pracował, żebyśmy mogli zdobyć wykształcenie. I dlatego musimy swoją wiedzę teraz wykorzystywać dla dobra robotników. Służyć im radą i pomocą. Walczyć o poprawę ich bytu.

Dyrektor wkrótce się uspokoił. Chyba uznał moje argumenty. Przestał mnie zamęczać rozmowami, zdobył się nawet na przeprosiny. W stanie wojennym uhonorował minutą ciszy ofiary masakry w kopalni „Wujek”. A kiedy musiałam się ukrywać, podpisał lewe przedłużenie mojego bezpłatnego urlopu.

To był wspaniały czas na działanie. Z ludzi wychodziło wszystko, co dobre. Ale nie ze wszystkich. W Solidarności dochodziło do różnych wewnętrznych rozgrywek. Ze struktur

eliminowano ludzi bojowych, pewnych, a podsuwano kanalie. Nigdy nie zapomnę spotkania naszego MKZ-u z Lechem Wałęsą na Śląsku. To było w czerwcu 1981 roku. Spotkanie było zamknięte, odbyło się w hotelu „Silesia”.

Wałęsa zobaczył, że gadam dość rozsądnie, i poprosił, żebym usiadła koło niego i powiedziała mu w kilku słowach o ludziach, którzy przemawiali. Zrozumiałam jego prośbę chyba zbyt dosłownie. Powiedziałam mu, kto jest w porządku, a kto jest komunistą lub szpiclem SB. Wałęsa całkowicie nie zgadzał się z moim osądem - agentów bronił. Nie wyniosłam z tego spotkania dobrego wrażenia. Wałęsa też nie. Powiedziałam mu bowiem, że zajmę się również nim.

Bezpieka robiła nam różne świństwa. Na przykład rozrzucali po mieście szkalujące mnie ulotki. Dowiadywałam się z nich, że jestem prostytutką, że śpię z całym zarządem, że ustawiają się do mnie kolejki... Mama mówiła mi, że chyba muszę być skuteczna, skoro bezpieka tak mnie nienawidzi. Tłumaczyła, że nie należy się tym przejmować. Znajomi księży gratulowali mamie córki, mówiąc, że codziennie wstają bladym świtem i sprzątają ulice z tych ulotek.

Byłam już tak zmęczona pracą, że postanowiłam na trzy dni wyjechać. Zapowiadał się ostry kryzys, strajk wywołany coraz liczniejszymi prowokacjami komunistów. Zadzwoniłam do męża do pracy i powiedziałam mu, że nazajutrz jedziemy w góry. Był piątek 11 grudnia 1981 roku. Mąż spakował plecak i powiadomił wszystkich, że wraca we wtorek. Mieliśmy wyruszyć z mieszkania mojej mamy w Sosnowcu - stamtąd było bliżej na dworzec w Katowicach.

Przed wyjazdem, w sobotę o dziesiątej rano, postanowiłam jeszcze zajrzeć do siedziby zarządu przy ulicy Stelmacha. Ledwo przekroczyłam próg, kiedy dopadł do mnie chłopak z kolportażu. Był cały roztrzęsiony, powiedział, że parę minut wcześniej był tu pułkownik Ludowego Wojska Polskiego.

Szukał Andrzeja Rozpłochowskiego i mnie. Poprosił, żeby mi przekazać wiadomość: „Wszyscy będziecie aresztowani. Nie byłbym

Polakiem, gdybym wam tego nie przekazał”. Zasalutował i

wyszedł. Tak, tam również byli porządni ludzie.

Ciarki przeszły mi od stóp do głów. Poważnie się przeraziłam. Nie zamierzałam jednak biernie czekać na to, aż założą mi kajdanki. Rzuciłam się do działania. Popędziłam do drugiej naszej siedziby, przy ulicy Szafranka, aby ostrzec kolegów. Zapytałam ich o mój przydział na szykowany na taką ewentualność wielki strajk. Okazało się, że dostałam kopalnię „Dymitrow” w Bytomiu.

- Powariowaliście? - krzyknęłam. - Przecież ja nikogo w Bytomiu nie znam! To nie mój rejon.

Protesty na nic się jednak nie zdały. Zamiast jechać w góry, pojechałam natychmiast do Bytomia. Na miejscu udałam się do szefa miejscowej Solidarności Edwarda Czernyszewicza. Powiedziałam mu, że musimy się zbierać i natychmiast iść na kopalnię. Ze trzeba organizować strajk i nocować na kopalni.

- Czyś ty z byka spadła? - odpowiedział. - Święta idą, kobieta ma mi tu zaraz okna myć, a ty mi o jakimś strajku opowiadasz?

Nalegałam, aby w takim razie przekazał mi chociaż kontakt do ludzi z komisji zakładowej. Zagroziłam, że bez tego nie wyjdę z jego gabinetu. Odpowiedział, że na kopalnię mnie nie zaprowadzi i przydzielił mi pracownika biura, żeby dopilnował, abym wsiadła do autobusu i wróciła do Sosnowca.

W efekcie nie miałam wyboru. Gdy dotarłam do mamy, była już ósma wieczorem. Mąż siedział zrezygnowany - wiedział już, że z wycieczki w góry nici. Ja zaś zaczęłam się zastanawiać, gdzie by tu się ukryć. Bo tego, że będą mnie szukać, byłam pewna.

Na razie postanowiłam więc pójść z mężem do naszego nowego mieszkania. Do tej pory nie wspominałam, że mieszkaliśmy w hotelu asystenckim w Gliwicach, Staraliśmy się o przydział mieszkania, które dostaliśmy latem 1981 roku. Nie zdążyliśmy go jednak urządzić. Nie było na to czasu. Byliśmy zbyt zajęci walką. Mąż był członkiem Komisji Solidarności na Wydziale Automatyki i Informatyki Politechniki Śląskiej.

Nie było tam nawet łóżka - tylko czarno-biały turystyczny

telewizor, dwie szafy i stół. Nic więcej. Nawet lodówki jeszcze nie mieliśmy. Mimo to poszliśmy właśnie tam i spędziliśmy w nowym mieszkaniu naszą pierwszą i ostatnią wspólną noc. Z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Nazajutrz wprowadzony został stan wojenny.

Spaliśmy na pojedynczym dmuchanym materacu. Byłam wtedy bardzo szczupła, ale mój mąż był dosyć tłuściutki. Było nam więc potwornie ciasno. Ledwo udało nam się zasnąć. W środku nocy obudziło nas stukanie do drzwi.

Mój mąż już się szykował, żeby wstać i zapalić światło, ale ja byłam szybsza. Chwyciłam za poduszkę i zakryłam mu głowę. A pod poduszką pokazałam palcem przyłożonym do ust, że ma siedzieć cicho. Podeszłam po cichu na bosaka do drzwi i z daleka zerknęłam przez wizjer. Nie myliłam się - to byli oni. Przyszli po mnie.

Stali przed drzwiami, ubrani w czapki uszatki, i rozglądali się po klatce schodowej. Podeszłam do okna i ostrożnie bez dotykania firanki wyjrzałam na zewnątrz. Na ulicy zaparkowane były dwa gaziki. Cóż więc miałam zrobić? O wyjściu na zewnątrz nie było mowy, a ja nie zamierzałam zarywać nocy. Położyłam się więc z powrotem.

Wcześniej tylko - na wypadek, gdyby jakoś weszli do mieszkania - podarłam ulotkę w języku rosyjskim, którą miałam przy sobie. To była odezwa do żołnierzy Armii Czerwonej, przygotowana na wypadek sowieckiej interwencji. Oczekałam chwilę i gdy esbecy poszli sobie spod drzwi, spuściłam papierki w ubikacji.

Dlaczego od razu odjechali, a nie próbowali wyważać drzwi? Otóż wszędzie, gdzie tej nocy mnie szukali - byli po mnie też w hotelu asystenckim, gdzie miałam meldunek, i u mamy - powiedziano im, że wyjechałam w góry. Nikt, oprócz mamy, nie wiedział, że z wycieczki nic nie wyszło, więc ludzie nawet nie musieli kłamać.

Ubecy do nowego mieszkania zapukali tylko *pro forma*. Wiedzieli przecież, że jeszcze tam nie mieszkamy. Cóż więc zrobili? Pojechali za mną w góry i tam mnie zaczęli szukać po schroniskach i różnych studenckich chatkach.

Po latach dowiedziałam się jeszcze, że zanim zapukali do mojego mieszkania, zaczęli na ulicy moją sąsiadkę, która również miała na imię Jadwiga. Wracała z mężem z imprezy, była lekko wstawiona. Esbecy zaczęli ją, myśląc, że to ja. Zastąpili jej drogę i zapytali: „Czy mamy przyjemność z panią Jadwigą?”.

Kiedy odpowiedziała, że tak - zabrali się za aresztowanie. Sytuację uratował jej mąż, który w końcu wyjaśnił nieporozumienie. Ale moja sąsiadka pewnie zdrowo najadła się strachu.

Co jednak najważniejsze - dzięki nieoczekiwanemu ostrzeżeniu - mnie udało się wyślizgnąć z łap bezpieki. Nieznany pułkownik Ludowego Wojska Polskiego uratował mi skórę.

### **Ucieczka przed bezpieką**

Wstałam o dziewiątej. I od razu włączyłam telewizor. W ten sposób dowiedziałam się, że w Polsce wprowadzony został stan wojenny. Zapukałam do sąsiadki, która mieszkała na tym samym piętrze. Widziałam kiedyś u niej w przedpokoju krzyż.

To było stare małżeństwo, wierzący ludzie - więc zaryzykowałam. Poprosiłam tę panią, że jak przyjdzie moja mama, to żeby przekazała jej wiadomość, że zdołałam uniknąć aresztowania, że idę na wojnę i nie wiem, kiedy znowu się zobaczymy. Ta poczciwa pani miała łzy w oczach. Wtedy z głębi mieszkania przyszedł jej mąż.

- Proszę pani - powiedział - ja w 1918 roku byłem obrońcą Lwowa. Niech pani będzie spokojna. Wiadomość przekażemy. Może pani na nas liczyć.

Dowiedziałam się później od mamy, że ci państwo specjalnie na nią czekali i wszystko jej dokładnie przekazali.

Ludzie byli naprawdę wspaniali! Jeszcze tego samego dnia ulotniłam się z mieszkania i pojechałam do mamy mojej koleżanki. Bez zastanowienia dali mi klucze do mieszkania córki. I kożuszek, bo nie miałam ciepłej kurtki. A zima 1981

roku była sroga.

Gdy byłam z mężem w moim pierwszym konspiracyjnym mieszkaniu - akurat w telewizji wyemitowano słynne przemówienie generała Jaruzelskiego. Zapowiedział on, że opozycji grożą surowe konsekwencje: „Od dwóch miesięcy więzienia, nawet do kary śmierci”.

- Słuchaj, to już nie są żarty. To jest otwarta wojna - powiedziałam do męża. - Trzeba zacząć do nich strzelać! Przynajmniej będę wiedzieć, za co dostanę czapę.

Mąż, słysząc to, poważnie się przeraził. Powiedział, że on nie zamierza się ukrywać. Chce wrócić do pracy, do zwykłego życia. Ale rozumie, co mi grozi, rozumie, że nie mam wyboru i muszę pozostać w ukryciu. Powiedziałam mu, że oznacza to długie rozstanie. Ze przez długi czas nie będzie miał ze mną żadnego kontaktu.

Mąż zaczął z kolei przekonywać mnie, że to na pewno długo nie potrwa, że nie będzie tak źle. Ewidentnie stchórzył. Mówiąc szczerze, nie wróżyło to naszemu małżeństwu nic dobrego. Jednak nie był to specjalnie dobrze dobrany związek...

Na początek postanowiłam przedłużyć sobie urlop. „A potem się zobaczy” - pomyślałam. W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będę się ukrywała aż dziewięć lat!

Mąż wrócił więc do hotelu asystenckiego, wrócił na nasz Wydział Automatyki. Wrócił do normalności. Dla mnie zaś życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. I już nigdy nie było takie jak kiedyś. Musiałam nauczyć się żyć w podziemiu jako uciekinier. Musiałam poruszać się bardzo ostrożnie, zacierać za sobą ślady.

Już w pierwszych dniach omal nie wpadłam. Gdy wyszłam na ulicę, zorientowałam się, że mam ogon. Ktoś mnie śledził. Weszłam do ciemnego przejścia podziemnego, zdjęłam kapelusz i uciekłam w głąb osiedla. Wbiegłam do bloku, gdzie mieszkała emerytowana dyrektorka mojego liceum. Udało się!

Wiedziałam, że jestem świetnie rozpracowana. Esbecy wiedzieli o moich kontaktach, znali adresy moich znajomych. Mama opowiadała mi o swoich doświadczeniach z ukrywania się w czasie drugiej wojny światowej. Musiałam teraz

wykorzystać jej wiedzę i zwrócić się do kogoś, z kim w ostatnich latach nie łączyły mnie żadne więzy. Z kimś, kto nie miał nic wspólnego z Solidarnością.

Wtedy właśnie pomyślałam o pani Marii Oborskiej, wicedyrektorze mojego dawnego liceum. Jak się miało okazać - był to dobry pomysł. Bez wahania zgodziła się pomóc. Skierowała mnie do innej swojej byłej uczennicy, kilkanaście lat ode mnie starszej.

Organizowałam wtedy pomoc dla strajkującej Huty Katowice. Potem przyszedł atak wojska i milicji na kopalnię „Wujek”. Byłam coraz bardziej zmęczona tworzeniem kolejnych podziemnych struktur, chodzeniem pieszo pomiędzy miastami Śląska. Stałam się mniej ostrożna. Tymczasem wszędzie stały czołgi i legitymowano ludzi w autobusach i tramwajach.

Wtedy z pomocą przyszedli mi księża z mojej parafii. Skierowali mnie na odpoczynek do Wyższego Częstochowskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, pod skrzydła księdza rektora Józefa Życińskiego.

Pojechałam tam z Adamem Goncarzem, który również ukrywał się przed ubecją. Wyciął jej niezły numer. Już po ogłoszeniu stanu wojennego wziął z kasy zakładowej Solidarności sto tysięcy złotych i wyskoczył przez okno. W ten sposób uratował związkowe fundusze przed konfiskatą.

Adam w czasie strajku w kopalni „Sosnowiec” nabawił się świerzbu. Załatwili nam szare mydło i jakieś środki przeciw świerzbowi. Musiałam mu nacierać plecy tą miksturą. Poza tym godzinami graliśmy w brydża, a jak nam się znudziło - w pokera. Oczywiście na pieniądze. Startowaliśmy każde po... pięćdziesiąt tysięcy. Bo ten chłopak cały czas miał przy sobie uratowaną gotówkę.

Późniejszy arcybiskup odprawił dla nas pasterkę. Minęły święta. Nabraliśmy sił. Pod koniec roku wróciłam do Katowic. Wiedziałam jednak, że nie mogę długo zostać w moim mieście. Nigdy nie zapomnę tego uczucia. Stałam na ulicy. Widziałam tak dobrze znane mi budynki, sklepy. W ręku trzymałam niewielką torbę, w której mieściły się wszystkie moje rzeczy.

Był środek stanu wojennego, безпеka deptała mi po piętach,



nie mogłam pójść do własnego domu, bo wiedziałam, że od razu mnie tam zgarną. O spotkaniu z mężem nie było mowy. A mimo to nagle poczułam się wolna. Poczulałam, że jestem wolnym człowiekiem. Ze wyrwałam się z systemu, który starał się kontrolować każdy ruch, każdą myśl obywatela.

Teraz mogłam iść, gdzie chciałam. Mogłam robić to, co chciałam. Nikt nie mógł mnie do czegokolwiek zmusić. Nic mnie nie wiązało. Niczego nie miałam. Wiem, że to, co teraz mówię, po latach, może brzmieć dziwnie, ale tak właśnie było. Choć znalazłam się w trudnej sytuacji, poczułam przypływ energii. Wolę działania.

Pierwsze dni - łącznie z sylwestrem 1981/1982 - spędziłam u znajomej z Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Nie była to jakaś specjalnie bliska znajomość. Gdy już pracowałam w instytucie, byłyśmy razem na obozie narciarskim. Łączył nas nałóg - obie paliłyśmy papierosy.



*Podczas swojej dziewięcioletniej ucieczki przed bezpieką Jadwiga wielokrotnie musiała zmieniać tożsamość. Na zdjęciu: fałszywy dowód osobisty wystawiony na nazwisko Lucyna Jamka.*

Zacząłam odnawiać dawne kontakty. Głównie z Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. To byli sami sprawdzeni ludzie, twardsi niż ci z Solidarności. Nie było u nas żadnej wpadki. Bezpieka nas nie rozpracowała.

Musiałam uważać na każdy ruch, za wszelką cenę unikać szpicli. Całe szczęście byłam dobrym psychologiem. Wyczuwam fałsz z mowy ciała, z oczu, z twarzy.

Był czas, gdy zmieniałam mieszkania codziennie. Każdą noc spędzałam u kogoś innego. Czy było mi trudno się do tego przyzwyczaić? Oczywiście na początku - tak. Z czasem stało się to jednak naturalne. Musiałam tylko pamiętać o „legendzie”. Zawsze była inna. Raz byłam „koleżanką ze studiów”, raz „kuzynką”, innym razem „przyjaciółką”. Za każdym razem miałam inny zawód i inny powód odwiedzin.

Nie ograniczałam się jednak tylko do uciekania. To by było nie w moim stylu. Zacząłam działać. Założyłam Regionalną Grupę Oporu. Jeździłam do innych miast, żeby budować podziemne struktury. Już wiosną 1982 roku mogliśmy powołać Regionalną Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”. Byłam jej przewodniczącą do końca, do roku 1990.

W ten sposób świetnie poznałam Ślązaków. Rewelacyjni ludzie! Solidarni, religijni, szanujący tradycję i starszych ludzi. To, co powie starka (w gwarze śląskiej - babcia), wszystkie chopy wysłuchują, stojąc na baczność. Kapusiów wśród Ślązaków było bardzo niewiele. A jak już się jakiś trafił - natychmiast spotykał go całkowity ostracyzm.

Pamiętam taką historię. Podczas spotkania towarzyskiego kolega wygarnął w twarz gospodarzowi, że donosi do bezpieki. Facet musiał uciekać z własnego domu. Gdy zszedł na dół, jego ubrania już na niego czekały na ziemi. Własna żona wyrzuciła mu je przez okno.

Przez ten czas bardzo brakowało mi mamy. Raz udało mi się przypadkowo ją spotkać na plebanii w kościele św. Tomasza. Długo nic do siebie nie mówiłyśmy, tylko mocno się przytulałyśmy. Pocałowałam mamę w wilgotny policzek. Mama przyniosła mi kilka drobiazgów, jakiś ręcznik, bieliznę na zmianę. Pobłogosławiła mnie. Powiedziała, że mogę się ukryć u

jej koleżanek z Armii Krajowej. To były zaprawione w bojach kobiety, gotowe do działania, do walki o niepodległość.

To było nasze ostatnie spotkanie. Już nigdy nie zobaczyłam mamy. Zmarła pięć lat później - w 1986 roku. O jej śmierci dowiedziałam się już po pogrzebie. Zawiniła solidarnościowa poczta. Mama była w szpitalu, a moje listy czekały, aż wróci do domu. Kurier odbijał się od zamkniętych drzwi w jej mieszkaniu. Nie mogła więc odpisać. Nie wiedziałam, że dzieje się z nią coś złego. Nie mogłam się z nią pożegnać... To była cena za moją walkę.

Nie mogłam pójść nawet na grób mamy. Cały czas pilnowała go SB...

Po śmierci mamy już z nikim nie korespondowałam. Z mężem nie utrzymywałam żadnego kontaktu. Głównie z powodu moich teściów komunistów. Bałam się, że mnie wydadzą. Mama mówiła im i mojemu mężowi, że nie wie, co się ze mną dzieje.

W czasie tych blisko dziewięciu lat ukrywania się z mężem spotkałam go tylko raz. I to przez całkowity przypadek!

A było to tak. Odwiedziłam kolegę i jego żonę. Gdy stanęłam w przedpokoju, okazało się, że w mieszkaniu jest mój mąż.

- Jarek - powiedział do mojego męża ten kolega - zgadnij, kto przyszedł. Będiesz zadowolony.

Mój mąż zaczął wymieniać nazwiska jakichś kolegów, znajomych z pracy.

- Nie, to nie oni. Kogo byś chciał zobaczyć najbardziej?

Poważnie się skonfundował, nie wiedział, co odpowiedzieć.

W tym momencie weszłam do pokoju. Mój mąż wcale nie wyglądał na zadowolonego. Mówiąc szczerze - wyglądał na przerażonego.

Był wyraźnie zażenowany, zakłopotany. Nagle zaczął mówić - przy naszych znajomych - że między nami już wszystko skończone. Że nigdy nie będziemy mieć dzieci, że to małżeństwo nie ma przyszłości. Że on nie jest w stanie tak żyć.

- Dlaczego? - spytałam zdziwiona. - Wojna potrwa maksimum dziesięć lat. Gdy wrócę do domu, będę miała dopiero 36-38 lat. A kto wie, może komunę szlag trafi wcześniej!



*Życie w ukryciu pozbawiło Jadwigę możliwości ostatniego pożegnania z ukochaną matką. Nie mogła pojawić się na jej pogrzebie, bo zostałyby od razu*

Wtedy zaczął się nad sobą użalać. Mówił, że władza grozi mu powołaniem do wojska. Że go prześladuje. Odpowiedziałam mu, żeby w takim razie poszedł do tego wojska. W czym problem? Ale on był słaby. I psychicznie, i fizycznie. Jak był na szkoleniu wojskowym, jeszcze podczas studiów, to uczyłam go, jak się skacze przez kozła. Związek z opozycjonistką ściganą przez bezpiekę - to rzeczywiście nie było dla niego.

Mojej mamie tuż przed jej śmiercią powiedział, że chce się ze mną rozwieść. Miał już gotowe wszystkie papiery. Mama bardzo to przeżyła, a ja w ogóle się tym nie przejęłam. Już tyle lat żyliśmy osobno... Byliśmy tacy inni...

Rozwód był wtedy dla mnie o tyle wygodny, że - będąc uciekinierką - nie mogłam stawić się w sądzie. A co za tym idzie, nie musiałam wysiadywać na sali sądowej podczas nudnej rozprawy. Przynajmniej to miałam z głowy.

## **Solidarność Walcząca**

Od 1982 roku współpracowałam z Solidarnością Walczącą w ramach Regionalnej Komisji Koordynacyjnej, a trzy lata później zostałam przewodniczącą oddziału katowickiego tej organizacji. Uważaliśmy, że z komuną trzeba iść na ostro. Odpowiedzieć jej pięknym za nadobne. Nie zamierzaliśmy iść na kompromisy. Dążyliśmy do obalenia tego systemu i stworzenia w pełni suwerennej i niepodległej Polski.

Solidarność Walcząca toczyła bezustanny pojedynek z bezpieką, która za wszelką cenę starała się zinfiltrować i rozbić nasze struktury. Dlatego byliśmy świetnie zakonspirowani. Na przykład mój łącznik w organizacji nie znał adresu mojej kwatery. Nie miał również kontaktu z moją organizacją wewnętrzną, która mnie ukrywała, ani z szefami Regionalnej Komisji Koordynacyjnej.

Dopiero gdybym wpadła, mógłby do nich dotrzeć przez skomplikowany system „śluz”. Właściciele „śluzy”, czyli mieszkania kontaktowego, wiedzieli, że w razie mojej wpadki

mogą udostępnić łącznikowi jednorazowe hasło i zorganizować mu na „śluzie” spotkanie. Gdyby jakaś „śluzka” została zdekonspirowana - miała swoją dublerkę.

„Śluzki” zakładaliśmy u weteranów Armii Krajowej. Oni świetnie znali się na konspirowaniu, najlepiej wiedzieli, jak rozmawiać z SB. Mogli na przykład wykipić się od odpowiedzi, twierdząc, że mają sklerozę.

Łącznik nie wiedział, co i komu przekazuje. W każdym mieście używałam innego pseudonimu. Byłam „Hanią”, „Grażyną”, „Elżbietą”. Konia z rzędem temu, kto by się w tym wszystkim połapał! Miałam sporo kwater. W miastach, na wsiach, w górach.

Umówiłam się na spotkanie z Kornelem Morawieckim, szefem Solidarności Walczącej. Łącznik miał nas odebrać na przystanku tramwajowym. Powiedziałam do swoich ludzi, że na pewno nie jesteśmy śledzeni, ale lepiej zrobić rekonesans. Nigdy nie wiadomo, czy bezpieka nie śledzi ludzi Kornela.

Umówiliśmy się więc, że jeżeli zacznę nerwowo spoglądać na zegarek i czytać rozkład jazdy, a potem odejdę szybkim krokiem - to znaczy, że mamy ogon. Ze przystanek jest pod obserwacją i musimy się zmywać. A następnie przenieść spotkanie w nowe miejsce.

Na przystanek przyszedłam dobrze zakamuflowana. W spożywczaku kupiłam trochę rzeczy. Z siatki wystawała mi bułka wrocławska. Od razu poczułam, że coś jest nie tak. Instykt podpowiadał mi, że bezpieka założyła pułapkę. Dałam więc umówiony znak i spotkanie przenieśliśmy w inne miejsce.

Opowiedziałam tę historię, aby oddać klimat konspiracji. Należało być bardzo ostrożnym, żeby pozostać na wolności.

## **Mistrzyni kamuflażu**

Byłam kobietą o tysiącu twarzy. Raz robiłam się na wystrzałową panienkę, raz na słodką idiotkę, raz na sportsmenkę, innym razem na zmęczoną życiem babę z zakupami. Byłam mistrzynią kamuflażu, potrafiłam wcielać się

we wszystkie role.

Zawsze miałam gotowy alternatywny scenariusz. Wszędzie musiałam odgrywać kogoś innego. Byłam „dziewczyną przemytnika”, „siostrą kwatermistrza”. W zależności od „legandy” musiałam kompetentnie wypowiadać się na różne tematy. Choćby przez godzinę dyskutować na temat elektryczności, matematyki czy fizyki, co akurat nie było dla elektronika trudne.

Wszystko robiłam na pewniaka. Bez mrugnięcia okiem, bez wahania. To była gwarancja sukcesu w konspiracji. Najmniejsze wahanie mogło być zgubne - doprowadzić do wyspy. Nauczyła mnie tego moja mama, żona oficera przedwojennego wywiadu.

To było w Katowicach. Środek zimy, późny wieczór, właśnie skończyło się spotkanie. Szłam do mieszkania, w którym byłam zakwaterowana, gdy nagle zobaczyłam, że pod wiaduktem wszystkich legitymują. Musiałam tamtędy przejść. Było już za późno, żeby się wycofać, zawrócić. To by było podejrzané. Nie miałam więc innego wyjścia - ruszyłam do przodu.

Musiałam improwizować. Zauważyłam przed sobą grupę żołnierzy stojących obok czołgu i nudzących się. Jeden z nich był kapralem, więc podbiegłam do niego i zaczęłam szczebiotać:

- Panie poruczniku, jak dobrze, że tu jesteście. Bo tam tak ciemno pod tym mostem. Kręci się tam tylu podejrzanych typów, a ja się tak boję. Czy będzie pan tak dobry i przeprowadzi mnie na drugą stronę?

Wzięłam go pod rękę i uśmiechnęłam się zalotnie. Już go miałam w garści. Kapral był zachwycony, obrósł w piórka, bo przy kolegach awansowałam go na porucznika.

Przez całą drogę trajkotałam jak najęta, a kiedy już minęliśmy most i doszliśmy do kina „Rialto”, powiedziałam:

- O, tu już jest jasno, bardzo panu dziękuję.

I czmychnęłam w stronę ulicy Kościuszki. Nawet nie zauważył, jak puściłam jego rękę. Stał na chodniku dobrą chwilę, lekko oszołomiony. Oczywiście do głowy mu nawet nie przyszło, żeby mnie wylegitymować. Nie przyszło mu też do

głowy, że szedł pod rękę z niebezpiecznym „wrogiem ludu”, za którym rozesłany został list gończy.

Pewnego dnia w Tychach jechałam autobusem wraz z moimi ludźmi. Wcześniej zrobiliśmy rozpoznanie - wiedzieliśmy, w których autobusach przeprowadzane są kontrole. Pech jednak chciał, że pomyliliśmy numery! W efekcie autobus został zatrzymany na punkcie kontrolnym i do środka weszło dwóch żołnierzy.

Co za głupia wpadka! Niechybnie mnie zgarną! Byłam wściekła. Dyskretnie podałam siedzącej za mną koleżance notes i wszystkie inne trefne rzeczy. Zostałam tylko z dokumentami - niestety, prawdziwymi, na moje własne nazwisko. „No, to koniec zabawy w konspirację” - pomyślałam.

Nadeszła moja kolej. Żołnierz, zziębnięty, ze znudzoną miną, wyciągnął rękę po mój dowód osobisty. Sprawdził nazwisko. Rutynowo przeleciał wzrokiem listę osób poszukiwanych, którą miał w drugiej ręce. Nagle zmartwiał. Jeszcze raz zerknął na kartkę, na dowód, potem na mnie.

Po chwili oddał mi dokument, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Miłej podróży.

I poszedł dalej. Nie mogłam w to uwierzyć! Kolejny patriota wśród wojskowych. Dobry Polak. Najpierw ten pułkownik, który ostrzegł nas przed stanem wojennym, potem lotnik, któremu spadła torba na głowę, a teraz ten chłopak w autobusie. Miałam szczęście do ludzi!

Zresztą nie dotyczyło to tylko wojskowych. Ale również... ubeków. Otóż pewnego razu do mojej mamy przyszedł oficer z SB. Wrzeszczał na nią strasznie. Groził surowymi konsekwencjami za okłamywanie władzy, za to, że nie chce powiedzieć, gdzie jestem.

Po pewnym czasie się uspokoił i poprosił mamę o popielniczkę. Zanim skrzył papierosa, napisał na małej kartce wiadomość. Następnie podał ją mamie. „Niech się pani nie martwi - napisał - nie mamy pojęcia, gdzie jest pani córka. Nie mamy żadnego punktu zaczepnego. Niech pani nie idzie na żadne identyfikacje zwłok. Pani córka jest wspaniała”.



Jednocześnie nie przestał krzyżeć i ponaglać mamę, żeby czym prędzej przyniosła mu popielniczkę. Powiedział, że jak się nie pospieszy, zgasi papierosa na podłodze. Zachowywał się ordynarnie, wręcz chamsko. Po tym, gdy mama przeczytała karteczkę, podarł ją na drobniutkie kawałeczki i spalił w popielniczce. W mieszkaniu był oczywiście podsłuch.

Mama napisała mi o tym w jednym z listów. Część z nich się zachowała. Natomiast wszystkie moje listy mama niszczyła. Wszystkie. Gdyby doszło do rewizji - listy córki byłyby materiałem kompromitującym. Mogłaby zostać nie tylko aresztowana, ale czekałyby ją ciągle przesłuchania i rewizje. Naraziłaby też pocztę połową na wpadkę.

Solidarność Walcząca miała wszędzie swoje wtyczki. W komitetach miejskich partii, w prokuraturze. A nawet w bezpiecu. Dzięki temu wiedziałam, że pętla wokół mnie się nie zaciska, że psy gończe nigdy nie wpadły na mój trop. Kamuflowałam się, udając własną łączniczkę. Kiedy ktoś w konspiracji zaczął domyślać się, że to jednak jestem ja - klęłam głośno, że „ta Chmielowska jest głupia, że nie można się z nią skontaktować”. To zawsze działało.

Czasem jednak ktoś się wygadał. Na przykład chciał się pochwalić, że się ze mną spotyka. Ktoś inny podsłuchał i doniósł do SB. Zawsze potrafiłam jednak rozpoznać niebezpieczeństwo. Jakoś' zawsze udawało mi się uciec, uratować.

Wyznawałam zasadę, że na przesłuchaniu nic nie powie jedynie ten, kto nic nie wie. Dokonywałam więc ścisłej selekcji osób, z którymi współpracowałam w podziemiu. Kompleksy, zarozumiałość

i wybujałe ambicje osobiste eliminowały kandydata. U mnie nie liczyło się gadulstwo, lecz robota. Uważałam, że szef musi umieć wszystko i móc zastąpić każdego „żołnierza”. Pisałam teksty, robiłam makiety gazet i obróbkę fotograficzną zdjęć. Sama też drukowałam.

Ukrywałam się tak długo dlatego, żeby pokazać ludziom, że bezpieka nie jest wcale wszechmocna i wszechwiedząca. Że wie tylko tyle, ile powiedzą jej szpicle.

Sygn.akt 1Ds.2605/90

ZAWIADOMIENIE O ODWOŁANIU LISTÓW GOŃCZYCH

Prokuratura Rejonowa w Chorzowie ..... zawiadamia, że dnia **1 sierpnia 1990 roku**

nazwa władcy wyżyłojacej  
odwołano listy gończe, rozesłane w dniu **10 kwietnia 1982 roku** ..... za podejrzanym

- Nazwisko rodowe **Chmielowska**
  - Imię **Sonia** Nazwisko przybrane (męża) **KONZEL**
  - Imiona rodziców: ojca **Tadeusz** matki **Jadwiga**  
Nazwisko rodowe matki **Dreifelder**
  - Data urodzenia **29 czerwca 1954 roku w Sosnowcu,**  
dzień miesiąc rok
  - Miejsce rzeczywistego zamieszkania **Sosnowiec, ul. Bolesława**  
miasto powiat wojew.  
**Przebieg 151/43,**
- Dnia **1 sierpnia** 19**90** r.

podejrzany	§ art. 1061 k.k. w zw. z art. 247§1 k.k.
	Nr akt sprawy <b>1Ds.265/92</b>



Prokurator:  
Prokuratura Rejonowej  
/ E. Stachyra /

*Dopiero 1 sierpnia 1990 r. władze odwołały listy gończe i Jadwiga mogła wrócić do zwyczajnego życia. Od razu jednak zaangażowała się w dalszą walkę na rzecz obywateli byłych republik Związku Sowieckiego.*

Że walka o niepodległą Polskę trwa. Że Michnik i Kuroń się mylą - komunizm z ludzką twarzą nie istnieje, a finlandyzacja Polski to mrzonka. Polska musi być niepodległa i niekomunistyczna!

W 1988 roku powstał Autonomiczny Wydział Wschodni Solidarności Walczącej. Kierowałam nim razem z Piotrem Hlebowiczem. W ramach tej struktury szkoliliśmy działaczy organizacji niepodległościowych z różnych republik Związku Sowieckiego.

Wtedy już byliśmy pewni, że komuna w Polsce runie. W Związku Sowieckim w 1987 roku przeprowadzono pierestrojkę. Rozpoczęliśmy więc większą grę. O rozwalenie Związku Sowieckiego i uniemożliwienie przekształcenia go we

Wspólnotę Niepodległych Państw. Polscy Tatarzy wydrukowali nam po rosyjsku Koran, a my rozwoziliśmy go po wszystkich muzułmańskich republikach Związku Sowieckiego.

1 sierpnia 1990 roku władze zdjęły ze mnie list gończy. Niemal od razu pojechałam do Leningradu na konferencję obrońców praw człowieka, zorganizowaną przez Zbigniewa Romaszewskiego. Wiozłam w walizce książki w językach rosyjskim i ukraińskim, przywiezione z Londynu. Gdy na konferencji powiedziałam, że każdy naród ma prawo żyć w niepodległym państwie, rozległa się burza braw, a na miejsce wróciłam niesiona na rękach.

Kiedy dysydenci i byli łagiernicy dowiedzieli się, że przez prawie dziewięć lat „polskie KGB” nie było w stanie mnie schwytać, zaprosili mnie do siebie, aby pomóc im tworzyć sprawne organizacje niepodległościowe. Potem zaczęłam jeździć do republik Związku Sowieckiego; odwiedziłam każdą z nich. Szkoliłam działaczy organizacji niepodległościowych, przerzucałam przez granicę nie tylko książki, ale i sprzęt poligraficzny.

Zapłaciłam za to wszystko wysoką cenę. Nie miałam dzieci. Moje małżeństwo się rozpadło. Drugi raz nie wyszłam za mąż. Wychowałam za to dwóch wspaniałych chłopaków z domu dziecka. Mój starszy syn ma obecnie dwadzieścia sześć, a młodszy dwadzieścia pięć lat.

Jak za walkę z komuną odwdzięczyła mi się III Rzeczpospolita? Nijak. Wcale. Nie zaliczono mi nawet do stażu pracy tych dziewięciu lat, kiedy uciekałam przed bezpieczeństwem. W efekcie dostaję nędzne tysiąc sto osiemdziesiąt złotych emerytury. A moi prześladowcy mają miesięcznie po kilkanaście tysięcy. Za to, że trzydzieści lat temu ich głównym zajęciem było wsadzanie takich jak ja do więzień. I maltretowanie ich na przesłuchaniach. Ludzi walczących o ludzką godność, o wolność i niepodległość dla naszego kraju.

Bardziej niż Polska doceniły mnie dawne republiki Związku Sowieckiego. Za walkę z komunizmem o niepodległość dostałam order od prezydenta Litwy. W Polsce też dostałam order, ale za... „demokratyzację kraju”. Wstyd.



*Za swoją działalność otrzymała w 2009 r. order od prezydenta Litwy Valdasas Adamkusa.*

Moje własne państwo boi się nazwać rzeczy po imieniu. Naród został oszukany przez pomysłodawców Okrągłego Stołu. Politycy, którzy powoływali się na solidarnościowe korzenie, okazali się zdrajcami. Przez ostatnie dwadzieścia siedem lat, zamiast budować silne państwo, rozmontowywali je. Zrujnowali gospodarkę i kilka milionów młodych ludzi wypędzili na emigrację.

W latach dziewięćdziesiątych skończyłam na Uniwersytecie Śląskim podyplomowe studia dziennikarskie, a potem jeszcze studium pedagogiczne. Wykładałam na uczelni, napisałam doktorat, ale nie mam pieniędzy, żeby się obronić.

Miałam dwa zawały serca. Mimo to ciągle działam. Jestem uzależniona od adrenaliny. Jestem redaktorem naczelnym „Śląskiego Kuriera Wnet”, prowadzę Regionalny Ośrodek Debaty Międzynarodowej, zasiadam w Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenia Ruch

Kontroli Wyborów - Ruch Kontroli Władzy.

To już jednak nie jest to samo, co w latach osiemdziesiątych. Nie mówiąc już o upadku komuny, o zawaleniu się Związku Sowieckiego. To były naprawdę wspaniałe dni. Czułam, że dzieje się coś wielkiego. Zmieniała się Polska, ale zmienia się również Europa i cały świat.

Dziesiątki milionów ludzi odzyskiwały wolność. Waliły się mury, państwa wybijały się na niepodległość. Historia działa się na naszych oczach. Jeżeli do tych wielkich wydarzeń dołożyłam jakąś swoją niewielką cegielkę - czuję się spełniona. Nie żałuję ani jednego dnia z mojego życia.

*Jadwiga Chmielowska*

**ELŻBIETA**  
**UCIECZKA Z INTERNOWANIA**



**C**zego kobiecie najbardziej brakuje w więzieniu? Jak życie pokazało, odpowiedź na to pytanie może być zaskakująca. Pewnego dnia do naszej celi przyszła paczka, otworzyliśmy ją i w środku znalazłyśmy... kawior. Nie, to nie żart. W siermiężnym, szarym PRL-u w czasie stanu wojennego grupa więźniarek politycznych w obskurnej celi jadła kawior.

To był pomysł troskliwej ciotki mojej przyjaciółki „spod celi”, Alicji. Ciocia była dystyngowaną, przedwojenną damą około osiemdziesiątki. Długo zastanawiała się, co najbardziej przyda się jej siostrzenicy, zamkniętej w więzieniu przez komunistów. I uznała, że na pewno kawior. Smalec, cebula, czosnek czy herbata nie przysły jej do głowy. A biedna Alicja autentycznie chorowała z powodu braku czarnej herbaty - jak narkoman na ciężkim odwyku.

Na widok tego kawioru dostałyśmy ataku histerycznego śmiechu. To była naprawdę ostatnia rzecz, której byśmy się spodziewały. Alicja, która świetnie i wykwintnie gotowała, skombinowała jakiś chleb i zrobiła nam kanapeczki z kawiozem. Siedziałyśmy wówczas w warszawskim areszcie śledczym Olszynka Grochowska.

Od tamtego czasu co roku w nocy z 12 na 13 grudnia spotykamy się z koleżankami, byłymi internowanymi. I coroczną kolację zaczynamy zawsze od kanapczek z kawiozem. Muszą być małe, na jeden gryz, a dookoła kawioru koronka z drobno posiekanego białka albo żółtka. Tak jak wtedy, w więzieniu.

Aby poradzić sobie z traumatyczną sytuacją, człowiek stara się ją obrócić w żart. Odreagować strach, gniew. To dziś może wydawać się dziwne, ale myśmy się w celi naprawdę dużo śmiały. Staraliśmy się omijać bolesne tematy, choć wszystkie miałyśmy bliskich, o których się niepokoiłyśmy, a na dodatek przyszłość kraju rysowała się bardzo czarno.

Oczywiście każda z nas miała gorsze momenty, ale wtedy przytulałyśmy się, aby dodać sobie otuchy. Właściwie tylko raz

szlochałyśmy głośno z bezsilnej rozpacz - kiedy z głośnika pod sufitem usłyszałyśmy o zastrzelonych górnikach z „Wujka”.

Robiłyśmy różne absurdalne rzeczy. Na przykład ćwiczenia gimnastyczne. A Alicja uczyła nas figur baletowych. Z jakiejś gazety wycięłyśmy zdjęcie generała Wojciecha Jaruzelskiego i wykluwałyśmy mu szpilką czarne okulary. Bo oczu nie było widać. Opowiadałyśmy sobie anegdoty i plotki. A w nocy bajki. Streszczałyśmy przeczytane książki i obejrzone filmy. To był nasz sposób na przetrwanie kolejnych więziennych dni.

Oczywiście pojawiały się i konflikty, napięcia. Ludzie o różnych charakterach, usposobieniach i zwyczajach zostali nagle zamknięci na niewielkiej przestrzeni. I musieli spędzać ze sobą całe dni. Jedna osoba dostawała słowotoku, inna narzekała na bóle gardła, krzyża i piętnaście innych dolegliwości. A jeszcze inna całą noc chrapała. Bez poczucia humoru byśmy tego na pewno nie wytrzymały.

Z internowania wydostałam się w dość dramatycznych okolicznościach. A wszystko zaczęło się od fatalnej wiadomości - gdy siedziałam w ośrodku w Gołdapi, dostałam informację, że umarła moja babcia. Władze dały mi przepustkę na pogrzeb. Dali mi ją jednak zbyt późno i w efekcie nie było szans, żebym mogła zdążyć.

Wtedy mój przyjaciel, a przyszły mąż, Tomek wpadł na pomysł, że zorganizuje moje porwanie. Niestety, z romantyzmem nie miało to zbyt wiele wspólnego. Plan był następujący: miałam udać, że mam zapaść. Serce mi wysiadło czy coś w tym stylu. A na pogotowiu mieli mnie przejąć zaprzyjaźnieni lekarze. I postawić jakąś wysaną z palca diagnozę, która uchroniłaby mnie przed dalszym internowaniem.

Odebrałam więc przepustkę i pojechałam do Warszawy. Tam, na dworcu, odegrałam całą scenkę. Upadłam na ziemię, złapałam się za serce i zrobiłam jakąś dziwną minę. Zrobiło się zbiegowisko, ktoś zaprowadził mnie do podstawionej taksówki.

Zawieźli mnie na pogotowie, ale okazało się, że jeszcze nie ma „tych” lekarzy. Byli inni i nie wiedzieli, co ze mną zrobić, bo byłam przecież zdrowa jak koń.





*Kiedy młoda Elżbieta angażowała się w działalność opozycyjną, nie przypuszczała, ile nieprzyjemności ją spotka. Młoda, idealistycznie nastawiona dziewczyna nie mogła się pogodzić z bezkarnością władzy.*

Całe szczęście wkrótce przyszli ci „właściwi” i postawili „diagnozę”. Uznali, że mam coś nie tak z płucami. Oczywiście było to nieprawdą, ale dzięki temu przewieziono mnie do Instytutu Gruźlicy przy Płockiej.

Tam znowu powtórzyła się historia z pogotowia. Lekarze na izbie przyjęć nie byli wtajemniczeni. Powiedzieli, że muszą mi chyba zrobić odmě. O, co to, to nie! Przeraziłam się nie na żarty. Żadnej odmy zrobić sobie nie pozwolę. Zaraz na szczęście pojawili się ci „moi” lekarze i wpisali mi do karty jakieś absurdalne schorzenia. Bardzo trudne do sprawdzenia. W efekcie zostałam w szpitalu.

Mówiąc szczerze, było tam znacznie gorzej niż na internowaniu. Po co ja się w to wpakowałam? Wokół mnie byli ciężko chorzy ludzie, których w ogóle nie interesowała sytuacja polityczna. Rozmawiali tylko o swoich dolegliwościach. Że coś ich boli, że trudno im się oddycha.

Byłam tam straszliwie nieszczęśliwa, uznałam, że ten szpital to jakaś kara boska. W końcu mama Tomka wychodziła mi zwolnienie z internowania.

Siedziałam od 13 grudnia 1981, od nocy, w której Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Na wolność wyszłam na Święta Wielkanocne następnego roku. Wreszcie mogłam opuścić ten koszmarny szpital. I z powrotem rzucić się w wir konspiracji.

## **Auschwitz i Sybir**

Urodziłam się pod Koszalinem, na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Gdy byłam dziewczynką, tak się właśnie mówiło. Była to propagandowa, komunistyczna nazwa. Moi rodzice znaleźli się tam po drugiej wojnie światowej przypadkowo.

Mój ojciec, Walenty Regulski, przed wojną mieszkał w Warszawie. Miał niesłychanie ciekawe życie, trochę jak z powieści Stefana Żeromskiego. Był dzieckiem robotnika folwarcznego, bardzo ambitnym, utalentowanym. Nauczył się czytać jako kilkuletni chłopiec, przy świeczce czytał dorosłym

na głos *Trylogię* Sienkiewicza. Wyrósł w poczuciu, że nauka jest najważniejsza, że kształcenie się stanowi sens ludzkiego życia.

Zaczął pracować, mając trzynaście lat. Najpierw był chłopcem na posługi sędziego we Włocławku. Stamtąd, gdy zaczynał się rok szkolny, chodził pieszo do Warszawy, do seminarium nauczycielskiego. Skończył szkołę, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa. Studiował pedagogikę na Wolnej Wszechnicy Polskiej. Mając siedemnaście lat, został nauczycielem, zaczął uczyć w szkołach powszechnych.

Ciężko harował. Po godzinach dorabiał jako pielęgniarz w szpitalu dla psychicznie chorych. Leczyli się tam ludzie z inteligencji, przechodzący załamania nerwowe związane z wojną. W jej wyniku potracili majątki, przeszli straszne rzeczy. Ojciec starał się im pomagać. To był człowiek z pasją, z iskrą bożą. Miał olbrzymi entuzjazm do pracy, radość i pasję życia.

W czasie drugiej wojny światowej był już człowiekiem dojrzałym. Bez wahania przystąpił do konspiracji. Jego bezpośrednim przełożonym był Aleksander Kamiński, autor słynnych *Kamieni na szaniec*. Ojciec zajmował się kolportażem „Biuletynu Informacyjnego”, najważniejszego pisma Polski Podziemnej.

Doniósł na niego dozorca i ojciec został aresztowany przez Gestapo. Trafił do Auschwitz, w którym przeżył koszmarnie rzeczy. Przed końcem wojny Niemcy wywieźli go do Rzeszy, a po kapitulacji Niemiec trafił do obozu dipisów. Tak alianci zachodni nazywali ówczesnych uchodźców, byłych jeńców i więźniów. A także ludzi wywiezionych podczas wojny na roboty do Niemiec. W tych obozach czekali na powrót do swoich ojczyzn albo wyjazd do nowych krajów.

Do Polski tata wrócił w drugiej połowie lat czterdziestych. Nie potrafił i nie chciał rozpocząć nowego życia na Zachodzie, zakorzenić się w obcym świecie. Wylądował w Szczecinie. I znowu rzucił się w wir działalności społecznej. Chodził po wsiach z plecakiem wypchanym książkami i zachęcał chłopów do czytania fachowej rolniczej literatury. Nazywało się to „księgonoszosztwo”. Ojciec był naprawdę niestrudzony.

Właśnie wtedy poznał moją mamę, Teresę Grześkowiak, młodszą od niego o trzydzieści lat. Działo się to na zjeździe bibliotekarzy.

Rodzina mamy pochodziła spod Łomży. Jej ojciec, a mój dziadek, w wojnie z bolszewikami stracił oko. Kiedy przyszedł 1939 rok, Sowieci przypomnieli sobie o nim i deportowali go z całą rodziną do Kazachstanu. Czyli „na Sybir”, jak mówiło się u nas w rodzinie.

Babcia była bardzo przytomną, zaradną osobą. Musiała sobie w końcu radzić z siedmiorgiem dzieci. Najmłodsze było jeszcze przy piersi. Kiedy Sowieci wypędzali ich z domu, wzięła ze sobą maszynę do szycia. I to uratowało im życie. Dzięki tej maszynie nie umarli z głodu. Babcia w Kazachstanie szła bowiem miejscowym kobietom ubrania, a w zamian dostawała to butelkę mleka, to kubek mąki czy kilka kartofli. Robiła placki z lebiody i zupę z pokrzyw. Cudem udało jej się wykarmić całą gromadkę.

W 1941 roku ogłoszono, że generał Władysław Anders tworzy w Związku Sowieckim Polskie Siły Zbrojne. Dziadek natychmiast zgłosił się do ich szeregów. Dzięki temu rodzinie razem z wojskiem udało się wydostać z „niehumanitarnej ziemi”. Trafili do Persji. Właśnie ze względu na te tragiczne losy mojej rodziny, ze względu na opowieści babci, mam dziś wiele zrozumienia i współczucia dla ludzi, którzy uciekają przed wojną. Sama jestem z rodziny polskich uchodźców.

Kiedy babcia z dziećmi znalazła się w Persji, ludzie przychodzili ją oglądać jako ewenement. To jest ta kobieta - mówili z podziwem - która uratowała siedmioro dzieci z sowieckiego piekła. To było naprawdę coś. Śmiertelność wśród polskich dzieci na zesłaniu była bowiem olbrzymia.

Mama razem z babcią i rodzeństwem wylądowała w Rodezji Północnej, w brytyjskiej kolonii w Afryce. Teraz kraj ten nazywa się Zambia. Pierwsze, co polscy tułacze organizowali w nowych osiedlach, były szkoły. Mama wiodła więc życie nastolatki. Dziadek tymczasem przeszedł cały szlak bojowy 2 Korpusu, walczył pod Monte Casino.

Po zakończeniu wojny dziadek z babcią nie chcieli zostać na

Zachodzie. Mogli popłynąć z transportem osadników do Australii, ale postanowili wracać do Polski. Niestety, okazało się, że w ich domu mieszka już ktoś inny - trafili więc w okolice Koszalina.

Mama wkrótce poznała mojego tatę. Tak jak mówiłam, ojciec miał w sobie coś, co imponowało ludziom. Przyciągało ich do niego. Był świetnym mówcą, naturalnym liderem, przede wszystkim zaś człowiekiem, który lubił życie. Mama od razu się w nim zakochała. Powiedziała mu, że będzie jego życiową nagrodą. Zostali parą, mimo że ojciec miał już rodzinę i nie od razu dostał rozwód.

Sprawa pierwszego małżeństwa była tematem tabu. Parę lat przed śmiercią ojciec opowiedział mi jednak historię, której teraz nie da się już sprawdzić. Otóż w czasie okupacji dostał cynk, że dozorca w ich kamienicy jest konfidentem Gestapo. W związku z tym mógł na niego donieść. Poprosił więc żonę, żeby wyjechała z dziećmi z Warszawy, a on mógłby się wtedy ukryć. Ona jednak uznała to za histerię i powiedziała, że się nie ruszy. W efekcie trafił do Auschwitz.

To była dla niego bardzo bolesna sprawa. Taka zadra.

Rodzice uczyli w małej szkole pod Szczecinem. Ojciec testował na mnie swoją metodę nauki pisania i czytania - zamiast liter wkuwałam sylaby. Opanowałam tę metodę w wieku pięciu lat i od razu poszłam do szkoły. Moje dzieciństwo przebiegło wśród książek. Towarzyszyły mi od zawsze. Uwielbiałam je, byłam od nich uzależniona jak współczesne dzieciaki od internetu i smartfonów. Czytałam po nocach przy świetle latarki, pogryzając suche skórki chleba, które gromadziłam pod poduszką.

Nasza okolica była bardzo ciekawa. Z jednej strony była to wieś ludzi przybyłych z centralnej Polski, którzy po wojnie wracali tędy z robót z Niemcami, z drugiej strony - wieś osadników z Wileńszczyzny. Dwa światy. Inne doświadczenia, obyczaje, a nawet język. W efekcie między wsiami panował permanentny konflikt. Przenosiło się to nawet na dzieci, które rzucały w siebie kamieniami.

Kiedy byłam mała (urodziłam się dziesięć lat po wojnie), do

wsi przyjeżdżali potomkowie Niemców. Ludzi, którzy zostali stąd wysiedleni. Chcieli zobaczyć swoje stare gospodarstwa. Powodowało to u Polaków poczucie niepewności, tymczasowości. Obawiali się, że prędzej czy później Niemcy zabiorą ich domy.

## **Pierwsze zderzenie**

Chociaż mama była o wiele młodsza od taty, umarła pierwsza. Miałam wtedy dwanaście lat. Siostra mamy zaproponowała tacie, że weźmie mnie do siebie, do Gdyni, bo w dużym mieście będą miała lepsze możliwości kształcenia się. Zgodził się na taki układ, choć z ogromnym bólem serca. Z tatą został mój niepełnosprawny młodszy brat, Wituś.

Pierwszym moim doświadczeniem politycznym był Grudzień '70. Byłam wtedy w drugiej klasie liceum. Rano poszłam do szkoły, ale już nie mogłam się z niej wydostać. Całe śródmieście Gdyni wrzało, na ulicach trwały zamieszki. Telefony były wyłączone. Wylądowaliśmy więc całą grupą u kolegi, który mieszkał najbliżej szkoły - na Kamiennej Górze. W pobliżu na ulicach gwizdały kule.

W pamięci wyryły mi się obrazy z tamtych dni. Stoimy na balkonie naszego mieszkania. Ulicą pędzą na sygnale karetki z rannymi, a nad nimi krążą milicyjne helikoptery. Milicjanci zrzucają z góry na karetki świece dymne. Wujek, wściekły, wygraża pięścią milicjantom. „Przestań, bo jeszcze cię zastrzelą” - mówiła ciocia, popychając go do domu.

Wuj pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Gdy zaczął się strajk, nie poszedł do pracy, ignorując w ten sposób wezwanie pierwszego sekretarza partii Stanisława Kociółka. Ci, którzy udali się do pracy, zostali przywitani przez kule wystrzelone przez milicję. Doszło do masakry robotników.

To było moje pierwsze zderzenie z systemem totalitarnym. Po raz pierwszy zobaczyłam, jak taki reżim działa w praktyce, jak bezwzględnie potrafi zdławić wszelkie przejawy oporu. Z jaką brutalnością traktuje własnych obywateli.



*Grudzień '70 był pierwszym politycznym doświadczeniem Elżbiety. Widziane wtedy obrazy pchnęły ją do czynnej walki z totalitarnym reżimem.*

Byłam wtedy młodą, idealistycznie nastawioną dziewczyną i wszystko się we mnie buntowało. Czułam solidarność z bezbronnymi ludźmi, którzy zostali zaatakowani przez drabów w mundurach. Milicjanci i żołnierze wyglądali jak cyborgi: w hełmach zasłaniających twarze, z pałami, tarczami, miotaczami gazu, w opancerzonych pojazdach. Różnica między filmem a komunistyczną rzeczywistością polegała na tym, że milicjanci mogli naprawdę zabić. I pozostać całkowicie bezkarni.

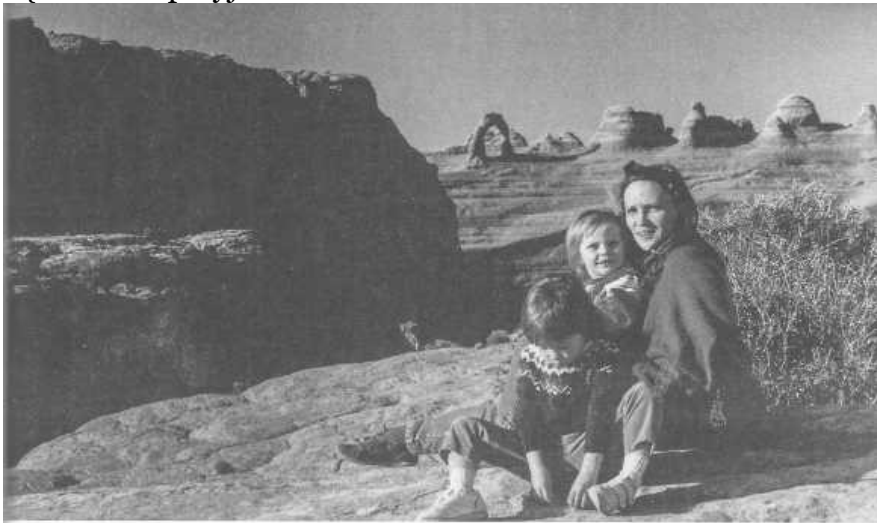
Oburzało mnie jeszcze coś - to, że w tym systemie były tematy tabu, że ludzie o pewnych sprawach wiedzieli, ale nie ośmielali się o nich głośno mówić. Czuli się zastraszeni, sterroryzowani. Na przykład wszyscy wiedzieli, że jedna sąsiadka straciła syna i nie było wiadomo, gdzie jest jego grób. Ale cicho sza. A inna sąsiadka, która była lekarką w szpitalu, widziała, jak przywożono z miasta ludzi podziurawionych kulami, korytarze spływały krwią... Ale cicho sza. Ta sytuacja doprowadzała mnie do pasji!

Z drugiej strony byłam jednak typową nastolatką. Sprawy publiczne, Grudzień '70 musiały ustąpić moim codziennym zmartwieniom. Czy zdam maturę? Czy kolega, w którym się podkochuję, spojrzy na mnie? To były moje ówczesne dylematy. Byłam młoda, szczęśliwa, wydawało mi się, że przyszłość należy do mnie.

Bardziej zajmowałam się więc sprawami damsko-męskimi, tym, kto z kim się całował, czy co będzie na najbliższej klasówce z matematyki niż polityką.

Na studia poszłam do Warszawy. Wybrałam etnografię - chciałam poznawać egzotyczne kultury. Poza tym w Warszawie, na Powiślu, było wolne mieszkanie po moim wuju, który wyjechał wykładać socjologię w Zambii.

Najpierw dzieliłam je z młodym małżeństwem, a potem - gdy ci państwo doczekali się własnego mieszkania - wprowadziły się do mnie przyjaciółki ze studiów.



*Wybrała studia etnologiczne, by poznawać nowe, egzotyczne kultury. Pod koniec lat osiemdziesiątych wyjechała z mężem do Stanów Zjednoczonych. Dla dziewczyny z PRL-u było to zderzenie dwóch różnych światów.*



Alina Cała, obecnie znana badaczka relacji polsko-żydowskich, i Basia Kunicka.

W mieszkaniu panował trochę hipisowski klimat. Obrastałyśmy w znajomych naszych znajomych. Żyliśmy w takiej małej komunie. Zawsze można było u mnie przenocować, urządziłyśmy prywatki, gadałyśmy do białego rana. Słuchałyśmy Dylana i Wysockiego, czasem Basia śpiewała przy akompaniamencie gitary.

## **Drukarnia w kuchni**

W 1976 roku znowu się zaczęło. Znowu władze brutalnie stłumiły robotnicze protesty. Rozmawiałam o tym z koleżanką, powiedziałam jej, jak bardzo jestem rozgoryczona. Wtedy spojrzała na mnie uważnie i powiedziała:

- Chcesz coś zrobić? No to się włącz.

Okazało się, że ona - jako była harcerka słynnej „Czarnej Jedyńki” - bierze udział w akcji pomocy dla robotników i ich rodzin. Alina też już była w to zaangażowana. Oczywiście natychmiast się w to włączyłam. Jeździłyśmy na procesy robotników, załatwiałyśmy im pomoc prawną i materialną. Moim pierwszym zadaniem było przepisywanie na zielonej bibułce komunikatów KOR-u.

Wtedy właśnie poznałam Tomka Chlebowskiego. Zostałam zaproszona do audycji radiowej na temat najlepszych studentów „nieżyciowych” kierunków. Tomek, który studiował astronomię, również znalazł się w gronie zaproszonych.

Opowiadał, że astronomowie patrzą w gwiazdy i nic poza tym ich nie interesuje. A ja byłam wtedy bardzo bojowo nastawiona i uważałam, że ten chłopak plecie straszne bzdury! Wokół dzieje się historia, ludzie giną i są represjonowani. Obowiązkiem młodego pokolenia jest działanie, doprowadzenie do zmiany. A on sobie patrzy w gwiazdy!

Strasznie mnie to zbulwersowało. Postanowiłam mu to wszystko wygarnąć, po audycji poszliśmy na herbatę. Ledwo usiedliśmy, Tomek wyciągnął z torby „Trybunę Ludu” i zapytał,

co o niej sądzę. Zamurowało mnie.

Akurat trwała wtedy głódówka w kościele św. Marcina. Oczywiście w obronie praw człowieka - chodziło o nielegalne przetrzymywanie w więzieniach skazanych po Czerwcu '76 robotników oraz współpracowników KOR-u. Reżimowa prasa pisała zaś kłamliwie, że to jacyś „rewizjoniści” usiłują oczernić „ojczyznę” przed Zachodem i że chodzą „na pasku imperialistów”. Tomek podsunął mi ten artykuł.

Nie wytrzymałam i rąbnęłam mu cały wywód, że głodujący to szlachetni ludzie, którzy działają z ideowych pobudek. A komuniści to zbiry. My, młodzi, musimy ten system zmienić od podstaw. Takich rzeczy na ogół nie mówiło się otwarcie nieznanym, ale ja poważnie się na niego zirytowałam. Tomek cały czas bacznie mi się przyglądał. Bał się, czy nie jestem prowokatką, która chce go skłonić do wygłoszenia „antypaństwowych” poglądów i zadenuncjować do bezpieki. W rzeczywistości był jednym z dziesiątków anonimowych współpracowników KOR-u! A o komunie wiedział więcej niż ja, bo wychowywano go w kulcie dziadka, oficera rozstrzelanego przez Sowietów w Charkowie.

Tomek nie do końca był mnie pewien, mimo to zaprosił mnie na swoje imieniny do domu na Jelonkach. Osiedle domków fińskich, które pozostało po budowniczych Pałacu Kultury, to prawdziwy labirynt. Strasznie tam zabłądziłam. Był ulewny deszcz, zmokłam do suchej nitki. Tymczasem Tomek wyszedł po mnie i znalazł mnie w tej ulewie. Nie było jednak tak, jak na romantycznych filmach, nie doszło do żadnego pocałunku w deszczu. Na razie zostaliśmy przyjaciółmi.

W drugiej połowie 1977 roku zaczęły powstawać pierwsze niezależne pisma. W moim mieszkaniu składany był między innymi pierwszy numer „Głosu”. Piotr Naimski przytaszczył wielki plecak z zadrukowanymi kartkami. Pamiętam, jak cała ferajna miotła się, dość nieudolnie próbując zszywać grube pismo zbyt krótkimi zszywkami. Zupełnym dramatem był jednak wyjątkowo gruby „Zapis”. Wychodziło, nie przesadzając, że dwadzieścia zszywek na numer i nie dawało się go swobodnie kartkować.



*W latach siedemdziesiątych Elżbieta włączyła się w działalność konspiracyjną. Poznała wtedy wspaniałych ludzi, z którymi nie tylko „knęła przeciwko władzy”, ale także się zaprzyjaźniła.*

Dla mnie najważniejszy był jednak „Robotnik”, założony między innymi przez Helenkę i Witka Łuczywów, Ludkę i Henia Wujców, Darka Kupieckiego i Janka Lityńskiego. Helenka potem, po latach, założyła „Gazetę Wyborczą”.

Poznałam ich na jakiejś prywatce, bo w tym środowisku było tak, że razem się „knęło” przeciw władzy i razem się bawiło. Szybko się porozumieliśmy. Pierwsze numery składałam z Baśką i Aliną. Przepisywałam matryce. Potem okazało się, że Witek szukał jakiegoś miejsca, gdzie mógłby drukować „Robotnika”. A moja kuchnia akurat świetnie się do tego nadawała. I tak to się zaczęło.

Witek Łuczywo jest chemikiem i cały czas eksperymentował, starając się uzyskać najlepszą farbę drukarską do sitoramki.

Ramkę z naciągniętą na nią nylonową siatką (matrycą) opuszczało się na podłożoną kartkę papieru i przejeżdżało szpachlą z farbą. Trzeba było wyciągnąć kartkę i odłożyć ją, żeby druk wysechł. Lwią część pracy wykonywał Witek, my z Aliną i Basią na zmianę podkładałyśmy i wyciągałyśmy papier. Ręce nas bolały od robienia kolejnych odbitek.

Nylonowa tkanina, potrzebna do druku, była nie do kupienia. Kiedy Alina pojechała do Włoch, przywiozła stamtąd wielki jej kawał - jako materiał na welon ślubny.

Było wesoło, bo Witek jest niezrównanym gawędziarzem i sprzedawał nam zawsze najnowsze ploteczki. To on nas ochrzcił mianem „dziewczynek spod mostu”. Moje mieszkanie znajdowało się bowiem tuż przy filarach mostu Poniatowskiego.

Niestety, moje mieszkanie szybko zostało namierzone przez bezpiekę. W tym pierwszym okresie, w latach siedemdziesiątych, opozycja demokratyczna była bardzo niewielka. Wszyscy się znali, wszyscy byli jakoś ze sobą powiązani.

To bardzo ułatwiało pracę bezpiece. Byliśmy obserwowani i podsłuchiwani. Wiedzieliśmy o tym i dlatego naszą działalność uprawialiśmy niemal jawnie. To nie była jakaś wielka konspiracja.

Kilka lat temu poszłam do IPN-u zobaczyć swoje papiery. Byłam ciekawa, co tam może być. Okazało się, że byliśmy bardzo hermetyczną grupą. Że bezpieka próbowała nas rozgryźć, ale nie byli w stanie infiltrować samego rdzenia organizacji, czyli po prostu grupy przyjaciół. Kto z kim flirtuje, a kto z kim konspiruje? To była dla nich czarna magia.

Czy w moim otoczeniu byli agenci? Tak. Służba Bezpieczeństwa namówiła do współpracy pewną osobę, która u mnie przez pewien czas pomieszkiwała. To była dziewczyna spoza Warszawy, nie miała się gdzie podziać i na trochę ją przygarnęłam. Z jej zeznań wyraźnie jednak wynika, że robiła wszystko, aby swoim oficerom prowadzącym powiedzieć jak najmniej. Zbywała ich pytania, zasłaniała się niewiedzą - udawała idiotkę. Mówiła, że jej nie lubimy i nie dzielimy się z nią informacjami. Że zamykam wszystkie szuflady na klucz.

Zresztą wdała się wówczas w szalenie ognisty romans, niczym z wenezuelskiego serialu, i tylko to ją interesowało. W gruncie rzeczy była nieszkodliwa.

Zaczęły na mnie spadać szykany. Zostałam wyrzucona ze studiów doktoranckich, odmówiono mi wydania paszportu. Ale co z tego? Nie przejmowałam się tym. Uważałam, że jakąś pracę zawsze znajdę, jakoś sobie poradzę. Mam przecież gdzie mieszkać. Byłam niezależna. Bezpieka nie mogła mi więc wiele zrobić. Co najwyżej zatrzymać na czterdzieści osiem godzin. Nie zabiją mnie przecież, bo wokół są moi przyjaciele i zrobiłby się raban na cały świat. To już nie były lata czterdzieste czy pięćdziesiąte.

Stworzyliśmy wtedy fajną wspólnotę. Uważaliśmy, że póki trzymamy się razem - władze nic nam nie mogą zrobić. Nikt z nas nie chciał się ześwinić, bo to by oznaczało stratę przyjaciół, wykluczenie ze środowiska, które było dla nas wszystkim.

## **Człowiek z chrypą**

Pierwsza rewizja? W połowie 1978 roku. Czekali na mnie na klatce schodowej. Kiedy otwierałam drzwi do mieszkania, do środka wpadło za mną dwóch bysiorów. Takie przeszukanie jest potwornie nieprzyjemne. Obce łapy bezceremonialnie grzebią w intymnych, osobistych rzeczach. W bieliźnie, w listach, a nawet w kaszy i cukrze! Człowiek ma poczucie, że jego dom został splugawiony. Że wszędzie zostały ślady brudnych esbeckich paluchów.

Po zakończeniu rewizji zabrali mnie na komendę, z bibułą i maszyną do pisania. Tej ostatniej nigdy mi nie oddali. Nawiasem mówiąc, przez cały PRL władze skonfiskowały mi w sumie pięć maszyn, bezzwrotnie.

Po takich doświadczeniach człowiek uczy się, żeby nie przechowywać żadnych prywatnych zapisków, nie pisać pamiętników, nie pstrykać sobie fotek na lewo i prawo. Wszystko bowiem mogło być wykorzystane przeciwko tobie. Właśnie dlatego niewiele mam pamiątek z tego okresu.

Tymczasem po raz pierwszy trafiłam „na dół”. To było bardzo ciekawe doświadczenie. W celi spotkałam bardzo przestraszoną księgową, która została zatrzymana za jakieś machlojki finansowe. I młodą, bardzo ładną dziewczynę, która odbiła swojej matce kochanka. Wyszła z tego jakaś rodzinna awantura, która skończyła się kradzieżą biżuterii i kryminałem. Ale równie dobrze mogła to być zwykła prostytutka, która wszystko zmyśliła.

Gorzej trafiła moja koleżanka, Ulka Doroszevska - w III Rzeczypospolitej ambasador w Gruzji. Otóż ona została wtrącona do celi razem z dziewczyną, która obcięła głowę swojej matce. A potem poćwiartowała resztę ciała. Można się domyślić, że nie jest przyjemnie przebywać z kimś takim w jednym pomieszczeniu. Nie jest łatwo zasnąć, gdy obok na pryczy leży psychopatyczna morderczyni. Za to Tomek, gdy z kolei jego aresztowali, trafił na jednonogiego włamywacza, który robił podkop pod sklep z futrami i na tym właśnie wpadł.



*Tak wyglądała typowa celi, w której więziono działaczy opozycji. Nie było w niej miejsca na prywatność.*

Nasza cela była niezwykle ciasna. W rogu stał kubeł, do którego musiałyśmy się załatwiać. Mimo że było brudno i śmierdziało, byłam dumna. Gdy po czterdziestu ośmiu godzinach mnie wypuścili, uważałam, że mam za sobą chrzest bojowy. Aresztowanie okazało się nie takie straszne, nabrałam pewności siebie. Poczulałam się jak prawdziwa opozycjonistka, przeciwnik reżimu.

Po wyjściu prowadziłam dalej przyjemne życie „gęgaczy”. Tak satyryk Janusz Szpotański określił opozycję, która głównie zajmuje się gęganiem, czyli gadaniem po próżnicy, spieraniem się w swoim gronie. Po części rzeczywiście tak było.

Wkrótce wystartował podziemny „Biuletyn Informacyjny”. Główną redaktorką była Joanna Szczęsna, po 1989 roku dziennikarka „Gazety Wyborczej” i pisarka. „Biuletyn” tworzyła razem z Sewkiem Blumsztajnem, który zajął się drukiem w „Nowej”.



*Jacek Kuroń był dla młodych opozycjonistów wielkim autorytetem. To on kierował ich działaniami. Po śmierci ukochanej żony Gaj ki młodzież starała się go wspierać.*

Joasi była potrzeba pomagierka, ktoś w stylu: podaj, przynieś, pozamiataj. I zostałam tą pomagierką.

Joanna była świetną redaktorką. Nikt tak jak ona nie opowiada anegdot, a trzeba przyznać, że ma język niczym brzytwa. W tym okresie miotła się po Warszawie z dzieckiem na ręku od jednego wynajmowanego mieszkania do drugiego. Zatrudniała się fikcyjnie u przyjaciół jako gosposia.

To były szalone czasy, wszyscy sobie pomagaliśmy, mimo że nieraz się ze sobą spieraliśmy. Pamiętam, że kiedyś Antoni Macierewicz zorganizował jakieś zebranie opozycyjne, a za obstawę robiła. .. Alina Cała. Była jedną z czujek sterczących na rogu. Miała dać znać, jakby pojawiła się milicja.

Na jednym ze spotkań poznaliśmy z Tomkiem człowieka, który zrobił na nas niesamowite wrażenie. Nie mogliśmy się zdecydować, czy nas bardziej zachwyił, czy przeraził. To był Jacek Kuroń. Głos miał zachrypnięty jak praski dorożkarz. Palił ogromne ilości papierosów i pił herbatę „siekiere”. Mocną jak więzienny czaj. Całkowicie przepaliło mu to gardło.

Nigdy nie poznałam kogoś, kto by tak lubił ludzi, jak on. Był ich ciekaw. Kuroń absolutnie nikim nie pogardzał. Każdego potrafił wysłuchać. W dodatku miał energię lokomotywy. Wchodził i momentalnie wszystkie oczy zwracały się ku niemu.

- Helenko, Irenko, Wojtku - komenderował zachrypniętym głosem - ty pojedziesz tam, załatwisz to, zajmiesz się tym.

I choćby mieli chore dziecko, nogę w gipsie i tysiąc innych pilnych spraw, nawet by im do głowy nie przyszło odmówić.

Dla niego niesprawiedliwość społeczna była autentycznie bolesna. Najbardziej przejmował się tymi, którzy nie mają głosu, nie mogą protestować. Najślabszymi. Uważał, że inteligencja ma swoją misję do spełnienia, ma służyć skrzywdzonym i poniżonym.

Z Jackiem wiąże się dramatyczna historia. Historia miłosna, która nie ma happy endu. Miał piękną, wspaniałą żonę, którą bardzo kochał. Niestety, Gajka chorowała na rzadką chorobę płuc. Nie dało jej się uratować. Krótko po wyjściu z internowania zmarła. To było w 1982 roku. Dostał przepustkę na jej pogrzeb.



Chodziliśmy wtedy do Jacka, żeby go wspierać. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. On siedział i z rozpaczą pił na umór. Wlewał w siebie potworne ilości whisky. Mimo to był absolutnie trzeźwy. Wyglądał jak zombie, jakby sam umarł w połowie. Usiłował wypalić ból alkoholem, ale nie był w stanie. Nigdy nie widziałam człowieka, który by tak strasznie cierpiał po utracie bliskiej osoby. Myślę, że nigdy już nie podniósł się po śmierci Gajki, mimo że po pewnym czasie drugi raz się ożenił.

Jacek nawoływał, żebyśmy nie palili komitetów, tylko tworzyli własne. To wynikało z pozytywistycznego, antypowstańczego nastawienia. Przez cały XIX wiek traciliśmy pokolenia najlepszych Polaków, w kolejnych powstaniach, które kończyły się klęską i rozlewem krwi. Elity były zabijane, wysyłane na Sybir, ludzie uciekali na emigrację. Naród polski był ciągle przetrzebiany.

Jacek uważał, że musimy z tym zerwać. Chodziło o to, by budować struktury, wydawać gazety. Ciężko pracować na rzecz zmiany. Opozycja lat siedemdziesiątych stała się zaczynem dla tego, co wydarzyło się w latach osiemdziesiątych. Dla pierwszej Solidarności.

## **Solidarność w więzieniu**

Gdy wybuchły strajki w Stoczni Gdańskiej, strasznie się denerwowałam. Obawiałam się bowiem, że robotnicy się od nas odsuną. Nie będą chcieli mieć nic wspólnego z inteligencją i sami dojdą do porozumienia z władzami. Należy pamiętać, że wszyscy najważniejsi opozycjoniści - Michnik, Kuroń, Naimski - siedzieli wtedy w więzieniach.

Całe szczęście, że zwyciężyła wtedy solidarność, taka prawdziwa. Pełna. Po raz pierwszy to społeczeństwo zaistniało jako całość. Inteligencja i robotnicy razem jako dwie strony jednego ruchu. To uczucie jedności, wspólnoty było wspaniałe. Wobec takiej siły władza wydawała się kruchą wydmuszką, którą łatwo można zgnieść.

Poczułam, że teraz, jak wszystko jest już „załatwione”, mogę zająć się swoim nieco zaniedbanym życiem. Wróciłam na uczelnię, do mojej katedry - zostałam asystentką. Siadłam nad rozgrzebanym doktoratem.

Już po kryzysie bydgoskim spodziewaliśmy się, że władze wprowadzą jakiś stan wyjątkowy. Że będą próbowały rozprawić się ze związkiem. Atmosfera była bardzo napięta. Nic się jednak nie stało. Komuniści kręcili, ale wydawało się, że nie przeprowadzą frontального ataku. Dlatego 13 grudnia był dla nas wielkim zaskoczeniem. Szokiem. Związek nie był na to przygotowany, zwłaszcza że wydarzyło się to tuż przed świętami.

Na Boże Narodzenie miała przyjechać do mnie moja ciocia. W związku z tym postanowiłam doprowadzić mieszkanie do porządku - przez całą sobotę 12 grudnia zawzięcie wszystko pucowałam. Pod koniec dnia byłam już tym tak zmęczona, że nie miałam siły umyć się przed snem. Kiedy więc w środku nocy rozległ się straszliwy łomot do drzwi, natychmiast pomyślałam: „Muszę się umyć!”

Miałam same złe przeczucia. Wypływały one z historii mojej babci, którą w 1940 roku Sowieci wywieźli na Sybir. Czy teraz ja, po czterdziestu latach, pojedę jej śladem? Nie było jednak czasu na rozważania. Usłyszałam, że esbecy biorą się za wyważanie drzwi. Całe szczęście, że były bardzo solidne, miałam więc trochę czasu. Umyłam się, łącznie z włosami. I założyłam ciepły sweter, bieliznę i kozuch. Alinka w tym czasie krzyczała przez okno na cały głos:

- Ludzie! Solidarność aresztują!

Wreszcie udało im się sforsować drzwi. Weszli cali spoceni, zziębnięci. Byli w zielonych polowych mundurach, porządnie ocieplanych. Byli bardzo niezadowoleni, że musieli wyważać drzwi, ale zachowywali się nawet uprzejmie. Oświadczyli, że mam się zbierać, ale nie ciągnęli mnie siłą. Pomyślałam, że gdybym była zwykłą robotnicą z Żyrardowa, nie patyczkowałiby się tak ze mną. Dostałabym po twarzy za to, że nie otworzyłam drzwi.

Pojechaliśmy na komendę, gdzie było już mnóstwo

znajomych. To świadczyło o tym, że naprawdę jest niedobrze. Że dzieje się coś dużego. Co z nami będzie? Pamiętam, jak Krysia i Janek Lityńscy siedzieli na schodach i namiętnie się całowali, jakby mieli to robić po raz ostatni.

Na komendzie odczytano nam urzędowe formułki, za co nas aresztują. Ja miałam „zagrozić ustrojowi”. Ktoś inny z kolei zagroził... sojuszowi ze Związkiem Sowieckim. Wkrótce kobiety blaszaną budą zostały zawiezione na Olszynkę Grochowską. Władze tamtejszego aresztu śledczego nie były przygotowane na tak dużą liczbę nowych pensjonariuszy. Wrzucili nas do jakiegoś nieogrzewanego bloku, dostałyśmy wodę w wiadrze, która od razu zamarzała.

Siedziałyśmy ściśnięte w dużej, chyba dziesięcioosobowej celi. Zimno, brudno, piętrowe żelazne prycze. Była wydzielona przestrzeń na kibel, ale bez firanki, więc zawiesiliśmy tam koc. Oprócz tego miednica i wiadro z wodą.

Miałam niepełnosprawnego brata, którym się opiekowałam po śmierci taty. Martwiłam się, jak sobie beze mnie poradzi. W najtragiczniejszej sytuacji znalazły się jednak matki małych dzieci. Odebrano im je, mówiąc, że trafią do domu dziecka. Istny horror. Wewnątrz dosłownie szalały z rozpacz. Waliły głową w mur.

Muszę też wspomnieć o dwóch robotnicach, które z nami siedziały - Krysi i Jadzi. Obie pracowały w zakładach włókienniczych. Panowały w nich warunki pracy rodem z XIX wieku. Kobiety musiały wykazać się tam niemałym heroizmem, żeby działać w związku zawodowym i bronić praw pracowniczych. Po 1989 roku wiele z tych zakładów przestało istnieć. Ludzie tacy jak Jadzia nie uważali, że nasza walka skończyła się zwycięstwem. Mieli gorzkie poczucie klęski. Spodziewali się, że po upadku komuny ich życie zmieni się na lepsze, tymczasem po upadku dużych, państwowych zakładów pracy znaleźli się w trudnej sytuacji.

Jak się trafia do więzienia, człowiek musi sobie powiedzieć stanowczo w takim miejscu, że świat na zewnątrz nie istnieje. Należy skupić się na przetrwaniu, a oni tam jakoś sobie poradzą. Mam taką metodę, że w takich sytuacjach... śpię. Nas,

politycznych, klawiszki nie zganiały z łóżek, jak to robiły ze zwykłymi aresztantkami. Spałam więc przez całe dni pod swoim kożuchem, który później koszmarne śmierdział. Przez wiele dni nie mogłyśmy się bowiem umyć. Bałyśmy się, że zachorujemy. Zamówiłyśmy więc u bliskich paczki z czosnkiem i cebulą.

Tomek, mimo że ukrywał się przed bezpieczeństwem, przyszedł do mnie na widzenie! Wszedł więc prosto w paszczę lwa. Przywodził ze sobą mojego brata. Okazało się, że następnego dnia po moim aresztowaniu przyjechała do mojego mieszkania mama Tomka i zabrała

Witka do siebie. Mieszkał u niej aż do mojego wyjścia ze szpitala. Miał się tam jak pączek w maśle.

Była u mnie też moja szefowa z uczelni, pani profesor Zofia Sokolewicz. Szalenie dystyngowana pani, postrach wszystkich magistrantów. Była elegancka jak zawsze, mocno kontrastowała z prząsnym, surowym więziennym wnętrzem. Podczas widzenia dyskretnie wcisnęła mi w dłoń gryps.

Byłyśmy dziewczynami z Solidarności, w celi musiała więc panować solidarność. Wszystkim się dzieliłyśmy. Jedzeniem z paczek, lignią, środkami czystości. Potem zaczęły przychodzić paczki z Zachodu od ludzi i organizacji wspierających polską opozycję. Władze zgodziły się na dostarczanie ich więźniom. Dostałyśmy wtedy szampony, kosmetyki i podpaski, dużo lepszej jakości niż to, co można było w PRL-u dostać na wolności.

Zacząłyśmy szukać sposobów komunikowania się między celami. Odkryłyśmy, że między naszą a sąsiednią celą jest minimalna dziurka nad podłogą, którą wywierciły jakieś wcześniejsze więźniarki. Dziewczyny w celi obok miały czekoladę. Jedną kosteczkę podzieliły na mnóstwo małych kawałeczków, zawinęły w bibułkę i przepchnęły ją nam przez tę dziurkę. Mimo że każda z nas dostała po okruszku, ta czekolada smakowała po prostu świetnie!

Jedzenie, które dostawałyśmy z kotła, było paskudne. Trzy razy dziennie przyjeżdżał wózek i więźniarki funkcyjne rozlewały zupę, w której kiedyś znalazłyśmy nawet świńskie ucho.

Miałyśmy też prawo do „spaceru”. Chodziłyśmy gęsiego po małym prostokącie, z zakazem odzywiania się do siebie. Nad nami, na murze, stało czterech strażników, gotowych w każdym momencie strzelać.

Pamiętam wizytę prymasa Józefa Glempa i straszny zawód z nią związany. Odwiedził nas „ze względów humanitarnych”, natomiast „ze względu na dobro Kościoła” nie mógł wypowiadać się politycznie. A każda z nas, idąc do niego pod pretekstem spowiedzi, czekała, aż zacznie opowiadać o oporze społecznym, o buncie, o tym, że Zachód idzie nam z pomocą. A prymas był bardzo powściągliwy, ostrożny. Na pytanie: „Co się dzieje na mieście?”, Glempl odpowiadał: „Śnieg pada i jest mróz”.

Teraz rozumiem, że nie mógł postąpić inaczej, natomiast wtedy było to dla nas wielkim rozczarowaniem. Wstrząsnęły nami doniesienia o masakrze w kopalni „Wujek”. Codziennie wiadomości przekazywała nam „szczekaczka”, czyli głośnik przytwierdzony pod sufitem.

Kiedy podano informację o pacyfikacji robotników, była akurat u nas w celi klawiszka. Słyszac, co się dzieje w kopalni, wszystkie skierowaliśmy na nią mordercze spojrzenia. Nie wytrzymała. Rozbeczała się i wybiegła na korytarz.

Znowu czułam tę straszną bezsilność. Znowu czerwoni mordują naszych, a my nic nie możemy zrobić. To było straszne. Tak jak straszne jest to, że do tej pory nikt nie poniósł odpowiedzialności za tragedię, do której doszło w kopalni. Wojsko zabiło tam dziewięciu niewinnych robotników, a dwudziestu czterech raniło.

Jedyną fajną rzeczą w więzieniu było to, że wreszcie miałam dużo czasu na czytanie. Mogłyśmy do woli korzystać z więziennej biblioteki. Przeczytałam *Czarodziejską górę* Tomasza Manna.

Musiałyśmy oszczędzać wodę, żeby starczyło jej dla wszystkich. W więzieniu przekonałam się, że można całkiem dobrze się umyć jednym niewielkim kubeczkem ciepłej wody. Trzy kubeczki to już pełna kąpiel.

Wywieźli nas do ośrodka internowania w Gołdapi. I tam nas

szlag trafił. Przed wyjazdem szykowałyśmy się na najgorsze. Mówiliśmy sobie z dziewczynami, że niezależnie od warunków - a będą na pewno surowe - musimy się trzymać. Tymczasem przywieźli nas do nowoczesnego, wygodnego ośrodka czasowego Radiokomiteu.

Dziewczynom dosłownie wystąpiła piana na usta. Jak oni śmia!?! Naród jęczy w kajdanach, robotnicy giną w masowych pacyfikacjach, a nam tu urządzają jakieś wczasy! Mowy nie ma! Żądamy natychmiastowego powrotu do więzienia.

To była absurdalna reakcja, kompletnie absurdalna. Może to było rozładowanie stresu, a może protest przeciwko próbie oderwania nas przez komunistów od społeczeństwa i pokazania zagranicy, że mamy się dobrze i nic nam nie jest. Że PRL to kraj liberalny i demokratyczny.

Po tej pierwszej gniewnej reakcji nastąpił jednak zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Doszliśmy do wniosku, że nie ma co się wygłupiać. Trzeba przetrwać w nowej sytuacji.

Na początku władze ośrodka chciały nas pozamykać w pokojach, ale szybko machnęły na to ręką. Chyba bały się, że im te cholerne baby z Solidarności rozniosą pokoje w puch. Strażnicy czuli przed nami respekt, woleli nam się nie narażać. Mogłyśmy więc swobodnie przemieszczać się między pokojami i po korytarzach.

Były wśród nas panie profesor, które prowadziły lekcje języków albo wykłady ze swoich specjalności. Inne dziewczyny uczyły robić na drutach. Robiły szaliki i sweterki. Oczywiście ze znaczkami Solidarności. Była gimnastyka na tarasie, chóralne śpiewy, a nawet monodramy teatralne w wykonaniu wybitnej aktorki Haliny Mikołajskiej. W Gołdapi byłam krótko, bo umarła moja babcia. Dostałam przepustkę na pogrzeb i zostałam „porwana”...

## **Kobiety z „Tygodnika”**

Po wyjściu na wolność nawiązałam stare kontakty. Pomógł mi w tym Tomek, który działał w podziemiu od pierwszych dni

stanu wojennego, między innymi z ukrywającą się przed bezpieczeństwem Helenką Łuczywo. Zaczęłam pracować w „Tygodniku Mazowsze”. Pismo było na początku bardzo niepozorne, ale z czasem wyrosło na najważniejszy i najpopularniejszy periodyk podziemnej Solidarności. Stało się jej formalnym organem. Nakład sięgał nawet dziewięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Pierwszym naczelnym „Tygodnika” był Jerzy Zieleński, który zaczął pracę nad pismem jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. 13 grudnia popełnił samobójstwo. Pierwszy numer tygodnika, z informacją o śmierci Zieleńskiego, ukazał się 11 lutego 1982 roku jako numer drugi. Drugą i ostatnią naczelną została Helena Łuczywo. W 1989 roku zespół „Tygodnika” stworzył redakcję „Gazety Wyborczej”.

Nasze mieszkania były spalone, więc musieliśmy prosić różnych ludzi o udostępnienie nam swoich. Pracowaliśmy między innymi u studentki Akademii Teologii Katolickiej z Bielan, która miała męża w wojsku i roczne dziecko. U znanego aktora, wdowca z kilkuletnią córką. W mieszkaniu ekonomisty w Śródmieściu, w mieszkaniu reżysera na dalekiej Woli. To była taka latająca podziemna redakcja. Zupełnie obcy ludzie podejmowali szalone ryzyko.

Na początku „Tygodnik” robiły same kobiety. Helenka Łuczywo, Joasia Szczęsna, Ania Dodziuk, Małgosia Pawlicka, Zosia Bydlińska, no i oczywiście Ania Bikont. Ania przychodziła do redakcji z wielką czarną wilczycą, która w jednym z mieszkań oszczeniła się i do naszej sfory dołączyło dziesięcioro przesłodkich szczeniactków.

Spotykałyśmy się raz w tygodniu, zawsze w innym mieszkaniu. Z całego kraju różnymi prywatnymi i związkowymi kanałami spływały do nas informacje. O tym, gdzie był strajk, w jakiej szkole napisano antyrządowe hasło na ścianie, kogo milicja pobiła za noszenie opornika w klapie. Opornik to taki niewielki element elektryczny, który ludzie w stanie wojennym przypinali sobie do ubrań. Miało to symbolizować sprzeciw wobec represyjnych działań władz, opór.

„Tygodnik Mazowsze” miał swój słynny styl: sucha informacja, zero zbędnych słów. To była ogromna ilość

papieru. I ten papier się w miłość? Wiele nas łączyło. Wspólne ideały, działalność w opozycji. Byliśmy sobie bardzo bliscy. I zaryzykowaliśmy.

To była najlepsza decyzja w moim życiu. Do dziś jesteśmy razem. Dzielę życie z mężczyzną, na którym polegamy w stu procentach. A co więcej - na ogół się z nim zgadzamy. A to jest już bardzo rzadka kombinacja.

Ślub kościelny wzięliśmy przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych w 1986 roku. Mój mąż był wziętym astronomem, dostawał stypendia z Ameryki. Na drugie, do Harvardu, pojechaliśmy razem. Tomek, ja i nasze dwie córki: niespełna dwuletnia Ania i półroczna Asia. Mieszkaliśmy tam dwa i pół roku. To było niesamowite przeżycie. Znaleźliśmy się w innym świecie. Już pierwszej nocy pojechaliśmy do sklepu samoobsługowego. Jako obywatelka PRL-u podczas mojego pierwszego zetknięcia z kapitalizmem przeżyłam absolutny szok. Było pięknie, kolorowo, długie półki pełne towarów. I na nic nie trzeba było kartek.

Zrobiliśmy wtedy trzy wielkie wycieczki po Stanach. Zjeździliśmy je wszędy i wzdłuż. Pamiętam człowieka na stacji benzynowej w Górach Skalistych, który oniemiał na wiadomość, że jesteśmy aż z Bostonu. Nie przyznaliśmy się, że przylecieliśmy z Europy. Chyba nie do końca by uwierzył, że taki kontynent istnieje.

Po powrocie w 1988 roku chcieliśmy się odnaleźć po tak długim pobycie poza krajem. Do pełnego zaangażowania w Solidarność nie było już powrotu. Miałam dwójkę małych dzieci i obowiązki matki. Byłam więc wtedy bardziej obserwatorem niż działaczem. Zresztą wkrótce nadszedł rok 1989. Rok naszego triumfu. Okrągły Stół, wybory, wolność.

Po 1989 roku zajęliśmy się biznesem. Przez parę lat mieliśmy świetnie prosperującą firmę oferującą części komputerowe. Niestety, splajtowała. Mój mąż bardzo to przeżył, poświęcił firmie wiele lat i jeszcze więcej energii. Nie poddał się jednak. Teraz rozkręca *start-up*. A ja tłumaczę literaturę angielską i redaguję książki. Mamy cztery fantastyczne córki, każda jest inna i na swój sposób wspaniała.





*Solidarność wiele zawdzięczała kobietom. Dzięki ich energii i zaradności mogła tak sprawnie funkcjonować. Na zdjęciu: Elżbieta z córkami.*

Gdy rozmawiamy, jest rok 2016 i znowu czuję się potrzebna. Tak jak wtedy. Chodzę na marsze Komitetu Obrony Demokracji. Spotykam na nich przyjaciół z opozycji. Przypominamy sobie stare czasy. Nie chcę pozwolić na to, żeby politycy zmarnowali nasz ogromny dorobek. To, co wywalczyliśmy. Demokrację łatwo zepsuć. Nie tylko u nas. Związek z Unią też może okazać się kruchy. A ja chcę, żeby moje dzieci żyły w bezpiecznej Europie.

Jak wyglądałaby Solidarność bez kobiet? Obawiam się, że to nie byłoby to samo. To dzięki kobietom, ich energii, zaradności i poświęceniu Solidarność mogła tak sprawnie funkcjonować i osiągnąć takie rozmiary.

Byłyśmy podporą tego ruchu, jego motorem napędowym.

Mrówkami robotnicami. Kobiety były w stanie odłożyć na bok swoje osobiste ambicje i wykonywały całą ciężką robotę. Bez wątpienia mężczyźni by sobie bez nas nie poradzili.

*Elżbieta Regulska-Chlebowska*

## Indeks osób

Adamkus Valdas  
Adamski Jerzy  
Ala, koleżanka Jadwigi Chmielowskiej  
Alicja, koleżanka Elżbiety Regulskiej-Chlebowskiej  
Anders Władysław  
Apollo Sławomir

Babiuch Edward  
Balcerowicz Leszek  
Bareja Stanisław  
Bauman Zygmunt  
Biały Leszek  
Bierut Bolesław  
Bikont Anna  
Blumsztajn Seweryn  
Bochniarz Henryka  
Borusewicz Bogdan  
Borusewicz Kinga  
Braniecki Włodzimierz  
Brus Włodzimierz  
Brzeziński Zbigniew  
Bujak Zbigniew  
Bułhakow Michaił  
Bush Laura  
Bydlińska Zofia

Cała Alina  
Carter Jimmy  
Chlebowska Anna  
Chlebowska Joanna  
Chlebowska Marzena

Chlebowska, przyjaciółka Janiny Krzyżanowskiej  
Chlebowski Tomasz  
Chmielowska Jadwiga  
Chmielowska Jadwiga, *de domo Dreiseitel, primo voto*  
Szaniawska  
Chmielowski Tadeusz  
Chruściel Antoni „Monter”  
Chruściel Jadwiga  
Churchill Winston  
Cimoszewicz Włodzimierz  
Cybulski Zbigniew  
Cywińska Elżbieta  
Cywińska Izabella  
Cywińska Renata  
Cywiński Andrzej  
Cywiński Stanisław  
Czarzasty Włodzimierz  
Czechow Anton  
Czernichowski Zbigniew  
Czernyszewicz Edward  
Czerski Zenon

Dejmek Kazimierz  
Dodziuk Anna  
Doroszevska Urszula  
Dowgiałło Krzysztof  
Dreiseitel Jan  
Duda Andrzej  
Duda Eugenia  
Duda Lidia  
Duda Oktawian  
Dylan Bob

Edi, kolega Izabelli Lipniewicz  
Eisenhower Dwight  
Elżbieta, sekretarka Olgi Krzyżanowskiej  
Eris Irena

Fedor Jacek

Gandhi Mahatma

Garlicka Zofia

Geremek Bronisław

Giedroyc Jerzy

Gierek Edward

Gintrowski Przemysław

Glemp Józef

Gocłowski Tadeusz

Godlewski Zbigniew

Gombrowicz Witold

Gomułka Władysław

Goncarz Adam

Gorczevska Małgorzata

Gorczyńska Anna

Gorczyńska Barbara

Gorczyńska Halina, *de domo* Lasocka

Gorczyńska Krystyna

Górczyńska-Szmytkowska Beata

Gorczyński Bogdan

Gorczyński Franciszek

Grabińska Hanna

Grabiński Jerzy

Grabiński Mieczysław

Grabski Maciej

Gribkow Anatolij

Gross Jan

Guett Bernard

Gwiazda Andrzej

Gwiazda Joanna

Halcewicz-Pleskaczewski Zdzisław

Halina, ciotka Olgi Krzyżanowskiej

Hall Aleksander

Hanuszkiewicz Adam

Herbich Ewa  
Herbich Piotr  
Herman Władysław „Żuraw”  
Hirszowicz Maria  
Hitler Adolf  
Hlebowicz Piotr  
Hłasko Marek  
Hochfeld Julian  
Holoubek Gustaw  
Horodecka Iwona, *de domo* Szubryt  
Horodecki Jan

Iredyński Ireneusz

Jadzia, robotnica z zakładów włókienniczych  
Jagielski Mieczysław  
Jan Paweł II  
Jankowska Zofia  
Jankowski Henryk  
Januskiewicz Aleksander  
Jarocki Jerzy  
Jaruzelski Wojciech  
Jastak Hilary  
Jeleń Bogdan  
Julia, wnuczka Jadwigi Staniszkis  
Junka Paula

Kaczmarski Jacek  
Kaczyńska Maria  
Kaczyński Jarosław  
Kaczyński Lech  
Kaliszczak Zbigniew  
Kamiński Aleksander  
Karpiński Jakub  
Kazik, kuzyn Olgi Krzyżanowskiej  
Kiszczak Czesław  
Kmicińska Jadwiga

Kochalska Elżbieta  
Kochalski Bogusław  
Kochowa Halina  
Kociołek Stanisław  
Kołodziej Andrzej  
Komorowski Bronisław  
Komorowski Zygmunt Leon  
Koreń Igor  
Korzec Michał  
Korzeń Jarosław  
Kowalczyk Honoriusz  
Kowalik Marek  
Kowalik Tadeusz  
Kramer Guy  
Krysia, robotnica z zakładów włókienniczych  
Krzywonos Henryka  
Krzyżanowska Janina, *de domo Łopińska*  
Krzyżanowska Olga  
Krzyżanowska-Mierzewska Magdalena  
Krzyżanowski Aleksander „Wilk”  
Krzyżanowski Jerzy  
Kubasiewicz Ewa  
Kulik-Bielińska Ewa  
Kulikow Wiktor  
Kunicka Barbara  
Kupiecki Dariusz  
Kuroń Gaja  
Kuroń Jacek  
Kurski Jacek  
Kurski Jarosław  
Kwaśniewski Aleksander  
Kwiatkowska Wiesława  
Kwiatkowska Zofia

Labuda Barbara  
Lasocka Maria  
Lasocki Tadeusz

Lasota Irena  
Lepper Andrzej  
Lewicki Marek  
Lipniewicz Andrzej, mąż Izabelli  
Lipniewicz Andrzej, syn Izabelli  
Lipniewicz Izabella, *de domo* Kochalska  
Lipniewicz Michał  
Lityńska Krystyna  
Lityński Jan  
Lonia, więźniarka z Krzywańca  
Lubianiec Krzysztof  
Lubkiewicz-Urbanowicz Teresa

Łapiński Zbigniew  
Łopiński Adam  
Łucywo Helena  
Łucywo Witold

Macierewicz Antoni  
Magdalena, ciotka Olgi Krzyżanowskiej  
Majski Iwan  
Maksymilian, wnuk Jadwigi Staniszkis  
Mann Tomasz  
Marczuk Witold  
Marylka, koleżanka Hanny Grabińskiej  
Mazowiecki Tadeusz  
Meller Stefan  
Michajłowicz Borys  
Michałowski Janusz  
Michnik Adam  
Mickiewicz Adam  
Mierczuk, gajowy  
Mierzewski Piotr  
Mikłasz Paweł  
Mikołajczyk Stanisław  
Mikołajska Halina  
Minc Alicja



Minc Hilary  
Misiewicz Waldemar  
Miszcz Andrzej  
Modzelewski Karol  
Mokrzycka Anna  
Molier  
Molka Janusz  
„Monter” zob. Chruściel Antoni Morawiecki Kornel  
Muskat Mariusz  
Muskat Teresa  
Mynia, ciotka Izabelli Cywińskiej

Naimski Piotr  
Napieralska Barbara  
Newerly Igor  
Niesiołowski Stefan  
Nina, więźniarka z Krzywańca

Oborska Maria  
Odom William  
Orlikowska-Wrońska Romana  
Orwell George  
Osowska Ewa

Pawlicka Małgorzata  
Pepliński Edmund  
Piechowicz Małgorzata  
Pieńkowska Alina  
Piłsudski Józef  
„Pistolet” zob. Wojciechowicz Michał  
Pius XII  
Płońska Maryla  
Popiełuszko Jerzy  
Popławski Stanisław  
Przedwojska Barbara  
Przemyk Grzegorz  
Pyka Tadeusz

Reagan Ronald  
Regulska Teresa, *de domo* Grzeškowiak  
Regulska-Chlebowska Elżbieta  
Regulski Walenty  
Regulski Witold  
Romaszewska Zofia  
Romaszewski Zbigniew  
Rozpłochowski Andrzej  
Rybicki Zygmunt  
Rymanowski Bogdan

Sadowska Barbara  
Sanojca Antoni  
Sawicka, oddziałowa w gdańskim więzieniu  
Semka Piotr  
Sienkiewicz Henryk  
Sikorski Władysław  
Siwicki Florian  
Smolar Aleksander  
Sokolewicz Zofia  
Spyt Jacek  
Stalin Józef  
Staniszkis Jadwiga  
Staniszkis Joanna  
Staniszkis Maria  
Staniszkis Witold Kazimierz  
Staniszkis Witold Teofil  
Staniszkis Witold Wincenty  
Stankiewicz Grażyna  
Stawicka Anna  
Stefański Jacek  
Strzałkowski Roman  
Strzelecki Jerzy  
Suchocka Hanna  
Suchowo-Kobylin Aleksander  
Szablewski Alojzy

Szaniawski Edward  
Szczepan, warszawski ślusarz  
Szczepański Maciej  
Szczęsna Joanna  
Szewczyk Dorota  
Szljajfer Henryk  
Szmytkowski Radosław  
Szpotański Janusz  
Szrejder Beata

Środa Magdalena

Taylor Jacek  
Tołstoj Lew  
Tomaszewski Robert  
Trintignant Jean Louis

Ula, więźniarka z Krzywańca

Wajda Andrzej  
Walentynowicz  
Wałęsa Danuta  
Wałęsa Lech „Bolek”  
Wehrstein Janina  
Wehrstein Władysław  
Wende Grażyna  
Wiatr Jerzy  
Wiechecki Stefan  
Wieczorek Elżbieta  
Wilgucka Jolanta  
„Wilk” zob. Krzyżanowski Aleksander  
Wiśniewski Wiesław  
Witek, działacz Solidarności  
Wojciechowicz Franciszek  
Wojciechowicz Joanna, *de domo* Kaliszczak  
Wojciechowicz Józefina  
Wojciechowicz Kamila

Wojciechowicz Michał „Pistolet”  
Wojciechowicz Rafał  
Wolińska-Brus Helena  
Wszelaki Barbara  
Wujec Henryk  
Wujec Ludwika  
Wysocki Władimir

Załęcki Winicjusz  
Zapasiewicz Zbigniew  
Zapolska Gabriela  
Zawistowska Roma  
Zenczak Piotr  
Zieleński Jerzy  
Zuzanna, wnuczka Jadwigi Staniszkis

Żeromski Stefan  
Życiński Józef

## Źródła ilustracji

Izabelli Lipniewicz  
Jadwigi Chmielowskiej  
Elżbieta Regulskiej-Chlebowskiej

Zbiory Europejskiego Centrum Solidarności:

fot. Leszek Latos 1

fot. Lech Różański 1

fot. autor nieznany 1

*Europejskie Centrum Solidarności dołożyło wszelkich starań aby ustalić autorów prezentowanych fotografii ze swoich zbiorów. W razie odnalezienia się autora którejś fotografii prosimy o kontakt z Europejskim Centrum Solidarności.*

Dokumenty i pamiątki - zbiory własne:

Joanny Wojciechowicz: 1, 2, 3, 4, 5

Fotografie dokumentów i pamiątek i fotografie na stronach tytułowych wykonał Rafał Guz.



*E-book dostępny na*

**woblink.com**

## Nowa książka autorki bestsellerów *Dziewczyny z Powstania i Dziewczyny z Syberii*

MÓWILI IM: „KOBIECY, NIE PRZESZKADZAJCIE NAM,  
TO MY WALCZYMY O POLSKĘ!”.

NIE POSŁUCHAŁY.  
DLA WOLNOŚCI GOTOWE BYŁY ZARYZYKOWAĆ WSZYSTKO.

Jadwiga była ścigana listem gończym przez osiem lat.  
Zmieniała tożsamość, zacierała ślady. Ubecy tylko czekali na jej potknięcie.

Beata miała zdawać maturę, ale za „bibułę” trafiła do więzienia. Po latach  
to jej oprawcy otrzymała z rąk prezydenta order za „wybitne zasługi”.

Joanna w oknie celi wywiesiła biały ręcznik. Napisała na nim czerwoną szminką:  
„Solidarność”. Straszli: współpracujesz z nami albo zamkniemy ci syna.  
Siedemnastolatek został najmłodszym więźniem stanu wojennego.

**N**ależały do legendarnej Solidarności i chciały lepszej Polski dla swoich dzieci.  
Produkowały i kolportowały „bibułę”, strajkowały, chodziły na demonstracje. Wyrzucano je z pracy, podsłuchiowano, bito i aresztowano. Grożono im odebraniem dzieci. Zostawały bez środków do życia.

Nie musiały się wychylać. Podjęły decyzję. Rzuciły wyzwanie władzy.  
Czy zdobylibyśmy się na podobną odwagę jak nasze mamy i babcie?



**Anna Herbich** (rocznik 1986) – dziennikarka,  
autorka *Dziewczyny z Powstania i Dziewczyny z Syberii*.  
Jest członkiem zarządu fundacji Rodacy '37.

Cena 44,90 zł

ISBN 978-83-240-3464-2



9 788324 034642 >

znak.com.pl  
Książki Dobro Ekipa

© book dostępny na  
woblink.com

ECS  
centrum  
publikacji

BESTSELLEROWA SERIA „PRAWDZIVE HISTORIE”!  
KILKASET TYSIĘCY SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

